

Jeden z najbardziej oszałamiających debiutów, jakie czytałem!  
DAVID BALDACCI

# SUSZA

PRZERAŻAJĄCA ZBRODZIA W MIASTECZKU PEŁNYM MROCZNYCH TAJEMNIC

JANE  
HARPER



# SUSZA

# JANE HARPER

przełożyła Magdalena Nowak

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2017

Tytuł oryginału:  
*THE DRY*

Redakcja językowa: Agnieszka Niegowska  
Projekt okładki: © Madacin Creative  
Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka  
Zdjęcie na okładce: © Jodie Griggs/Moment Open/Getty Images  
Korekta: Maciej Korbasiński  
Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Copyright © Jane Harper, 2016  
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-339-4

**Wydawnictwo**  
**CZARNA**  
**OWCA**  
www.czarnaowca.pl

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**  
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)  
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)  
Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)  
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Moim rodzicom, Mike'owi i Helen,  
którzy zawsze mi czytali

# Prolog

Śmierć na farmie nie była przecież niczym niezwykłym, a muchy nie wybrzydzały. Nie było dla nich różnicy między ciałem ludzkim a padliną.

Tego lata susza rozpieszczała je, dając znaczny wybór. Upatrzyły sobie w szczególności nieruchome oczy i lepkie rany na korpusach wychudłego bydła, które farmerzy z Kiewarry odstrzelili z konieczności. Brak deszczu oznaczał brak paszy. Z kolei brak paszy powodował, że trudne decyzje stały się codziennością tego małego miasteczka, gdzie każdy nowy dzień upływał pod bezlitośnie rozżarzoną błękitną.

„Przełamie się”, powtarzali okoliczni hodowcy, ale miesiące mijały i zaczynał się już drugi rok suszy. Słowa te jednak podawano z ust do ust głośno i nieprzerwanie – niczym mantrę, jak również szeptano po cichu – niczym modlitwę.

Meteorolodzy z Melbourne byli odmiennego zdania. Podczas prognozy pogody, nadawanej o osiemnastej z klimatyzowanych studiów telewizyjnych, prezenterzy w garniturach ze współczuciem czynili na ten temat krótką wzmiankę. Oficjalnie była to najgorsza sytuacja od co najmniej stu lat. Ten typ pogody wywoływało zjawisko, które miało nawet swoją nazwę, choć jej wymowy nigdy ostatecznie nie udało się ustalić.

El Niño.

Przynajmniej muchy były zadowolone. Chociaż ich łup tego dnia był dość niezwykły. Mniejszy i delikatniejszy. Nie było to jednak decydujące. W istotnych kwestiach nie było różnicy. Szkliste oczy. Lepkie rany.

Zwłoki na polanie były najświeższe. Trochę więcej czasu zajęło muchom odkrycie dwóch ciał wewnątrz domu, mimo że drzwi pozostawiono otwarte – jakby w geście

zaproszenia. Te owady, które zapuściły się w głąb domu, przelatując jedynie nad ciałem znajdującym się w przedpokoju, zostały nagrodzone kolejnym – tym razem w sypialni. To było mniejsze, ale i mniej oblegane.

Pierwsze na miejscu, z zadowoleniem roiły się w upale, podczas gdy krew płynęła, tworząc niemal czarne kałuże na dywanie i kafelkach. Przed domem na sznurze nadal wisało pranie – suche jak pieprz i aż sztywne od słońca. Na kamiennej ścieżce leżała dziecięca hulajnoga. W promieniu kilometra biło tylko jedno ludzkie serce.

Nikt nie zareagował, kiedy wewnątrz domu rozległ się płacz niemowlęcia.

# Rozdział 1

Nawet ci mieszkańcy Kiewarry, którzy bywali w kościele raz w roku, na Boże Narodzenie, wiedzieli, że tym razem zabraknie w nim miejsc. Kiedy Aaron Falk zajechał w tumanach kurzu i zwiędłych liści, przed wejściem kłębił się szaro-czarny tłum.

Ludzie z determinacją, którą próbowali ukryć, starali się przepchać, mijając sąsiadów, aby jak najszybciej wejść do środka. Po drugiej stronie drogi ustawili się przedstawiciele mediów.

Falk zaparkował swojego starego sedana obok pikapa, który najlepsze lata również miał już za sobą, i wyłączył silnik. Terkot klimatyzacji ustał i w ciszy wewnątrz samochodu natychmiast zrobiło się gorąco. Poświęcił chwilę, aby zlustrować tłum, choć tak naprawdę nie miał już na to czasu. Ociągał się całą drogę z Melbourne, tak że zazwyczaj pięciogodzinna podróż wydłużyła się niemal o godzinę. W końcu wysiadł z wozu, zadowolony z tego, że nie dostrzegł nikogo znajomego.

Upał późnego popołudnia natychmiast otulił go szczelnie niczym koc. Otworzył tylne drzwi, żeby wziąć marynarkę, i poparzył sobie przy tym rękę o rozgrzaną karoserię. Po krótkim wahaniu sięgnął też po kapelusz. Brązowe płócienne nakrycie głowy z szerokim rondem nie pasowało do pogrzebowego garnituru. Jednak Falk, którego skóra przez pół roku miała sinawy odcień skisłego mleka, a przez drugie pół była usiana groźnie wyglądającymi pieprzykami, był gotowy na ten modowy nietakt.

Od urodzenia blady, miał krótko przyszczyżone, niemal białe włosy, a rzęsy wręcz niewidoczne. W ciągu trzydziestu sześciu lat swojego życia często zastanawiał się, czy

australijskie słońce nie próbuje mu dać czegoś do zrozumienia. Była to wiadomość, którą znacznie łatwiej ignorowało się wśród wysokich budynków Melbourne niż w Kiewarrze, gdzie cień był rzadkim luksusem.

Falk spojrział przelotnie na drogę wyjazdową z miasteczka, a następnie skonsultował się ze swoim zegarkiem. Pogrzeb, stypa, jeden nocleg i już go tu nie ma. O s i e m n a ś c i e g o d z i n, obliczył. I ani godziny więcej. Mając to na uwadze, ruszył w kierunku tłumu, przytrzymując ręką kapelusz z powodu nagłego podmuchu gorącego wiatru.

Wewnątrz kościół był jeszcze mniejszy, niż Falk zapamiętał. Ramię w ramię z obcymi ludźmi pozwolił, by tłum poniósł go głębiej do środka. Zauważywszy wolne miejsce pod ścianą, ruszył ku niemu i stanął obok farmera w bawełnianej koszuli opinającej mu się na brzuchu. Mężczyzna skinął mu głową, po czym z powrotem utkwiał spojrzenie w dali. Falk dostrzegł zagięcia na rękawach jego koszuli, które najwyraźniej jeszcze chwilę wcześniej były podwinięte.

Falk zdjął z głowy kapelusz i wachlował się nim ukradkiem. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie rozejrzeć się wokół. Twarze, które z początku wydały mu się obce, teraz stawały się coraz bardziej znajome, jakby zaczął widzieć je wyraźniej, i poczuł bezsensowne zdziwienie na widok zmarszczek, siwizny i dodatkowych kilogramów.

Starszy mężczyzna dwa rzędy dalej pochwycił jego spojrzenie, skinął głową i obaj, rozpoznając się, wymienili smutne uśmiechy. Jak się nazywał? Falk próbował sobie przypomnieć. Nie mógł się skupić. To był nauczyciel. Falk niemal widział go, jak stoi przed klasą, dzielnie usiłując przybliżyć znużonym nastolatkom geografię albo stolarkę, ale wspomnienie co rusz mu umykało.

Mężczyzna skinieniem głowy dał Falkowi do zrozumienia, że może mu zrobić obok siebie miejsce, jednak ten uprzejmie potrząsnął głową i ponownie zwrócił się ku przodowi. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach unikał pogaduszek, a przecież powód, dla którego zgromadzili się w tym miejscu, był przerażający.

Boże, środkowa trumna była taka mała... To, że znajdowała się między dwiema pełnowymiarowymi, tylko pogarszało sprawę. Jeśli to w ogóle było możliwe. Małe dzieci ze starannie zaczesanymi włosami wskazywały ją palcem: „Zobacz, tato. Ta



skrzynia jest w barwach piłkarskich”. Te w szkolnych mundurkach, na tyle duże, żeby wiedzieć, co znajdowało się w środku, wpatrywały się w nią ze zgrozą, kręcąc się niespokojnie i instynktownie szukając bliskości swoich matek.

Nad trzema trumnami wisiało powiększone zdjęcie czteroosobowej rodziny. Ich nieruchome uśmiechy były zbyt duże, zbyt nieostre. Falk widział to zdjęcie już wcześniej w wiadomościach. Pokazywano je wielokrotnie.

Poniżej umieszczono imiona zmarłych, ułożone z polnych kwiatów. Luke. Karen. Billy.

Falk wpatrywał się w Luke’a na zdjęciu. Jego gęste czarne włosy zaczynały siwieć, czego Falk wcześniej nie dostrzegł, lecz nadal wyglądał lepiej niż większość mężczyzn zbliżających się do czterdziestki. Jego twarz wydała się Falkowi starsza, ale w końcu minęło pięć lat, odkąd widział go po raz ostatni. Za to pewien siebie uśmiech i znaczące spojrzenie na twarzy przyjaciela z dzieciństwa nic się nie zmieniły. „Wciąż taki sam”, chciało się powiedzieć. A jednak trzy trumny definitywnie temu przeczyły.

– Cholerna tragedia – powiedział ni z tego, ni z owego stojący obok Falka farmer.

Ręce miał założone, a pięści mocno wsunięte pod pachy.

– To prawda – zgodził się Falk.

– Znałeś ich dobrze?

– Raczej nie. Tylko Luke’a... – Przez krótką chwilę zaćmiło go i nie mógł znaleźć słowa na określenie człowieka spoczywającego w największej trumnie. Wiedział, co chciał powiedzieć, ale na usta cisnęły mu się jedynie frazesy z brukowców. – Ojca. – Udało mu się w końcu wybrnąć. – Przyjaźniliśmy się, kiedy byliśmy młodsii.

– Tak. Wiem, kim jest Luke Hadler.

– Teraz wszyscy wiedzą.

– Nadal mieszkasz w okolicy, prawda? – Farmer nieznacznie przesunął swoje zwaliste ciało i po raz pierwszy uważnie przyjrzał się Falkowi.

– Nie. Już od dawna nie.

– Jasne. Ale wydaje mi się, że gdzieś cię widziałem. – Farmer zmarszczył brew, wyęzając pamięć. – Ej, nie jesteś jednym z tych cholernych telewizyjnych dziennikarzy, co nie?

– Nie. Jestem z policji. Z Melbourne.

– Naprawdę? Powinieneś prowadzić śledztwo przeciw temu cholernemu rządowi, który dopuścił, że sprawy mają się aż tak źle. – Mężczyzna skinął głową w kierunku, gdzie leżało ciało Luke’a obok ciała jego żony i sześciolatniego synka. – My tu usiłujemy wyżywić ten kraj w najgorszych warunkach od stu lat, a oni pieprzą o obniżeniu dopłat. W pewien sposób nawet trudno winić tego biednego drania. To ku... – urwał i rozejrzał się po kościele. – To cholerny skandal, tyle ci powiem.

Falk nic nie odpowiedział i obaj pograżyli się w rozmyślaniach nad brakiem kompetencji rządu w Canberze. Potencjalne powody, dla których rodzina Hadlerów poniosła śmierć, zostały szeroko omówione w prasie.

– To znaczy, że zajmujesz się tą sprawą? – Farmer po raz kolejny skinął w kierunku trumien.

– Nie. Jestem tu tylko jako przyjaciel – odrzekł Falk. – Nie wiem, czy w ogóle jest tu jeszcze coś do zrobienia.

Wiedział tyle, co wszyscy inni – z wiadomości. Ale ze sprawozdań wynikało, że sprawa nie budziła wątpliwości. Strzelba należała do Luke’a. Znalaziono ją wetkniętą w pozostałość po jego ustach...

– Nie, nie sądzę – powiedział farmer. – Tak tylko pomyślałem, że skoro byłeś jego przyjacielem i w ogóle...

– Poza tym nie zajmuję się takimi sprawami. Pracuję w policji federalnej. W jednostce wywiadu finansowego.

– Nic mi to nie mówi, przyjacielu.

– To znaczy tylko tyle, że tropię pieniądze. Wszystko, co ma na końcu kilka zer i jest w niewłaściwym miejscu. Pranie pieniędzy, defraudacje, tego typu rzeczy.

Mężczyzna coś na to odparł, ale Falk już tego nie usłyszał. Przeniósł wzrok z trumien na żałobników zgromadzonych w pierwszej nawie. Miejsce tradycyjnie zarezerwowane dla rodziny – żeby siedzieli przed wszystkimi swoimi znajomymi i sąsiadami, którzy, wpatrując się w ich plecy, dziękowali Bogu, że nie ich to spotkało.

Chociaż minęło ponad dwadzieścia lat, Falk bez problemu rozpoznał ojca Luke’a. Twarz Gerry’ego Hadlera była poszarzała. A oczy jakby zapadły się w głąb czaszki. Siedział posłusznie na swoim miejscu w pierwszym rzędzie, ale głowę miał odwróconą. Nie zwracał uwagi na szlochającą u jego boku żonę ani na trzy drewniane

skrzynie przed nim, zawierające doczesne szczątki jego syna, synowej i wnuka. Patrzył wprost na Falka.

Z głośników na tyłach kościoła dobiegło kilka początkowych taktów muzyki. Zaczynał się pogrzeb. Gerry nieznacznie skinął mu głową, a Falk nieświadomie wsunął dłoń do kieszeni. Dotknął listu, który pojawił się dwa dni wcześniej na jego biurku. Wiadomość od Gerry'ego Hadlera, siedem słów napisanych ciężką ręką:

„Luke kłamał. Ty kłamałeś. Bądź na pogrzebie”.

Ciężko było oglądać zdjęcia. Nieubłagane migają na ekranie umieszczonym z przodu kościoła. Luke odnoszący sukcesy jako nastoletni piłkarz, Karen przeskakująca przez przeszkodę na kucyku. W tej chwili zastygłe uśmiechy nabrały groteskowego wyrazu i Falk zauważył, że nie tylko on odwraca wzrok.

Kolejne zdjęcie i Falk zdziwił się, widząc samego siebie. Znalazł się twarzą w twarz z nieostrą, jedenastoletnią wersją siebie. On i Luke, ramię w ramię, bez podkoszulków i z otwartymi ustami, prezentowali niewielką rybę na lince. Wyglądali na szczęśliwych. Falk usiłował sobie przypomnieć moment, w którym zrobiono to zdjęcie. Nie potrafił.

Pokaz trwał nadal. Zdjęcia Luke'a, następnie Karen, każde z nich uśmiechało się bez końca, i kolejne ujęcie Falka. Tym razem poczuł, jakby coś ścisnęło mu płuca. W tłumie rozległ się cichy pomruk i Falk wiedział, że ta fotografia wstrząsnęła nie tylko nim.

Stał obok Luke'a – obaj mieli długie nogi, a ich twarze poznaczone były trądzikiem. Uśmiechali się, jak na poprzednim zdjęciu, ale tym razem byli we czwórkę. Luke obejmował szczupłą, nastoletnią talię jasnowłosej dziewczyny. Falk, zdecydowanie bardziej nieśmiało, trzymał dłoń na ramieniu drugiej z dziewcząt, która miała ciemne włosy i oczy.

Falk nie mógł uwierzyć, że pokazywano to zdjęcie. Rzucił spojrzenie na Gerry'ego Hadlera, który patrzył przed siebie z mocno zaciśniętą szczęką. Falk poczuł, że stojący koło niego farmer przestąpił z nogi na nogę i odsunął się o pół kroku. Dotarło do niego, pomyślał Falk.

Zmusił się, aby ponownie spojrzeć na zdjęcie. Na ich czwórkę. Na dziewczynę obok niego. Wpatrywał się w jej oczy, aż w końcu zniknęły z ekranu. Dobrze pamiętał, kiedy

to zdjęcie zostało zrobione. Popołudnie pod koniec lata. To był dobry dzień. A zdjęcie było jednym z ostatnich, na którym byli wszyscy czworo. Dwa miesiące później ciemnooka dziewczyna nie żyła...

„Luke kłamał. Ty kłamałeś”.

Falk wbił wzrok w podłogę na całą minutę. Kiedy ponownie spojrzął na ekran, czas przyspieszył, a Luke i Karen uśmiechali się do niego sztywno ze zdjęcia ślubnego. Falk został zaproszony i na tę uroczystość. Próbował sobie przypomnieć, jaką wymówkę wymyślił, żeby nie przyjechać. Prawie na pewno była to praca.

Zaczęły pojawiać się pierwsze zdjęcia Billy’ego. Noworodek o czerwonej twarzązce, niemowlę z imponującą czupryną. Już wtedy przypominał swojego tatę. W krótkich spodenkach przy choince. Cała rodzina przebrana za potwory, farba na ich twarzach popękana od uśmiechów. Kilka lat do przodu i nieco starsza Karen tuli kolejne niemowlę.

Charlotte. Szczęściara. Jej imię nie zostało ułożone z kwiatów. Jakby na zamówienie, trzynastomiesięczna Charlotte zaczęła zawodzić na kolanach swojej babci w pierwszym rzędzie. Barb Hadler jedną ręką przycisnęła dziewczynkę mocniej do siebie, sama kołysząc się nerwowo. Drugą ręką przyciskała chusteczkę do twarzy.

Falk, który nie znał się na dzieciach, nie wiedział, czy Charlotte rozpoznała swoją mamę na ekranie. A może po prostu była wściekła, że została włączona do wspominków, choć była jak najbardziej żywa. Dotarło do niego, że będzie musiała się do tego przyzwyczaić. Nie miała wyboru. Dziecko dorastające z etykietką „Jedyna ocalała” raczej nie miało gdzie się ukryć.

Ostatnie zdjęcia mignęły w niezręcznej ciszy. Kiedy ktoś w końcu włączył światło, dało się odczuć zbiorową ulgę. Otyły ksiądz zaczął wdrapywać się na mównicę, a Falk ponownie przyglądał się budzącym grozę trumnom.

Myślał o ciemnookiej dziewczynie i o kłamstwie, które zostało wymyślone i na które przystał, kiedy jego życie napędzał strach i młodzięcze hormony.

„Luke kłamał. Ty kłamałeś”.

Jak krótka była droga, która dzieliła tamtą decyzję od tego momentu? To pytanie dokuczało mu niczym siniak.

Jakaś starsza kobieta odwróciła wzrok od mównicy i przypadkiem spojrzała na

Falka. Nie znał jej, ale ona skinęła uprzejmie głową w geście rozpoznania. Falk odwrócił wzrok. Kiedy wrócił spojrzeniem, kobieta nadal na niego patrzyła. Jej brwi zmarszczyły się nagle i zwróciła się do kobiety stojącej obok. Falk nie potrzebował umiejętności czytania z ruchu warg, żeby wiedzieć, co powiedziała.

„Chłopak Falka wrócił”.

Druga kobieta spojrzała na niego, ale szybko odwróciła spojrzenie. Ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy potwierdziła domysły przyjaciółki. Nachyliła się i szepnęła coś do osoby stojącej po jej drugiej stronie. Falk poczuł nieprzyjemny ciężar w piersi. Spojrzał na zegarek. S i e d e m n a ś c i e g o d z i n . I wyjedzie stąd. Znów. Dzięki Bogu.

## Rozdział 2

– Aaronie Falk, nie waż się odjechać, do cholery!

Falk stał przy swoim samochodzie, walcząc z pokusą, aby wsiąść do niego i odjechać w siną dal. Większość żałobników ruszyła już w krótką, acz męczącą w tym upale drogę na miejsce stypy. Falk obrócił się, słysząc głos, i wbrew sobie uśmiechnął się.

– Gretchen – powiedział, kiedy kobieta przyciągnęła go do siebie, aby go objąć, jednocześnie kładąc czoło na jego ramieniu. Oparł podbródek o jej jasne włosy i trwali tak, kołysząc się, przez dłuższą chwilę.

– O Boże, tak się cieszę, że cię tu widzę. – Głos kobiety tłumiła jego koszula.

– Jak się masz? – zapytał, kiedy się od niego odsunęła.

Gretchen Schoner wzruszyła ramionami, ściągając tanie okulary przeciwsłoneczne i ukazując zaczerwienione oczy.

– Nie najlepiej. Właściwie to źle. A ty?

– Tak samo.

– Tak samo to ty wyglądasz. – Zdobyła się na niepewny uśmiech. – Widzę, że nadal roztaczasz urok albinosa.

– Ty również prawie się nie zmieniłaś.

Prychnęła, ale uśmiechała się już bardziej zdecydowanie.

– Przez dwadzieścia lat? Nie wygłupiaj się.

Nie był to jednak czczy komplement ze strony Falka. Nadal bez trudu można było rozpoznać Gretchen ze zdjęcia czwórki nastolatków, które pokazano podczas

ceremonii.

Talia, którą na fotografii obejmował Luke, była teraz tylko nieznacznie szersza, swój jasny kolor włosy prawdopodobnie zawdzięczały farbie, ale niebieskie oczy i wydatne kości policzkowe pozostały dokładnie takie jak niegdyś. Eleganckie spodnie i bluzka były odrobinę zbyt obcisłe jak na taką okazję i widać było, że Gretchen nie czuje się w tym stroju swobodnie. Falk zastanawiał się, czy pożyczyła go od kogoś, czy po prostu rzadko go wkładała.

Gretchen równie uważnie mierzyła go wzrokiem i kiedy ich spojrzenia spotkały się, parsknęła śmiechem. Natychmiast jej twarz nabrała pogodniejszego wyrazu, co jeszcze odjęło jej lat.

– Chodź – powiedziała i ścisnęła go za ramię. Jej dłoń na jego skórze była chłodna.

– Stypa jest w domu kultury. Przejdziemy przez to razem.

Ruszyli w dół drogi, a Gretchen zawołała małego chłopca, który dźgał coś patykiem. Spojrzał na nią i niechętnie porzucił swoje zajęcie. Gretchen wyciągnęła do niego rękę, ale on potrząsnął głową i truchtał przed nimi, wywijając kijkiem jak szpadą.

– Mój syn, Lachie – przedstawiła go Gretchen, spoglądając na Falka kątem oka.

– Tak. Oczywiście. – Chwilę zajęło Falkowi uświadomienie sobie, że dziewczyna, którą kiedyś znał, była teraz matką. – Słyszałem, że masz dziecko.

– Od kogo? Od Luke'a?

– Pewnie tak – przytaknął Falk. – Już jakiś czas temu. Najwyraźniej. Ile ma lat?

– Dopiero pięć, ale straszny z niego łobuz.

Patrzyli przez chwilę, jak Lachie zadawał pchnięcia niewidzialnym przeciwnikom. Miał szeroko rozstawione oczy i kręcone włosy w kolorze ziemi, lecz w jego ostrych rysach Falk nie mógł się dopatrzeć podobieństwa do Gretchen. Wysilił pamięć, żeby przypomnieć sobie, czy Luke wspominał coś o jakimś związku Gretchen lub o ojcu chłopca. Nie wydawało mu się. Chciał wierzyć, że zapamiętałby, gdyby tak było. Rzucił przelotne spojrzenie na jej lewą dłoń. Nie było na niej obrączki, ale w dzisiejszych czasach to jeszcze nic nie znaczy.

– Jak się ma twoja rodzina? – Udało mu się w końcu wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– W porządku. Lachie potrafi być krnąbrny – oznajmiła, ścisząc głos. – Jesteśmy tylko we dwoje. To dobre dziecko. Radzimy sobie. Przynajmniej na razie.

– Twoi rodzice nadal mają swoje gospodarstwo?

Potrząsnęła głową.

– O Boże, nie. Przeszli na emeryturę i sprzedali farmę jakieś osiem lat temu. Przeprowadzili się do Sydney i kupili małe mieszkanie trzy ulice od miejsca, gdzie mieszka moja siostra z dziećmi. – Wzruszyła ramionami. – Mówią, że im się tam podoba. Miejskie życie. Podobno tata chodzi na pilates.

Falk uśmiechnął się, wyobrażając sobie prostego człowieka, jakim był pan Schoner, koncentrującego się na pracy mięśni głębokich podczas wykonywania ćwiczeń oddechowych.

– Nie kusiło cię, żeby do nich dołączyć? – zapytał.

Gretchen zaśmiała się niewesoło i wskazała uschnięte drzewa wzdłuż drogi.

– I zostawić to? Nie. Zbyt długo tu mieszkam, weszło mi to w krew. Sam wiesz, jak to jest. – Ucięła zdanie i spojrzała na Falka kątem oka. – A może wcale nie. Przepraszam.

Falk tylko machnął na to ręką.

– Co porabiasz?

– Prowadzę farmę, oczywiście. A przynajmniej próbuję. Kilka lat temu kupiłam gospodarstwo Kellermana. Hoduję owce.

– Naprawdę? – Falk był pod wrażeniem. To była pożądana ziemia. Przynajmniej za jego młodych lat.

– A ty? – zapytała. – Słyszałam, że wstąpiłeś do policji?

– Tak, to prawda. Tyle że do federalnej. Nadal tam pracuję.

Przez chwilę szli w ciszy. Rozgorączkowana ptasia pieśń dobiegająca z drzew brzmiała tak, jak Falk zapamiętał. Żałobnicy idący przed nimi wyglądali jak smugi na zakurzonej drodze.

– Jak się mają tutaj sprawy? – spytał.

– Źle – odpowiedziała dobitnie. Dotknęła swoich ust opuszką palca w nerwowym geście kogoś, kto rzucił palenie. – Bóg jeden wie, że wcześniej też wcale nie było dobrze. Wszyscy martwią się pieniędzmi i suszą. A teraz ta sprawa z Lukiem i jego rodziną... Jest bardzo źle, Aaron. Bardzo źle. To się czuje w powietrzu. Wszyscy chodzimy jak żywe trupy. Nie wiadomo, co mówić, co robić. Przyglądamy się sobie



nawzajem. Próbuje się domyślić, kto następny pęknie.

– Jezu.

– No. Nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić.

– Czy ty i Luke nadal byliście ze sobą blisko? – Falk dał upust ciekawości.

Gretchen zawahała się. Jej usta zacisnęły się w linię.

– Nie, już od lat nie byliśmy sobie bliscy. Nie tak jak wtedy, kiedy byliśmy we czworo.

Falk pomyślał o zdjęciu. Luke, Gretchen, on sam. I Ellie Deacon z długimi, czarnymi włosami. Byli ze sobą tacy zżyci. Jak tylko nastolatki potrafią, ponieważ uważają przyjaciół za bratnie dusze i wierzą, że ich więź będzie trwać na zawsze.

„Luke kłamał. Ty kłamałeś”.

– Rozumiem, że wy utrzymywaliście ze sobą kontakt? – dopytywała się Gretchen.

– Od czasu do czasu. – Przynajmniej to była prawda. – Kiedy Luke przyjeżdżał do Melbourne, wyskakiwaliśmy na piwo, tak to wyglądało... – Falk urwał. – Ale nie widziałem go już od dobrych kilku lat. Człowiek robi się taki zajęty, wiesz, jak to jest. On miał rodzinę, a ja mnóstwo pracy.

– W porządku, nie musisz się tłumaczyć. Wszyscy czujemy się winni.

W domu kultury aż wrzało. Falk cofnął się na schodach i Gretchen ponownie złapała go za ramię.

– Chodź, zobaczysz, że będzie w porządku. Większość pewnie nawet cię nie pamięta.

– Wystarczająco wielu sobie przypomni. Zwłaszcza po tym, jak pokazano to zdjęcie. Gretchen skrzywiła się.

– No wiem. Ja też byłam w szoku. Ale zrozum, ludzie mają wiele innych zmartwień na głowie. Nie wychylaj się. Wyjdziemy tylnymi drzwiami na podwórko.

Nie czekając na odpowiedź, jedną ręką chwyciła Falka za rękaw, drugą złapała swojego syna i obu poprowadziła do środka, przeciskając się przez tłum. Wewnątrz panował zaduch. Klimatyzacja szła pełną parą, ale sytuacja była beznadziejna ze względu na liczbę żałobników pragnących schronić się wewnątrz przed słońcem. Ludzie skupiali się w powadze w mniejsze grupki, trzymając w rękach plastikowe kubeczki i talerzyki z ciastkami czekoladowymi przełożonymi bitą śmietaną.

Gretchen ruszyła w kierunku przeszklonych drzwi, za którymi na małym placu zabaw ustawili się spóźnialscy, wypchnięci ze środka przez poczucie zbiorowej klaustrofobii. Znaleźli zacienione miejsce w pobliżu ogrodzenia, a Lachie pobiegł spróbować szczęścia na niemiłosiernie rozgrzanej metalowej zjeżdżalni.

– Nie musisz stać ze mną, jeśli miałyby to nadszarpnąć twoją reputację – powiedział Falk, naciągając kapelusz mocniej na czoło, żeby lepiej osłaniał twarz.

– Och, zamknij się. Poza tym najbardziej zaszkoziłam sobie sama.

Falk rozejrzał się po placu zabaw i dostrzegł starszą parę, która kiedyś chyba przyjaźniła się z jego ojcem. Rozmawiali z młodym funkcjonariuszem policji, który w pełnym mundurze galowym spływał potem w promieniach popołudniowego słońca. Jego czoło świeciło się, kiedy uprzejmie skinął głową.

– Hej, czy to następca Barberisa? – zapytał Falk.

Gretchen podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– No. Słyszałeś o Barberisie?

– Oczywiście. Wielka strata. Pamiętasz, jak napędział nam wszystkim stracha tymi okropnymi opowieściami o dzieciach, które nieostroźnie obchodziły się z maszynami na farmie?

– Jasne. Zawał miał jak w banku przynajmniej od dwudziestu lat.

– A jednak to wielka strata – rzekł Falk szczerze. – Kim jest ten nowy?

– To sierżant Raco. Jeśli odnosisz wrażenie, że rzucono go na głęboką wodę, to dlatego, że tak właśnie jest.

– Nie jest dobry? Wszystko wskazuje na to, że dobrze sobie radzi z tłumem.

– Naprawdę nie wiem. To wydarzyło się pięć minut po jego przybyciu.

– Koszmar jak na pierwsze pięć minut.

Gretchen nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ przy szklanych drzwiach zrobiło się zamieszanie. Tłum rozstąpił się z szacunkiem, robiąc miejsce dla Gerry'ego i Barb, którzy wyszli na zewnątrz i mrugali osłepieni słońcem. Mocno trzymając się za ręce, podchodzili po kolei do żałobników skupionych w grupach. Kilka słów, uścisk, męzne skiniecie i dalej.

– Kiedy ostatnio z nimi rozmawiałeś? – wyszeptała Gretchen.

– Aż do zeszłego tygodnia dwadzieścia lat temu – odpowiedział Falk.

Czekał. Gerry nadal był po przeciwnej stronie placu zabaw, kiedy go dostrzegł. Odsunął się od pulchnej kobiety w pół uścisku, tak że objęła powietrze.

„Bądź na pogrzebie”.

Falk przyjechał, zgodnie z poleceniem. I teraz patrzył, jak ojciec Luke’a zbliża się do niego.

Gretchen była jednak szybsza i przejęła Gerry’ego w swoje ramiona. Spojrzał Falkowi prosto w oczy z nad jej ramienia, a jego źrenice były błyszczące i poszerzone. Falkowi przyszło do głowy, że być może wspomaga się jakimiś lekarstwami, aby przetrwać ten dzień. Kiedy Gretchen puściła Gerry’ego, ten wyciągnął rękę, aby ująć dłoń Falka w gorącym, mocnym uścisku.

– Udało ci się przyjechać – powiedział neutralnym tonem, najwyraźniej ze względu na Gretchen.

– Tak – odparł Falk. – Dostałem twój list.

Gerry patrzył mu w oczy.

– Pewnie. Cóż, uważałem, że to ważne, abys tu był. Ze względu na Luke’a. Nie byłem pewien, czy ci się uda dojechać, chłopcze. – Ostatnie zdanie zawisło ciężko w powietrzu.

– Oczywiście, Gerry – przytaknął Falk. – Być tutaj to dla mnie ważna sprawa.

Wątpliwości Gerry’ego nie były bezzasadne. Tydzień wcześniej Falk siedział przy swoim biurku w Melbourne, wpatrując się pustym wzrokiem w umieszczone w gazecie zdjęcie Luke’a, kiedy zadzwonił telefon. Łamiącym się głosem, którego Falk nie słyszał od dwudziestu lat, Gerry podał mu szczegóły dotyczące pogrzebu. „Zobaczmy się na miejscu”, powiedział. I nie było to pytanie. Falk unikał nieostrego spojrzenia Luke’a, kiedy zaczął przebąkiwać coś o zobowiązaniach w pracy. Prawdę powiedziawszy, wówczas jeszcze nie podjął decyzji. Dwa dni później nadszedł list, Gerry musiał nadać go natychmiast po tym, jak się rozłączył.

„Ty kłamałeś. Bądź na pogrzebie”.

Tamtej nocy Falk nie spał dobrze.

Teraz obaj posyłali niezręczne spojrzenia w stronę Gretchen, która marszcząc brwi, patrzyła, jak jej syn niepewnie wspina się na drabinki.

– Nocujesz w miasteczku – powiedział Gerry.

Jak zauważył Falk, to również nie było pytanie.

– W pokoju nad pubem.

Z placu zabaw dobiegł płacz.

– Cholera, to było do przewidzenia. Przepraszam na moment – rzuciła Gretchen i pobiegła do synka.

Gerry złapał Falka za łokieć i odciągnął kawałek od żałobników. Jego ręka się trzęsła.

– Musimy porozmawiać. Zanim ona wróci.

Falk uwolnił swoje ramię nieznacznym, dobrze kontrolowanym ruchem, zdając sobie sprawę z tłumu za ich plecami. Nie był pewien, kto tam był ani kto mógł się im przyglądać.

– Na litość boską, Gerry! Czego ty chcesz? – Zmusił się do stania w pozycji, która, jak miał nadzieję, sprawiała wrażenie swobodnej. – Jeśli to ma być jakiś szantaż, mogę od razu ci powiedzieć, że nic z tego.

– Co? Jezu, Aaron. Nie. Nic z tych rzeczy. – Gerry wyglądał na autentycznie wstrząśniętego. – Gdybym chciał robić kłopoty, zrobiłbym to lata temu, nieprawdaż? Z przyjemnością pozwoliłem temu przyschnąć. I najchętniej nadal tak bym to zostawił. Chryste, jakże bym chciał to tak zostawić. Ale teraz już nie mogę, prawda? W tej sytuacji? Karen i Billy nie żyją... On nie miał nawet siedmiu lat... – Głos Gerry'ego się załamał. – Zrozum, przepraszam cię za ten list, ale potrzebowałem, żebyś tu był. Muszę wiedzieć.

– Co musisz wiedzieć?

W jaskrawym świetle popołudnia oczy Gerry'ego wydawały się niemal czarne.

– Czy Luke zabił już wcześniej.

Falk milczał. Nie zapytał, co Gerry miał na myśli.

– Wiesz... – Gerry ugryzł się jednak w język, ponieważ jakaś nadgorliwa kobieta podeszła do niego niepewnym krokiem i oznajmiła, że ksiądz chce z nim porozmawiać. Natychmiast, jeśli to możliwe.

– Jezu, co za cholerne zamieszanie – warknął Gerry, a kobieta odkaszlnęła

i przywołała na twarz wyraz umęczonej cierpliwości. Obrócił się do Falka: – Lepiej pójdę. Odezwe się do ciebie. – Uścisnął dłoń Falka, przetrzymując ją trochę dłużej, niż należało.

Falk skinął głową. Zrozumiał. Gerry wyglądał na zgarbionego i mniejszego, kiedy tak szedł za kobietą. Gretchen, której udało się ukoić synka, wróciła do Falka. Stali ramię przy ramieniu, patrząc za Gerrym.

– Jest w strasznym stanie – stwierdziła ściszym głosem. – Słyszałam, że wczoraj nakrzyczał w sklepie na Craiga Hornby’ego, że bagatelizuje całą tę sprawę, czy coś w tym stylu. To niewiarygodne, Craig jest jego przyjacielem od pięćdziesięciu lat.

Falk nie potrafił sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek mógł lekceważąco odnieść się do tych trzech budzących grozę trumien, a już na pewno nie ktoś tak dobrze ułożony jak Craig Hornby.

– Czy naprawdę nic nie wskazywało na to, że Luke może zrobić coś takiego? – Falk nie mógł się powstrzymać.

– Co na przykład? – Mucha usiadła na ustach Gretchen. Odpędziła ją zniecierpliwionym ruchem. – Wymachiwanie strzelbą na głównej ulicy i grożenie śmiercią swojej rodzinie?

– Boże, Gretchen, po prostu pytam. Chodziło mi raczej o depresję czy coś w tym rodzaju.

– Przepraszam, to ten upał, jeszcze wszystko pogarsza. – Zamilkła na chwilę. – Zrozum, w Kiewarze nie ma prawie nikogo, kto nie byłby na skraju wytrzymałości. Ale szczerze powiedziawszy, nic nie wskazywało na to, żeby Luke radził sobie gorzej niż inni. – Gretchen ponuro patrzyła w dal. – Ciężko powiedzieć – odezwała się po chwili milczenia. – Wszyscy są tacy źli. Ale nie tylko z powodu Luke’a. Nawet ci, którzy najbardziej na niego wyrzekają, nie nienawidzą go za to, co zrobił. To dziwne. Zupełnie jakby mu zazdrościli.

– Czego?

– Chyba tego, że zrobił to, na co oni nie potrafią się odważyć. Bo teraz jego tutaj już nie ma, prawda? Podczas gdy my tkwimy tu po same uszy, on nie musi martwić się już plonami, niespłaconymi zobowiązaniami czy suszą.

– Rozpaczliwe rozwiązanie – podsumował Falk. – I do tego zabrać jeszcze ze sobą

rodzinę... Jak sobie z tym radzi rodzina Karen?

– Z tego, co słyszałam, ona chyba nie miała nikogo. Poznałeś ją?

Falk potrząsnął głową.

– Była jedynaczką, jej rodzice zmarli, kiedy była nastolatką. Przeprowadziła się wtedy tutaj, do ciotki, która zmarła kilka lat temu. Jediną rodziną Karen byli Hadlerowie.

– Przyjaźniłaś się z nią?

– Raczej nie. Ja...

Z wnętrza budynku rozbrzmiało uderzenie widelca o kieliszek. Zebrani powoli milkli i obracali się w stronę, gdzie Barb i Gerry stali ramię w ramię. Wśród wszystkich tych ludzi wyglądali na bardzo samotnych.

Falk uświadomił sobie, że teraz zostali już tylko we dwójkę. Kiedyś, bardzo krótko, mieli jeszcze córkę. Urodziła się nieżywa, kiedy Luke miał trzy lata. Jeśli nawet chcieli mieć później więcej dzieci, to im się nie powiodło. Zamiast tego przelali cały swój wysiłek na jedynego krzepkiego syna.

Barb odkaszlnęła, wodząc wzrokiem po otaczających ją ludziach.

– Chcę podziękować wam wszystkim za przybycie. Luke był dobrym człowiekiem...

Słowa padły zbyt szybko, za głośno, i Barb zamknęła usta, aby nie wymknęło się jej więcej. Cisza przeciągała się, aż stała się niezręczna. Trwała jeszcze chwilę dłużej. Gerry wpatrywał się bez słowa w skrawek ziemi przed sobą. Barb otworzyła usta i zaczerpnęła powietrza.

– A Karen i Billy byli piękni. To, co się stało, było... – zamilkła i przełknęła ślinę – straszne. Ale mam nadzieję, że koniec końców uda się wam zapamiętać Luke'a takim, jakim był naprawdę. Jako dobrego sąsiada, pracowitego człowieka. Człowieka, który kochał swoją rodzinę.

– Jasne, dopóki ich nie ukatrupił.

Słowa, które dobiegły z tyłu, były ciche, ale nie tylko Falk obrócił głowę. Gniewne spojrzenia skupiły się na postawnym mężczyźnie, który jak na swoje czterdzieści lat wyglądał źle. Mięiste ramiona, które zawdzięczał raczej tłuszczowi niż muskulaturze, napinały materiał jego koszulki, kiedy założył ręce. Jego twarz była czerwona, broda zaniedbana, a wyzywające spojrzenie zdradzało zabijakę. Każdej osobie, która

obróciła się, aby go skarcić, posyłał buńczuczne spojrzenie, aż po kolei każda z nich odwracała wzrok. Barb i Gerry najwyraźniej tego nie usłyszeli. Drobne błogosławieństwa, pomyślał Falk.

– Kim jest ten pyskacz? – szepnął do Gretchen, która spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie poznajesz? To Grant Dow.

– Żartujesz. – Falk poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba, i odwrócił twarz. W pamięci miał obraz szczupłego dwudziestopięcioletka o mięśniach jak ze stali. Wygląda na to, że następne dwie dekady nie były dla niego łaskawe. – Zmienił się.

– Nadal jest kompletnym dupkiem. Nie martw się. Nie sądzę, żeby cię zobaczył. Gdyby tak było, z pewnością byś się zorientował.

Falk pokiwał głową, ale twarz nadal miał odwróconą. Barb rozplakała się, co zebrani potraktowali jako koniec przemowy – część z nich instynktownie ruszyła ku niej, a część starała się od niej odsunąć, zależnie od tego, co dyktowały im uczucia. Falk i Gretchen stali w miejscu. Jej syn podbiegł do nich i wtulił twarz w spodnie matki. Z trudem podniosła go i posadziła sobie na biodrze, a on, ziewając, położył głowę na jej ramieniu.

– Myślę, że czas zabrać go do domu – stwierdziła. – Kiedy wyjeżdżasz z powrotem do Melbourne?

Falk spojrzał na zegarek. P i ę t n a ś c i e g o d z i n .

– Jutro – odpowiedział na głos.

Gretchen skinęła głową, patrząc na niego. Pochyliła się i wolną ręką objęła go i przyciągnęła do siebie. Falk czuł żar słońca na plecach, a z przodu ciepło jej ciała.

– Dobrze było znów cię zobaczyć, Aaron. – Spojrzenie jej niebieskich oczu wędrowało po jego twarzy, jakby usiłowała go zapamiętać, a jej uśmiech był odrobinę smutny. – Może zobaczymy się za następne dwadzieścia lat.

Patrzył za nią, aż zniknęła z jego pola widzenia.

## Rozdział 3

Falk siedział na skraju łóżka i apatycznie przyglądał się przycupniętemu na ścianie spachaczowi, średniej wielkości pająkowi. Wczesnym wieczorem, kiedy zaszło już słońce, temperatura spadła jedynie nieznacznie. Wziąwszy prysznic, Falk przebrał się w szorty i teraz tania bawełniana pościel nieprzyjemnie kłuła wilgotną skórę jego nóg. Surowy napis na tabliczce zwisającej z prysznicą i umieszczony obok niego minutnik do gotowania jajek nakazywały ograniczenie ablucji do trzech minut. Już po dwóch Falk zaczął mieć wyrzuty sumienia.

Przez podłogę docierały do niego przytłumione dźwięki z pubu, od czasu do czasu jakiś głos wydawał mu się znajomy. Gdzieś w środku był trochę ciekaw, kto tam był na dole, ale nie miał ochoty tego sprawdzać. Hałas przerwał dźwięk tłuczonego szkła. Nastąpiła chwila ciszy i w końcu chóralny wybuch drwiącego śmiechu. Spachacz poruszył jednym odnóżem.

Falk aż podskoczył, kiedy zadzwonił telefon umieszczony na nocnym stoliku – jego dźwięk był przenikliwy i plastikowy. Przestraszył się, ale nie był zaskoczony. Wydawało mu się, że na to właśnie czekał od wielu godzin.

– Halo?

– Aaron Falk? Telefon do pana. – Głos barmana był głęboki i pobrzmiwał w nim szkocki akcent. Falkowi stanęła przed oczami okazała postać, która dwie godziny wcześniej bez słowa spisała dane jego karty kredytowej w zamian za klucz do tego pokoju.

Falk był pewien, że nie widział go nigdy wcześniej, ponieważ takiej postaci się nie



zapomina. Sporo po czterdziestce, szeroki w barach, bujna ruda broda. Falk domyślał się, że barman był jednym z tych podróżników, którzy włóczą się z plecakiem po kraju, aby w końcu osiąść w jakiejś miejscinie. W żaden sposób nie zareagował na dźwięk jego nazwiska, można było jedynie odczuć nutę niedowierzania, że ktoś zjawiał się w pubie w celach niepowiązanych z alkoholem.

– Kto dzwoni? – zapytał Falk, choć domyślił się bez trudu.

– Sam zapytaj – odparł barman. – Jeśli chcesz, żeby ktoś odbierał za ciebie wiadomości, musisz zatrzymać się w bardziej ekskluzywnym przybytku, przyjacielu. Łączę.

Na linii zaległa cisza, a po chwili Falk usłyszał czyjś oddech.

– Aaron? Jesteś tam? Tu Gerry. – Głos ojca Luke’a zdradzał jego krańcowe zmęczenie.

– Gerry. Musimy porozmawiać.

– Tak. Przyjedź do nas. Barb i tak chce się z tobą zobaczyć. – Gerry podał mu adres. Nastąpiła długa pauza, a potem ciężkie westchnięcie. – I słuchaj, Aaron. Ona nie wie o liście. Ani o żadnej z tych spraw... Niech tak zostanie, dobrze?

Falk jechał zgodnie ze wskazówkami Gerry’ego wzdłuż ponurych wiejskich dróg i po dwudziestu minutach zatrzymał się na krótkim wybrukowanym podjeździe. Światła werandy rzucały pomarańczowy blask na schludny drewniany domek. Kiedy zaparkował, siatkowe drzwi otworzyły się ze zgrzytem i jego oczom ukazała się przygarbiona sylwetka Barb Hadler. Chwilę później wyrósł za nią jej mąż, którego postać rzucała wydłużony cień na podjazd. Wchodząc po schodach na werandę, Falk zauważył, że oboje byli nadal w tych samych strojach co na pogrzebie, z tą tylko różnicą, że teraz były już pomięte.

– Aaron. Mój Boże, tyle to już czasu. Dziękuję, że przyjechałeś. Wejdz – wyszeptała Barb, wyciągając do niego wolną rękę. Drugą przyciskała do siebie małą Charlotte, kołysząc ją energicznie. – Przepraszam za dziecko. Jest taka niespokojna. Nie da się jej uśpić.

Z tego, co Falk mógł dojrzeć, Charlotte była pogrążona w głębokim śnie.

– Barb – Falk nachylił się nad dzieckiem i objął starszą kobietę. – Dobrze cię

widzieć. – Trzymała go przy sobie przez długą chwilę, przyciskając pulchne ramię do jego pleców, i poczuł, że coś w nim odrobinę się rozluźniło. Czuł słodką kwiatową nutę jej lakieru do włosów. Nadal używała tej samej marki co wtedy, kiedy zwracał się do niej jeszcze „pani Hadler”. Odsunęli się w końcu od siebie i po raz pierwszy mógł uważnie przyjrzeć się Charlotte. Wyglądało na to, że było jej za gorąco i niewygodnie, ponieważ Barb trzymała ją przyciśniętą do swojej bluzki. Nieznacznie zmarszczyła czoło, na co Falk aż się wzdrygnął, tak bardzo przypominała w tym Luke’a.

Wszedł do oświetlonego przedpokoju, gdzie Barb zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Kiedy tak się mu przyglądała, białka jej oczu zaróżowiły się. Wyciągnęła do niego dłoń i ciepłymi opuszkami palców dotknęła jego policzka.

– Tylko spójrz na siebie, prawie w ogóle się nie zmieniłeś – rzekła.

Falk poczuł, jak wzbiera w nim absurdatne poczucie winy. Wiedział, że wyobrażała sobie obok niego nastoletnią wersję swojego syna. Barb pociągnęła nosem i wytarła twarz chusteczką, z której posypały się na nią białe okruszki. Nie zwróciła na to uwagi i ze smutnym uśmiechem zaprosiła go do środka. Poprowadziła go przez przedpokój, którego ściany wypełnione były zdjęciami rodzinnymi – oboje starannie unikali ich widoku. Gerry wszedł za nimi.

– Bardzo tu ładnie, Barb – powiedział uprzejmie Falk.

Zawsze bardzo dbała o wygląd swojego domu, ale teraz można się było dopatrzeć oznak bałaganu. Brudne kubki na stoliku, przepełniony kosz do segregacji odpadków, sterty nieotwartych listów. Wszystko to mówiło o jej bólu i braku uwagi.

– Dziękuję. Chcieliśmy mieć mały domek, łatwy do ogarnięcia, po tym, jak... – zawahała się przez chwilę. Przełknęła ślinę. – ...po tym, jak przekazaliśmy farmę Luke’owi. – Wyszli na taras nad zadbanym ogródkiem. Drewniane deski skrzypiały pod ich nogami, a nadchodząca noc przynosiła pewną ulgę od skwaru dnia. Wszędzie porastały krzewy różane, które, choć starannie przycięte, były zupełnie martwe.

– Próbowałam utrzymać je przy życiu, podlewając wodą z odzysku – opowiadała Barb, podążając za spojrzeniem Falka. – Ale upał i tak je wykończył. – Wskazała Falkowi wiklinowy fotel. – Widzieliśmy cię w wiadomościach, mówił ci Gerry? Kilka miesięcy temu. Chodziło o te firmy, które okradały swoich inwestorów.

– Sprawa Pemberley – powiedział Falk. – To był szok.

– Mówili, że dobrze się spisałeś, Aaron. W telewizji i w gazetach. Odzyskałeś pieniądze tych ludzi.

– Część pieniędzy. Część przepadła już dawno temu.

– Cóż, mówili, że poradziłeś sobie doskonale. – Barb poklepała go po nodze. – Twój tata byłby z ciebie dumny.

– Dzięki – odparł Falk po chwili milczenia.

– Było nam przykro, kiedy dowiedzieliśmy się o jego śmierci. Rak to prawdziwy skurczybyk.

– To prawda.

Nowotwór jelit, sześć lat wcześniej. Nie była to lekka śmierć.

Gerry, który stał oparty o framugę drzwi, odezwał się po raz pierwszy od przyjazdu Falka.

– Wiesz, próbowałem utrzymywać kontakt po waszym wyjeździe. – Mimo pozornie zwyczajnego tonu głosu nie sposób było ukryć, że się tłumaczył. – Napisałem do twojego taty, kilka razy dzwoniłem. Nigdy nie było żadnego odzewu. W końcu odpuściłem.

– W porządku – powiedział Falk. – On nie chciał podtrzymywać znajomości z Kiewarry.

Było to lekkie niedopowiedzenie. Wszyscy zgodnie udali, że tego nie zauważyli.

– Napijcie się? – zapytał Gerry i nie czekając na odpowiedź, zniknął w głębi domu, skąd po chwili powrócił z trzema szklankami whisky.

Falk przyjął to ze zdumieniem. Nigdy nie widział, żeby Gerry pił coś mocniejszego niż niskoprocentowe piwo. Lód w szklankach już zaczął topnieć.

– Zdrowie – Gerry wzniosł toast, przechylił szklankę i pociągnął spory łyk.

Falk czekał, aż się skrzywi. Na próżno. On tymczasem z uprzejmości zanurzył usta i odstawił szklankę. Barb patrzyła na swoją z niesmakiem.

– Gerry, nie powinno się tego pić przy dziecku.

– Na litość boską, kochanie, dziecka to nie obchodzi. Śpi jak zabita.

Po tych słowach zapadła ciężka cisza. Gdzieś w pogrążonym w ciemnościach ogrodzie brzęczały nocne owady, wytwarzając coś na kształt białego szumu. Falk odkaszlnął.

– Jak sobie dajesz radę, Barb?

Spojrzała w dół i pogładziła Charlotte po policzku. Potrząsnęła głową i jej łza spłynęła na twarz dziewczynki.

– Oczywiście... – zaczęła, ale zaraz urwała. Zaczęła mrugać, usiłując powstrzymać łzy. – Chciałam powiedzieć, że Luke tego nie zrobił. Nie mógłby. Nigdy. Wiesz o tym. Nie sobie. A już z pewnością nie swojej pięknej rodzinie.

Falk zerknął na Gerry'ego. Nadal stał w drzwiach i spoglądał ponuro na swój na wpół wypity drink.

Barb mówiła dalej:

– Rozmawiałam z Lukiem kilka dni wcześniej. I wszystko było dobrze. Naprawdę, zachowywał się normalnie.

Falk nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko skinął głową. Barb potraktowała ten gest jako zachętę.

– Widzisz, rozumiesz, ponieważ znałeś go naprawdę. Nie tak jak inni ludzie. Oni nie są tacy. Wierzą we wszystko, co się im powie.

Falk powstrzymał się przed powiedzeniem, że nie widział się z Lukiem od pięciu lat. Oboje popatrzyli na Gerry'ego, ale on nadal wpatrywał się w szklankę. Żadnej pomocy.

– Dlatego mieliśmy nadzieję... – Barb zawahała się. – Ja miałam nadzieję, że mógłbyś nam pomóc.

Falk spojrzał na nią zdziwiony.

– Co dokładnie masz na myśli, Barb?

– Cóż, po prostu dowiedz się, co naprawdę się wydarzyło. Aby oczyścić imię Luke'a. I dla Billy'ego, dla Karen. No i dla Charlotte.

Powiedziawszy to, zaczęła kołysać dziecko, głaskać je po plecach i wydawać kojące dźwięki. Dziewczynka ani drgnęła.

– Barb. – Falk pochylił się do przodu i położył swoje dłonie na jej wolnej ręce. Była wilgotna i rozpalona. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Żal mi was wszystkich. Dobrze wiesz, że kiedyś Luke był dla mnie jak brat. Ale nie jestem odpowiednią osobą. Jeśli masz jakieś wątpliwości, powinnaś zgłosić się na policję.

– Zgłosiliśmy się do ciebie – odparła, cofając rękę. – Ty jesteś z policji.

– Chodziło mi o policję, która ma możliwości radzenia sobie z takimi sprawami. Ja już się tym nie zajmuję. Wiesz o tym. Teraz prowadzę sprawy finansowe. Konta, pieniądze.

– Dokładnie – skinęła Barb.

Z gardła Gerry’ego wydobył się cichy dźwięk.

– Barb uważa, że kłopoty finansowe odegrały w tym wszystkim swoją rolę. – Jego próby zachowania spokoju nie powiodły się.

– Tak. Oczywiście, że tak uważam – warknęła Barb. – Dlaczego tak ciężko ci w to uwierzyć, Gerry? Pieniądze nie trzymały się Luke’a. Jeśli miał dolara, wydawał dwa.

Czy to prawda?, zdziwił się Falk. Nigdy nie wydawało mu się, żeby Luke chętnie sięgał do kieszeni.

Barb obróciła się, żeby spojrzeć mu prosto w twarz.

– Zrozum, przez minione dziesięć lat uważałam, że słusznie zrobiliśmy, sprzedając Luke’owi farmę. Ale przez ostatnie dwa tygodnie nie robię nic innego, tylko zamartwiam się, że było to dla niego zbyt duże brzemię. Przy tej suszy, kto wie? Wszyscy są zrozpaczeni. Mógł równie dobrze pożyczyć od kogoś pieniądze. Lub mieć długi, których nie był w stanie spłacić. Może jakiś wierzyciel przyszedł po niego.

Zaległa cisza. Falk sięgnął po swoją whisky i wziął spory łyk. Była ciepła.

– Barb – odezwał się w końcu. – Wiem, że może się wydawać inaczej, ale prowadzący śledztwo z pewnością uwzględnili wszystkie możliwości.

– Niekoniecznie – odparła Barb. – Oni wcale nie chcieli wiedzieć. Przyjechali z Clyde, rzucili jedno spojrzenie i stwierdzili: „Tak, kolejny farmer nie wytrzymał” i tyle. Sprawa zamknięta. Jasne było, co myślą. Nic tylko pola i owce. Żeby w ogóle tu zamieszkać, trzeba być stukniętym. Mieli to wypisane na twarzach.

– Przysłali grupę dochodzeniową z Clyde? – zapytał Falk, lekko zdziwiony. Clyde było najbliższym miasteczkiem z wieloletową komendą. – To nie był ten tutejszy policjant? Jak on się nazywa?

– Sierżant Raco. Nie. Był tutaj zaledwie od tygodnia czy jakoś tak. Przysłali pomoc.

– Powiedzieliście temu sierżantowi, że macie wątpliwości?

Za odpowiedź starczyło wyzywające spojrzenie Barb.

– Mówimy to tobie – powtórzyła.

Gerry odłożył szklanę tak głośno, że oboje aż podskoczyli.

– Dobra, sądzę, że powiedzieliśmy już, o co nam chodzi – rzekł. – To był długi dzień. Dajmy Aaronowi szansę, żeby wszystko sobie przemyślał. Wyrobił sobie opinię. Chodź, chłopcze, odprowadzę cię.

Barb chciała zaprotestować, już otworzyła usta, ale zamknęła je, zgaszona spojrzeniem Gerry'ego. Położyła Charlotte na wolnym fotelu i wzięła Falka w swoje mokre objęcia.

– Pomyśl o tym. Proszę. – Jej oddech na jego ucho był gorący. Czuł od niej alkohol.

Barb usiadła z powrotem i wzięła Charlotte na ręce. Zaczęła energicznie ją kołysać, aż w końcu dziewczynka otworzyła oczy, płacząc z niezadowolenia. Kiedy przyglądała jej włosy i poklepywała po plecach, Barb po raz pierwszy się uśmiechnęła. Idąc z Gerrym, Falk słyszał jej niemelodyjny śpiew.

Gerry odprowadził Falka aż do samochodu.

– Barb chwyta się, czego może – stwierdził Gerry. – Wbiła sobie do głowy, że to wszystko robota jakiegoś wymyślonego windykatora. To brednie. Luke był ostrożny z pieniędzmi. Przechodził przez ciężki okres, jak wszyscy, zgadza się. I podejmował ryzyko, ale był wystarczająco rozsądny. Nigdy by się w nic takiego nie uwikłał. Poza tym Karen prowadziła księgowość farmy. Coś by powiedziała. Dałaby nam znać, gdyby sprawy miały się aż tak źle.

– A co ty o tym myślisz?

– Myślę... myślę, że Luke był pod presją. I choć boli mnie to, choć ta świadomość mnie zabija, to sądzę, że stało się dokładnie to, na co wygląda. Jedyne, co chcę wiedzieć, to czy ja również ponoszę za to winę.

Falk oparł się o samochód. W głowie mu dudniło.

– Od jak dawna wiesz? – zapytał.

– Że Luke kłamał, dając ci alibi? Od samego początku. Ile to już lat? Dwadzieścia kilka? Tamtego dnia widziałem Luke'a, jak sam jechał na rowerze. I nie było to w pobliżu miejsca, gdzie, jak zgodnie twierdziliście, obaj wtedy byliście. Wiem, że nie spędzaliście tego czasu razem. – Urwał. – Nigdy nikomu tego nie powiedziałem.

– Nie zabiłem Ellie Deacon.

Gdzieś w mroku dźwięczały cykady.

Gerry kiwnął głową, wpatrując się w swoje buty.

– Aaron, gdybym choć przez sekundę uważał, że było inaczej, nie siedziałbym cicho. Jak myślisz, czemu nic nie powiedziałem? To by ci zrujnowało życie. Podejrzenia ciągnęłyby się za tobą l a t a m i. Czy pozwoliliby ci wstąpić do policji? Luke zostałby oskarżony z powodu kłamstwa. I na co to wszystko? Nie wróciłoby to życia dziewczynie, która, prawdę powiedziawszy, najpewniej sama ze sobą skończyła. Nie ja jeden tak myślałem. Wy nie mieliście z tym nic wspólnego. – Gerry oparł czubek buta o ziemię. – Przynajmniej wtedy tak sądziłem.

– A teraz?

– Teraz? Jezu, nie wiem, w co wierzyć. Zawsze myślałem, że Luke kłamał, żeby cię chronić. Ale teraz moja synowa i wnuk zostali zamordowani, a odciski palców mojego nieżyjącego syna są na broni. – Gerry przeciągnął dłonią po twarzy. – Kochałem Luke’a. Broniłbym go do końca. Ale kochałem również Karen i Billy’ego. I Charlotte. I chętnie poszedłbym do grobu w przekonaniu, że mój syn był niezdolny do popełnienia takiej zbrodni. Ale jakiś głos podszeptuje mi: „Czy to prawda? Jesteś pewien?”. Dlatego pytam ciebie. Teraz. Tutaj. Czy Luke dał ci alibi, aby cię bronić, Aaron? Czy kłamał, żeby chronić siebie?

– Nigdy nie było najmniejszego podejrzenia, że Luke był odpowiedzialny za to, co stało się Ellie – odpowiedział Falk ostrożnie.

– Nie – zgodził się Gerry. – Ale w dużej mierze dlatego, że nawzajem dostarczyliście sobie alibi, czyż nie? Ja i ty wiedzieliśmy, że kłamał, i nic z tym nie zrobiliśmy. Pytam, czy to sprawia, że krew mojej synowej i wnuka jest też na moich rękach? – Gerry przekrzywił głowę i jego twarz skryła się w cieniu. – I ty też powinieneś zadać sobie to pytanie, zanim wrócisz do Melbourne. Obaj ukryliśmy prawdę. Jeśli jestem winny, to ty również.

Powrotna droga wydawała się Aaronowi jeszcze dłuższa. Włączył długie światła, żeby drążyły przed nim mrok. Czuł się, jakby był jedyną osobą w promieniu wielu kilometrów. Nic przed nim, nic za nim.

Poczuł głuche uderzenie pod kołami, zdawało mu się, że jeszcze zanim dostrzegł niewielką plamkę przebiegającą drogę. Królik. Chwilę temu jeszcze żył, a teraz było

już po nim. Serce Falka waliło. Odruchowo wcisnął hamulec, ale było już tysiąc kilogramów i osiemdziesiąt kilometrów na godzinę za późno. Nie było szans. Uderzenie było dla Falka niczym cios w pierś, który uwolnił coś w jego umyśle. Wspomnienie, o którym nie myślał od lat, pojawiło się na powierzchni jego pamięci.

Małeńki króliczek leżał na dłoni Luke'a. Jego paznokcie były brudne od ziemi. Nie było w tym nic niezwykłego. W Kiewarze nie było wielu weekendowych rozrywek dla ośmiolatek. Biegali w wysokiej trawie w wyścigu donikąd, gdy nagle Luke stanął jak wryty. Schylił się, a kiedy chwilę później wstał, trzymał na dłoni małe stworzonko. Aaron podbiegł, żeby zobaczyć, co to. Głaskali go, napominając się nawzajem, aby nie robić tego zbyt mocno.

– Lubi mnie. Jest mój – zakomunikował Luke.

Przez całą drogę powrotną do domu Luke'a sprzeczczało się o imię dla króliczka.

Włożyli go do kartonowego pudełka i przyglądali mu się uważnie. Króliczek trochę się trząsnął, ale najczęściej leżał w bezruchu. Pozorna akceptacja maskująca strach.

Aaron pobiegł do środka po ręcznik do wyłożenia pudełka. Zajęło mu to więcej czasu, niż powinno, a kiedy ponownie wybiegł na słońce, Luke siedział nieruchomo. Jedną rękę trzymał w pudełku. Usłyszawszy Aarona, gwałtownie podniósł głowę do góry i cofnął dłoń. Aaron nie był pewien, czego jest świadkiem, ale czuł potrzebę opóźnienia momentu, w którym zajrzy do pudełka.

– Zdechł – powiedział Luke, a jego usta zacisnęły się w wąską linię. Nie patrzył Aaronowi w oczy.

– Jak?

– Nie wiem. Po prostu.

Aaron pytał o to jeszcze kilka razy, ale zawsze otrzymywał tę samą odpowiedź. Króliczek leżał na boku, doskonały, choć bez życia, a spojrzenie jego czarnych oczu było puste.

„Zastanów się nad tym”, powiedziała mu Barb na pożegnanie. Jednak kiedy Falk wracał długimi wiejskimi drogami, tuż po przejechaniu zwierzęcia, jego myśli koncentrowały się raczej wokół Ellie Deacon i ich nastoletniej paczki. W jego głowie kołatało się pytanie, czy kiedy woda wypełniła już płuca Ellie Deacon, spojrzenie jej ciemnych oczu stało się równie puste?



## Rozdział 4

Żółta taśma policyjna nadal zwisała w strzępach z drzwi domu Luke'a Hadlera. Poranne słońce odbijało się od niej, kiedy Falk parkował samochód obok radiowozu na skrawku zeschniętej trawy. Choć słońce nie było jeszcze nawet w zenicie, wysiadając z samochodu, poczuł, że skóra już mrowi go z gorąca. Nałożył kapelusz i zaczął przyglądać się domowi. Nie potrzebował wskazówek. Jako nastolatek spędzał tu niemal tyle samo czasu, co w swoim własnym domu.

Zadzwonił do drzwi, konstatując, że Luke nie zmienił zbyt wiele, odkąd przejął farmę od swoich rodziców. Wewnątrz domu rozległ się głęboki dźwięk dzwona i Falk miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie. Ogarnęła go niepokojąca pewność, że za moment drzwi otworzy mu pewny siebie szesnastolatek, i niemal się cofnął.

Żadnego ruchu. Okna, w których zaciągnięto zasłony, wyglądały niczym oczy ślepeca.

Falk nie spał w nocy, leżąc i rozmyślając o tym, co powiedział mu Gerry. Rano zadzwonił do niego, by poinformować, że zostanie na dzień lub dwa. Najdalej do weekendu. Był czwartek. W poniedziałek miał być z powrotem w pracy. Ale w międzyczasie pojedzie na farmę Luke'a. Przejrzy książki na prośbę Barb. Przynajmniej tyle może zrobić. Z tonu Gerry'ego wynikało, że myślał tak samo.

Falk odczekał chwilę, a później zaczął obchodzić budynek. Ogrom niezmaconego błękitu przytłaczał pozołkłe pola. W dali ogrodzenie z drutu kolczastego dawało odpór czyhającej płataninie buszu. Po raz pierwszy w życiu do Falka dotarło, że posesja Hadlerów była całkowicie odizolowana od świata. Kiedy był nastolatkiem, gospodarstwo tętniło życiem. Dom jego dzieciństwa znajdował się w zasięgu krótkiej

przejażdżki rowerem, ale skryty za horyzontem, był niewidoczny. W zasięgu wzroku znajdował się jeszcze tylko jeden dom: walący się szary budynek przycupnięty na zboczu odległego wzgórza.

Dom Ellie.

Falkowi przeszło przez myśl, że być może jej ojciec i kuzyn nadal tam mieszkają, i instynktownie odwrócił głowę. Przeszukiwał podwórze, aż w największej z trzech stodół natknął się na sierżanta Grega Raca.

Policjant na czworakach przeszukiwał zawartość starych pudeł znajdujących się w samym kącie. Niemały pajak, chyba katipo, siedział w bezruchu na swojej sieci, ignorując czynności, które miały miejsce zaledwie dwa metry od niego. Falk zastukał w metalowe drzwi i Raco obrócił się, ukazując zakurzoną i spływającą potem twarz.

– Jezu, ale mnie przestraszyłeś. Nie słyszałem, że ktoś idzie.

– Przepraszam. Aaron Falk. Przyjaciel Hadlerów. Recepcjonistka powiedziała mi, że tutaj cię znajdę. A tak przy okazji, widziałeś tego tam? – I wskazał na katipo.

– Tak. Dzięki. Jest ich tutaj kilka.

Raco wstał i zdjął robocze rękawice. Próbował strzepać brud ze swoich niebieskich mundurowych spodni, ale szybko z tego zrezygnował, bo to tylko pogarszało sprawę. Pod pachami jego starannie wyprasowanej koszuli rysowały się plamy potu. Był niższy od Falka, za to miał budowę boksera oraz bardzo krótko przystrzyżone kręcone włosy. Smagły, jakby mieszkał nad Morzem Śródziemnym, mówił z niekwestionowanym akcentem australijskiej wsi. Jego oczy wyglądały, jakby cały czas się śmiał, nawet gdy był od tego daleki. Falk przekonał się o tym, ponieważ właśnie teraz Raco się nie uśmiechał.

– Gerry Hadler zadzwonił i powiedział, że wpadniesz – oznajmił Raco. – Bez urazy, kolego, ale masz jakiś dowód tożsamości? W okolicy kręci się kilku świrów. Zwiedzają albo coś w tym stylu, sam nie wiem.

Z bliska wyglądał na więcej lat, niż Falk mu początkowo dawał. Możliwe, że dobił już do trzydziestki. Falk zauważył, że sierżant dyskretnie się mu przyglądał. Zachowywał się wobec niego przyjaźnie, ale i ostrożnie. Wszystko jasne. Falk podał mu prawo jazdy. Raco wziął dokument, jakby spodziewał się czegoś innego.

– Wydawało mi się, że Gerry powiedział, że jesteś gliną?

– Tutaj jestem prywatnie – odparł Falk.

– Czyli nic oficjalnego.

– Ależ skąd. – Przez chwilę na twarzy Raca pojawił się wyraz, którego Falk nie potrafił zinterpretować. Miał nadzieję, że nie zaczną ze sobą rywalizować. – Byłem przyjacielem Luke’a, kiedy byliśmy jeszcze nastolatkami.

Raco dokładnie obejrzał prawo jazdy, zanim mu je oddał.

– Gerry powiedział, że potrzebujesz dostępu do wyciągów bankowych, ksiąg rachunkowych i wszystkiego, co się z tym wiąże?

– Zgadza się.

– Czy dzieje się coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Barb poprosiła mnie, żebym się temu przyjrzał – odparł Falk. – W ramach przysługi.

– Jasne. – Mimo że Raco był kilka dobrych centymetrów niższy, patrzył Falkowi niemal prosto w oczy. – Skoro Barb i Gerry mówią, że jesteś w porządku, to nie będę się ciebie czepiał. Pamiętaj tylko, że oni oboje są teraz w ciężkiej sytuacji, więc jeśli znajdziesz coś, o czym powinienem usłyszeć, lepiej, żeby to do mnie dotarło. Zgoda?

– Bez obaw. Jestem tutaj, żeby im pomóc.

Falk nie mógł się powstrzymać, by nie zerkać nad ramieniem Raca. W obszernej stodole było niewiarygodnie gorąco, a światło wpadające przez plastikowe świetliki nadawało wszystkiemu niezdrowy żółty odcień. Na środku betonowej wylewki stał traktor, a wzdłuż ścian leżały różne części maszyn, których Falk nie potrafił nazwać. U jego stóp wiło się jakieś urządzenie z przymocowanym wężykiem. Podejrzewał, że może służyć do dojenia, ale nie był pewien. Kiedyś by wiedział. Teraz w jego oczach mieszcucha wszystko to wyglądało niczym narzędzia tortur. Skinął w kierunku pudeł w rogu.

– Czego tam szukasz?

– Prawie ci się udało, kolego, ale przecież, jak sam powiedziałaś, jesteś tu prywatnie... – odparł Raco. – Wyciągi bankowe są w domu. Chodź. Pokażę ci, gdzie jest gabinet.

– Nie trzeba – odpowiedział Falk, cofając się o krok. – Wiem, jak trafić. Dzięki.

Kiedy odchodził, kątem oka zobaczył uniesione brwi Raca. Pomyślał, że jeśli ten

gość spodziewa się walki o terytorium, to się nie doczeka. Niemniej jednak podziwiał jego oddanie sprawie. Było jeszcze wcześniej, ale wszystko wskazywało na to, że Raco miał ręce urobione po łokcie już od wielu godzin.

Falk szedł w kierunku domu. Zatrzymał się. Przez chwilę zastanawiał się. Barb Hadler mogła mieć swoje wątpliwości, ale Raco wyglądał na policjanta, który traktował swoją pracę poważnie. Falk zawrócił.

– Posłuchaj, nie wiem, co ci powiedział Gerry Hadler, ale wiem, że kiedy ja prowadzę dochodzenie, jest mi znacznie łatwiej, jeśli wiem o wszystkim. Mniejszy margines błędu.

Raco słuchał w milczeniu, gdy Falk opowiadał mu o teorii Barb, wedle której w grę wchodziły problemy finansowe i ściąganie długów.

– Myślisz, że coś w tym jest?

– Nie wiem. Bez wątplenia nie było tu łatwo z pieniędzmi. Wystarczy rozejrzeć się wokół. Ale czy to znaczy, że ktoś inny pociągnął za spust, to już zupełnie inna kwestia.

– Raco pokiwał powoli głową. – Dzięki. Doceniam, że mi o tym powiedziałeś.

– W porządku. Będę w gabinecie.

Falk nie doszedł jeszcze do połowy spalonego przez słońce podwórka, kiedy Raco go zawołał.

– Hej. Poczekaj chwilę. – Sierżant wytarł twarz o przedramię i zmrużył oczy z powodu słońca. – Byliście z Lukiem przyjaciółmi, tak?

– Dawno temu.

– Powiedzmy, że Luke chciał coś ukryć. Coś niewielkiego. Masz jakiś pomysł, gdzie mogłoby to być?

Falk pomyślał przez chwilę, zanim dotarło do niego, że nie musi się nad tym zastanawiać.

– Możliwe. Co to za rzecz?

– Jeśli to znajdziemy, to ci pokażę.

Kiedy ostatni raz Falk leżał na tym konkretnym skrawku ziemi, trawa była bujna i soczyście zielona. Teraz czuł, jak zeschnięta roślinność drapała jego brzuch przez materiał koszuli.

Poprowadził Raca dookoła domu, na odległy jego koniec, sprawdzając deski stopą. Kiedy znalazł tę, której szukał, położył się i podważył ją patykiem. Zatrzeszczała pod naporem, ale ustąpiła łatwo, zostając mu w ręce.

Falk spojrzał na stojącego nad nim Raca.

– Tutaj? – zapytał sierżant, naciągając robocze rękawice. – Co tutaj chował?

– Właściwie to cokolwiek. Zabawki i śmieciowe jedzenie, kiedy byliśmy dziećmi. Później alkohol. Nic szczególnie ekscytującego. To, czego dzieciaki nie chcą pokazywać rodzicom.

Raco przyklęknął. Włożył dłoń w rękawicy w szczelinę aż po łokieć i zaczął szukać po omacku. Po chwili wyciągnął garść zeschniętych liści i starą paczkę papierosów. Rzucił je na ziemię i powrócił do poszukiwań. Tym razem wydobył resztki pisemka soft porno. Było pozwijane i pożółkłe, a jakieś stworzenie wygryzło dziury w najważniejszych miejscach. Raco odrzucił je zniecierpliwiony i włożył rękę ponownie, tym razem aż po ramię. Niechętnie wyciągnął ją bez żadnej zdobyczy. Nic już tam nie było.

– Pozwól – Falk wskazał na rękawice. – Teraz ja spróbuję.

Wkładając rękę do dziury, pomyślał o tym, że nigdy z Lukiem nie używali rękawic. Nic, co czyhało pod domem, nie było w stanie konkurować z poczuciem nieśmiertelności właściwym jedynie dzieciom i nastolatkom. Pomacał dłonią, ale wyczuł jedynie ubitą ziemię.

– Daj mi jakąś wskazówkę, czego szukam – wystękał.

– Prawdopodobnie pudełka lub jakiegoś opakowania.

Falk kontynuował poszukiwania, wpychając rękę, ile się dało. Schowek był jednak pusty. W końcu się poddał.

– Przykro mi – powiedział. – Minęło trochę czasu.

Kolana Raca zatrzeszczały, kiedy podnosił się z klęczek. Otworzył zgniecioną paczkę papierosów. Wyciągnął jednego, spojrzał na niego z tęsknotą i włożył go z powrotem. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

– Chodzi o naboje – powiedział w końcu. – Do strzelby, z której zabici zostali Hadlerowie. Nie pasują.

– Do czego?

– Do marki, jakiej używał Luke. I to od lat, jeśli się nie mylę. Trzy naboje, które zabiły całą rodzinę, były marki Remington. Jedyna amunicja, jaką znalazłem na farmie, to Winchester.

– Winchester...

– Tak. Zwróciłem na to uwagę, kiedy z Clyde przysłali spis rzeczy, i od tej pory nie daje mi to spokoju – tłumaczył Raco. – I tyle. Do dobrego samopoczucia brakuje mi jedynie paczki remingtonów.

Falk ściągnął rękawice. Jego ręce były wilgotne.

– Nie mogli ci przysłać kogoś z Clyde, żeby pomógł przeszukać posesję?

Raco odwrócił wzrok, bawiąc się paczką papierosów.

– No, nie wiem. Pewnie mogli.

– Jasne. – Falk powstrzymał uśmiech. Mimo że Raco chodził w mundurze i mówił o przepisach, Falk potrafił rozpoznać nieformalne dochodzenie. – Może Luke znalazł gdzieś jakieś zapasowe naboje? – zasugerował.

– Tak, mogło tak być – zgodził się Raco.

– Albo te były ostatnie w opakowaniu i Luke je wyrzucił.

– Możliwe. Choć nie ma po nim śladu w śmieciach ani w jego pikapie. I, wierz mi... – Raco się zaśmiał – ...sprawdziłem.

– Gdzie jeszcze nie szukałeś?

Raco skinął na poluzowaną deskę.

– Na tej posesji? Myślę, że teraz to już formalnie wszędzie.

Falk zmarszczył brwi.

– To dziwne.

– Tak, dokładnie tak sobie pomyślałem.

Falk nic nie mówił, tylko na niego patrzył. Raco pocił się intensywnie. Jego twarz, ręce i ubranie były pokryte brudem i kurzem od przeszukiwania rozgrzanej stodoły.

– Co jeszcze? – zapytał Falk.

Cisza.

– O co ci chodzi?

– O ten twój trud. Spędziłeś cały ranek na czworakach w stodole nieżyjącego mężczyzny w tym cholernym upale – wyrecytował Falk. – Musi być coś jeszcze albo

przynajmniej masz takie podejrzania.

Nastąpiło długie milczenie, po czym Raco w końcu odparł:

– Tak. Jest coś jeszcze.

## Rozdział 5

Przez jakiś czas siedzieli oparci o ścianę domu, tuż obok poluzowanej deski, skryci w wąskim pasie cienia, a ostra sucha trawa kłuła ich w nogi. Raco wyliczał fakty. Zaczął obojętnym tonem kogoś, kto mówi to wszystko nie po raz pierwszy.

– To się wydarzyło dwa tygodnie temu, co do dnia – zaczął, wachlując się zmietym pisemkiem. – Kurier, który przywiózł przesyłkę, znalazł Karen i zadzwonił pod numer alarmowy około siedemnastej czterdzieści.

– To ty zostałeś powiadomiony?

– Ja i Clyde oraz miejscowy lekarz. Dyspozytornia powiadamia nas wszystkich. Najbliżej był lekarz i to on zjawił się pierwszy na miejscu zbrodni. Doktor Patrick Leigh. Znasz go?

Falk potrząsnął głową.

– W każdym razie on był pierwszy. Kilka minut później zjawiłem się ja. Zatrzymuję się, drzwi są otwarte, doktor pochyła się nad Karen w przedpokoju, szukając oznak życia. – Raco urwał i przez dłuższą chwilę wpatrywał się zamglonym spojrzeniem w drzewa na horyzoncie. – Nigdy jej nie poznałem, nawet nie wiedziałem, kim była, ale on ją znał. Miał całe ręce w jej krwi. I, wiesz, krzyczał, właściwie wrzeszczał do mnie: „Ona ma dzieci, tu mogą być dzieci”. Więc...

Raco westchnął i otworzył starą paczkę papierosów Luke’a. Włożył jednego do ust i poczęstował Falka, który ku swojemu zdziwieniu nie odmówił. Nie pamiętał, kiedy ostatnio palił. Możliwe, że było to w tym samym miejscu, a u jego boku siedział jego najlepszy przyjaciel... Powody nie były istotne, po prostu papieros wydawał się



bardzo na miejscu. Nachylił się, a Raco im podpalił. Falk zaciągnął się i natychmiast przypomniał sobie, dlaczego tak łatwo porzucił ten nałóg. Ale zapach papierosa zmieszany z intensywną wonią eukaliptusów sprawił, iż wrażenie, że znów ma szesnaście lat, uderzyło go równie mocno co nikotyna.

– W każdym razie – Raco podjął przerwany wątek – doktor krzyczał, a ja zacząłem przeszukiwać dom. Nie miałem pojęcia, co tam znajdę, kto tam może być. Czy zza rogu nie wyjdzie ktoś ze strzelbą. Chciałem zawołać dzieci, ale zdawałem sobie sprawę, że nawet nie wiem, jak mają na imię. Krzyczałem więc: „Policja. Wszystko dobrze, możecie wyjść, jesteście bezpieczne” czy coś w tym stylu, choć wcale nie byłem przekonany, czy to prawda. – Zaciągnął się mocno. – I wtedy usłyszałem płacz, a właściwie z a w o d z e n i e, podążyłem więc za nim, nie wiedząc, co mnie czeka. Wszedłem do pokoju dziecięcego i zobaczyłem tę małą, teraz już wrzeszczącą wniebogłosy, i, prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie ucieszyłem się tak na widok drącego się dziecka. – Raco wydmuchnął obłoczek dymu w powietrze i kontynuował. – Bo była cała i zdrowa. Nie mogłem w to uwierzyć. Oczywiście była przerażona, ale nie miała żadnych obrażeń. I pamiętam, że w tamtym momencie pomyślałem, że wszystko może jeszcze być dobrze. Tak, bez wątpienia to, co się stało jej mamie, było smutne, tragiczne. Ale, d z i ę k i B o g u, przynajmniej dzieciom nic się nie stało. I wtedy po drugiej stronie przedpokoju dostrzegam uchylone drzwi. – Raco pieczołowicie zgasił niedopałek na ziemi, nawet nie patrząc na Falka, a ten poczuł zimny dreszcz, wiedząc, co teraz go czeka. – I widzę, że to pokój drugiego dziecka. Wiesz, niebieskie ściany, plakaty z samochodami. Pokój chłopca. Nie dobiega stamtąd żaden dźwięk. Więc idę tam, otwieram drzwi i już wiem, że nie może być dobrze. – Urwał. – Ten pokój to była scena z piekła rodem. To był najgorszy widok, jaki widziałem w życiu.

Siedzieli w milczeniu, dopóki Raco nie odkaszlnął.

– Chodź – powiedział, wstając i potrząsając rękami, jakby opędył się od wspomnień. Falk również wstał i poszedł za nim do drzwi frontowych. – Niedługo później przyjechał zespół szybkiego reagowania z Clyde – ciągnął opowieść Raco. – Policja, pogotowie. Dochodziła osiemnasta trzydzieści. Przeszukaliśmy pozostałą część domu i nikogo więcej nie znaleźliśmy, dzięki Bogu, więc wszyscy rozpaczliwie

próbowali dodzwonić się do Luke'a Hadlera. Na początku ludzie się martwili, wiesz, jak mu to powiedzieć. Ale on ciągle nie odbierał telefonu, nie było jego samochodu, ciągle nie wracał do domu... I nagle to uczucie, jak zmienia się atmosfera.

– Co Luke powinien był wtedy robić?

– Kilku ochotników, kolegów Luke'a, wiedziało, że tamtego popołudnia miał pomagać przyjacielowi w odstrzale królików. Gość nazywa się Jamie Sullivan. Ktoś do niego zadzwonił i Sullivan potwierdził, ale powiedział też, że Luke opuścił jego farmę kilka godzin wcześniej. – Stanęli przed drzwiami frontowymi i Raco wyciągnął pęk kluczy. – Ponieważ ciągle nie było śladu Luke'a ani nie można było się do niego dodzwonić, wezwaliśmy kolejną ekipę ratunkową. Ochotnicy w parach z policjantami rozpoczęli poszukiwania. To były okropne godziny. Posłaliśmy nieuzbrojonych ludzi na pola i do buszu, nie wiedząc, co znajdą. Martwego Luke'a? Żywego? W jakim stanie? Najbardziej obawialiśmy się, że zaszył się gdzieś ze strzelbą i stwarzał niebezpieczeństwo nie tylko dla siebie. W końcu jedna z grup zupełnie przez przypadek natknęła się na jego pikapa. Był zaparkowany na jakiejś zarośniętej polance trzy kilometry stąd. Nie musieliśmy się go obawiać: leżał martwy na naczepie, wystrzał pozbawił go większości twarzy. W dłoni nadal trzymał własną strzelbę... Miał na nią pozwolenie, była zarejestrowana, pod każdym względem legalna. – Raco przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi. – Wyglądało na to, że to wszystko. W dużej mierze nasza robota była skończona. Tutaj... – cofnął się, żeby Falk mógł spojrzeć na długi przedpokój – ...zaczyna się robić dziwnie.

W przedpokoju panował zaduch i unosił się odór wybielacza. Pod ścianą, najwyraźniej nie na swoim zwykłym miejscu, stał stolik, na którym leżały różne domowe szpargały, rachunki i długopisy. Wyłożona kafelkami podłoga była niepokojąco czysta. Cały przedpokój został wyszorowany, łącznie z fugą.

– Policyjna ekipa sprzątająca zrobiła już swoje, więc nie ma żadnych przykrych niespodzianek – powiedział Raco. – Nie udało się im tylko uratować dywanu z pokoju chłopca. Nie żeby ktoś chciał go jeszcze używać...

Na ścianach wisały zdjęcia rodzinne. Zatrzymane w czasie kadry wydały się Falkowi dziwnie znajome i skonstatował, że większość z nich widział już podczas pogrzebu. Wszystko to sprawiało na nim wrażenie groteskowej parodii ciepłego,

rodzinnego domu, który niegdyś znał.

– Ciało Karen zostało znalezione dokładnie tutaj, w przedpokoju – opowiadał dalej Raco. – Drzwi były otwarte, więc kurier zobaczył ją od razu.

– Uciekała? – Falk próbował wyobrazić sobie Luke’a goniącego żonę przez ich własny dom.

– Nie, i w tym właśnie rzecz. Otwierała je. Jakby ktoś zadzwonił. Została zastrzelona przez osobę, której otworzyła drzwi. Można to było wywnioskować z pozycji, w jakiej znajdowało się jej ciało. Ale powiedz mi, czy kiedy wracasz wieczorem do domu, twoja żona otwiera ci drzwi?

– Nie jestem żonaty – odparł Falk.

– Ja jestem. I możesz zarzucić mi, że jestem wyzwolony, ale mam klucze do własnego domu.

Falk zastanowił się nad tym.

– Może chodziło mu o to, żeby ją zaskoczyć? – próbował odtworzyć w głowie taki scenariusz.

– Po co się trudzić? Tata wraca do domu, wymachując strzelbą, rodzina jest wystarczająco zdumiona. Dopadłby ich w domu. Zna przecież układ pokoi. To za łatwe.

Falk ustawił się w przedpokoju i parę razy otworzył i zamknął drzwi. Światło zewnętrzne było oślepiające, zwłaszcza w porównaniu z półmrokiem panującym wewnątrz. Wyobraził sobie, jak Karen reaguje na pukanie do drzwi – może jest trochę rozkojarzona lub zirytowana, że ktoś jej przeszkadza. W ciągu tych niezwykle istotnych sekund, których potrzebował zabójca, aby wymierzyć w nią strzelbę, mruga, oślepiona słońcem.

– To wydaje mi się dziwne – powiedział Raco. – Zastrzelił ją w drzwiach. Co mu to dało? Tyle, że ten biedny chłopiec posikał się ze strachu i rzucił do ucieczki, niekoniecznie w tej kolejności. – Raco spojrzął ponad ramieniem Falka. – Co prowadzi mnie do następnej sprawy – dodał. – Jesteś gotów?

Falk skinął głową i ruszył za nim w głąb domu.

Raco włączył światło w małej niebieskiej sypialni i w pierwszym momencie Falk

odniósł wrażenie, że ktoś właśnie zmienia wystrój tego wnętrza. Dziecięce łóżko zostało zepchnięte pod ścianę i rozebrane aż do materaca. Zabawki piętrzyły się w pudłach ustawionych pod plakatami z piłkarzami i postaciami z bajek Disneya. Dywan został zdarty z podłogi i odsłonił dawno niecyklinowane deski.

Buty Falka zostawiały ślady w warstwie trocin. Deski w jednym z rogów pokoju zostały niedawno bardzo intensywnie wypiaszkowane. Plama była jednak nadal widoczna. Raco nie wszedł za próg.

– Nadal ciężko jest mi tu przebywać – wyznał, wzruszając ramionami.

Falk wiedział, że ten pokój był kiedyś bardzo miły. Dwadzieścia lat wcześniej należał do Luke'a. Falk wielokrotnie zostawał tu na noc. Szepcząc po zgaszeniu światła. Wstrzymując oddech i powstrzymując śmiech, kiedy Barb Hadler wołała do nich, żeby w końcu się uciszeli i poszli spać. Tyle razy leżał owinięty w ciepły śpiwór niedaleko miejsca, gdzie teraz widniała ta straszna plama. Niegdyś to była przyjazna przestrzeń. Teraz, podobnie jak w przedpokoju, czuć było gryzący zapach wybielacza.

– Możemy otworzyć okno?

– Lepiej nie – powiedział Raco. – Rolety muszą być opuszczone. Niedługo po tym, jak to się stało, przyłapałem dzieciaki na próbie robienia zdjęć.

Raco wyciągnął tablet i stuknął w niego palcem kilka razy. Podał go Falkowi. Na ekranie pojawiła się galeria zdjęć.

– Ciało chłopca zostało już zabrane – tłumaczył. – Ale widać, w jakim stanie był pokój.

Na zdjęciach rolety były odsłonięte i światło swobodnie wpadało do środka, ukazując scenę jak z koszmaru. Drzwi szafy były otwarte na oścież, ubrania zepchnięto na jedną stronę. Duży wiklinowy kosz na zabawki leżał do góry dnem. Na łóżku kołdra ze statkiem kosmicznym została odrzucona na jedną stronę, jakby ktoś sprawdzał, co się pod nią znajdowało. Dywan był beżowy, ale w jednym rogu spod przewróconego kosza na pranie wypływała spora kałuża, barwiąc go na głęboką czerwień.

Przez chwilę Falk próbował wyobrazić sobie, jak wyglądały ostatnie minuty Billy'ego Hadlera. Siedział skulony za koszem na pranie, próbując uciszyć rwany oddech, a po nodze spływała mu strużka ciepłego moczu.

– Masz dzieci? – zapytał Raco.

Falk potrząsnął głową.

– A ty?

– Jedno w drodze. Dziewczynka.

– Gratulacje.

– Ale razem z żoną mamy całą armię bratanic i bratanków. Nie tutaj, w domu w Australii Południowej. Kilkoro w wieku Billy’ego i kilkoro młodszych – opowiadał Raco, sięgając po tablet i przewijając zdjęcia. – Rzecz w tym, że moi bracia znają każdą kryjówkę swoich dzieci. Możesz posłać ich z zasłoniętymi oczami do pokoju dziecięcego i znajdą je w dwie sekundy. – Stuknął w ekran. – Jak bym nie patrzył na te zdjęcia, dla mnie wygląda to na poszukiwanie – powoli rozwijał swoją myśl. – Ktoś, kto nie wiedział, gdzie Billy chowa się zazwyczaj, metodycznie przeszukiwał cały pokój. Jest w komodzie? Nie. Pod łóżkiem? Też nie. Jakby to była obława.

Falk wpatrywał się intensywnie w ciemną smugę, która pozostała po Billym Hadlerze.

– Pokaż mi, gdzie znalazłeś Charlotte.

Pokój dziecięcy po drugiej stronie przedpokoju był pomalowany na żółto. Karuzela z pozytywką przymocowana do sufitu wisiała nad pustym miejscem.

– Barb i Gerry zabrali łóżeczko – wyjaśnił Raco.

Falk rozejrzał się po pokoju, który był tak inny od pozostałych. Meble i dywan stały nietknięte. Nie unosił się też tutaj drażniący zapach wybielacza. Można było odnieść wrażenie, że to sanktuarium, wolne od okropieństw, które rozegrały się za jego drzwiami.

– Dlaczego Luke nie zabił Charlotte? – zapytał.

– Popularna teoria głosi, że odezwało się jego sumienie i poczucie winy.

Falk wyszedł i wrócił do pokoju Billy’ego. Zatrzymał się nad plamą w rogu, obrócił o sto osiemdziesiąt stopni i przeszedł przez przedpokój do sypialni Charlotte.

– Osiem kroków – oznajmił. – Ale ja jestem dość wysoki. Powiedzmy więc, że dla przeciętnego człowieka dziewięć. Dziewięć kroków od ciała Billy’ego do miejsca, gdzie Charlotte leżała zupełnie bezbronna. A Luke musiał być pod wpływem adrenaliny, krew mu tętniła, gniew go zaślepił. Czyli dziewięć kroków. Pytanie brzmi, czy wystarczy dziewięć kroków, żeby zupełnie zmienić nastawienie?

– Moim zdaniem nie.

Falk pomyślał o człowieku, którego znał. Jasny niegdyś obraz stał się nieostry i zniekształcony.

– Poznałeś Luke’a?

– Nie.

– Nastrój mu się zmieniał jak w kalejdoskopie. Dziewięć kroków to o osiem więcej, niżby potrzebował. – A jednak po raz pierwszy, odkąd przyjechał do Kiewarry, Falk zaczął mieć wątpliwości. – Ale, pomyśl, czy to nie powinno być jak osobista deklaracja, ten jego czyn? „Zabił całą swoją rodzinę”. Przecież zwykle chodzi właśnie o to, by ludzie tak mówili. Kobieta, która jest żoną Luke’a od siedmiu lat, leży na podłodze w przedpokoju, wykrwawia się, a on spędza jakieś dwie, trzy minuty, przewracając pokój dziecięcy do góry nogami, aby zabić swojego syna. Zamierza przypieczętować to samobójstwem. Więc jeśli Luke to zrobił – zawahał się przy słowie „jeśli” – to dlaczego oszczędził córkę?

Pozostali tak chwilę, patrząc na nieruchomą i bezgłośnie karuzelę nad miejscem, gdzie kiedyś stało łóżeczko. Dlaczego niemowlę miałoby wyjść cało z rzezi swojej rodziny? Falk obracał to pytanie w myślach, aż doszukał się kilku możliwych powodów, ale tylko jeden był naprawdę dobry.

– Ktokolwiek był tutaj tamtego dnia, może nie potrzebował śmierci niemowlaka – powiedział Falk w końcu. – Nie było w tym nic osobistego. Obojętnie kim jesteś, trzynastomiesięczne dziecko nie może być dobrym świadkiem.

## Rozdział 6

– Z zasady nie są zachwyceni, kiedy tu przychodzę – stwierdził Raco z nutą żalu w głosie, stawiając dwa kufle piwa na stoliku w Fleece. Błat ugiął się pod ich ciężarem i chlup alkoholu wylał się na porysowaną powierzchnię. Raco przyjechał do pubu z domu, gdzie przebrał się z munduru i skąd przywiózł grubą tekę opatrzoną nagłówkiem „Hadler”. – Moja obecność szkodzi interesom. Wszyscy czują się zobowiązani odegrać przedstawienie z oddawaniem kluczyków do samochodu.

Spojrzeni na barmana. Był to ten sam duży, brodaty gość co poprzedniego wieczoru. Przyglądał się im bacznie znad gazety.

– Ciężki los policjanta. Zdrowie. – Falk podniósł kufel do ust i pociągnął z niego solidnie.

Alkohol zawsze był dla niego opcjonalny, ale teraz cieszył się, że mógł się napić. Był wczesny wieczór, w pubie było jeszcze spokojnie, a oni zaszyli się w rogu. Po przeciwnej stronie pomieszczenia trzech mężczyzn wpatrywało się tępo w wyścigi chartów w telewizji. Falk nie rozpoznał w nich nikogo znajomego, a i oni nie zwracali na niego uwagi. W pomieszczeniu z tyłu automaty do gry migwały i świszczwały. Klimatyzacja wiała arktycznym chłodem.

Raco upił łyk.

– Co teraz?

– Teraz poinformujesz Clyde, że masz wątpliwości – odrzekł Falk.

– Jeśli zwrócę się teraz do gliniarzy z Clyde, będą myśleli tylko o tym, jak uratować własny tyłek. – Raco zmarszczył brwi. – Wiesz, co zacnie dzieć się w ich głowach,

jeśli dopuszczają do siebie myśl, że mogli nawalić. Będą wyczyniać cuda na kiju, by tylko udowodnić, że właściwie poprowadzili śledztwo. Ja bym tak zrobił.

– Nie wiem tylko, czy masz wybór. Taka sprawa. To nie jest robota dla jednego człowieka.

– Mamy Barnesę.

– Kogo?

– Mojego posterunkowego. Czyli jest nas trzech.

– Kolego, jest was dwóch – odparł Falk. – Ja muszę wracać do Melbourne.

– Myślałem, że powiedziałaś Hadlerom, że zostajesz.

Falk potarł nasadę nosa. Za jego plecami automaty do gry stawały się coraz głośniejsze. Miał wrażenie, że hałas dochodzi z wnętrza jego głowy.

– Na parę dni, to znaczy jeden lub dwa. Nie na cały czas trwania śledztwa. Do tego nieoficjalnego. Mam pracę, do której muszę wrócić.

– Jasne – powiedział Raco, jakby było to oczywiste. – To zostań w takim razie choć na te parę dni. Zrób to, co obiecałeś w kwestii finansowej. Jak tylko znajdziemy coś konkretnego, zgłoszę to do Clyde.

Falk nic nie odpowiedział. Myślał o dwóch pudłach pełnych wyciągów bankowych i innych dokumentów, które przywiózł z domu Hadlerów i położył na swoim łóżku.

„Luke kłamał. Ty kłamałeś”.

Wziął ich puste kufle i podszedł z nimi do kontuaru.

– To samo? – Barman podniósł swoje cielsko ze stołka i odłożył gazetę. Od poprzedniego wieczoru Falk nie widział nikogo innego, kto by pracował w tym barze.

– Słuchaj – odezwał się, patrząc, jak barman podstawiał czystą szklankę pod kranik. – W sprawie tego pokoju, w którym się zatrzymałem. Mógłbym zostać w nim trochę dłużej?

– To zależy. – Barman postawił przed nim jedno piwo. – Słyszałem o tobie, kolego, co nieco.

– Doprawdy.

– Owszem. I choć zależy mi, żeby interes się kręcił, nie chcę mieć tu kłopotów, kapujesz? Prowadzenie tego lokalu jest wystarczająco skomplikowane.

– Nie szukam kłopotów.



– Ale one same cię znajdują?

– Niewiele mogę na to poradzić. Wiesz, że jestem z policji?

– Owszem, i to do mnie dotarło. Ale tutaj na głębokiej prowincji, kiedy w środku nocy kilku podpitych gości szuka zaczepki, te odznaki znaczą mniej, niż powinny, kapujesz?

– Jasne. Cóż. Jak chcesz. – Nie zamierzał błagać.

Barman, nieznacznie się uśmiechając, postawił przed nim drugi kufel.

– W porządku, stary. Możesz wyluzować. Twoje pieniądze są dla mnie równie dobre jak innych, a to wystarczy. – Wydał Falkowi resztę i wrócił do swojej gazety. Wyglądało na to, że rozwiązywał krzyżówkę hetmańską. – Potraktuj to jako przyjacielskie ostrzeżenie. Ludzie tutaj potrafią być dziwacznymi. Jeśli znajdziesz się w trudnej sytuacji, możliwe, że nikt nie przyjdzie ci z pomocą. – Spojrzał na Falka uważnie. – Choć z tego, co słyszałem, nie trzeba ci tego mówić.

Falk wrócił z piwem do stolika. Raco wpatrywał się ponuro w mokrą podkładkę.

– Możesz już przestać robić taką minę – rzekł Falk. – Lepiej opowiedz mi resztę.

Raco podsunął mu akta.

– Zebrałem wszystko, do czego miałem dostęp – powiedział.

Falk rozejrzał się po pubie. Nadal był w połowie pusty. Nikogo nie było w pobliżu. Otworzył teczkę. Pierwsze zdjęcie przedstawiało pikapa Luke'a z pewnej odległości. Przy tylnych kołach zebrała się kałuża krwi. Falk zamknął teczkę.

– Na razie podaj mi najważniejsze fakty. Co wiemy o kurierze, który ich znalazł?

– Wszystko wskazuje na to, że jest tak czysty, jak tylko można sobie życzyć. Pracuje dla renomowanej firmy dostawczej. Od dwóch lat. Wiózł książki kucharskie, które Karen zamówiła przez internet. I to się zgadza. Spóźnił się, to była ostatnia dostawa tego dnia. Jechał do Kiewarry po raz pierwszy. Mówi, że kiedy dojechał, zobaczył Karen, zwrócił lunch na rabatę kwiatową i wskoczył z powrotem do samochodu. Telefon alarmowy wykonał już z głównej drogi.

– Zostawił Charlotte w domu?

– Twierdzi, że jej nie słyszał. – Raco wzruszył ramionami. – To możliwe. Była sama już od jakiegoś czasu. Być może już się wyplakała.

Falk ponownie otworzył akta na pierwszej stronie. Tym razem już ich nie zamknął. Cały czas podejrzewał, że Luke został znaleziony na przednim siedzeniu pikapa, ale na zdjęciu widać było jego ciało leżące na plecach na naczepie. Kłapa była otwarta, a jego nogi zwisały, jakby siedział na skraju. Strzelba u jego boku zwrócona była w kierunku, gdzie niegdyś znajdowała się głowa. Z jego twarzy nic nie zostało.

– W porządku? – Raco przyglądał mu się badawczo.

– Tak. – Falk wziął porządny łyk piwa. Krew rozlała się po dnie naczepy, zatrzymując się na metalowych krawędziach. – Czy technicy znaleźli coś użytecznego na naczepie? – zapytał Falk.

– Poza mnóstwem krwi, która należała jedynie do Luke'a, nic godnego odnotowania. Nie jestem jednak przekonany, czy szukali z należyтым zaangażowaniem. Mieli narzędzie zbrodni. To był pojazd roboczy. Na naczepie było dosłownie wszystko.

Falk ponownie spojrział na zdjęcie, koncentrując się zwłaszcza na powierzchni wokół ciała. Po lewej stronie wewnątrz naczepy znajdowały się ledwo widoczne cztery poziome smugi. Wyglądały na świeże. Jasnobrązowe na przybrudzonym białym lakierze, najdłuższa miała około trzydziestu centymetrów, najkrótsza była o połowę krótsza. Układały się w pary oddalone od siebie o jakiś metr. Rozmieszczenie nie było regularne. Te po prawej były poziome, te po lewej nieznacznie skręcały.

– Co to jest? – Falk pokazał palcem, a Raco pochylił się, aby lepiej zobaczyć.

– Nie jestem pewien. Jak już mówiłem, Luke przewoził tam przeróżne rzeczy.

– Pikap nadal jest tutaj?

Raco potrząsnął głową.

– Został wysłany do Melbourne. Podejrzewam, że do tej pory został już wyczyszczony, żeby go sprzedać lub posłać na złom.

Falk przeglądał zdjęcia w nadziei, że na którymś będzie to lepiej widać, ale się zawiódł. Przeczytał resztę notatek. Wszystko wyglądało dość standardowo. Jeśli pominąć dziurę w głowie, Luke Hadler był zdrowym mężczyzną. Kilka kilo powyżej wagi idealnej, nieznacznie podwyższony poziom cholesterolu. Nie znaleziono w jego krwi śladów alkoholu ani narkotyków.

– A co ze strzelbą? – zapytał Falk.

– Bez wątplenia została użyta we wszystkich trzech przypadkach. Luke miał

pozwolenie na broń, zarejestrował ją również. Jedyne odciski palców znalezione na niej należały do niego.

– Gdzie ją zazwyczaj trzymał?

– W zamykanej na zamek skrzyni w stodole na tyłach posesji – powiedział Raco. – Amunicja, przynajmniej ta marki Winchester, którą znalazłem, była trzymana oddzielnie. Wszystko wskazuje na to, że Luke bardzo dbał o bezpieczeństwo.

Falk przytaknął, ale nie słuchał zbyt uważnie. Patrzył na raport dotyczący odcisków palców znalezionych na strzelbie. Sześć idealnych owalnych śladów wypełnionych ciasno rozmieszczonymi zawijasami i liniami. Dwa były mniej wyraźne, lekko zsunięte, ale mimo to udało się ustalić, że zostały pozostawione przez lewy kciuk i prawy mały palec Luke’a Hadlera.

– Odciski palców są dobre – stwierdził Falk.

Raco zwrócił uwagę na jego ton i spojrzął znad swoich notatek.

– Tak, naprawdę wyraźne. Ci, którzy je widzieli, nie mieli żadnych wątpliwości.

– Bardzo wyraźne – powiedział Falk, posyłając raport przez stół do Raca. – Może nawet za bardzo? Musiał pocić się i trząść jak ćpun. Widywałem znacznie gorsze, które i tak zostawały dopuszczone jako dowód.

– Cholera – Raco zmarszczył się, patrząc na odciski palców. – No, to możliwe.

Falk obrócił stronę.

– Co technicy znaleźli w domu?

– Wszystko. Wygląda na to, że przynajmniej połowa miasteczka przewinęła się przez niego przy tej czy innej okazji. Około dwudziestu różnych odcisków palców, nie wliczając w to częściowych, wszędzie jakieś włókna. Nie twierdzą, że Karen nie utrzymywała domu w czystości, ale to farma, na której w dodatku mieszkały dzieci.

– Świadczenie?

– Ostatnią osobą, która widziała Luke’a żywego, był jego kumpel, Jamie Sullivan. Jego gospodarstwo znajduje się na wschód od miasteczka. Luke pomagał mu w odstrzale królików. Przyjechał około piętnastej, wyjechał około szesnastej trzydzieści, jak zeznał Sullivan. Poza nim w pobliżu domu Hadlerów tak naprawdę mieszka tylko jeden sąsiad, który mógł coś widzieć. Był w tym czasie na swojej posesji.

Raco sięgnął po raport. Falk poczuł ciężar w żołądku.

– Ten sąsiad jest jednak dość dziwny – mówił dalej Raco. – Agresywny stary łajdak. Nie żywił wobec Luke’a ani odrobiny sympatii. Nie miał najmniejszej ochoty pomagać policji w dochodzeniu.

– Mał Deacon – powiedział Falk, starając się, aby jego głos brzmiał spokojnie.

Raco spojrział na niego zaskoczony.

– Zgadza się. Znasz go?

– No.

Raco czekał, ale Falk nie powiedział ani słowa więcej. Cisza się przedłużała.

– Cóż – odezwał się w końcu Raco. – Mieszka ze swoim bratankiem, który nazywa się Grant Dow, ale nie było go wtedy w domu. Deacon twierdzi, że nic nie widział. Nie wyklucza, że słyszał strzały, ale nie zwrócił na nie uwagi. Myślał, że to jakieś sprawy związane z gospodarstwem. – Falk tylko uniósł brwi. – Rzecz w tym, że to, co widział lub czego nie widział, może w ogóle nie mieć znaczenia – rzekł Raco, wyciągając tablet i stukając w ekran. Pojawił się kolorowy obraz w niskiej rozdzielczości. Był tak statyczny, że minęła chwila, zanim Falk zorientował się, że patrzy na nagranie, a nie na zdjęcie.

Raco podał mu tablet.

– Zapis z kamery przemysłowej z farmy Hadlerów.

– Żartujesz – Falk w zdumieniu spoglądał na ekran.

– Żadna technologia. Prawdę powiedziawszy, niewiele lepsza od wideo niani – skwitował Raco. – Luke zainstalował ją po fali kradzieży sprzętu, jakiś rok temu. Kilku innych farmerów też takie ma. Nagrywa przez dwadzieścia cztery godziny i przesyła materiał na komputer domowy. Zapis usuwany jest po tygodniu, jeśli nie zostanie celowo zapisany.

Wyglądało na to, że kamera została zainstalowana nad największą stodołą.

Była tak skierowana, aby uchwycić wszystkich przyjeżdżających i wyjeżdżających. W kadrze znajdowała się jedna strona domu, w górnym rogu ekranu można było zobaczyć niewielką część podjazdu. Raco zaczął przyspieszać nagranie, aż dotarł do momentu, którego szukał, i włączył pauzę.

– Okej, to jest popołudnie, w które doszło do strzelaniny. Jeśli chcesz, możesz później obejrzeć cały dzień, ale w skrócie wygląda to tak: rano rodzina rozjechała się osobno. Luke wyjechał swoim pikapem tuż po piątej i, o ile byłem w stanie się zorientować, ruszył w kierunku swoich pól. Trochę po ósmej Karen, Billy i Charlotte ruszyli do szkoły. Pracowała na pół etatu w administracji, a Charlotte w tym czasie przebywała w przyszkolnym żłobku.

Raco stuknął w ekran, włączając nagranie. Podał Falkowi słuchawki i podłączył je do urządzenia. Dźwięk był przytłumiony i słabej jakości z powodu silnych podmuchów wiatru.

– W ciągu dnia nic się nie działo – poinformował Raco. – Możesz mi wierzyć, obejrzałem całe nagranie w czasie rzeczywistym. Nikt nie przyjeżdża ani nie wyjeżdża aż do momentu, kiedy Karen i dzieci wracają do domu cztery minuty po szesnastej.

W rogu ekranu przetoczył się niebieski hatchback. Był widoczny pod kątem, jedynie od bagażnika do opon. Falk dostrzegł przednią tablicę rejestracyjną.

– Jeśli zatrzyma się obraz i powiększy, można zobaczyć numery. – Raco czytał w jego myślach. – To z całą pewnością jest samochód Karen.

W elektronicznym szumie Falk dosłyszał głuchy trzask zamykanych drzwi samochodu, a chwilę później następny. Raco ponownie dotknął ekranu. Obraz przeskoczył.

– I znów zupełna cisza przez prawie godzinę, sprawdziłem. Aż... zobacz tutaj. Minuta po siedemnastej.

Raco nacisnął „play” i pozwolił Falkowi obejrzeć. Przez kilka długich sekund nic się nie działo. Po chwili jakiś kształt poruszył się w rogu. Srebrny pikap był wyższy niż hatchback i widać go było jedynie od świateł w dół. Także tablicę rejestracyjną. Tak jak poprzednim razem, samochód był widoczny na ekranie zaledwie przez sekundę.

– Samochód Luke’a – dopowiedział Raco.

Obraz na ekranie był zupełnie statyczny, choć odtwarzanie było nadal włączone. Falk ponownie usłyszał trzaśnięcie niewidocznych drzwi samochodu, później zapanowała cisza, na dwadzieścia strasznych sekund. Nagle w słuchawkach rozległ się stłumiony wystrzał i Falk aż się wzdrygnął. Karen. Poczuł, jak serce wali mu w piersi.

I znów nic, tylko mijające sekundy. Sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt. Falk

zorientował się, że wstrzymuje oddech, pragnąc innego zakończenia. Był zirytowany słabą jakością dźwięku, ale i za nią wdzięczny... Krzyki Billy'ego Hadlera przesładowałyby go z pewnością do końca życia. Kiedy usłyszał drugi wystrzał, niemal odetchnął z ulgą. Zamrugął.

Żadnego ruchu. Po chwili, dokładnie trzy minuty czterdzieści siedem sekund po tym, jak pikap zaparkował przed domem, ponownie ukazał się w rogu ekranu. Tylne koła, dół naczepy i numery rejestracyjne pojazdu Luke'a Hadlera były doskonale widoczne.

– Nikt nie przyjeżdża ani nie odjeżdża aż do pojawienia się kuriera, trzydzieści pięć minut później – dodał Raco.

Falk oddał mu tablet. Nadal słyszał w głowie głucho wystrzały.

– Naprawdę sądzisz, że mimo tego nagrania można mieć jakieś wątpliwości? – zapytał.

– To pikap Luke'a, ale nie widać, kto siedzi za kierownicą – odparł Raco. – No i są pozostałe szczegóły. Amunicja. Zabicie Karen w przedpokoju. Poszukiwania w pokoju Billy'ego.

Falk wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Nie rozumiem. Dlaczego jesteś taki przekonany, że to nie był Luke? Nawet go nie znałeś.

Raco wzruszył ramionami.

– Znalazłem dzieci – odpowiedział. – Musiałem patrzeć na Billy'ego Hadlera po tym, jak jakiś potwór go zabił, i nigdy nie będę w stanie zapomnieć tego widoku. Muszę być pewien, że zostanie mu oddana sprawiedliwość. Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, i, zrozum, Luke prawdopodobnie to zrobił. Tak, sam przyznaję. Ale jeśli jest choćby najmniejsza szansa, że zrobił to ktoś inny, komu może ująć to na sucho... –

Raco potrząsnął głową i pociągnął solidny łyk piwa. – Przyjrzałem się Luke'owi Hadlerowi i przynajmniej na zewnątrz wygląda, jakby miał wszystko: świetna żona, dwójka dzieci, niezłe gospodarstwo, szacunek wśród miejscowej społeczności. Czemu ktoś taki miałby pewnego dnia tak po prostu zniszczyć swoją rodzinę? To nie ma sensu. Po prostu w głowie mi się nie mieści, żeby ktoś taki jak on mógł zrobić coś... takiego.

Falk przetarł dłonią po swoich ustach i brodzie. Czuł się brudny. Potrzebował się ogolić.

„Luke kłamał. Ty kłamałeś”.

– Raco – odezwał się. – Musisz wiedzieć o Luke’u coś jeszcze.

## Rozdział 7

– Kiedy ja i Luke byliśmy dziećmi – zaczął Falk. – Nie, właściwie nie byliśmy już dziećmi. Byliśmy starsi, mieliśmy po szesnaście lat...

Urwał, wyczuwając narastające zamieszanie po drugiej stronie baru. Falk nawet nie zauważył, kiedy miejsce się zapełniło, i gdy teraz uniósł wzrok, kilka znanych mu osób odwróciło głowę. Falk wiedział, że na coś się zanosi, jeszcze zanim to zobaczył. Ludzie spuszczaali wzrok i usuwali się bez narzekania, aby zrobić miejsce dla grupy torującej sobie drogę przez tłum. Na jej czele znajdował się muskularny gość o włosach w szaroburym kolorze, na które nasunął okulary słoneczne. Falk poczuł, jak coś zimnego zaczyna przelewać mu się w żołądku. Chociaż nie rozpoznał Granta Dowa na pogrzebie Hadlerów, teraz nie miał już tego szczęścia.

Kuzyn Ellie. Mieli takie same oczy, ale Falk wiedział, że Grant absolutnie w niczym innym jej nie przypomina. Dow stanął przed ich stolikiem, a jego zwalista sylwetka blokowała im widok. Ubrany był w T-shirt reklamujący balijską markę piwa. Miał małe, świńskie oczy osadzone blisko siebie na środku twarzy, a tłusty podbródek pokryty był zarostem. Spoglądał na nich tym samym wyzywającym spojrzeniem, jakim potraktował żałobników na pogrzebie. Dow uniósł kufel w kierunku Falka w prześmiewczym geście udawanego pozdrowienia i posłał mu nieszczerzy uśmiech.

– Masz jaja, żeby się tu pokazywać – powiedział. – To muszę ci przyznać. Nie sądzisz, wujku Mal? Tyle możemy mu przyznać, co?

Dow obrócił się. Starszy mężczyzna niewidoczny zza jego pleców zrobił chwiejny krok do przodu i po raz pierwszy od dwudziestu lat Falk znalazł się twarzą w twarz



z ojcem Ellie. Poczuł, że coś utkwilo mu w piersi, i złapał się na tym, że przełyka ślinę, próbując się tego pozbyć.

Mimo że Mal Deacon był teraz przygarbiony, nadal pozostał wysokim mężczyzną o żyłastych ramionach i wielkich dłoniach. Jego palce były sękaty i opuchnięte ze starości. Zupełnie zbieleły, kiedy złapał za oparcie krzesła, chcąc się na czymś wesprzeć. Zmarszczył czoło w gniewnym spojrzeniu, a przez siwe włosy prześwitywała zaczerwieniona skóra czaszki.

Falk przygotował się na wybuch, ale zamiast tego na twarzy Mالا Deacona odmalowało się zmieszanie. Potrząsnął lekko głową, a wtedy fałda skóry zwisająca z jego szyi jak u kurczaka otarła się o brudny kołnierzyk.

– Dlaczego wróciliście? – zapytał powoli schrypniętym głosem. Kiedy mówił, po obu stronach jego ust zarysowywały się głębokie bruzdy.

Falk spostrzegł, że każda z osób znajdujących się w tej chwili w pubie, skupiała się na tym, żeby tylko na nich nie patrzeć. Jedynie barman śledził wymianę zdań z zainteresowaniem. Odłożył nawet krzyżówkę.

– Co? – Deacon uderzył swoją powykręcaną dłonią o oparcie krzesła, tak że wszyscy aż podskoczyli. – Dlaczego wróciliście? Myślałem, że jasno dałem ci do zrozumienia. Przywiozłeś ze sobą chłopaka?

Tym razem Falk nie wiedział, o co chodzi.

– Co?

– Tego twojego cholernego synalka. Nie udawaj, że nic nie rozumiesz, dupku. On też wrócił? Twój chłopak?

Falk mrugnął. Deacon mylił go z jego zmarłym ojcem. Wpatrywał się w twarz tego starego człowieka. Deacon skrzywił się, ale w jego gniewie była pewna ociężałość.

Grant Dow ruszył do przodu i położył dłoń na ramieniu wuja. Przez chwilę wyglądało na to, że zastanawia się, czy wyjaśnić pomyłkę, po chwili jednak sfrustrowany potrząsnął głową i delikatnie popchnął wuja na krzesło.

– Nieźle, ty kutasie, musiałeś go zdenerwować – wysyczał do Falka. – Muszę cię o coś spytać. Naprawdę sądzisz, że w tej chwili to jest dla ciebie najlepsze miejsce?

Raco wyciągnął z kieszeni dzinsów swoją odznakę policyjną wydaną przez stan Wiktorii i położył na stoliku.

– Mógłbym zapytać cię o to samo, Grant. Sądzisz, że to jest teraz najlepsze miejsce dla ciebie?

Dow uniósł dłonie i przybrał niewinny wyraz twarzy.

– No dobra, nie ma potrzeby, żeby to wyciągać. Ja i mój wujek przyszliśmy tylko napić się w towarzystwie. Niedobrze z nim, sami widzicie. Nie szukamy żadnych kłopotów. W przeciwieństwie do tego... – I spojrzał Falkowi prosto w oczy. – Za nim kłopoty ciągną się jak psie gówno.

Ledwo słyszalny pomruk przeszedł przez pub. Falk wiedział, że jego historia szybko wypłynie na powierzchnię. Poruszył się niespokojnie, czując, że wszyscy zaczynają na niego patrzeć.

Turyści byli zgrzani i znudzeni. Komary atakowały ze wzmożoną siłą, a szlak wzdłuż Kiewarra River okazał się dłuższy, niż się spodziewali. Szli we trójkę, jeden za drugim, sprzecząc się, kiedy tylko chciało się im przekrzykiwać dźwięk wartko płynącej wody.

Drugi w kolejności zaklął, kiedy wpadł piersią na plecak przewodnika grupy, oblewając się wodą z otwartej butelki. Były inwestor bankowy wyniósł się z miasta dla zdrowia i od tej pory każdego dnia starał się przekonać samego siebie, że nie pała nienawiścią do każdej minuty spędzonej na wsi. Przewodnik uniósł rękę, ucinając narzekania. Wskazał na mętne wody rzeki. Obrócili się i spojrzeli w tym kierunku.

– Co, do diabła?

– Dobra, obejdzie się bez tych uwag, dzięki – zawołał barman zza kontuaru. Wstał z krzesła i oparł dłonie na blacie. Za jego rudą brodą nie było uśmiechu. – To miejsce publiczne. Każdy może tutaj pić, i on, i ty, czy ci się to podoba, czy nie.

– Jaka jest trzecia możliwość? – Dow pokazał swoje żółte zęby do kolegów, którzy posłusznie parsknęli śmiechem.

– Trzecia możliwość jest taka, że dostaniesz zakaz wstępu. Twój wybór.

– Jasne, jasne. Zawsze tak obiecujesz. – Dow wpatrywał się w barmana.

Raco odkaslnął, ale został zignorowany. Falk przypomniał sobie słowa barmana. „Te odznaki znaczą mniej, niż powinny”.

– Nie chodzi o to, że on siedzi tutaj w barze. – Kiedy odezwał się Mal Deacon, zapanowała zupełna cisza. – Raczej o to, że on w ogóle ośmielił się pokazać w Kiewarze. – Uniósł swój artretyczny palec i wymierzył go między oczy Falka. – Zrozum to dobrze i przekaz swojemu synowi. Nic was tu nie czeka oprócz ludzi, którzy

pamiętają, co zrobił mojej córce.

W zaroślach bankier wymiotował kanapkę z szynką. Podobnie jak pozostali dwaj mężczyźni był przemoczony do suchej nitki, ale nawet tego nie zauważył.

Ciało dziewczyny leżało teraz na szlaku, a wokół niego tworzyła się kałuża wody. Była szczupła, ale żeby wyciągnąć ją na brzeg, potrzeba było ich trzech. Jej skóra miała nienaturalnie biały odcień, a pasmo włosów wpadło jej do ust. Sposób, w jaki zniknęło między jej bladymi wargami, sprawił, że bankier ponownie zaczął wymiotować. Płatki jej uszu wokół kolczyków były czerwone i obdarte do surowego mięsa. Zdaje się, że ryby skorzystały z nadarzającej się okazji. Takie same ślady widniały na jej nozdrzach i pomalowanych paznokciach u rąk.

Była zupełnie ubrana i wyglądała bardzo młodo, zwłaszcza że woda zmyła jej makijaż. Biały podkoszulek przylgnął do skóry i stał się niemal przezroczysty, ukazując koronkowy biustonosz. Płaskie buty nadal nosiły ślad wodnej roślinności, w którą ciało zaplątało się i dlatego nie odpłynęło nigdzie dalej. Zarówno jej obuwie, jak i każda kieszeń jej džinsów wypełnione były po brzegi kamieniami.

– Bzdury. Nie miałem nic wspólnego z tym, co przytrafiło się Ellie – Falk nie mógł się powstrzymać, ale natychmiast tego pożałował. Ugryzł się w język. „Nie daj się sprowokować”, pomyślał.

– Kto tak twierdzi? – Grant Dow poparł wuja. Zimny uśmiech dawno zniknął już z jego twarzy. – Kto powiedział, że nie miałeś z tym nic wspólnego? Luke Hadler? – Kiedy wypowiedział to imię i nazwisko, w barze nagle zaczęło brakować powietrza. – Rzecz w tym, że Luke’a już nie ma i nie może już nic powiedzieć.

Najsprawniejszy z trójki pobiegł po pomoc. Bankier siedział na ziemi tuż obok swoich wymiocin. W ich kwaśnych oparach czuł się bezpieczniej niż obok tej białej istoty. Przewodnik grupy nerwowo chodził tam i z powrotem, mimo że w jego butach aż chlupotało.

Mogli się domyślić, kim była. Jej zdjęcie zamieszczali w gazetach od trzech dni. Eleanor Deacon, lat szesnaście. Zaginęła w piątek wieczorem, kiedy to nie zjawiała się w domu. Jej ojciec odczekał jedną noc w nadziei, że ochłonie z jakichkolwiek nastoletnich emocji, które powstrzymywały ją przed powrotem. Kiedy w sobotę nadal jej nie było, wszczął alarm.

Wydawało się, że minęły wieki, zanim ratownicy dotarli nad rzekę. Ciało dziewczyny zostało zabrane do szpitala. Bankiera odesłano do domu. W ciągu miesiąca wrócił do miasta.

Lekarz badający zwłoki Ellie Deacon jako przyczynę śmierci podał utonięcie. Odnotował również, że jej ciało było kilka dni w wodzie, najprawdopodobniej od piątku. W raporcie opisał sińce na jej mostku i ramionach oraz zadrapania na rękach i nogach. Były to obrażenia, które mogły zostać wyrządzone przez spływające rzeką kamienie i patyki. Jej przedramiona były poznaczone starymi bliznami, które mogły świadczyć o samookaleczeniach. Jakby po namyśle, lekarz załączył też informację, że nie była dziewczyną.

Dźwięk imienia Luke'a wywołał zamęt w pubie i nawet Dow zorientował się, że posunął się za daleko.

– Luke był moim przyjacielem, Ellie była moją przyjaciółką. – Głos Falka brzmiał dziwnie w jego własnych uszach. – Zależało mi na nich obojgu. Więc odwal się.

Deacon wstał, głośno szurając krzesłem o podłogę.

– Nie opowiadaj mi, że ci na niej zależało. To była krew z mojej krwi! – krzyczał, a jego ręce trzęsły się, kiedy oskarżycielsko wymierzył palec w Falka. Kątem oka Falk dostrzegł wymianę spojrzeń między sierżantem a barmanem. – Twierdzisz, że ani ty, ani twój chłopak nie maczaliście w tym palców! – wrzeszczał Deacon. – Zapomniałeś o kartce, ty kłamliwy skurwysynu?!

Powiedział to z rozmachem, jakby w tej wymianie zdań była to jego karta atutowa. Falk poczuł, jak uchodzi z niego powietrze. Był wykończony. Usta Deacona były wykrzywione w gniewie, obok rechotał jego bratanek. Czuć było krew.

– Na to już nie masz odpowiedzi, prawda? – dodał Dow.

Falk zmusił się, żeby nie pokręcić głową. Jezu. Ta cholerna kartka.

Policjanci przez dwie godziny przetrząsali pokój Ellie. Męskie palce niezgrabnie przeszukiwały szuflady z bielizną i szkatułki na drobiazgi. Niemal przeoczyli tę kartkę. Niemal. Była to pojedyncza strona wyrwana ze zwykłego zeszytu – złożona na pół i wsunięta do kieszeni dżinsów. Na niej, charakterystycznym pismem Elli, znajdowała się zapisana data, która była dniem jej zniknięcia. Pod spodem znajdowało się jedno słowo: Falk.

– Wyjaśnij to, jeśli potrafisz – kontynuował Deacon, a w barze panowała cisza.

Falk nic nie powiedział. Nie mógł. I Deacon dobrze o tym wiedział.

Barman postawił z brzękiem szklankę na kontuarze.

– Dosyć! – Wpatrywał się intensywnie w Falka, wążąc swoją decyzję. Raco, trzymając swoją odznakę na widoku, uniósł brwi i nieznacznie potrząsnął głową. Spojrzenie barmana przeniosło się na Dowa. – Ty i twój wuj, wynocha. I nie wracajcie przynajmniej przez dwa dni. Dzięki. Pozostali: albo kupujecie piwo, albo spadajcie.

To, co zaczęło się jako niepotwierdzona plotka, już pod koniec dnia urosło do horrendalnych rozmiarów. Aaron Falk – szesnastoletni i przerażony – zaszył się w sypialni, a w głowie kołatały mu

się tysiące myśli. Na dźwięk stukania w okno aż podskoczył. Twarz Luke'a była blada jak u ducha w wieczornym mroku.

– Jesteś po uszy w gównie, stary – wyszeptał. – Podśledzałem rozmowę rodziców. Ludzie gadają. Co naprawdę robiłeś w piątek po szkole?

– Mówiłem ci. Łowiłem ryby. Ale w górze rzeki. Całe kilometry od tego miejsca, przysięgam. – Aaron przykucnął przy oknie. Miał wątpliwości, czy nogi go utrzymają.

– Ktoś cię już o to pytał? Gliniarze albo ktoś inny?

– Nie. Ale na pewno to zrobią. Myślą, że miałem się z nią spotkać czy coś.

– Ale to nieprawda?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale co, jeśli mi nie uwierzą?

– Nie spotkałeś nikogo w ogóle? Nikt cię nie widział?

– Nie, byłem zupełnie sam, okej?

– Dobra, słuchaj. Aaron, stary, słuchasz mnie? Jeśli ktokolwiek cię spyta, to powiedz, że razem strzelaliśmy do królików. Na polach.

– Z dala od rzeki.

– Tak. Na polach za Cooran Road. Z dala od rzeki. Przez cały wieczór. Okej? Włóczyliśmy się bez celu. Jak zwykle. Trafiliśmy tylko jednego czy dwa. Dwa. Powiedz, że dwa.

– Dobra. Zgoda. Dwa.

– Nie zapomnij. Byliśmy razem.

– Tak. To znaczy nie. Nie zapomnę. Jezu, Ellie. Nie mogę...

– Powiedz to.

– Co?

– Powiedz to teraz. Co robiłeś. Przecież to.

– Luke i ja strzelaliśmy razem do królików.

– Jeszcze raz.

– Byłem z Lukiem Hadlerem. Strzelaliśmy do królików. Na polach za Cooran Road.

– Powtarzaj, dopóki nie zacznie to brzmieć naturalnie. I nic nie przekręć.

– Nie przekręcę.

– Dotarło to wszystko do ciebie?

– Tak. Luke, stary, dzięki. Dziękuję ci.

## Rozdział 8

Kiedy Aaron Falk miał jedenaście lat, był świadkiem tego, jak Mal Deacon tak brutalnie potraktował swoje stado nożycami do strzyżenia, że ciężko pokaleczone owce ledwo uszły z życiem. Aaron czuł ból wzbierający w piersi, gdy wraz z Lukiem i Ellie patrzyli, jak jedna owca za drugą powalane były na ziemię w szopie Deaconów i strzyżone ostrymi pociągnięciami zdecydowanie zbyt blisko skóry.

Aaron, podobnie jak jego przyjaciele, całe życie mieszkał na farmie, ale to było coś zupełnie innego. Pełne żalu jęki najmniejszej owieczki sprawiły, że otworzył usta i nabrał powietrza, lecz Ellie powstrzymała go przed interwencją, ciągnąc go za rękaw. Spojrzała mu prosto w oczy i potrząsnęła głową.

Była drobnym, poważnym dzieckiem ze skłonnością do milczenia. Odpowiadało to Aaronowi, który sam też był raczej cichy. Zazwyczaj pozwalali wygadać się do woli Luke'owi.

Ellie tylko nieznacznie uniosła głowę, kiedy siedząc na zapadniętej werandzie, usłyszeli hałasy z szopy. Aaron był ciekawy, ale to Luke zarządził, żeby porzucili odrabianie lekcji i poszli sprawdzić, co się dzieje. I teraz, mając w uszach skargi owiec i widząc nieznany dotąd wyraz na twarzy Ellie, Aaron wiedział, że nie tylko on żałował tej decyzji.

Kiedy odwrócili się, żeby odejść, aż podskoczył na widok matki Ellie stojącej w drzwiach i przyglądającej się całej scenie w milczeniu. Opierała się o framugę i miała na sobie niepasujący na nią brązowy sweter z tłustą plamą. Pociągnęła łyk bursztynowego płynu ze szklanki, nie spuszczać wzroku ze strzyżonej owcy. Obie

z Ellie miały bardzo podobne rysy twarzy. Głęboko osadzone oczy, ziemista cera, szerokie usta. Ale w oczach Aarona matka przyjaciółki była starą kobietą. Musiały minąć lata, zanim uświadomił sobie, że wówczas nie miała nawet czterdziestu lat.

Kiedy się jej przyglądał, matka Ellie zamknęła oczy i gwałtownie odchyliła głowę do tyłu. Wzięła głęboki oddech, marszcząc twarz. Otworzyła oczy i skoncentrowała wzrok na mężu, rzucając mu spojrzenie tak czyste i silne, że Aaron przeraził się, iż Deacon obróci się i je dostrzeże.

Żal.

Tamtego roku pogoda sprawiła, że pracowało się bardzo ciężko. Jakiś miesiąc później bratanek Deacona, Grant, wprowadził się na farmę jako pomoc. Matka Ellie wyjechała dwa dni później. Być może była to kropla przepełniająca czarę goryczy. Jeden zniechęcony mężczyzna to aż nadto dla każdego.

Wrzuciwszy na tył starego samochodu dwie walizki i torbę, w której postukiwały butelki, próbowała bez przekonania osuszyć łzy córki, składając obietnice bez pokrycia, że niedługo wróci. Aaron nie wiedział, ile lat minęło, zanim Ellie przestała w nie wierzyć. Być może czekała na jej powrót aż do dnia swojej śmierci.

Falk stał teraz na ganku pubu Fleece razem z sierżantem, który właśnie zapalał papierosa. Podał Falkowi paczkę, ale ten odmówił. Miał już dość wspomnień jak na jedną noc.

– Słusznie – skomentował Raco. – Ja staram się rzucić. Dla dziecka.

– Jasne. Powodzenia.

Raco palił powoli, wydmuchując dym w rozgrzane nocne niebo. W pubie robiło się coraz głośniejsze. Deacon i Dow nie spieszyli się z wyjściem i w powietrzu nadal unosiła się groźba zadymy.

– Powinieneś być powiedzieć mi wcześniej. – Raco zaciągnął się. Zdusił kaszel.

– Wiem. Przepraszam.

– Miałeś z tym coś wspólnego? Ze śmiercią tej dziewczyny?

– Nie. Ale nie byłem z Lukiem, kiedy to się stało. Nie było tak, jak powiedzieliśmy.

Raco milczał przez chwilę.

– Czyli twoje alibi to kłamstwo. Gdzie był wtedy Luke?

– Nie wiem.

– Nigdy go nie zapytałeś?

– Oczywiście, że pytałem, ale on... – Falk urwał, czyniąc wysiłek, by sobie przypomnieć. – On zawsze nalegał, żebyśmy trzymali się naszej historii. Zawsze. Nawet kiedy byliśmy tylko we dwóch. Mówił, że bezpieczniej jest zachowywać spójność. Nie nalegałem. Byłem mu wdzięczny, wiesz? Myślałem, że to dla mojego dobra.

– Kto jeszcze wiedział, że to było kłamstwo?

– Kilka osób miało takie podejrzania. Oczywiście Mal Deacon. Paru innych. Ale nikt nie wiedział tego na pewno. Przynajmniej tak zawsze myślałem. Lecz teraz nie mam już pewności. Okazuje się, że Gerry wiedział o tym przez cały czas. Może nie on jeden.

– Myślisz, że Luke zabił Ellie?

– Nie wiem. – Falk wpatrywał się w pustą ulicę. – Chcę się tego dowiedzieć.

– Czy to wszystko jest ze sobą powiązane?

– Naprawdę mam nadzieję, że nie.

Raco westchnął. Ostrożnie zgasił papierosa, a następnie polał peta odrobiną piwa.

– W porządku, kolego – powiedział. – Dochowam twojej tajemnicy. Na razie. Chyba że zajdzie potrzeba, by ją ujawnić, a wtedy ty będziesz śpiewał jak z nut, a ja nic o tym nie wiem, jasne?

– Tak. Dzięki.

– Spotkajmy się jutro o dziewiątej na posterunku. Pojedziemy pogadać z kumplem Luke’a, Jamiem Sullivanem. To ostatnia osoba, która widziała go żywego. – Spojrzał na Falka. – Jeśli nadal będziesz w miasteczku.

I machając mu na pożegnanie, odszedł w noc.

Z powrotem w pokoju nad pubem Falk położył się na łóżku i wyciągnął swoją komórkę. Trzymał ją w dłoni, ale nie dzwonił. Spachacz zniknął ze swojego miejsca nad lampą. Falk wolał nie myśleć, gdzie się przeniósł.

„Jeśli nadal będziesz w miasteczku”, powiedział Raco. Falk doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że miał wybór. Jego samochód był zaparkowany tuż przed pubem.



Mógł spakować się, zapłacić brodatemu barmanowi i być w drodze do Melbourne w ciągu piętnastu minut.

Raco pewnie wywróciłby oczami, Gerry próbowałby się do niego dodzwonić. Ale co mogli zrobić? Nie byliby zadowoleni, ale on mógł z tym żyć. Jednak Barb... Falk mógł wyobrazić sobie jej twarz z niechcianą dokładnością – Barb byłaby rozczarowana. I nie był całkowicie przekonany, czy z tą świadomością mógłby żyć. Ta myśl sprawiła, że zrobiło mu się niewygodnie. W pokoju było gorąco i duszno.

Falk nigdy nie poznał swojej matki. Zmarła w kałuży własnej krwi niecałą godzinę po jego narodzinach. Jego ojciec starał się – nawet bardzo – wypełnić tę lukę w życiu syna. Ale wszelkie wyobrażenie o matczynej czułości, każde ciepłe ciasto, każdy pachnący perfumami uścisk w życiu nastoletniego Falka pochodziły od Barb Hadler. Była matką Luke'a, ale zawsze znajdowała czas dla Falka.

On, Luke i Ellie najwięcej czasu spędzali w domu Hadlerów. Dom Falka często był cichy i pusty, ponieważ gospodarstwo zabierało długie godziny z życia jego ojca. Ellie potrząsała głową na sugestie, żeby poszli do niej. Nie dziś, mówiła. Kiedy Aaron i Luke nalegali na urozmaicenie, koniec końców Falk zawsze tego żałował. W domu Ellie panował bałagan i unosiła się woń opróżnionych butelek.

Dom Hadlerów był jasny i pełen życia, z kuchni wychodziły smaczne potrawy, panowały tam również jasne zasady dotyczące odrabiania lekcji, ciszy nocnej i gaszenia tego cholernego pudła, żeby wyjść na świeże powietrze. Farma Hadlerów zawsze była niebem, dopóki dwa tygodnie temu nie rozegrała się tam zbrodnia najgorsza z możliwych.

Falk leżał w łóżku bez ruchu. Minął kwadrans. Mógł być już w drodze, a jednak nadal tkwił w Kiewarze.

Westchnął i obrócił się. Jego palce przesuwają się po telefonie, kiedy zastanawiał się, kogo powinien poinformować. Oczyma wyobraźni zobaczył swoje mieszkanie w St Kilda: zgaszone światła, porządnie zamknięte drzwi frontowe. Wystarczająco duże dla dwóch osób, jednak od trzech lat stanowiło dom tylko dla Falka. Nikt już tam na niego nie czekał. Nie było w jego życiu nikogo, kto świeżo po prysznicu, przy włączonej muzyce i z butelką czerwonego wina oddychającego na kuchennym blacie spodziewałby się jego powrotu. Nikogo, kto niecierpliwie odebrałby telefon

i z zaciekawieniem wysłuchał, czemu potrzebował spędzić kilka dodatkowych dni na prowincji.

Zazwyczaj nie przeszkadzało to Falkowi. Ale w tym momencie, kiedy tak leżał w łóżku w pokoju nad pubem w Kiewarze, żałował, że stworzył sobie dom na podobieństwo domu swojego ojca, a nie tego, który mieli Barb i Gerry.

Miał wrócić w poniedziałek, ale w pracy wiedzieli, że pojechał na pogrzeb. Nie powiedział czyj. Wiedział, że może zostać. Mógł wziąć kilka dodatkowych dni wolnych. Dla Barb. Dla Ellie. Nawet dla Luke'a. Podczas pracy nad sprawą Pemberley wykazał się dobrą wolą i wziął tyle nadgodzin, że nigdy nie będzie mógł ich spożytkować. Jego najnowsze śledztwo rozkręcało się powoli, oględnie mówiąc.

Falk zastanawiał się przez kolejne piętnaście minut. W końcu wystukał numer i zostawił wiadomość u obdarzonej anielską cierpliwością sekretarki oddziału finansowego. Poinformował ją, że bierze tygodniowy urlop ze skutkiem natychmiastowym. Z powodów osobistych.

Trudno powiedzieć, które z nich było bardziej zdziwione.

## Rozdział 9

Jamie Sullivan pracował od dobrych czterech godzin, kiedy Falk i Raco zjawili się na jego polu. Klęczał na jednym kolanie i zanurzał dłonie w ziemi, sprawdzając glebę z naukową wręcz skrupulatnością.

– Wejdźmy do domu – zaproponował, kiedy Raco wyjaśnił mu, że mają kilka pytań dotyczących Luke’a. – I tak muszę sprawdzić, jak się ma babcia.

Falk przyglądał mu się uważnie, kiedy podążali za nim do niskiego ceglanego budynku. Około trzydziestki, jasnorude włosy przerzedzające się na czubku głowy. Tors i nogi żylaste, ale w barkach był szeroki, co sprawiało, że jego sylwetka przypominała odwrócony trójkąt.

Kiedy weszli do domu, Sullivan poprowadził ich przez zagracony przedpokój. Falk zdjął kapelusz i starał się nie okazywać zdziwienia. Słyszał, jak Raco cicho zaklął za jego plecami, kiedy trafił goleniem w podnózek czający się przy drzwiach. W przedpokoju panował chaos. Cała dostępna przestrzeń obłożona była ozdóbkami i bibelotami, na których gromadził się kurz. Gdzieś w środku domu słychać było telewizor.

– To wszystko babci – Sullivan odpowiedział na pytanie, którego nikt nie ośmielił się zadać. – Lubi te rzeczy. Dzięki nim jest... – urwał, szukając właściwego słowa – ...bardziej obecna.

Zaprowadził ich do kuchni, gdzie przy zlewie stała drobna staruszka. Jej poznaczone niebieskimi żyłkami ręce drżały pod ciężarem napełnionego wodą czajnika.

– Wszystko w porządku, babciu? Chcesz się napić herbaty? Ja to zrobię. – Sullivan

pospiesznie wziął od niej czajnik.

Kuchnia była czysta, ale w niej również panował chaos, a na ścianie nad kuchenką widniał ślad po przypaleniu. Farba złuszczyła się i odchodziła płatami, przypominając brzydką szarą ranę. Pani Sullivan zmierzyła spojrzeniem trzech mężczyzn i z powrotem przeniosła spojrzenie na drzwi.

– Kiedy twój tata wraca do domu?

– Nie wraca, babciu – odparł Sullivan. – Nie żyje, pamiętasz? Już od trzech lat.

– Tak, wiem. – Nie dało się odgadnąć, czy ta wiadomość ją zaskoczyła, czy nie.

Sullivan spojrzał na Falka i skinął ku drzwiom.

– Możesz zaprowadzić ją do pokoju? Będę za minutę.

Kiedy wsparła się na nim, Falk pod wiotką skórą tej starej kobiety poczuł kości. Pokój dzienny robił przytłaczające wrażenie w porównaniu z jasną kuchnią. Kubki z niedopitą herbatą konkurowały o każdy skrawek miejsca z czarnookimi porcelanowymi figurkami. Falk zaprowadził starszkę do wytartego fotela pod oknem.

Pani Sullivan usiadła z westchnieniem irytacji.

– Panowie policjanci, przyszlście tu w sprawie Luke’a Hadlera, zgadza się? Zostaw to! – naskoczyła na Raca, który chciał zdjąć z krzesła stertę starych gazet. W sposobie, w jaki wymawiała samogłoski, pobrzmiwała nuta irlandzkiego zaśpiewu. – Nie trzeba mi się tak przyglądać. Jeszcze nie zgłupiałam do reszty. Ten cały Luke był tutaj, a później pojechał i wykończył swoją rodzinę, tak? Jaki mógłby być inny powód waszej wizyty? Chyba że nasz Jamie coś przeskrobał?

Jej śmiech brzmiał jak poskrzypywanie zardzewiałej bramy.

– Nic nam o tym nie wiadomo – odparł Falk, wymieniając spojrzenia z sierżantem.

– Czy dobrze znała pani Luke’a?

– Wcale go nie znałam. Wiem tylko tyle, że przyjaźnił się z Jamiem. Zachodził do nas od czasu do czasu. Pomagał nam w gospodarstwie.

Nadszedł Sullivan z herbatą na tacy. Nie zważając na protesty babci, zrobił miejsce na kredensie i wskazał gościom podniszczoną kanapę. Usiedli.

– Przepraszam za bałagan – powiedział, rozdając kubki. – Robi się niełatwo. – Spojrzał szybko na babcię i zajął się imbrykiem.

Falk dostrzegł, że pod jego oczami malowały się dodające mu lat cienie. Ale

sposób, w jak radził sobie z całą sytuacją, świadczył o jego pewności siebie. Falk bez trudu mógł wyobrazić go sobie daleko stąd, w garniturze w jednym z wielkomięjskich biur, zarabiającego sześciocyfrowe sumy, żeby połowę z tego przepuścić na drogie wina.

Skończywszy nalewać herbatę, Sullivan usiadł na tanim drewnianym krześle.

– Więc co chcecie wiedzieć?

– Mamy jeszcze kilka faktów do ustalenia – zaczął Raco.

– Dla Hadlerów – dodał Falk.

– Jasne. Bez obaw. Jeśli to ma być dla Barb i Gerry’ego... Ale chciałbym zacząć od tego, co już powiedziałem tym z Clyde: gdybym tylko wiedział, to znaczy, gdyby pojawiła się jakakolwiek sugestia, że Luke chciał zrobić to, co zrobił, nigdy nie pozwoliłbym mu stąd odjechać. Chcę, żeby to było jasne.

Spuścił wzrok i zaczął obracać kubek w dłoniach.

– Oczywiście. Nikt nie twierdzi, że mogłeś zapobiec tej tragedii – odparł Raco. –

Ale jakbyś mógł opowiedzieć wszystko jeszcze raz, dla nas, bardzo by nam to pomogło. Żebyśmy usłyszeli to na własne uszy. Na wszelki wypadek.

Króliki, tym słowem zaczął Sullivan. To był problem. A przynajmniej jeden z głównych. Było wystarczająco ciężko przetrwać suszę nawet bez tych szkodników zjadających wszystko, co się do tego nadawało. Dzień wcześniej narzekał na to w pubie i Luke zaproponował, że mu pomoże.

– Czy ktoś słyszał, jak się umawialiście? – zapytał Falk.

– Pewnie tak, ale nie pamiętam dokładnie. Na pewno było tłoczno. Każdy mógł nas usłyszeć, jeśli tylko chciał.

Luke Hadler zatrzymał się na krawędzi pola i wysiadł z pikapa. Był pięć minut wcześniej, ale Jamie Sullivan już na niego czekał. Obaj unieśli dłonie w geście przywitania. Luke sięgnął do przyczepy po strzelbę i załadował naboje, które podał mu Sullivan.

– Chodź, przetrzepmy skórę tym cholernym królom – powiedział Luke, błyskając zębami.

– Amunicja była twoja? – zapytał Raco. – Jakiej marki?

– Winchester. Dlaczego pytasz?

Raco pochwycił spojrzenie Falka. Czyli nie były to brakujące remingtony.

– Czy Luke przywiózł swoje?  
– Nie sędzę. Moje króliki, moje naboje, tak rozumowałem. Dlaczego?  
– Tylko sprawdzam. Jaki był Luke tego dnia?  
– Naprawdę nie wiem. Wielokrotnie wracałem myślami do tamtego dnia. Ale wydaje mi się, że nie mogę powiedzieć nic innego ponad to, że zachowywał się jak zawsze. W porządku. – Sullivan zamyślił się na chwilę. – Przynajmniej dopóki tutaj był...

Pierwszych kilka strzałów Luke'a było niecelnych i Sullivan przyjrzał mu się. Luke przygryzał skórę na kciuku. Sullivan nic nie powiedział. Luke ponownie strzelił. Spudłował.

– W porządku? – zapytał Sullivan niechętnie.

Z Lukiem łączyły go równie zażyłe stosunki, co z resztą jego znajomych, a to oznaczało, że nie zwracali się sobie nawzajem. Z drugiej jednak strony nie miał całego dnia na te króliki. Słońce świeciło im w plecy.

– Tak. – Luke potrząsał w rozkojarzeniu głową. – A u ciebie?

– Tak samo – Sullivan zawahał się. Z łatwością mógł to tak zostawić. Luke wymierzył po raz kolejny i ponownie nie trafił, więc Sullivan postanowił jednak wyjść mu naprzeciw. – Moja babcia ostatnio robi się coraz słabsza – zaczął. – Potrafi być nieznośna.

– Wszystko z nią w porządku? – spytał Luke, nie spuszczać wzroku z króliczej nory.

– No. Czasem zajmowanie się nią bywa trudne.

Luke pokiwał tylko głową i Sullivan zorientował się, że nie słucha go uważnie.

– Tak właśnie jest z tymi cholernymi kobietami – rzekł. – Przynajmniej twoja nie może już biegać po miasteczku, opowiadając niestworzone rzeczy.

Sullivan, który w całym swoim życiu nigdy nie pomyślałby nawet, że jego babcia podpada pod kategorię „kobiety”, nie był pewny, co na to odpowiedzieć.

– Nie, faktycznie nie może – odparł i poczuł, że oto wpłynęli na nieznane wody. – Z Karen wszystko w porządku?

– Och, tak. Bez obaw. – Luke wymierzył i pociągnął za spust. Tym razem poszło mu lepiej. – Wiesz, Karen to Karen. Zawsze coś się dzieje. – Nabrał powietrza, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zmienił zdanie.

Sullivan czuł się nieswojo. Zdecydowanie były to dla niego nieznane wody.

– Jasne.

Chciał jeszcze coś dodać, ale nic nie przychodziło mu na myśl. Zerknął na Luke'a, który opuścił strzelbę i teraz mu się przyglądał. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Atmosfera stała się zdecydowanie niezręczna. Obaj zwrócili się z powrotem w kierunku króliczej nory.

– „Zawsze coś się dzieje”? – powtórzył Raco. – Co chciał przez to powiedzieć?

Sullivan utkwiał w stole swoje nieszczęśliwe spojrzenie.

– Nie wiem. Nie zapytałem. Powinienem być, prawda?

Tak, pomyślał Falk.

– Nie – rzekł na głos. – Pewnie nie zrobiliby to żadnej różnicy. – Nie miał pojęcia, czy tak było naprawdę. – Czy Luke powiedział coś jeszcze na ten temat?

Sullivan potrząsnął głową.

– Nie. Później rozmawialiśmy już tylko o pogodzie. Jak zwykle.

Minęła godzina. Luke się przeciągnął.

– Nieźle je przetrzebiliśmy. – Spojrzał na zegarek. – Lepiej już pojedę.

Oddał Sullivanowi pozostałą amunicję i razem poszli w kierunku pikapa. Po wcześniejszym napięciu między nimi nie było ani śladu.

– Szybkie piwo? – zapytał Sullivan, ściągając kapelusz i przecierając twarz ramieniem.

– Nie, muszę wracać do domu. Mam rzeczy do zrobienia, sam wiesz, jak jest.

– Jasne. Dzięki za pomoc.

– Nie ma za co. – Luke wzruszył ramionami. – Na szczęście wróciła mi celność.

Położył nienaładowaną broń pod siedzeniem dla pasażera i wszedł do środka. Odkąd zdecydował się, żeby wrócić do domu, wyraźnie zaczęło mu się spieszyć. Odjeżdżając, uchylił okno i pomachał Jamiemu.

Sullivan został na polu sam i patrzył za oddalającym się srebrnym pikapem.

Zastanawiali się w ciszy nad tym, co właśnie usłyszeli. Pod oknem filiżanka uderzyła zbyt mocno o spodek, kiedy pani Sullivan położyła ją na stercie powieści. Staruszka posłała jej złe spojrzenie.

– Co było później? – zapytał Raco.

– Jakiś czas potem zadzwonili policjanci z Clyde w poszukiwaniu Luke'a. Powiedziałem im, że wyjechał kilka godzin wcześniej. Wieści szybko się rozeszły.

– O której to było?

– Wydaje mi się, że o jakiejś osiemnastej trzydzieści.

– Byłeś tutaj?

– Tak.

– A co robiłeś wcześniej, tuż po wyjeździe Luke'a?

– Nic. Pracowałem. Tu na farmie – odparł Sullivan. – Kończyłem robotę na zewnątrz. Zjadłem obiad z babcią.

Falk mrugnął, ponieważ kątem oka wychwycił nieznaczny ruch.

– Byliście tutaj tylko we dwoje? – Falk pytał lekkim tonem. – Nie wyjeżdżałeś stąd w ogóle? Nikt tutaj nie zaglądał?

– Nie. Byliśmy tylko we dwoje.

Łatwo było to przeoczyć, ale kiedy Falk myślał o tym później, był pewien, że się nie mylił. Pani Sullivan podniosła oczy, zdziwiona. Patrzyła na wnuka zaledwie przez ułamek chwili, po czym spuściła wzrok. Falk przyglądał się jej uważnie, ale ani razu więcej go nie podniosła. Pozostałą część ich wizyty najwyraźniej przespała.



## Rozdział 10

– Mówię ci, że ja chyba zacząłbym chodzić po ścianach. – Raco wzdrygnął się za kierownicą. Na zewnątrz migąło ogrodzenie z cienkiego drutu kolczastego chroniącego żółte krzaczki. Dalej rozciągały się beżowe i brązowe pola. – Tkwi na tym pustkowiu, nie mając żadnego towarzystwa oprócz starszej pani. Ten dom wygląda jak muzeum osobliwości.

– Nie przepadasz za cherubinkami z porcelany? – spytał Falk.

– Stary, moja babcia jest bardziej katolicka od papieża. Mogę zrobić ci cały wykład o dewocjonaliach – odparł Raco. – Nie wydaje mi się, żeby to było życie dla gościa w tym wieku.

Minęli ustawiony przy drodze znak informujący o zagrożeniu pożarowym. Odkąd Falk przyjechał, było ono poważne – strzałka nieustępliwie wskazywała pomarańczowy segment półkola. Przygotuj się. Działaj. Przetrwaj.

– Jak myślisz, był z nami szczerzy? – Falk opisał mu reakcję babci Sullivana na to, jak Jamie stwierdził, że tamten wieczór spędził w domu.

– To ciekawe. Ale ona ma już chyba nie po kolei w głowie, co? No i jest złośliwa. W raportach nie było nic na temat tego, żeby Sullivan gdzieś się wybrał, choć oczywiście to nic nie znaczy. Pewnie nie został wnikliwie sprawdzony, jeśli w ogóle.

– Sęk w tym – powiedział Falk, pochylając się, aby przekręcić pokrętko klimatyzacji – że jeśli Sullivan chciałby zabić Luke'a, mógłby to zrobić z łatwością. Ponad godzinę spędzili na kompletnym pustkowiu z bronią w ręku. To wręcz zachęta, aby sprokurować wypadek. A co do jego babci, to poradziłaby sobie w buszu bez trudu.

Falk stracił złudzenia co do klimatyzacji i nieznacznie opuścił okno, wpuszczając do środka strumień gorącego powietrza. Pospiesznie zamknął je z powrotem.

Raco roześmiał się.

– A ja myślałem, że upał był nieznośny w Adelajdzie.

– Jesteś stamtąd? Co cię sprowadziło tutaj z tak daleka?

– Pierwsza wolna posada sierżanta. Dobra sposobność, żeby mieć swój własny posterunek, poza tym wychowałem się na wsi. A ty zawsze pracowałeś w Melbourne?

– Najczęściej. Zawsze tam wracam.

– Lubisz zajmować się sprawami finansowymi?

Falk uśmiechnął się sam do siebie, słysząc ton Raca. Był uprzejmy, jednak nie skrywał niedowierzania, że ktokolwiek może z własnej woli wybrać taką ścieżkę. Była to częsta reakcja. Ludzie zawsze byli zaskoczeni, kiedy dowiadawali się, jak często pieniądze, którymi Falk się zajmował, były lepkie od krwi.

– Mnie to odpowiada – odrzekł. – Skoro już przy tym jesteśmy, wczoraj w nocy zacząłem przeglądać sprawy finansowe Hadlerów.

– Coś interesującego?

– Jeszcze nic. – Falk zdusił ziewnięcie. Siedział do późna, wpatrując się w cyfry w nikłym świetle żarówki w pokoju nad pubem. – Co samo w sobie jest znaczące. Farma doświadczała trudności, to oczywiste. Ale nie wydaje mi się, żeby szło im gorzej niż wszystkim innym w okolicy. Przynajmniej zabezpieczyli się trochę na taką możliwość. Odłożyli trochę w lepszych latach. Ich polisa na życie była zwyczajna. Podstawowe świadczenie dołączone do emerytury.

– Komu przypada?

– Charlotte za pośrednictwem rodziców Luke'a, ale to naprawdę niewielka kwota. Pewnie starczy na spłacenie hipoteki, ale na niewiele więcej. Podejrzewam, że farma przypadnie Charlotte, czy się będzie jej to podobało, czy nie. Jak do tej pory nie było żadnych niepokojących sygnałów w rodzaju licznych kont, dużych wypłat, zadłużenia u osób trzecich. Będę sprawdzał dalej.

Podstawową wiedzą, jaką Falk wyniósł z tego doświadczenia, było to, że Karen Hadler była kompetentną i skrupulatną księgową. Czuł do niej sympatię i podziw, kiedy śledził równe kolumny liczb i starannie naniesione ołówkiem znaczki.

Raco zwolnił, dojechawszy do opustoszałego skrzyżowania, i spojrzał na zegarek.  
– Minęło siedem minut.

Jechali drogą, którą Luke wracał do domu od Sullivana. Raco skręcił w lewo w kierunku farmy Hadlerów. Była utwardzona, choć nie najlepiej. Głębokie pęknięcia rysowały się w miejscach, gdzie asfalt rozszerzał się i kurczył wraz ze zmianą temperatury.

W zasadzie była to droga dwukierunkowa, ale była tak wąska, że dwa pojazdy z trudem mogły się na niej zmieścić. Falk wyobrażał sobie, że jeśli samochód nadjeżdżał z naprzeciwka, jeden z kierowców musiał zjechać na trawę. Nie dane mu było dowiedzieć się tego, ponieważ przez całą drogę nie spotkali żadnego samochodu.

– Prawie czternaście minut od drzwi do drzwi – powiedział Falk, kiedy Raco zjechał na podjazd Hadlerów. – W porządku. Zobaczmy, gdzie znaleziono ciało Luke’a.

Właściwie nie była to nawet polana.

Raco minął to miejsce, zaklął pod nosem i gwałtownie zahamował. Cofnął o kilka metrów i zaparkował na poboczu. Wysiedli, nie zamykając samochodu. W pobliżu nie było absolutnie nikogo. Raco zaprowadził ich między drzewa.

– To tu.

Nastąpiła chwila dziwnej ciszy, kiedy niewidoczne ptaki zamilkły, spłoszone jego głosem. Przerwa między drzewami otwierała się na niewielką przestrzeń, wystarczająco dużą, aby samochód mógł wjechać, ale już nie zawrócić. Falk stanął na środku. Na polance było odrobinę chłodniej, ponieważ z każdej strony zalegał cień rzucany przez widmowe eukaliptusy. Droga była zupełnie schowana za gęstą roślinnością. Coś zaszeleściło w krzakach i uciekło. Żółta ziemia była zupełnie spalona słońcem. Żadne ślady stóp ani kół nie mogły się na niej odcisnąć.

Wprost pod stopami Falka, na samym środku, znajdował się kopczyk piasku. Do Falka dotarło, co musiał skrywać, i pospiesznie się cofnął. Niedawno okolicę zdeptały tuziny par butów, ale poza tym wyglądała na opuszczoną.

– Dość smętne miejsce, żeby spędzić w nim ostatnie chwile – zauważył Falk. – Czy miało dla Luke’a jakieś szczególne znaczenie?

Raco wzruszył ramionami.

– Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

Falk spróbował sobie przypomnieć miejsca biwaków i przygody z chłopięcych lat. Nic nie przychodziło mu na myśl.

– Na pewno umarł tutaj? Na naczepie pikapa? – zapytał. – Nie ma możliwości, że został zastrzelony gdzieś indziej i przywieziony tutaj?

– Absolutnie nie. Ślady krwi były jednoznaczne.

Falk usiłował poukładać w czasie wydarzenia tamtego dnia. Luke wyjechał od Jamiego Sullivana około godziny szesnastej trzydzieści. Kamera na farmie Hadlerów zarejestrowała przyjazd jego pikapa jakieś trzydzieści minut później, a więc jechał dłużej, niż im zajęło pokonanie tej samej drogi. Dwa strzały, cztery minuty i pikap ponownie odjechał.

– To wszystko jest dość proste, jeśli to Luke faktycznie zabił swoją rodzinę – powiedział Falk. – Pojechał do domu dłuższą drogą, z jakichś powodów, zastrzelił ich i przyjechał tutaj.

– No. Sprawy znacznie się komplikują, jeśli miałby to zrobić ktoś inny – stwierdził Raco. – Zabójca musiałby wsiąść do pikapa Luke'a podczas jego powrotu z farmy Sullivana, ponieważ Luke miał ze sobą narzędzie zbrodni. Kto zatem podjechał pod dom Hadlerów?

– A jeśli to nie Luke siedział za kierownicą, gdzie u diabła był, kiedy mordowano jego rodzinę? Siedział na miejscu dla pasażera i się przyglądał?

Raco wzruszył ramionami.

– Może tak. Chodzi mi o to, że to możliwy przebieg zdarzeń. Wszystko zależy od tego, kim była ta osoba i co zrobiła z Lukiem. – Wymienili spojrzenie i Falk już wiedział, że Raco myślał o Sullivanie. – Albo zabójca mógł go po prostu fizycznie obezwładnić – dalej snuł przypuszczenia Raco. – To wymagałoby wysiłku, ale nie było nie do zrobienia. Widziałeś, jakie Sullivan ma ręce. Mięśnie jak orzechy napchane do skarpetki.

Falk pokiwał głową i wrócił myślami do raportu o zwłokach Luke'a. Jego przyjaciel był słusznej postury. Oprócz ran postrzałowych nic mu nie dolegało. Na jego rękach nie było śladów, które mogłyby świadczyć, że się przed kimś bronił ani że jego

nadgarstki były związane. Wyobraził sobie ciało Luke'a leżące na naczepie pikapa. Krew zastygała w kałużach, a po boku widniały cztery smugi nieznanego pochodzenia.

– „Cholerne kobiety” – Falk wypowiedział swoje myśli na głos. – Jak sądzisz, o co mu chodziło?

– Nie wiem – odparł Raco, sprawdzając jednocześnie zegarek. – Ale mamy po południu spotkanie z kimś, kto może wiedzieć. Pomyślałem, że warto sprawdzić, co Karen Hadler trzymała w szufladzie swojego biurka.

# Rozdział 11

Sadzonka akacji australijskiej wyglądała trochę mniej rachitycznie, kiedy posadzono ją w ziemi, ale nieznacznie. Uczniowie w mundurkach w oszołomieniu przyglądali się, gdy okopywano ją dla ochrony ściółką. Nauczyciele i rodzice stali w grupach, niektórzy nie kryli łez.

Kilka żółtych puchatych pączków akacji dało za wygraną od razu, opadając na ziemię obok tabliczki z napisem:

Pamięci Billy'ego Hadlera i Karen Hadler.  
Będzie nam Was brakowało.

Falkowi przeszło przez myśl, że sadzonka nie ma szans. Skwar czuł nawet przez podeszwy butów.

Ponownie na terenie swojej dawnej podstawówki Falk po raz kolejny doświadczył wrażenia, jakby cofnął się w czasie o trzydzieści lat. Wyasfaltowany plac zabaw zdawał mu się miniaturową wersją tego, który zapamiętał, a źródelka pitnej wody umieszczono na absurdalnie niskiej wysokości. Ale wszystko było bardzo znajome, przywołując w jego pamięci wspomnienia twarzy i zdarzeń, o których dawno już nie pamiętał.

W tamtych czasach Luke był dobrym przyjacielem. Należał do tego rodzaju dzieci, które dzięki uśmiechowi i bystrości bez trudu radziły sobie z prawami dżungli, które panowały na placu zabaw. *C h a r y z m a t y c z n y*, to było właściwe określenie, gdyby tylko je wówczas znali. Luke szczerze obdarzał swoim czasem, żartami, swoją

własnością. Swoimi rodzicami. Każdy był mile widziany w gospodarstwie Hadlerów. Był lojalny niemal do przesady. Kiedy pewnego razu zbłąkana piłka uderzyła Falka w twarz, musiał odciągać Luke'a od chłopca, który ją kopnął. Falk, który w tamtym czasie był wysoki i niezgrabny, zawsze zdawał sobie sprawę, że miał szczęście, przyjaźniąc się z Lukiem.

Falk zaczął kręcić się nerwowo, kiedy ceremonia dobiegła końca.

– Scott Whitlam – powiedział Raco, kiwając głową w kierunku wysportowanego mężczyzny, który grzecznie uwolnił się od tłumu rodziców.

Whitlam podszedł do nich z wyciągniętą ręką.

– Przepraszam, że musieliście na mnie czekać – rzekł po tym, jak Raco przedstawił mu Falka. – W takich chwilach wszyscy czują potrzebę porozmawiać.

Whitlam miał niewiele ponad czterdzieści lat i poruszał się z łatwością byłego atlety. Był szeroki w ramionach i miał imponujący uśmiech. Spod jego kapelusza wystawały brązowe włosy.

– To była ładna uroczystość – rzekł Falk.

Whitlam spojrzał na sadzonkę.

– Była potrzebna. – Zniżył głos. – To drzewo za cholere nie przeżyje. Bóg jeden wie, co powiemy dzieciom, kiedy uschnie. W każdym razie... – skinął głową w kierunku budynku z jasnej cegły – ...tak jak prosiliście, zebraliśmy wszystkie rzeczy należące do Billy'ego i Karen. Obawiam się, że nie ma tego wiele, ale mam wszystko w swoim gabinecie.

Poszli za nim przez szkolny teren. Gdzieś w dali rozległ się dzwonek. Koniec dnia w szkole.

Z bliska budynki i sprzęt na placu zabaw robiły przygnębiające wrażenie. Farba schodziła z każdej powierzchni, a wyzierający spod niej metal był czerwony od rdzy. Plastikowa zjeżdżalnia popękała, na boisku do koszykówki znajdował się tylko jeden kosz. Wszędzie przezierały oznaki zubożenia miejscowej społeczności.

– Dotacje – skwitował Whitlam, widząc, że rozglądali się dookoła. – Nigdy nie są wystarczające.

Na tyłach szkoły, w drewnianej zagrodzie, mieszkało kilka smutnych owiec. Za ogrodzeniem teren gwałtownie przechodził w pokryte buszem wzgórze.

Jakiś nauczyciel podszedł, aby wyłowić liście z poidła dla owiec.

– Nadal uczycie umiejętności gospodarskich? – Falk pamiętał, jak sam sprawdzał to samo poidło.

– Trochę. Staramy się jednak, żeby to były lekkie zajęcia. Trochę zabawy dla dzieci. I tak wynoszą wystarczającą wiedzę o brutalnych realiach z własnych domów – odparł Whitlam.

– To twój przedmiot?

– Boże, nie, jestem pokornym mieszczuchem. Przeprowadziłem się z rodziną z Melbourne zaledwie półtora roku temu i dopiero uczę się, jak odróżnić jeden koniec krowy od drugiego. Moja żona chciała odetchnąć od miasta. – Urwał. – Dostaliśmy, co chcieliśmy.

Pchnął ciężkie drzwi na korytarz, w którym pachniało kanapkami. Na ścianach wisiły rysunki i malunki dzieci.

– Jezu, niektóre są przygnębiające – burknął pod nosem Raco.

Falk rozumiał, co miał na myśli. Rodzina chudych ludzików, w której na każdej twarzy namalowane kredką usta były wygięte w podkówkę. Obrazek krowy z anielskimi skrzydłami – „Toffee, moja krowa w niebie”, głosił podpis złożony niepewną ręką. Za każdym razem, kiedy jako temat pojawiał się krajobraz, pola były namalowane kolorem brązowym.

– Żebyście widzieli te, których nie powiesiliśmy... – rzucił Whitlam, zatrzymując się przy drzwiach gabinetu. – Ta susza wykończy całe miasteczko.

Wyciągnął z kieszeni imponujący plik kluczy i wpuścił ich do swojego gabinetu. Wskazał im krzesła, które również najlepsze dni miały już za sobą, i zniknął w drugim, mniejszym pomieszczeniu. Po chwili zjawił się ponownie, niosąc zaklejone kartonowe pudło.

– Wszystko jest w środku. Drobiazgi z biurka Karen, niektóre szkolne prace Billy’ego. W większości rysunki i arkusze ćwiczeń, nic więcej.

– Dzięki. – Raco odebrał od niego pudło.

– Brakuje nam ich. – Whitlam nachylił się nad swoim biurkiem. – Obojga. Nadal jesteśmy wstrząśnięci.

– Jak blisko współpracowałaś z Karen? – zapytał Falk.



– Dość blisko, mamy niewielki personel. Była świetna. Zajmowała się finansami i księgowością. I była w tym dobra. Właściwie to za dobra jak na tę pracę, ale myślę, że to jej odpowiadało, głównie ze względu na opiekę nad dziećmi.

Okno było uchylone i dolatywały ich dźwięki z boiska.

– Przepraszam, ale czy mogę zapytać, czemu tu jesteście? Myślałem, że śledztwo zostało zamknięte.

– Przepięstwo dotknęło trzech członków tej samej rodziny – odpowiedział Raco. – Niestety, takie sprawy bardzo trudno jest definitywnie zakończyć.

– Jasne. Oczywiście – Whitlam nie wyglądał na przekonanego. – Rzecz w tym, że jestem zobowiązany do zapewnienia uczniom i nauczycielom bezpieczeństwa, więc jeśli...

– Nie sugerujemy, że są jakieś powody do obaw, Scott – przerwał mu Raco. – Jeśli pojawi się coś, o czym powinieneś wiedzieć, damy ci znać.

– W porządku, wiadomość przyjęta – zgodził się Whitlam. – Czy mogę wam jakoś pomóc?

– Opowiedz nam o Karen.

Stukanie do drzwi było ciche, ale stanowcze. Whitlam uniósł wzrok znad biurka, kiedy drzwi się otworzyły. Wyrzała zza nich blond głowa.

– Scott, masz minutę?

Karen Hadler weszła do jego gabinetu. Nie uśmiechała się.

– Była u mnie dzień przed tym, jak ona i Billy zostali zabici – zaczął Whitlam. – Oczywiście była zamordowana.

– Dlaczego „oczywiście”? – zapytał Raco.

– Przepraszam, nie chciałem, żeby to zabrzmiało niestosownie. Ale sami widzieliście obrazki dzieci. Chodzi o to, że wszyscy się boją. Z dorosłymi jest nie inaczej. – Zamyślił się na chwilę. – Karen była cenionym członkiem naszego zespołu. Ale w ostatnich kilku tygodniach przejawiała nasilające się objawy stresu. Stała się drażliwa, co było dla niej dość nietypowe. Była też rozkojarzona. Popełniła też kilka błędów w rozliczeniach. Nic poważnego, wyłapaliśmy je. Ale to było do niej niepodobne. Zazwyczaj była niezwykle dokładna. Przyszła do mnie w tej sprawie.

Karen zamknęła za sobą drzwi. Wybrała krzesło najbliższej biurka Whitlana. Usiadła z wyprostowanymi plecami i skrzyżowanymi kostkami. Jej kopertowa sukienka była ładna, choć skromna. Miała delikatny wzorek przedstawiający białe jabłuszka na czerwonym tle. Karen należała do tych kobiet, których ładny wygląd w młodości rozmywał się z wiekiem i przechodzonymi ciężami i stawał się mniej wyraźny, ale na swój sposób równie atrakcyjny. Z łatwością można by obsadzić ją w roli podziwianej mamy z reklam w supermarketach. Każdy zaufałyby marce płatków śniadaniowych czy płynu do czyszczenia, które polecałyby Karen Hadler.

Teraz trzymała na kolanach niewielki plik dokumentów.

– Scott... – zaczęła, ale od razu urwała, a on czekał. Wzięła głęboki oddech. – Scott, jeśli mam być szczerą, nie byłam pewna, czy powinnam z tym do ciebie przychodzić. Mój mąż... – Karen patrzyła mu w oczy, ale Whitlam czuł, że się do tego zmuszała. – ...Luke... Widzisz, Luke nie byłby z tego zadowolony.

Raco pochylił się do przodu.

– Czy wyglądało na to, że obawiała się męża?

– Wtedy tak nie myślałem. – Whitlam przyłożył palce do nasady nosa. – Ale wiedząc, co wydarzyło się następnego dnia, odnoszę wrażenie, że nie wysłuchałem jej naleyście. Martwię się, że przeoczyłem jakieś sygnały. Zastanawiam się nad tym codziennie. Ale chcę jasno powiedzieć, że gdybym choć przez chwilę podejrzewał, że byli w niebezpieczeństwie, nigdy nie puściłbym ich do domu.

Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, Whitlam potwierdził wersję Sullivana.

Karen w zdenerwowaniu bawiła się obrączką.

– Pracujemy razem od jakiegoś czasu, rzekłabym nawet, że dobrze nam razem idzie. – Spojrzała na niego i Whitlam pokiwał głową. – Czuję, że muszę coś powiedzieć. – Znów zamilkła i wzięła głęboki oddech. – Wiem, że ostatnio były pewne problemy. Ze mną i z moją pracą. Kilka błędów tu i ówdzie.

– Może jeden czy dwa, nic wielkiego się nie stało, Karen. Jesteś dobrym pracownikiem, wszyscy to widzą.

Skinęła głową, spuszczaając wzrok. Kiedy ponownie na niego spojrzała, na jej twarzy malowała się determinacja.

– Dziękuję. Ale jest pewien problem, na który nie mogę przymykać oczu.

– Powiedziała, że farma idzie na dno – ciągnął opowieść Whitlam. – Karen uważała, że zostało im pół roku, może nawet mniej. Mówiła, że Luke w to nie wierzył. Najwyraźniej był przekonany, że wszystko się jeszcze obróci na dobre, ale Karen nie mogła sobie tego wyobrazić. Martwiła się. Prawdę mówiąc, przeprosiła mnie. –

Whitlam wydał cichy dźwięk świadczący o tym, że sam temu nie dowierzał. – Teraz wydaje mi się to absurdalne. Ale powiedziała, że przeprasza mnie za swoje rozkojarzenie. Poprosiła też, żebym nie wspominał Luke’owi o naszej rozmowie. Nie żebym zamierzał. Powiedziała, że byłby niezadowolony i mógłby pomyśleć, że rozgłasza to po miasteczku. – Whitlam przygryzł paznokieć kciuka. – Myślę, że potrzebowała zrzucić ten ciężar z piersi. Przyniosłem jej szklankę wody, posłuchałem przez chwilę. Zapewniłem ją, że jej posada nie jest zagrożona. Tego typu sprawy.

– Czy dobrze znałeś Luke’a Hadlera? – zapytał Falk.

– Niezbyt dobrze. Oczywiście spotkałem go parę razy. Na zebraniach dla rodziców. Widywałem go też od czasu do czasu w barze, ale raczej nie rozmawialiśmy. Jako rodzic był zaangażowany. Nie mogłem uwierzyć, kiedy odebrałem telefon z wiadomościami. To okropne stracić członka personelu, ale śmierć ucznia jest najgorszym koszmarem nauczyciela.

– Kto powiedział ci, co się stało? – kontynuował Falk.

– Ktoś z policji w Clyde zadzwonił do szkoły. Pewnie dlatego, że Billy był naszym uczniem. Było już dość późno, dochodziła dziewiętnasta. Miałem już iść do domu, ale zamiast tego siedziałem tutaj, starając się to przyswoić. Zastanawiałem się, co powiem dzieciom następnego dnia.

Wzruszył smutno ramionami.

– Nie ma właściwych słów. Billy i moja córka przyjaźnili się, wiedzieliście o tym? Chodzili do tej samej klasy. Dlatego to był dla mnie taki wstrząs, kiedy dowiedziałem się, że Billy również...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Raco.

– Tamtego popołudnia miał być u mnie w domu – odparł Whitlam, jakby to było oczywiste. Patrzył zdziwiony na puste twarze Raca i Falka. Zaskoczony, wyciągnął rękę. – Przepraszam, myślałem, że wiecie. Powiedziałem to policjantom z Clyde. Billy miał przyjść tamtego dnia bawić się z moją córką, ale Karen zadzwoniła do mojej żony i odwołała jego wizytę w ostatniej chwili. Powiedziała, że Billy nie czuje się najlepiej.

– Ale najwyraźniej na tyle dobrze, żeby posłać go do szkoły. Czy ty i twoja żona uwierzyliście jej?

Whitlam pokiwał głową.

– Tak. I dla jasności, nadal w to wierzymy. Wśród dzieci krążył jakiś niegroźny wirus. Mogła zdecydować, że chłopiec powinien położyć się wcześniej. Myślę, że był to jeden z tych smutnych zbiegów okoliczności. – Potarł oczy ręką. – Ale ta świadomość, jak niewiele brakowało, aby tego uniknąć... Boże, to daje podstawy do całej masy gdybania.

## Rozdział 12

– Wiedzielibyśmy o tym, gdybyśmy współpracowali z tymi z Clyde – powiedział Falk, kiedy wyszli. Pod pachą niósł pudło z rzeczami Billy’ego i Karen. Karton przylgnął do jego wilgotnej skóry.

– No cóż. Nic złego się nie stało. I tak się o tym dowiedzieliśmy.

– Koniec końców sam nie wiem. Może już czas, żeby ich poinformować.

Raco spojrzał na niego.

– Naprawdę uważasz, że mamy wystarczające dowody, żeby wykonać ten telefon?

Mając świadomość tego, jak zareagują?

Falk już miał odpowiedzieć, kiedy na placu zabaw rozległ się czyjś głos.

– Hej, Aaron! Poczekaj.

Falk obrócił się i zobaczył, że Gretchen Schoner biegnie w jego kierunku. Poczł, że jego nastrój odrobinę się poprawił. Tym razem Gretchen ubrana była już nie w strój pogrzebowy, ale w szorty i dopasowaną niebieską koszulę, której rękawy podwinęła do łokci. Falk pomyślał, że było jej w tym znacznie lepiej. Raco wziął od niego pudło.

– Spotkamy się w samochodzie – powiedział taktownie, uprzejmie kiwając Gretchen głową.

Zatrzymała się przed Falkiem i nasunęła okulary słoneczne na głowę. Falk zwrócił uwagę, że niebieski kolor koszuli wydobywał barwę jej oczu.

– Hej, co ty tutaj jeszcze robisz? Myślałam, że wyjechałeś. – Równocześnie marszczyła brew i uśmiechała się.

Mówiąc, dotknęła jego łokcia. Poczł się winny. Powinien był dać jej znać.

– Rozmawialiśmy ze Scottem Whitlamem – tłumaczył. – Dyrektorem szkoły.

– Wiem, kim jest Scott Whitlam. Jestem w radzie rodziców. Chodziło mi o to, co robisz w Kiewarze?

Falk spojrzał za Gretchen. Grupa mam obróciła głowy w ich kierunku, ich oczy przesłaniały ciemne okulary.

Falk wziął Gretchen za ramię i delikatnie obrócił ją tak, aby stanęli plecami do grupy.

– To dość skomplikowane. Hadlerowie poprosili mnie, żebym przyjrzał się temu, co przydarzyło się Luke'owi.

– Żartujesz. Dlaczego? Czy coś się pojawiło?

Falk poczuł silne pragnienie, aby opowiedzieć jej wszystko. O Ellie, o alibi, o kłamstwach. O poczuciu winy. Gretchen była częścią ich czteroosobowej paczki. Była siłą równoważącą: jasna w przeciwieństwie do ciemnej Ellie i spokojna w porównaniu z szalonym Lukiem. Zrozumiałaby. Ponad jej ramieniem matki nadal się im przyglądały.

– Chodzi o pieniądze – odpowiedział Falk z westchnieniem.

Przedstawił jej uproszczoną wersję podejrzeń Barb Hadler. Problemy z wierzycielami.

– Jezu. – Mrugnęła, przez chwilę przyswajając te informacje. – Sądysz, że coś w tym może być?

Falk wzruszył ramionami. Rozmowa z Whitlamem rzuciła nowe światło na tę możliwość.

– Zobaczymy. Ale wyświadcz mi przysługę i przynajmniej na razie zachowaj to dla siebie.

Gretchen zmarszczyła brwi.

– Na to może być już za późno. Rozeszła się wieść, że jacyś policjanci byli dziś u Jamiego Sullivana.

– Chryste, już? Jak to możliwe? – zapytał Falk, choć dobrze znał odpowiedź.

Im mniejsze miasteczko, tym szybciej roznoszą się plotki. Gretchen zignorowała to.

– Bądź ostrożny. – Wyciągnęła rękę, aby odpędzić muchę, która usiadła na ramieniu Falka. – Ludzie są teraz mocno nakręceny. Niewiele trzeba, żeby ktoś wybuchł.

Falk pokiwał głową.

– Dzięki. Zrozumiałem.

– A poza tym... – Gretchen urwała, bo obok nich przebiegła grupka chłopców pochłoniętych chaotyczną grą w piłkę. Waga wcześniejszej ceremonii unosiła się już z ich małych barków, ponieważ na horyzoncie pojawił się weekend. Osłoniła oczy dłonią i pomachała. Falk starał się wypatrzeć w grupie jej syna, ale mu się to nie udało. Kiedy ponownie spojrzął na Gretchen, przyglądała mu się. – Jak długo tu zostaniesz?

– Tydzień – Falk się zawahał. – Nie dłużej.

– Dobrze. – Jej usta uniosły się w kącikach dokładnie tak jak dwadzieścia lat temu.

Kiedy odchodziła pięć minut później, Falk trzymał w dłoni kawałek papieru, na którym widniał numer jej telefonu i wytyczne dotyczące spotkania następnego wieczoru – wszystko zapisane charakterystycznym pismem Gretchen.

– Nawiązujesz nowe przyjaźnie? – rzucił lekko Raco, kiedy Falk wszedł do samochodu.

– Raczej bardzo stare, dzięki – odparł, ale nie mógł przestać się uśmiechać.

– To co chcesz zrobić? – zapytał Raco, teraz już poważniej. Skinął w kierunku pudła na tylnym siedzeniu. – Chcesz zadzwonić do Clyde i pograć się po uszy, próbując przekonać ich, że nawalili, czy chcesz pojechać na posterunek i sprawdzić, co jest w pudle?

Falk patrzył na niego przez chwilę, wyobrażając sobie tę rozmowę telefoniczną.

– Zgoda. Na posterunek.

– Dobry wybór.

– Jedź już.

Posterunek policji mieścił się w niskim budynku z czerwonej cegły na odległym krańcu głównej ulicy w Kiewarze. Sklepy po obu stronach budynku zostały zamknięte na dobre, a ich witryny świeciły pustką. Po drugiej stronie ulicy sytuacja wyglądała podobnie. Tylko bar mleczny i sklep monopolowy cieszyły się prawdziwym ruchem.

– Chryste, ale tu jest martwo – wymruczał Falk.

– Na tym polegają problemy finansowe. Są zaraźliwe. Farmerzy nie mają gotówki, żeby wydawać ją w sklepach, sklepikarze plajtują i jest coraz więcej ludzi, którzy nie są siłą nabywczą. To jak domino.

Raco pociągnął za drzwi posterunku. Były zamknięte. Zaklął i wyciągnął klucze. Na drzwiach widniała kartka z godzinami pracy komisariatu: od poniedziałku do piątku, od dziewiątej do siedemnastej. Poza wyznaczonymi godzinami ofiary przestępstw miały próbować szczęścia w Clyde – tak w skrócie informował napis. Falk spojrzął na zegarek. Była szesnasta pięćdziesiąt jeden. Poniżej widniał dopisany długopisem numer komórkowy w razie nagłych wypadków. Falk domyślał się, że była to komórka Raca.

– Kończymy dziś szybciej? – zawołał wyraźnie zdenerwowany Raco, kiedy weszli do środka.

Recepcjonistka, która pomimo swoich sześćdziesięciu lat upierała się przy kruczoczarnym kolorze włosów młodej Elizabeth Taylor, uniosła wyzywająco podbródek.

– Byłam dziś wcześniej – odparła, usztywniając się za kontuarem.

Na ramię zarzuciła torebkę, zupełnie jakby to była broń. Raco przedstawił ją jako Deborah. Nie podała ręki.

W biurze za recepcją posterunkowy Evan Barnes ściskający w dłoni kluczyki do samochodu wyglądał jak przyłapany na gorącym uczynku.

– Dzień dobry, szefie – zagaił. – Już czas, prawda? – zapytał, siląc się na swobodny ton, i odstawił całe przedstawienie ze sprawdzaniem godziny na zegarku. – Och, faktycznie. Zostało jeszcze kilka minut.

Był postawnym mężczyzną o świeżej cerze i kręconych włosach, które sterczały w kępkach. Usiadł z powrotem przy biurku i zaczął przekładać papiery. Raco przewrócił oczami.

– Och, no dalej, już was tu nie ma – rzekł. – Miłego weekendu. Miejmy nadzieję, że to miasteczko nie spali się za minutę piąta, tak?

Deborah wyprostowała się, jak osoba od początku przekonana o własnej racji.

– Do zobaczenia – ostatnie słowa skierowała do Raca. W kierunku Falka skinęła tylko nieznacznie głową, zdecydowana, aby ani razu nie popatrzeć mu w oczy.



Falk poczuł, że gdzieś w jego piersi spłynęła zimna kropla zrozumienia. Deborah wiedziała. Nie był zdziwiony. Zakładając, że od urodzenia mieszkała w Kiewarze, była w odpowiednim wieku, by pamiętać Ellie Deacon. Było to przecież najbardziej dramatyczne zdarzenie w historii tego miasteczka, przynajmniej do czasu śmierci Hadlerów. Prawdopodobnie cmokała z dezaprobatą, czytając przy kawie gazetę, w której umieszczono czarno-białe zdjęcie Ellie. Plotkowała o tym z sąsiadkami. Być może znała jego ojca. Zanim się to stało, oczywiście. Później z pewnością przestała przyznawać się do znajomości z Falkami.

Jeszcze wiele godzin po tym, jak twarz Luke'a zniknęła z okna jego sypialni, Falk nie mógł zasnąć. Stale odtwarzał w głowie wydarzenia tego dnia. Ellie, rzeka, łowienie, kartka. „Luke i ja strzelaliśmy razem do królików”.

Czekał całą noc, ale kiedy w końcu rozległo się pukanie do drzwi, policjanci nie przyszli po niego. Falk w niemym przerażeniu przyglądał się, jak jego ojciec został zmuszony, żeby zmyć z rąk ślady pracy w polu i pójść z funkcjonariuszami na posterunek. Powiedzieli, że z kartki nie wynikało, o którego Falka chodzi, a młodszy, mając dopiero szesnaście lat, nadal w świetle prawa jest dzieckiem.

Erik Falk, smukły i spokojny mężczyzna, był przesłuchiwany na posterunku przez pięć godzin.

Czy znał Ellie Deacon? Tak, oczywiście, była dzieckiem sąsiadów. Przyjaciółką jego syna. Dziewczyną, która zaginęła.

Zapytano go o alibi na dzień jej śmierci. Przez większość popołudnia był poza domem, kupując zapasy. Wieczorem wpadł do pubu. Był widziany przez tuzin różnych osób w kilku miejscach. Jego alibi było mocne, ale nie niepodważalne. A zatem kontynuowano przesłuchanie. Tak, w przeszłości rozmawiał z dziewczyną. Kilkukrotnie? Tak. Wielokrotnie? Zapewne. I nie, nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego miała zapisane na kartce jego nazwisko przy dacie, która stała się dniem jej śmierci.

Ale nie tylko on nosił nazwisko Falk, prawda?, powiedzieli policjanci znacząco. I w tym momencie ojciec Aarona przestał udzielać odpowiedzi. Zaciął się w sobie i nie powiedział ani słowa więcej.

Zwolnili go i wtedy przyszła kolej na jego syna.

– Barnes został przysłany z Melbourne – powiedział Raco, kiedy Falk wszedł za nim do biura. Trzasnęły drzwi wejściowe i zostali na posterunku sami.

– Naprawdę? – zdziwił się Falk.

Barnes miał zdrowy wygląd odkarmionego na świeżym mleku wiejskiego chłopaka.

– No, ale jego rodzice mają farmę. Nie tu, gdzieś na zachodzie. Pewnie to sprawiło, że wydał się idealnym kandydatem na tę posadę. Naprawdę mi go żal, nie zdążył nawet zagrać sobie miejsca w mieście, zanim go tutaj przysłali. A tak między nami... – Raco spojrzął w kierunku zamkniętych drzwi posterunku, ale zmienił zdanie. – Zresztą

nieważne...

Falk domyślał się. Nie zdarzało się zbyt często, aby miejskie oddziały policji wysyłały swoich najlepszych ludzi jako wsparcie na prowincję, zwłaszcza do takich miejsc jak Kiewarra. Barnes z pewnością nie był najbystrzejszy. Wrodzony takt nie pozwalał jednak powiedzieć tego na głos, choć sprawa była jasna – na tym posterunku Raco był zdany tylko na siebie.

Postawili pudło z rzeczami Karen i Billy'ego na wolnym biurku i otworzyli je. Ponad ich głowami szemrały świetlówki. Przy oknie mucha z zapalem uderzała o szybę.

Aaron siedział na drewnianym krześle, pęcherz dokuczał mu z nerwów, ale trzymał się planu. Byłem z Lukiem Hadlerem. Strzelaliśmy do królików. Dwa, trafiliśmy dwa. Tak, Ellie jest – to znaczy była – moją przyjaciółką. Tak, widziałem ją tego dnia w szkole. Nie! Nie pokłóciliśmy się. Nawet się z nią później nie widziałem. Nie napadłem na nią. Byłem z Lukiem Hadlerem. Byłem z Lukiem Hadlerem. Strzelaliśmy do królików. Byłem z Lukiem Hadlerem.

Musieli go puścić.

Niektóre z plotek nabrały wówczas nowego kształtu. Być może nie było to morderstwo, ale samobójstwo. Popularna wersja wydarzeń mówiła o wrażliwej dziewczynie zwiedzionej przez młodego Falka. Inna znów o tym, że została wykorzystana przez jego ojca dziwaka. Kto miał to rozstrzygnąć? W każdym razie to było tak, jakby oni ją zabili. Plotki były szczerze podsycane przez ojca Ellie, Mała Deacona, aż z czasem urosły do kolosalnych rozmiarów. Nabrały własnego życia i nigdy nie ucichły.

Pewnej nocy ktoś wrzucił cegłę przez frontowe okno Falków. Dwa dni później ojciec Aarona nie został obsłużony w miejscowym sklepie. Musiał wyjść z pustymi rękami i płonącym wzrokiem, podczas gdy jego zakupy zostały na ladzie. Kolejnego popołudnia Aaron był śledzony w drodze ze szkoły do domu przez trzech mężczyzn w pikapie. Jechali za nim, a on pedałowal coraz szybciej i szybciej, chwiejąc się za każdym razem, kiedy ośmielił się spojrzeć przez ramię, a w uszach słyszał swój głośny oddech.

Raco sięgnął do pudła i wydobyl jego zawartość, kładąc przedmioty w rzędzie na biurku.

Był tam kubek na kawę, zszywacz podpisany korektorem „Karen”, ręcznie robiony na drutach sweter, niewielki flakonik perfum o nazwie Spring Fling oraz oprawione zdjęcie Billy'ego i Charlotte. Nie było tego wiele.

Falk otworzył ramkę i zajrzał za zdjęcie. Nic. Włożył je z powrotem. Po drugiej stronie biurka Raca ścignął zatyczkę z perfum i rozpylił je. W powietrzu uniosł się

lekki, cytrusowy zapach. Spodobał się Falkowi.

Przeszli do rzeczy Billy'ego: trzy rysunki samochodów, para małego obuwia sportowego, elementarz i pudełko kredek. Falk przewracał strony książki, nie wiedząc, czego szuka.

W tym czasie zorientował się, że ojciec zaczął mu się przyglądać. Z drugiej strony pokoju, przez okno, znad gazety. Aaron często czuł ten rodzaj łaskotania na szyi i obracał się. Czasem Erik odwracał wzrok, a czasem nie. Zamyślony i milczący. Aaron oczekiwał pytania, które nie nadchodziło.

Na próg ich domu podrzuciono martwego cielaka z gardłem poderżniętym tak głęboko, że łeb niemal odpadł. Następnego ranka ojciec i syn spakowali, co się dało, do ciężarówki. Aaron pośpiesznie pożegnał się z Gretchen, trochę dłużej z Lukiem. Nikt nie wspomniał o powodach jego wyjazdu. Kiedy opuszczali Kiewarrę, biały pikap Mała Deacona podążał za nimi jeszcze ponad sto kilometrów za miasteczkiem.

Nigdy nie wrócili.

– Karen kazała Billy'emu wrócić tamtego popołudnia do domu – odezwał się Falk. Myślał o tym cały czas, odkąd wyjechali ze szkoły. – Miał bawić się z koleżanką, a ona zatrzymała go w domu w dniu, kiedy został zabity. Myślisz, że to przypadek?

– Nie sądzę. – Raco potrząsnął głową.

– Ani ja.

– Ale jeśli miała jakieś przeczucia, co się stanie, z pewnością odesłałaby oboje dzieci jak najdalej od domu.

– Może coś podejrzewała, ale nie wiedziała co – powiedział Falk.

– Albo jak zły obrót to przybierze.

Falk podniósł kubek Karen i ponownie go odłożył. Sprawdził, czy coś nie zostało w rogach pudełka. Były puste.

– Miałem nadzieję na coś więcej – stwierdził Raco.

– Ja też.

Przez dłuższą chwilę przyglądali się rzeczom, a następnie jedna po drugiej odłożyli je do pudła.

## Rozdział 13

Kiedy Falk opuszczał posterunek, kakaadu hałasowały w koronach drzew. Nawoływały się nawzajem, tworząc ogłuszający chór, a wieczorne cienie stawały się coraz dłuższe. Powietrze było parne i strużka potu ściekała po plecach Falka.

Szedł główną ulicą, nie spiesząc się z powrotem do pokoju nad pubem. Było jeszcze wcześniej, ale przechodniów widział niewielu. Falk zaglądał w witryny pozamykanych sklepów, przyciskając czoło do szyby. Nadal pamiętał, co się w nich mieściło. Piekarnia. Księgarnia. Wiele zostało ogołoconych ze wszystkiego. Ciężko było powiedzieć, od jak dawna znajdowały się w takim stanie.

Przystanął przed sklepem z narzędziami, na którego wystawie umieszczono bawełniane koszule robocze. Siwy mężczyzna, który jedną z tych właśnie koszul miał pod fartuchem z plakietką z imieniem, trzymał rękę na wiszącej na drzwiach tabliczce z napisem OTWARTE. Jego dłoń zatrzymała się w półobrocie, kiedy dostrzegł Falka przyglądającego się towarom.

Falk przyjrzał się swojej koszuli. Była to ta sama co w dniu pogrzebu, do tego teraz aż sztywna od płukania w pokojowej umywalce. Przywarła do niego pod pachami. Wszedł do środka.

W ostrym świetle sklepowych lamp serdeczny uśmiech zamarł na twarzy sprzedawcy, kiedy chwilę później dotarło do niego, kim jest jego nowy klient. Wodził wzrokiem po pustym sklepie, w którym, jak przypuszczał Falk, sytuacja wyglądała tak samo przez cały dzień. Po chwili wahania uśmiech powrócił. Falkowi przyszło na myśl, że łatwiej jest mieć zasady, kiedy ma się pełną kasę. Sprzedawca zapoznał go

z ograniczonym asortymentem odzieży z takim oddaniem, jakby znajdowali się u ekskluzywnego męskiego krawca. Kupił trzy koszule, ponieważ mężczyzna był wdzięczny za gotowość kupienia choćby jednej.

Z powrotem na ulicy Falk wetknął sprawunki pod pachę i ruszył dalej. Nie miał daleko. Minął knajpkę specjalizującą się w jedzeniu na wynos, serwującą potrawy ze wszystkich zakątków świata, o ile tylko były smażone i nadawały się do trzymania w podgrzewaczu. Przychodnia. Apteka. Małeńka biblioteka. Sklep wielobranżowy, w którym można było dostać wszystko: od karmy dla zwierząt po kartki okolicznościowe. I już stał przed wejściem do Fleece. Tyle tego. Główne miejsce wypadowe mieszkańców Kiewarry. Spojrzał jeszcze raz na ulicę, zastanawiając się, czy nie przemierzyć jej ponownie, lecz nie wykrzesał w sobie entuzjazmu.

Przez okno pubu widział kilku mężczyzn gapiących się obojętnie w ekran telewizora. Na górze czekał na niego pusty pokój. Włożył rękę do kieszeni i dotknął kluczyków samochodu. Zanim się dobrze zorientował, był już w połowie drogi na farmę Luke'a Hadlera.

Słońce było już zdecydowanie niżej, kiedy Falk zaparkował przed domem Hadlerów, w tym samym miejscu co poprzednio. Żółta taśma policyjna nadal zwisała z drzwi. Tym razem Falk ominął dom i skierował się bezpośrednio do największej stodoły. Podniósł wzrok, żeby dostrzec małeńką kamerę zainstalowaną nad drzwiami. Wyglądała na tanią, ale funkcjonalną. Zrobiona z matowego szarego plastiku, z pojedynczym migającym czerwonym światłem, z łatwością mogła zostać niezauważona, jeśli się o niej nie wiedziało.

Falk wyobraził sobie, jak Luke montował ją, stojąc na drabinie, i ustawiał pod odpowiednim kątem. Skierował ją tak, aby uchwycić wejścia do stodół i szopy, gdzie znajdował się drogi sprzęt rolniczy. Dom i niewielki kawałek podjazdu znajdowały się w zasięgu kamery jedynie przez przypadek. Farma nie popadłaby w kłopoty, gdyby skradziono pięcioletni telewizor. Jeśli jednak łupem złodziei padłby filtr wodny znajdujący się w stodole, sprawy miałyby się zdecydowanie inaczej.

Jeśli tamtego dnia na farmie zjawiał się ktoś inny, czy wiedział o kamerze? Falk się zastanawiał. Czy możliwe, że osoba ta była już tu wcześniej i zdawała sobie sprawę z tego, że znajdzie się na nagraniu? Czy po prostu mordercy się poszczęściło?

Jeśli był to Luke, to wiedział, że numery jego tablic rejestracyjnych będą widoczne. Ale może po prostu było mu to już obojętne. Falk wyszedł na podwórko i obszedł dom od zewnątrz. Raco, zgodnie z tym, co powiedział, starannie zatroszczył się, aby zniechęcić ciekawskich. Wszystkie rolety były zaciągnięte, każde drzwi solidnie zamknięte. Nie było nic, co można by dojrzeć.

Falk potrzebował poukładać sobie to wszystko w głowie, zostawił więc dom i ruszył w pola przed siebie. Posesja leżała nad Kiewarra River i na horyzoncie widział zagajnik eukaliptusów wyznaczających pas nadrzeczny. Pomarańczowa kula letniego słońca wisiała nisko na niebie.

Bardzo często najlepsze pomysły przychodziły do Falka, kiedy chodził. Zazwyczaj szybkim krokiem przemierzał ulice wokół swojego miejskiego biura, wymijając turystów i tramwaje. Albo robił kilometry wokół ogrodu botanicznego lub zatoki, kiedy czuł się naprawdę skołowany.

Pamiętał, że kiedyś na polach czuł się zupełnie swobodnie, ale teraz było inaczej. Nadal miał mętlik w głowie. Wsłuchiwał się w rytm swoich kroków na twardej ziemi i ptasie nawoływania, które odbijały się echem wśród drzew. Ich pokrzykiwania wydawały się tutaj jakby głośniejsze.

Był już niedaleko granicy posesji, kiedy nagle zwolnił i zatrzymał się. Nie był pewien, co sprawiło, że się zawahał. Drzewa spowite cieniem stały przed nim w ciszy. Nic się nie poruszyło. Nieprzyjemne uczucie skradało się po plecach i szyi Falka. Nawet ptaki zamilkły. Czując się trochę głupio, obejrzał się przez ramię. Pola były zupełnie puste. W oddali malowało się pozbawione życia gospodarstwo Hadlerów. Zganił sam siebie, bo przecież obszedł je całe starannie. Nie było tam nikogo. Nikt nie został.

Obrócił się z powrotem w kierunku rzeki. W jego piersi nadal kotłowały się złe przeczucia. Odpowiedź nadeszła powoli, aby w końcu dotrzeć do niego niczym grzmot. W miejscu gdzie Falk znajdował się w tym momencie, powinien już słyszeć wodę. Charakterystyczny szmer rzeki torującej sobie drogę. Zamknął oczy, wsłuchując się, starając się wyłowić ten dźwięk, pragnąc, aby się zmaterializował. Była jednak tylko dziwna pustka. Otworzył oczy i zaczął biec.

Rzucił się między drzewa, torując sobie drogę przez szlak, nie zważając na smagnięcia przerośniętych gałęzi. Dobiegł nad rzekę, oddychając szybko, i zatrzymał się tuż nad brzegiem. Nie było takiej potrzeby.

Rozległa niegdyś rzeka teraz była zaledwie zakurzona blizną na powierzchni ziemi. Wyschnięte i jałowe koryto ciągnęło się w obu kierunkach, tworząc serpentyny, którymi zwykła płynąć woda. Zagłębienie w ziemi, drażone od stuleci, było teraz spękaną łataniną skał, spomiędzy których wyrastały paluszniki. Wzdłuż brzegów szare, powykręcane korzenie drzew przypominały pajęczyny.

Widok był straszny.

Usiłując zaakceptować to, co ukazało się jego oczom, Falk zszedł do wyschniętego koryta, ocierając ręce i kolana o spieczoną ziemię. Stał na środku martwej rzeki, na otwartej przestrzeni, gdzie lata temu szeroka wstęga wody zakrywała mu głowę.

W tej rzece Luke i on nurkowali każdego lata, pławiąc się w niej i rozkoszując jej chłodem. W jej toń wpatrywał się godzinami podczas słonecznych popołudni, kiedy linki wędek kołysały się hipnotycznie, a on czuł u swego boku solidną obecność ojca. Wody tej rzeki wdarły się do gardła Ellie Deacon, chciwie nacierając na jej ciało, aż w końcu zabrakło w nim miejsca dla niej samej.

Falk próbował wziąć głęboki oddech, ale powietrze w jego ustach było ciepłe i mdlące. Jego własna naiwność wydała mu się przejawem obłędu. Jak mógł wyobrazić sobie, że świeża woda płynie obok tych farm, gdzie na polach leżą padłe zwierzęta? Jak mógł głupio przytakiwać na dźwięk słowa *s u s z a* i nigdy nie uświadomić sobie, iż znaczy ono, że ta rzeka wyschła?

Nogi zaczęły się pod nim uginać, wzrok stracił ostrość, a kakadu wirowały wokół niego, w rozżarzone do czerwoności niebo posyłając rozdzierające dźwięki. Sam, w tej ogromnej suchej ranie, Falk zakrył twarz dłońmi i ten jeden jedyny raz wydobył z siebie krzyk.

## Rozdział 14

Przez dłuższy czas Falk siedział na brzegu rzeki, czekając, aż przejdzie mu odrętwienie. Ociężałe słońce sunęło w dół. W końcu zmusił się, żeby wstać. Niedługo miało się ściemnić. Wiedział, gdzie chciał pójść, ale nie był pewien, czy o zmierzchu znajdzie to miejsce.

Na drodze wiodącej na farmę Hadlerów obrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku. Dwadzieścia lat wcześniej była tu wąska ścieżka nad rzeką. Teraz Falk musiał polegać na swojej pamięci, przechodząc nad odsłoniętymi korzeniami i uschniętymi zaroślami.

Patrzył pod nogi, skupiony na tym, aby się nie zgubić. Bez wielkiej rzeki płynącej nieopodal w roli kierunkowskazu kilkakrotnie niemal zboczył ze ścieżki. Otoczenie uległo zmianie i znajome punkty odniesienia nie pojawiały się. Kiedy zaczynał już się martwić, że zaszedł za daleko, jego oczom ukazało się to, czego szukał. Poczł opanowującą go nagle ulgę. Znajdowało się niedaleko brzegu, niemal zupełnie zarośnięte. Kiedy torował sobie drogę przez chaszczę, poczuł przebłysk szczęścia i po raz pierwszy, odkąd przyjechał do Kiewarry, doświadczył uczucia powrotu do domu. Wyciągnął rękę. Nadal tam było, dokładnie takie, jak je zapamiętał.

Skalne drzewo.

– Cholera, gdzie one poleciały?

Ellie Deacon zmarszczyła brwi i lekko kopnęła czubkiem buta niewielką stertę liści.

– Są gdzieś na dole, słyszałem, jak uderzyły o ziemię.

Aaron obszedł skalne drzewo i przykucnął, przetrząsając liście w poszukiwaniu kluczy Ellie.

Przyglądała mu się spod przymkniętych powiek i bez przekonania obracała stopą niewielki kamyczek.



Falk przesunął dłonią po skalnym drzewie i uśmiechnął się, jakby robił to po raz pierwszy od wielu dni. Kiedy był nastolatkiem, to drzewo wydawało mu się cudem natury. Okazały eukaliptus rósł wciśnięty za wielki głaz, a jego pień owijał się wokół niego, łącząc oba w sękatym uścisku.

Kiedy Falk był młodszy, zupełnie nie mógł zrozumieć kompletnego braku zainteresowania innych tym drzewem. Każdego tygodnia wędrowcy mijali je, ledwie zwracając na nie uwagę, a dla innych dzieci było ono zaledwie dziwnym punktem orientacyjnym. Ale za każdym razem, kiedy on na nie patrzył, zastanawiał się, ile to lat musiało minąć, żeby skalne drzewo wyrosło. Milimetr po milimetrze. Dawało mu to uczucie, podobne do niekontrolowanego spadania, że jest zaledwie małym punkcikiem w czasie. I podobało mu się to. Dwadzieścia lat później patrzył na skalne drzewo i czuł dokładnie to samo.

Aaron był tamtego dnia sam z Ellie, co dla szesnastolatka było sytuacją, której równocześnie pragnął i się obawiał. Mówił bez przerwy, czym denerwował nawet samego siebie, ale rozmowa się rwała, napotykając rozmaite przeszkody. Kiedyś tak nie było, ale teraz stanowiło to normę w ich wzajemnych relacjach.

Aaron często znajdował się w sytuacji, kiedy desperacko zastanawiał się, co mógłby powiedzieć, co wywołałoby u Ellie inną reakcję niż uniesienie brwi czy skinienie głową. Od czasu do czasu udawało mu się trafić w sedno i wówczas koniuszek jej ust się unosił.

Uwielbiał te chwile. Zapamiętywał, co dokładnie wtedy powiedział, aby później się nad tym zastanowić. Miał nadzieję, że uda mu się odkryć prawidłowość, dzięki której mógłby stworzyć repertuar wypowiedzi tak błyskotliwych, że Ellie nie zdołałaby powstrzymać uśmiechu. Jak do tej pory jego trafienia były jednak rozczarowująco przypadkowe.

Większość popołudnia spędzili w cieniu skalnego drzewa, oparci o jego pień. Ellie wydawała się bardziej nieobecna niż zwykle. Dwukrotnie zapytał ją o coś, a ona w ogóle tego nie usłyszała. W końcu, w obawie, że zanudzi ją na śmierć, zaproponował, żeby poszukali Luke'a i Gretchen. Poczul ulgę, kiedy pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się, żebym w tym momencie mogła stawić czoła chaosowi – powiedziała. – Jest nam dobrze tylko we dwoje, prawda?

– No oczywiście. – Oczywiście, że było im dobrze. Starał się, żeby jego ton był lekki. – Jakie masz plany na wieczór?

Zrobiła minę.

– Pracuję.

Przez ostatni rok miała pracę na pół etatu, która polegała przede wszystkim na staniu z obojętną miną za sklepową kasą.

– Myślałem, że pracowałaś wczoraj?

– Sklep jest otwarty codziennie, Aaron.

– Wiem, ale...

Pracowała więcej niż zazwyczaj. Znikąd pojawiła się myśl, że go okłamuje. Natychmiast jednak uznał to za niedorzeczne. Po co miałyby to robić?

Patrzył, jak leniwie podrzuca klucze i łapie je w powietrzu. Jej połyskujące purpurą paznokcie odbijały popołudniowe słońce. Starał się zebrać na odwagę i przechwycić jej klucze. Mógłby podroczyć się z nią łagodnie, tak jak robił to Luke. A potem – cóż, Aaron nie miał pojęcia, co byłoby potem. Poczuł więc niemal ulgę, kiedy podrzuciła pęk za wysoko i ten przeleciał nad ich głowami.

Klucze odbiły się raz o kamień i usłyszeli metaliczny dźwięk, gdy upadały na ziemię.

Falk kucnął przed skalnym drzewem i parę razy zmieniał pozycję, zanim znalazł właściwy kąt. Cichy pomruk zdziwienia i zadowolenia zarazem wyrwał mu się, kiedy to w końcu dojrzał.

Szczelina.

– Hej, spójrz tylko na to – Aaron, kłęcząc, kiwał się w przód i w tył. Głęboka szczelina w sercu skalnego drzewa pojawiała się i znikwała wraz ze zmieniającym się kątem patrzenia. Nigdy wcześniej jej nie dostrzegł. Jedno małe miejsce, gdzie pień drzewa był wydrążony, ale nieprzesłonięty kamieniem. Złudzenie optyczne. Otwór był widoczny tylko pod jednym, konkretnym kątem.

Aaron spojrzał w martwą przestrzeń. Była wystarczająco duża, żeby włożył tam dłoń, ramię, głowę – jeśli tylko chciał. Zamiast tego zobaczył to, czego szukał, leżące tuż przy wejściu. Z tryumfem sięgnął po klucze Ellie.

Falk zajrzał w szczelinę, ale widział tylko jej wejście. Znalazł mały kamyk i wrzucił go do środka, słuchając, jak się obija. Nic nie wybiegło ani nie wypełzło...

Zawahał się, ale podwinął rękaw wysoko i zanurzył rękę w ciemną przestrzeń. Opuszki palców natrafiły na przedmiot – niewielki i zdecydowanie niebędący wytworem natury – i zagarnęły go. Coś, czego nie widział, przebiegło przez jego nadgarstek – przestraszony, szarpnął rękę gwałtownie. Wyprostował się, śmiejąc się z mocnego bicia serca.

Otworzył dłoń i leżący na niej przedmiot od razu wydał mu się znajomy. Była to niewielka metalowa zapalniczka. Poturbowana, nadwyręzona przez warunki atmosferyczne, z nadal działającym zamknięciem. Falk uśmiechnął się, obracając ją do góry dnem, ponieważ wiedział, co tam znajdzie. Na spodzie widniały zapisane wcześniejszą wersją jego charakteru pisma inicjały: A.F.

Ponieważ nigdy nie rozsmakował się w paleniu, miał zapalniczkę głównie dla

szpanu, a niedługo przed opuszczeniem Kiewarry zdecydował, że woli ją tu schować, niż narazić się na to, że ojciec go z nią przyłapie. Falk uniósł zamknięcie, ale nie odważył się jej zapalić. Nie w tych warunkach. Potarł dłonią o metal i rozważał, czy nie wrzucić zapalniczki do kieszeni. Ale miał wrażenie, że ona należała już do tego miejsca, do innego czasu. Po chwili ponownie sięgnął do dziury i odłożył ją tam z powrotem.

Elli przykucnęła, a jej dłonie na ramionach Aarona były gorące, kiedy złapała się go, aby nie stracić równowagi. Była na tyle blisko, że mógł dostrzec warstwę tuszu pokrywającą poszczególne rzęsy. Zmrużyła oczy i zajrzała do wewnątrz. Jej ramiona boleśnie napierały na jego, a ona niepewnie sięgnęła, aby wyczuć wielkość szczeliny.

– To jest super – powiedziała ze śmiertelną powagą. Ciężko było stwierdzić, czy uważała tak naprawdę.

– Znalazłem twoje klucze – rzekł Aaron, podając jej zgubę.

Obróciła się do niego. Stali twarzą w twarz. Widział czarne drobinki rozmytego makijażu w kącikach jej oczu. Ostatnio zaczęła stronić od alkoholu i z bliska jej skóra była czysta i gładka.

– Faktycznie. Dziękuję, Aaron.

– Nie ma za co, Ellie. – Uśmiechnął się.

Czuł jej oddech na policzku. Nie był pewien, czy poruszył głowę, czy tylko miał taki zamiar, ale nagle jej twarz przybliżyła się i Ellie zaczęła go całować, mocno przyciskając swoje różowe wargi do jego ust. Słodko klejące się, z nieco sztuczną wiśniową nutą. Rzeczywistość przerosła jego wyobrażenia, więc naparł na nią, chcąc jeszcze więcej, rozkoszując się tą najczystsza radością.

Położył dłoń na jej połyskliwych włosach, ale kiedy przesunął ją delikatnie w kierunku szyi, Ellie głośno nabrała powietrza, zatrzymując swoje usta nad jego ustami, i odsunęła się. Ciężko usiadła na ziemi i przyłożyła palce najpierw do warg, a następnie do włosów. Aaron zamarł, ciągle kucając, z ustami nadal pełnymi jej smaku, i poczuł, jak napętnia go groza. Elli patrzyła na niego.

– Przepraszam, Ellie. Ja...

– Nie, to ja przepraszam. Nie chciałam...

– ...bardzo przepraszam. To moja wina. Myślałem, że chcesz...

– Aaron, nie, naprawdę, wszystko w porządku. Po prostu...

– Co?

– Zaskoczyłeś mnie.

– Och. W porządku?

– Tak. – Otworzyła jeszcze usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale cisza przeciągała się.

Przez jedną chwilę, w której jego serce przestało bić, myślał, że widzi łzy w jej oczach, ale kiedy mrugnęła, nie było po nich ani śladu.

Aaron wstał i podał jej rękę, aby pomóc jej wstać z ziemi. Przez moment obawiał się, że może jej nie przyjąć, ale ona wsunęła swoją dłoń w jego i dźwignęła się do góry. Odsunął się o krok, chcąc dać jej przestrzeń.

– Przepraszam – powtórzył.

– Proszę, nie mów tak.

– Okej. Wszystko między nami dobrze?

Ku jego zaskoczeniu zrobiła jeden mały krok w jego kierunku, zmniejszając dzielący ich dystans. Zanim się zorientował, jej usta na krótką chwilę delikatnie przywarły do jego ust.

– Wszystko dobrze. – Odsunęła się szybko. – Powiedziałam ci. Po prostu mnie zaskoczyłeś.

Zanim umysł Aarona przyswoił sobie całą sytuację, było już po wszystkim. Ellie strzepywała ziemię z dżinsów.

– Lepiej już pójdę. Ale dzięki. – Nie popatrzyła na niego. – Dzięki za znalezienie kluczy.

Pokiwał głową.

– Hej – powiedziała, obracając się, żeby odejść. – Nie mówmy o tym nikomu. Niech to będzie nasza tajemnica.

– Chodzi ci o...? O szczelinę czy...

Roześmiała się.

– O szczelinę. – Spojrzała na niego znad ramienia. – Ale może o to drugie też. Przynajmniej na razie. Oba kąci jej ust uniosły się lekko.

Aaron nie był do końca pewien, ale to był chyba jego dobry dzień.

Falk nigdy nikomu nie powiedział o tej szczelinie. Ani o pocałunku. Był niemal pewien, że Ellie również tego nie zrobiła. Zwłaszcza że nie zostało jej dużo czasu na dotrzymanie sekretów. Trzy tygodnie później, dwadzieścia metrów od miejsca, w którym teraz stał Falk, wyciągnięto z rzeki jej blade ciało. Nigdy więcej tu nie przyszedł po tym, jak ją znaleziono. Nie miał wielu sposobności, nawet gdyby chciał. W ciągu miesiąca on i jego ojciec byli już pięćset kilometrów stąd, w Melbourne.

Zawsze cieszył się, że on i Ellie odkryli tę szparę, kiedy byli tylko we dwoje. Było przecież mnóstwo okazji, kiedy byli młodszy i w trójkę z Lukiem spędzali pod skalnym drzewem naprawdę dużo czasu. Ale wówczas to automatycznie stałoby się odkryciem Luke'a i przeszłoby na jego wyłączną własność, kiedy około dwunastego roku życia ich trio rozpadło się wzdłuż granicy wyznaczonej przez płęć.

Żadne z nich nie zauważyło tej zmiany, dopóki nie było za późno. Ellie powoli wsiąkała w obcy świat dziewczyn, spódnic, czystych rąk i rozmów, podczas których Luke i Aaron czuli się zupełnie zagubieni. Był to powolny proces, aż któregoś dnia Aaron zorientował się, że są tylko we dwóch z Lukiem i że tak jest już od miesięcy. Nie przejęli się tym. Była w końcu tylko dziewczyną. Pewnie tak było nawet lepiej.

Ellie zniknęła z ich myśli z łatwością, która teraz wydawała się Falkowi zdumiewająca, ale nie mógł sobie przypomnieć, żeby przez kolejne trzy lata pomyślał

o niej choćby raz. Musiał widywać ją od czasu do czasu, nie dało się tego uniknąć. Ale gdy w wieku piętnastu lat znów pojawiła się w jego życiu, było to jak ponowne jej narodziny – w pełni ukształtowana, wzbudzająca zainteresowanie i ciągnąca za sobą powiew tajemnicy.

Dla Aarona i Luke'a była to kolejna sobota, spędzona na oparciu ławki w parku Centenary. Stopy trzymali na siedzeniu jak prawdziwi buntownicy, ale kątem oka wyglądali miejscowych policjantów jak małomiasteczkowi chłopcy.

Chrzęst żwiru, ruch cieni i Ellie Deacon zjawiła się przed nimi jakby znikąd. Jej włosy były teraz nienaturalnie kruczoczarne, a ich rozdwojone końcówki sięgały jej niemal do połowy pleców. W pomarańczowym świetle parkowych lamp słabo połyskiwały. Była sama.

Przechadzała się. W obcisłych dżinsach, celowo przytartych butach, z ramiączkami koronkowego stanika wystającymi zza szerokiego dekoltu bluzki. Spojrzała umalowanymi oczami na chłopców, którzy patrzyli na nią z lekko otwartymi ustami. Ellie uniosła brew na widok puszkę ciepłego piwa, którą pili na spółkę, i sięgnęła do swojej torebki ze sztucznej skóry, by wyciągnąć z niej prawie pełną butelkę wódki.

– Znajdzie się jeszcze jedno miejsce? – zapytała.

Niemal pospadali z ławki, rozsuwając się, żeby wpuścić ją między siebie. Wódka sprawiła, że lata rozłąki zniknęły: po opróżnieniu większości butelki znów byli trójką przyjaciół.

Ale pewne zmiany w dynamice ich przyjaźni wyznaczały nowe, nieodkryte tereny. Ich rozmowy ponownie stały się ekscytujące. Chłopcy niekiedy nadal spędzali czas tylko we dwóch, lecz Aaron wkrótce zorientował się, że dokładał starań, aby Luke i Ellie nie spędzali czasu sam na sam. Nigdy nie rozmawiał o tym z Lukiem, ale ponieważ jego własne próby widywania Ellie na osobności prawie zawsze były niweczone, domyślał się, że przyjaciel prowadził podobną grę. W ich wzajemnych relacjach coś nieznacznie, ale definitywnie się zmieniło i żadne z nich nie było pewne, w jakim to właściwie miejscu się teraz znajdowali.

Ellie tak naprawdę nigdy nie wytłumaczyła im, czemu do nich wróciła. Kiedy Aaron raz ją o to zapytał, przewróciła oczami.

– Banda suk – odparła. – Interesują się tylko swoim odbiciem w lustrze. Wy

przynajmniej nie zastanawiacie się, czy nie psuję wam stylu. – Zapaliła papierosa i posłała mu szczerze spojrzenie, jakby to tłumaczyło wszystko. I może faktycznie tak właśnie było.

Niedługo potem ich na nowo odkryta przyjaźń przeszła pierwszą poważną próbę. Niespodziewanie pojawiła się ona ze strony Gretchen Schoner.

Nawet w Kiewarze istniała hierarchia towarzyska, a Gretchen była osobką najczęściej widywaną w akcie potrząsania złotymi lokami i śmiejącą się w gronie wielbicieli. Aaron i Ellie byli więc szczerze zaskoczeni, kiedy pewnego wieczoru Luke zjawił się w parku, trzymając rękę na ramieniu tej właśnie dziewczyny.

Nie tak dawno Luke wystrzelił w górę, przerastając większość kolegów o głowę, a jego ramiona i klatka piersiowa zdecydowanie zmężniały. Tamtej nocy w cieniu parku, kiedy włosy Gretchen opadały miękką falą na rękaw kurtki Luke'a, Aaron po raz pierwszy dostrzegł, że jego przyjaciel wyglądem przypominał dorosłego mężczyznę.

Gretchen czerwieniła się i chichotała, kiedy ich sobie przedstawiał. Luke złowił spojrzenie Aarona nad czubkiem głowy dziewczyny i znacząco mrugnął. Aaron skinął mu głową – był pod wrażeniem. Gretchen Schoner mogła spędzać sobotni wieczór w tysiącu innych miejsc, a mimo to była tu, u boku Luke'a.

Ponieważ w przeszłości Aaron właściwie nie miał sposobności, aby zamienić z Gretchen choćby kilka słów, był pozytywnie zaskoczony. Okazała się czarująca i niespodziewanie bystra. Z łatwością nawiązała z nim kontakt i chwilę później Aaron już się śmiał. Zrozumiał, czemu ludzie zabiegali o jej towarzystwo. Promieniowała energią, w której wszyscy chcieli się pławić.

W pewnym momencie Ellie odkaszlnęła i Aaron z przerażeniem uświadomił sobie, że zupełnie o niej zapomniał. Kiedy się obrócił w jej stronę, na twarzy przyjaciółki malowała się lekka pogarda, ale nie zdziwienie, zupełnie jakby on i Luke nie zdali egzaminu, którego i tak nie mieli zdać. Jego spojrzenie przeskoczyło z uśmiechu Gretchen do zimnego wyrazu twarzy Ellie, wyraźne sygnały ostrzegawcze aż kłuły w oczy, ale było już za późno... Zwrócił się ku Luke'owi, w jego twarzy szukając wsparcia. Jednakże Luke przyglądał się całej sytuacji rozbawiony i zaciekawiony. Przez pełną napięcia chwilę nikt się nie odzywał.

Nagle Gretchen posłała ciemnowłosej dziewczynie porozumiewawczy uśmiech

i poczyniła niewiarygodnie wredną uwagę pod adresem byłych przyjaciółek Ellie. Nastąpiła cisza, po której Ellie parsknęła śmiechem. Gretchen przypieczętowała ich znajomość, częstując wszystkich swoimi papierosami. Na parkowej ławce zrobiono dla niej miejsce – tej nocy, jak i każdego sobotniego wieczoru przez następny rok.

– Jezu, ona jest jak kąpiel w różowych bąbelkach... – szepnęła Aaronowi Ellie któregoś wieczoru niedługo potem, ale mówiąc to, nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Wszyscy śmiali się z jej opowieści o starszym chłopaku, który poprosił ją o chodzenie, wycinając słowa w zbożu, rujnując tym samym całe pole swojego ojca. Teraz ona i Luke byli pogrążeni w rozmowie, a ich głowy były tak blisko, że niemal się stykały. Gretchen roześmiała się i spuściła wzrok, kiedy Luke wyszeptał jej coś na ucho, czego Aaron nie dosłyszał. Obrócił się z powrotem do Ellie.

– Możemy pójść sobie stąd we dwoje, jeśli ona ci przeszkadza – powiedział. – Nie musimy tutaj siedzieć.

Ellie przyglądała mu się przez chwilę w oparach papierosowego dymu, a potem potrząsnęła głową.

– Nie. Ona jest w porządku – odparła. – Trochę ptasi mózdzek, ale jest niegroźna.

– Okej. – Aaron westchnął cicho i przyjął zaproponowanego mu papierosa. Obrócił się, żeby go zapalić, i zobaczył, jak Luke objął Gretchen ramieniem i nachylił się, żeby szybko ją pocałować. Kiedy usiadł, spojrzał ponad głowę Gretchen w ich stronę. Ellie, która nieobecny spojrzeniem przyglądała się rozżarzonemu koniuszkowi papierosa, nie zareagowała. Mimo że trwało to niezwykle krótko, Aaron dostrzegł grymas na twarzy Luke'a. Zrozumiał, iż nie tylko on był trochę zawiedziony, że dziewczyny zdawały się ze sobą dogadywać.

## Rozdział 15

Falk opierał się o pień skalnego drzewa, patrząc na zakurzone koryto rzeki. Dom Hadlerów, przed którym zaparkował samochód, znajdował się w dole ścieżki po lewej stronie. Po prawej ledwie widać było zarośnięty teraz szlak wiodący z dala od rzeki w głąb buszu. W ciągu dwudziestu lat niemal zupełnie zniknął, ale dla Falka był niczym tatuaż na powierzchni ziemi. Szedł nim tysiące razy. Stał przez dłuższą chwilę, kłócąc się z samym sobą. W końcu ruszył w prawo. Jak tysiące razy wcześniej. Jeden raz więcej nie mógł zaszkodzić.

Dojście do końca szlaku zajęło mu zaledwie kilka minut, ale kiedy Falk wyszedł spomiędzy drzew, niebo zabarwiło się już na głębokie indygo. Po drugiej stronie pola szara sylwetka domu majaczyła w zapadającym zmroku. Falk ruszył na skróty przez pole, tak jak zawsze. Zbliżając się, zwolnił kroku, aż w końcu zatrzymał się dwadzieścia metrów od budynku. Patrzył na dom, w którym upłynęło jego dzieciństwo.

Drzwi na ganku, niegdyś żółte, pomalowane zostały na nijaki niebieski odcień, jak zauważył Falk, czując coś na kształt oburzenia. Farba łuszczyła się tak, że mógł dostrzec przebląski żółci pod spodem, przebijające niczym nabrzmiałe blizny. Drewniane schody, na których bawił się zabawkami i kartami z piłkarzami, zapadły się ze starości. Poniżej, na kępie trawy, leżała puszka po piwie.

Musiał zwalczyć nagłą potrzebę podniesienia jej i poszukania kosza na śmieci. Pomalowania drewnianych ścian. Naprawienia schodów. Tymczasem stał w bezruchu. Wszystkie okna były ciemne, oprócz jednego, przez które emanowała niebieska



telewizyjna poświata.

Falk poczuł gwałtowną tęsknotę za tym, jak mogło wyglądać jego życie. Widział wysoką sylwetkę swojego ojca, stojącego w drzwiach i rozjaśnianego od tyłu przez światła domu, jak woła go, żeby skończył zabawę i wracał. Czas na kolację, Aaron. Kąpiel i do łóżka. Natychmiast, synu. Czas do domu. Jego ojciec prawie nie wspominał o matce Aarona, ale kiedy syn był młodszy, lubił udawać, że wyczuwał w domu jej obecność. Przesuwał palcami po przedmiotach, których z pewnością dotykała – po kurkach przy kuchennym zlewie, po umywalce w łazience, po zasłonach – i wyobrażał ją sobie w tym samym miejscu.

Falk wiedział, że byli tu kiedyś szczęśliwi. Przynajmniej on i jego ojciec. Kiedy patrzył teraz na ten dom, widział linię dzielącą jego życie. Znacznik przełomu, po którym wszystko usytuowało się „przed” lub „po”. Wezbrał w nim gniew, po części na samego siebie. Nie wiedział, po co tu przyszedł. Cofnął się o krok. To po prostu kolejny wymagający remontu budynek. Nie zostało tutaj nic ani po nim, ani po jego ojcu.

Zamierzał już odejść, kiedy drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Wyszła przez nie kobieta – jej przysadzista sylwetka była podświetlona przez blask telewizora. Brązowe włosy bez połysku miała związane w przykrapnięty kucyk, a boczki wylewały się jej ze spodni. Jej czerwono-fioletowa twarz przemawiała za tym, że kobieta balansuje na granicy poważnego problemu z alkoholem. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko, mierzając Falka w ciszy zimnym spojrzeniem.

– Pomóc ci w czymś? – Wypuściła z ust dym, przymykając oczy.

– Nie, ja... – Zatrzymał się, karcąc się w duchu. Powinien był wcześniej wymyślić jakąś wymówkę, coś, co usprawiedliwiłoby wystawanie w nocy pod oknami nieznajomych. Przyglądał się wyrazowi jej twarzy. Była w nim odrobina podejrzliwości, ale nic nie wskazywało na to, że rozpoznała Falka. To mu pomogło. Przez krótką chwilę rozważał powiedzenie jej prawdy, ale szybko zrezygnował. Zawsze mógł wyciągnąć odznakę. Zamierzał zrobić to, tylko jeśli zostanie do tego zmuszony. Policjant w Falku czuł się zażenowany, stojąc przed tym domem. – Przepraszam – odparł tymczasem. – Znałem kiedyś ludzi, którzy tutaj mieszkali.

Kobieta nic na to nie odpowiedziała, tylko ponownie zaciągnęła się papierosem.

Wolną ręką sięgnęła za siebie i z rozmysłem wyciągnęła materiał spodenek, który wrzynał jej się między pośladki. Ani na chwilę nie spuszczała swoich zmrużonych oczu z Falka.

– Tutaj mieszkamy tylko ja i mój stary. Od pięciu lat. A wcześniej, przez ponad piętnaście lat, mieszkała tu jego matka.

– Tyle właśnie czasu minęło – odrzekł Falk. – Chodziło mi o ludzi, którzy mieszkali tu przed nią.

– Nie ma ich – odparła głosem osoby zmuszonej stwierdzać oczywistość. Włożyła do ust palec wskazujący i kciuk, żeby ściągnąć z języka kawałek tytoniu.

– Wiem.

– Więc? – Dobre pytanie. Falk sam nie był pewien odpowiedzi. Kobieta obróciła się, słysząc dźwięki dochodzące z głębi domu. Otworzyła siatkowe drzwi na tyle szeroko, aby wsadzić za nie głowę. – Tak, skarbie! – usłyszał Falk. – Już się tym zajmuję. W porządku. Nikt, nikt. Wracaj do środka. Nie, tylko wróćże do środka! –

Kobieta odczekała chwilę i ponownie wyszła z twarzą jeszcze bardziej czerwoną, a do tego wykrzywioną. Odwróciła się do Falka i zeszła z ganku, ruszając w jego stronę. Zatrzymała się kilka metrów przed nim. – Lepiej idź już stąd, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre. – Jej ton był spokojny, lecz wrogi. – Stary wypił kilka piw i nie będzie zadowolony, jeśli będzie musiał tu przyjść, jasne? Nie mamy nic wspólnego z tym, co się tutaj wcześniej stało. Rozumiesz? Nigdy nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Jego matka też nie. Więc zabieraj swoją cholerną legitkę prasową, spray, torbę z psim gównem czy co tam masz i odwal się, dobra?

– Przepraszam. – Falk zrobił duży krok w tył, pokazując dłonie w polubownym geście. – Nie chciałem cię zdenerwować. Żadnego z was.

– No cóż, ale zdenerwowałeś. To jest nasz dom, jasne? Kupiony i zapłacony. I nikt nie będzie nas nachodził, do cholery! Minęło dwadzieścia lat! I jeszcze się wam, dupki, nie znudziło?

– Zgoda, zgoda. Już sobie idę...

Zrobiła krok do przodu, jedną ręką wskazując dom, w drugiej zaś trzymając komórkę.

– Żebyś wiedział. Albo zadzwonię, i to nie po policję... Mój stary i jego koleś

będą zachwyceni, dając ci popalić. Słyszysz? Spadaj! – Wzięła głęboki oddech i teraz już mówiła głośniej. – Możesz to powiedzieć, komu chcesz. Nie mamy nic wspólnego z tymi, co tu mieszkali. Nic nas nie łączy z tymi świrami!

Jej słowa niosły się po polach. Przez chwilę Falk stał jak wryty. Nic nie mówiąc, odwrócił się i odszedł.

Nie obejrzał się za siebie ani razu.

## Rozdział 16

Falk dostrzegł blond włosy Gretchen wśród tłumu w pubie i poczuł wdzięczność do siebie samego, że mimo pokusy nie odwołał ich spotkania.

Po tym jak został przegnany spod swojego starego domu, poszedł prosto do samochodu, wsiadł do niego i siedział w nim długo, powstrzymując się przed natychmiastowym powrotem do Melbourne. Po ciężkiej nocy spędził cały dzień w swoim pokoju, ślęcząc nad dokumentami zabranymi z farmy Hadlerów. Było to bezowocne zajęcie, ale Falk pracował metodycznie, od czasu do czasu notując coś, co zwróciło jego uwagę. Przysiąc, skupić się i wykonać robotę. Opuszczał swój pokój tylko po coś do zjedzenia, nie zwracał uwagi na weekendowy ruch na ulicach i po chwili wahania wyciszył telefon, widząc, że dzwonił Gerry. Falk dotrzyma swojej obietnicy, ale to nie znaczy, że będzie o tym rozmawiał.

Teraz, siedząc w pubie, po raz pierwszy w ciągu dnia nie spieszyło mu się już tak z powrotem. Gretchen znalazła go przy stoliku w kącie z mocno naciągniętym na twarz kapeluszem. Ona znów była ubrana na czarno, ale tym razem w krótką sukienkę, której materiał ocierał się o jej nogi, kiedy szła. Wyglądała w niej o wiele lepiej niż w stroju na pogrzebie. Kilka głów w sobotnim tłumie obróciło się za nią. Nie tyle, co za czasów liceum, zauważył Falk, ale nadal sporo.

– Ładnie wyglądasz – skomplementował ją.

Gretchen wyglądała na zadowoloną i pocałowała go w policzek, kiedy wstawał, żeby przynieść im coś do picia. Pachniała przyjemnie jakąś kwiatową nutą.

– Dzięki. Ty też. Podoba mi się ta koszula. Awangardowy styl prosto z Kiewarry. –

Wskazała na jego najnowszy nabytek, a on wyszczerzył się w uśmiechu. – Czy to był jedyny wolny stolik, czy się ukrywasz?

– Ukrywam się. Coś w tym stylu. – Mimo wszystko się uśmiechnął. – Wczoraj wieczorem poszedłem do mojego starego domu.

Uniosła brwi.

– I?

– Niezupełnie tego się spodziewałem.

– Tak to bywa.

Podszedł do baru, gdzie brodaty barman nalał mu kufel piwa i kieliszek lekko podejrzanego białego wina. Kiedy wrócił, Gretchen uniosła kieliszek.

– Zdrowie! Pamiętasz, jak nie mogliśmy się doczekać, żeby nas tutaj obsługiwali? Przez wszystkie te wieczory w parku, kiedy piliśmy wszystko, co nam wpadło w ręce? – Jej niebieskie oczy rozszerzyły się w udawanym zdziwieniu, kiedy wskazywała ręką na otoczenie. – Tylko popatrz. Marzenia się spełniają.

Falk roześmiał się, a ich spojrzenia spotkały się, kiedy oboje wspominali dawne dni. Falk zdawał sobie sprawę, że okraszona sporą ilością błyszczący do ust długonoga młodość Gretchen była dla niej głębszym źródłem radości niż dla większości z nich. Ale gdy patrzył na nią teraz, ubraną w tę sukienkę, uderzyła go myśl, że być może te lata przed śmiercią Ellie, śmiercią, która zmieniła wszystko, były jej najszczęśliwszymi. Miał nadzieję, że nie była to prawda. Miał nadzieję, że dostała od życia więcej. Mimowolnie zmarszczył brwi i czar chwili przysł.

Gretchen pochyliła się w jego stronę.

– Słuchaj, powinieneś o tym wiedzieć. Wyszło szydło z worka. Całe miasteczko mówi o tym, że węszysz w sprawie Hadlerów. Ty i ten sierżant.

– To nic oficjalnego.

– I sądzisz, że to coś zmienia?

Falk musiał przyznać jej rację.

– Jakie odczucia przeważają?

– Zależy, kogo pytasz. Niektórzy sądzą, że w końcu coś się ruszyło. Inni, że ze wszystkich ludzi ty najlepiej powinieneś wiedzieć, że nie należy wtykać nosa w nie swoje sprawy. – Ściszyła głos. – A wszyscy srają w gacie na myśl, że zabił ich ktoś

inny.

Falk poczuł się nagle winny z powodu tylu nieodebranych połączeń od Gerry'ego Hadlera. Postanowił, że zadzwoni do niego z samego rana.

– A co ty o tym myślisz? – zapytał zaciekawiony.

– Myślę, że powinieneś być ostrożny – odpowiedziała, bawiąc się nóżką kieliszka.

– Nie zrozum mnie źle. Byłabym zachwycona, wiedząc, że Luke tego nie zrobił.

– A myślisz, że tak?

Zmarszczyła brwi. Zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Nie wiem. Nie mogłam w to uwierzyć, kiedy się dowiedziałam. Ale byłam w szoku, że coś takiego w ogóle miało miejsce. Z tego, co do nas dotarło, wynikało, że sprawa jest prosta. Wiesz, nawet nie przyszło mi do głowy zastanawiać się, czy Luke był za to odpowiedzialny, czy nie?

– Podobnie jak większości ludzi. Mnie również nie.

Posłała mu krzywy uśmiech.

– Nie powiedziałabym tego nikomu oprócz ciebie, ale po części jest to wina samego Luke'a. Bo był strasznym dupkiem.

Poniżej pola połyskiwały w srebrnej poświacie księżycy, a nieliczne domy wyglądały jak smugi na krajobrazie. Czwórka przyjaciół siedziała na skalistym wypiętrzeniu, machając nogami zwieszonymi nad krawędzią. Luke jako pierwszy przeszedł przez ogrodzenie, kopiąc przy okazji znak „Zakaz wstępu”. Aaron z irytacją zauważył, że Luke rozmyślnie nie golił się od kilku dni i na jego podbródku ukazał się cień zarostu. Teraz widać go było jeszcze wyraźniej, kiedy Luke w świetle księżycy stał na skraju przepaści i z rozłożonymi rękami podziwiał widok.

Aaron czuł, jak mu się przewraca w żołądku na widok niezabezpieczonego zbocza, ale przeszedł przez płot, nie patrząc na pozostałych. Ellie była tuż za nim. Luke odstawił całe przedstawienie z pomaganiem Gretchen, która wcale tej pomocy nie potrzebowała. Mimo to przyjęła jego wyciągnięte ramiona z uśmiechem. Teraz siedzieli, rozmawiając i śmiejąc się, rozgrzani dzięki zawartości podawanej z rąk do rąk butelki. Tylko Ellie potrząsała głową, kiedy była jej kolej. Podpuszczali się nawzajem, kto wychylił się dalej, żeby spojrzeć w przepaść. Pełni bzdur i przechwałek. Straszni, ale nie przestraszeni.

Falk nieznacznie uniósł brwi, ale nie zaprzeczył.

– Jest wielka różnica między dupkiem, nawet strasznym, a mordercą – powiedział, na co Gretchen przytaknęła.

– Słuchaj, ja nie mówię, że on to zrobił. Ale czy był do tego zdolny? – Gretchen

rozejrzała się po pubie, jakby Luke mógł zmaterializować się i ją usłyszeć. – To zupełnie inna kwestia.

Kątem oka Aaron widział, jak Luke obejmuje Gretchen w pasie. Jak pochyla się, żeby szepnąć jej coś do ucha, a Gretchen spuszcza wzrok z udawaną skromnością – jej rzęsy rzucały niebieskie cienie na policzki.

Aaron czuł obecność Ellie przy sobie, ale się nie poruszył. Był to pierwszy raz, kiedy się spotkali, odkąd tydzień wcześniej pocałowali się pod skalnym drzewem, i czuł się bardzo niepewnie. Powiedziała, że pracowała każdego wieczoru w poprzednim tygodniu. Aaron tylko raz w tym czasie pozwolił sobie zajrzeć do sklepu. Pomachała mu zza kasy, ale nie było to miejsce, gdzie mogliby porozmawiać.

W drodze nad urwisko specjalnie ociągał się, mając nadzieję, że zyska w ten sposób kilka minut sam na sam z Ellie, ale Luke nie opuszczał go na krok, doprowadzając tym do szaleństwa. Nic nie wskazywało też na to, żeby Ellie myślała o tym, co stało się pod drzewem. Kiedy dotarli wreszcie na miejsce, Aaron zaczął mieć wrażenie, że wszystko to sobie wyobraził.

Szli po ścieżce, Aaron ledwo słuchał, jak Luke głośno coś opowiadał. Nagle Ellie obróciła się i spojrzała na Aarona nad głową Luke'a. Wywróciła oczami w przesadzonej udręce. I uśmiechnęła się. Najprawdziwszy, znaczący, sekretny uśmiech, przeznaczony tylko dla niego.

Unoszony przez to przyjemne wspomnienie, Aaron zdecydował się w końcu przysunąć bliżej Ellie. Obrócił się i w tym ruchu zamarł. Nad przepaścią światło było słabe, lecz wystarczające, aby mógł zobaczyć coś bardzo wyraźnie. Oczy Ellie i ich spojrzenie skupione na Luke'u Hadlerze szepczącym coś na ucho Gretchen.

– Luke potrafił być taki samolubny – powiedziała Gretchen. Przesunęła palcem po mokrym śladzie od kieliszka na blacie, niszcząc jego okrągły kształt. – Zawsze stawiał się na pierwszym, drugim i trzecim miejscu jednocześnie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Czyż nie? Przecież nie tylko mnie się tak wydawało. – Wyglądała na zadowoloną, kiedy Falk przytaknął. – Przepraszam – rzekła po chwili. – Mam problem z odróżnieniem Luke'a, którego kiedyś znałam, od tego, o którym opowiadają ludzie. Przynajmniej tego, którego myślałam, że znałam.

– Zawsze sądziłem, że kiedy byliśmy młodzi, Luke był bardzo bezpośredni – wyznał Falk. – Bardzo otwarty. Mówił, co myślał. Nie zawsze mogło się to podobać, ale przynajmniej było wiadomo, na czym się stoi.

– A teraz co myślisz?

– Nie wiem. Jego popisy doprowadzały mnie do szaleństwa, ale zawsze sądziłem, że pod warstwą tego wszystkiego Luke jest jednym z tych dobrych.

– Cóż, miejmy taką nadzieję. – Gretchen wywróciła oczami. – Nie chciałabym myśleć, że nie był tego wart.

– Co masz na myśli?

– Och, nic. – Wyglądała na zawstydzoną. – Same głupoty. Miałam na myśli to, że w ogóle się z nim zaprzyjaźniłam. I z tobą, i z Ellie. To zmieniło wiele w moim życiu. Dzieciaki, których wcześniej nawet nie zauważałam, zaczęły unikać mnie po śmierci Ellie. Jakby znajomość z nią mnie napiętnowała. Ale to były głupie nastoletnie problemy w porównaniu ze wszystkim innym. Nic, czym należało się martwić.

Nie udało jej się uniknąć nuty melancholii w głosie. Falk pomyślał o rozlicznych kręgach jej znajomych, które zaczęły się kurczyć, kiedy przystała do ich nieszczęsnej paczki. Po raz pierwszy zaświtało mu w głowie, że bez niego i bez Ellie złotowłosa Gretchen mogła być tu samotna. Nigdy wcześniej nie rozważał takiej możliwości. Wyciągnął rękę, aby dotknąć jej ramienia.

– Przepraszam, że nie starałem się utrzymać kontaktu. Nie chodziło o to, że mi nie zależało, tylko... – urwał. – Nie myślałem. Powinienem był włożyć w to więcej wysiłku.

Gretchen uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nieważne. Wcale nie byłam lepsza. To wina wieku i hormonów. Wszyscy byliśmy tacy głupi.

Luke wstał i przeciągnął się przesadnie.

– Idę się odlać – oświadczył. Jego zęby błyszcząły w cieniu. – Nie naróbcie sobie kłopotów pod moją nieobecność.

Zniknął za krzakami, a pozostała trójka usiadła ramię w ramię. Aaron i Gretchen podawali sobie nawzajem butelkę i on słyszał, jak nucila coś cicho i niezbyt melodyjnie. Po jego drugiej stronie Ellie wpatrywała się intensywnie w horyzont.

Cisza i spokój zostały przerwane przez głośny łomot i donośny krzyk. Echo rozniosło go w mroku. Trójka przyjaciół popatrzyła po sobie – ich twarze osrebrzone przez księżyc, wystraszone. Wtem Aaron zerwał się i biegł na chwiejnych od wódki nogach w kierunku, skąd dobiegł dźwięk. Dziewczyny zostały w tyle i słyszał za sobą chrapliwy, spanikowany oddech którejś z nich. Gwałtownie zatrzymał się tuż nad urwiskiem. Zarośla były porwane i zgniecione, gałęzie niedaleko krawędzi połamane.

– Luke! – Gretchen zjawiała się u jego boku i krzyknęła w pustkę.

Jej głos odbił się od skał i wrócił zwielokrotniony. Żadnej odpowiedzi. Aaron na czworakach doczołgał się na sam skraj. Spojrzał w dół, bojąc się tego, co mógł zobaczyć. Spadek miał ponad sto metrów. W ciemności nie było widać dna.



– Luke! Stary! Słyszysz mnie? – wrzasnął.

Gretchen płakała, jej twarz była w kompletnym nieładzie. Ellie przyszła za nią, okrążając krzaki. Przyszła, nie przybiegła. Aaron słyszał w uszach swój oddech niczym ogłuszający ryk. Trzeźwe spojrzenie Ellie powędrowało na zdeptane zarośla. Obróciła się, żeby przyjrzeć się krzakom za nimi, jej wzrok ślizgał się po cieniach drzew. Podchodząc do przepaści, spojrzała raz w dół. Popatrzyła Aaronowi prosto w oczy i nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Dupek udaje.

Obróciła się, strzepując jakiś niewidoczny pyłek z paznokcia.

– Zastanawiałem się, czy ty i Luke będziecie dalej razem – powiedział Falk. – Był skupiony na sobie, ale zawsze miał do ciebie prawdziwą słabość.

Śmiech Gretchen zabrzmiał ironicznie.

– Zostać z nim i być popychadłem w spektaklu Luke’a dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu? Nie, dziękuję. – Westchnęła. Złośliwość zniknęła z jej głosu. – Spotykaliśmy się jeszcze przez kilka lat po twoim wyjeździe. Wtedy to wydawało się poważne, ale tak naprawdę to była dziecinada. Myślę, że w głębi serca oboje próbowaliśmy nie dopuścić do ostatecznego rozpadu naszej czwórki. To musiało się skończyć. Oczywiście.

– Ciężki był ten koniec?

– Och, nie. – Spojrzała na niego, siląc się na uśmiech. – Nieszczególnie. Nie gorszy niż zazwyczaj. Po prostu z tego wyrosliśmy. On się ożenił, ja urodziłam Lachiego. Poza tym Luke nigdy nie był dla mnie właściwym mężczyzną. – Mrugnęła. – Chodzi mi o to, że nie był nim, nawet zanim wydarzyła się ta cała sprawa z Karen i Billym. Na chwilę zapadła niezręczna cisza. – Czyli Luke nie opowiadał ci o mnie? Już po tym, jak wyjechałeś? – Swobodny ton Gretchen nie był w stanie ukryć jej ciekawości.

Falk zawahał się.

– Jeśli tylko mogliśmy tego uniknąć, nie rozmawialiśmy o Kiewarze. To było takie nasze milczące postanowienie. Oczywiście pytałem o ciebie. Mówił, że masz się dobrze, że widuje się z tobą od czasu do czasu. Coś w tym stylu, ale... – urwał, starając się nie urazić jej uczuć.

W rzeczywistości Luke prawie nigdy o niej nie wspominał niezapytany. Falk był zdziwiony, słysząc, że spotykali się dłużej niż kilka miesięcy. Luke zawsze mówił o ich związku jako o czymś, co szybko się skończyło.

– Byłam dość zaskoczona, że koniec końców Luke został w Kiewarze – stwierdziła Gretchen. – Przez jakiś czas po twoim wyjeździe mówił tylko o tym, żeby się stąd wynieść. Planował ruszyć do Melbourne i studiować inżynierię. Pracować przy wielkich przedsięwzięciach.

– Naprawdę? – Falk słyszał o tym po raz pierwszy. Luke nigdy o tym nie wspominał. Nigdy też nie poprosił go o pomoc, referencje potrzebne w znalezieniu pracy ani o nocleg w mieście. – I dlaczego tego nie zrobił?

Gretchen wzruszyła ramionami.

– Podejrzewam, że ze względu na Karen. Ale tak naprawdę zawsze było ciężko domyślić się, czego chciał Luke – urwała. Przesunęła kieliszek po blacie stołu. – Wiesz, wydaje mi się, że gdyby Ellie żyła, Luke byłby z nią. Ona była bardziej w jego typie niż ja. Pewnie nawet bardziej niż Karen, jeśli już o tym mówimy.

Falk napił się, rozważając, czy była to prawda.

Gretchen wpadła w histerię. Była cała czerwona, a jej jasne włosy zupełnie mokre od potu. Falk zrozumiał, że była bardziej pijana, niż na to wyglądało. Jemu samemu kręciło się w głowie. Co chwila podchodził nad urwisko i wołał Luke'a.

– Przystaniesz w końcu tam łązić? – zawołała Ellie, kiedy po raz trzeci niemal stracił równowagę. – Jeśli spadniesz, wtedy dopiero będziemy mieć powód do zmartwień.

Aaron chciał być tak spokojny jak ona. Na początku tliła się w nim nadzieja, że Ellie miała rację i Luke tylko ich podpuszcza. Ale minuty mijały, a on stawał się coraz mniej tego pewny. Luke wiedział, jak się poruszać, ale te urwiska były nieprzewidywalne. Mówiono im to wielokrotnie, ostrzegano, aby trzymali się z daleka. Nie raz. Alkohol, który wypili, przewracał mu się w żołądku. Może Ellie miała rację, ale co jeśli...? Przed oczami stanęły mu twarze Gerry'ego i Barb i nie był w stanie dokończyć rozpoczętej myśli.

– Musimy iść. Na litość boską, Gretchen, zamknij się! Musimy iść po pomoc – stwierdził zdecydowanie.

Ellie skwitowała to wzruszeniem ramion. Stała dokładnie na krawędzi urwiska. Długo patrzyła w dół, po czym cofnęła się. Uniosła nieznacznie brodę.

– Słyszałeś, Luke? – zawołała dźwięcznym głosem, który odbijał się od skał. – Idziemy na dół. Wszyscy narobili w gacie ze strachu. Masz ostatnią szansę.

Aaron miał wrażenie, że wszystko zamarło, kiedy wstrzymał oddech i czekał. Żaden głos nie przerwał ciszy.

– W porządku – zawołała Ellie. – Sam tego chciałeś. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Jej oskarżycielski ton rozległ się poniżej, w dolinie.

Aaron wpatrywał się przez chwilę w jej zimne spojrzenie, po czym złapał Gretchen za rękę i zaczęli zbiegać ścieżką.

– Czasem wydaje mi się, że byłeś jedyną osobą, wobec której Luke zachowywał się lojalnie – powiedziała Gretchen. – To jak wstawił się za tobą po śmierci Ellie. Nieźle mu się za to oberwało po twoim wyjeździe. Rozmaici ludzie naciskali, żeby zmienił swoje zeznania, żeby cię wystawił. – Opróżniła kieliszek, patrząc na Falka znad jego brzegu. – Nigdy by tego nie zrobił.

Falk wziął głęboki oddech. Teraz jest odpowiedni moment, żeby jej powiedzieć.

„Luke kłamał. Ty kłamałeś”.

– Słuchaj Gretchen, jeśli o to chodzi...

– Naprawdę miałeś szczęście – przerwała mu, zniżając głos. – Miałeś szczęście, począwszy od tego, że byłeś z nim wtedy. Ale ilość krytyki, jaka po tym wszystkim na niego spadła... Naprawdę byłoby mu łatwiej odpuścić i zmienić śpiewkę. Wydaje mi się, że bez Luke'a policjanci z Clyde z przyjemnością zwaliliby to na ciebie.

– Wiem. Ale posłuchaj, Gretch...

Rozejrzała się po pubie. Kilka przyglądających się im osób spuściło wzrok.

– Zrozum, Luke upierał się przy swoim, upierał się przy tym, żeby cię bronić. Przez dwadzieścia lat – mówiła coraz ciszej. – To praktycznie jedyne, co dzieli cię od całego mnóstwa kłopotów. Posłuchaj mojej rady i nie wychylaj się. Na twoim miejscu postarałabym się, żeby wszystko zostało, jak jest.

Kiedy już na dole zaczęli obchodzić wzgórze, Aaron nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dopiero po chwili wszystko do niego dotarło. Luke cały i zdrowy leżał wygodnie na kamieniu, na jego twarzy malował się uśmiech, a w dłoni trzymał papierosa.

– Hej – roześmiał się. – Co wam zajęło tyle czasu, wy...

Nie skończył, bo Aaron rzucił się na niego.

– Jezu, Gretchen, o czym ty mówisz – odparł Falk, siląc się na lekki ton. Ale jej przekaz był jasny. Nie zadawaj pytań, nie mów za wiele. – Dlaczego miałyby być inaczej?

Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym Gretchen oparła się wygodniej o krzesło i uśmiechnęła się do niego.

– To dobrze. Mówiłam bez powodu. Wolałam się upewnić, że zachowujesz się rozsądnie. Lepiej dmuchać na zimne.

Podniosła kieliszek, lecz ten był pusty, odstawiła więc go na stół. Falk opróżnił swój kufel i poszedł do baru po następne drinki.

– Skoro wszyscy byli przekonani o mojej winie – rzekł po powrocie – jestem zdumiony, że nie przepędzili również Luke’a.

Gretchen przyjęła od niego kieliszek, ale uśmiech zgasł na jej ustach.

– Niektórzy próbowali. Przynajmniej na początku – odpowiedziała. – Nawet bardzo. Ale sam wiesz, jaki był Luke. Stawił temu czoła. Nie wahał się, był pewny. W końcu się z tym jakoś pogodzili. Właściwie nie było innego wyjścia. – Ponownie rozejrzała się po pubie. Tym razem przyglądało im się mniej osób. – Zrozum, większość ludzi w głębi serca wie, że Ellie popełniła samobójstwo. Była szesnastolatką, która potrzebowała wsparcia, ale go nie dostała. Wszyscy po trochu ponosimy za to winę. A ludzie nie lubią mieć poczucia winy, poza tym to twoje nazwisko na tej kartce... Nigdy tak naprawdę tego nie wyjaśniono... – urwała, unosząc lekko brwi.

Falk nieznacznie pokręcił głową. On również nie znał powodu – ani wówczas, ani teraz. Łamał sobie nad tym głowę całymi latami. Odtwarzał w myślach swoją ostatnią rozmowę z Ellie, próbując rozszyfrować tę wiadomość, doszukać się w niej znaczenia. Dla niej zawsze był Aaronem, nie Falkiem. Co działo się w jej głowie, kiedy to pisała? Czasem nie wiedział nawet, co przeszkadzało mu bardziej: kłopoty, których mu przysporzyła, czy to, że nigdy nie dowiedział się, dlaczego to napisała.

– Cóż – kontynuowała Gretchen. – Właściwie to nie ma znaczenia. To jedynie dowód na to, że myślała o tobie niedługo przed śmiercią, a dla kogoś, kto szuka winnego, to wystarczy. Czy ci się to podoba, czy nie, Luke był kimś w naszej społeczności. Wyrósł na jednego z jej przywódców, a chociaż są niezbędni, nie ma ich wielu. Myślę, że większość po prostu zdecydowała się o tym nie myśleć. – Wzruszyła ramionami. – Z tego samego powodu wszyscy znoszą takich kretynów jak Dow czy Deacon. To jest Kiewarra. Jest ciężko. Ale wszyscy tkwimy w tym razem. Ty wyjechałeś, Luke został. Winę przypisano tobie.

Aaron rzucił się na Luke’a, a ten się odsunął.

– Uważaj – powiedział, kiedy Aaron złapał go za ramiona. Zatoczyli się, spadając na ziemię. Upadli z hukiem, papieros wypadł z dłoni Luke’a. Ellie zgasła go butem.

– Uważaj na iskry, dobra? Udało ci się ich nastraszyć, postaraj się przynajmniej nie puścić nas z dymem.

Aaron, napierając swoją wagą na Luke'a, poczuł, jak ten zeszywniał, słysząc jej ton. Takim głosem zwracała się do zwierząt gospodarczych.

– Jezu, Ellie, co cię ugryzło? Nagle przestałaś znać się na żartach? – Beztroska brawura Luke'a tym razem mu nie pomogła. Aaron wyczuwał alkohol w zapachu jego potu.

– Nikt ci nie powiedział? – odcięła się Ellie. – Żarty z zasady mają być śmieszne.

– Chryste, co się z tobą ostatnio dzieje? Nie lubisz się napić, nie lubisz się pośmiać. Rzadko gdzieś wychodzisz, cały czas pracujesz w tym głupim sklepie. Zrobiłaś się taka nudna. Ellie, może ty i Aaron powinniście się zacząć spotykać, mielibyśmy to z głowy. Idealnie byście do siebie pasowali.

Nudna... Kiedy wybrzmiało to słowo, Aaron poczuł, jakby Luke go uderzył. Patrzył na przyjaciela, niedowierzając, następnie chwycił go za koszulę i pchnął tak mocno, że głowa Luke'a głośno uderzyła o ziemię. Odsunął się – jego oddech był urywany i sam sobie nie ufał.

Ellie spojrzała na Luke'a leżącego w kurzu, a na jej twarzy malowało się coś gorszego niż gniew. Litość. Wokół wszystko trwało w bezruchu.

– Tak właśnie myślisz? – Stała nad nim. – Sądzisz, że twoi przyjaciele są nudni, ponieważ są wobec ciebie lojalni? Ponieważ od czasu do czasu wykazują się rozsądkiem? Jesteś żalony, Luke. Uważasz, że możesz wykorzystywać ludzi dla własnej rozrywki.

– Odczep się, wcale tak nie myślę.

– Właśnie że tak – Ellie nie przestawała mówić. – Robisz to nam wszystkim. Mnie. Aaronowi. Swojej dziewczynie. Wydaje ci się to normalne, żeby straszyć ludzi, którym na tobie zależy? Żeby napuszczać ludzi na siebie nawzajem? – Potrząsnęła głową. – Dla ciebie to tylko wielka gra. To jest w tobie najbardziej przerażające.

Żadne z nich nie odezwało się przez dłuższą chwilę. Słowa Ellie zawisły między nimi niczym mgła, w której czwórka przyjaciół unikała swoich spojrzeń. Ellie poruszyła się jako pierwsza, obracając się gwałtownie. Nie oglądając się na pozostałych, ruszyła przed siebie. Luke i Aaron patrzyli na nią, leżąc na ziemi, po czym zerwali się na równe nogi. Aaron nadal nie był w stanie spojrzeć na Luke'a.

– Suka – usłyszał wyzwisko wymamrotane przez Luke'a pod nosem.

– Hej, nie nazywaj jej tak – zaoponował Aaron.

Przed nimi Ellie nie dała po sobie poznać, czy ich słyszała, czy nie, i nadal szła równym krokiem. Luke obrócił się i objął Gretchen, która zdławiła szloch.

– Przepraszam, że cię trochę nastraszyłem, skarbie. Wiesz przecież, że to tylko na żarty, prawda? – Pochylił głowę i cmoknął ją w policzek. Jego połyskująca od potu twarz była czerwona od gniewu. – Ale zgoda... może posunąłem się za daleko. Powiedziałem rzeczy, których nie powinienem był mówić. Możliwe, że jestem wam winien przeprosiny. – Lecz z jego tonu wynikało, że nie przywiązywał najmniejszej wagi do tych słów.

– Z całą pewnością jesteś im coś winien – głos Ellie doleciał do nich w nocnym powietrzu.

Nigdy więcej żadne z nich nie wspominało tej kłótni, ale atmosfera stała się ciężka niczym upał. Ellie odzywała się do Luke'a tylko wtedy, kiedy było to konieczne, za każdym razem przybierając uprzejmy, acz zdystansowany ton. Aaron, zawstydzony w obecności Ellie i wkurzony na Luke'a, wycofał się jeszcze bardziej. Gretchen znalazła się między młotem a kowadłem, Luke zaś udawał, że nic się nie zmieniło.

Aaron powtarzał sobie, że cała sprawa rozejdzie się po kościach, ale tak naprawdę wcale nie był tego pewien. Rysy na ich przyjaźni okazały się głębsze, niż przypuszczał. Nigdy nie miał się dowiedzieć, czy miał rację. Ellie pozostało jeszcze zaledwie dwa tygodnie życia.

Gretchen sięgnęła ponad porysowanym blatem stolika, aby dotknąć palców Falka. Gwar pubu przycichł. Miała spracowane ręce. Jej paznokcie były niepomalowane, choć czyste, a opuszki jej palców wydawały się szorstkie na jego skórze.

Falk wiedział, że Ellie myliła się co do niej. Gretchen nigdy nie miała pustoty w głowie. Była silna i zdeterminowana. Została i stawiała czoła konsekwencjom. Zbudowała swoje życie w społeczności, w której inni – w tym on sam, a teraz wszystko wskazywało na to, że również Luke Hadler – nie dali sobie rady. Gretchen była twarda. Umiała walczyć. A teraz uśmiechała się do niego.

– Wiem, że nie było łatwo ci tutaj przyjechać, ale naprawdę dobrze znów cię zobaczyć – powiedziała. – Jako jedyny z nas wszystkich miałeś odrobinę oleju w głowie. Żałuję... – urwała. Wzruszyła ramionami. Opalony bark naciągnął ramiączko jej sukienki. – Żałuję, że nie mogłeś zostać. Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Patrzyli na siebie, aż Falk poczuł, że zaczyna mu się robić naprawdę gorąco. Nadal myślał, co mógłby odpowiedzieć Gretchen, kiedy stanął przed nim mężczyzna.

## Rozdział 17

Grant Dow z hukiem postawił między nimi do połowy pełny kufel. Miał na sobie te same szorty i ten sam podkoszulek z reklamą balijskiego piwa co poprzedniego dnia. Falk jęknął.

– Myślałem, że masz zakaz – rzekł, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie neutralnie.

– W moim przypadku jest to raczej niezobowiązująca sugestia.

Falk poszukał wzrokiem barmana, który patrzył z malującą się na twarzy rezygnacją. Falk uniósł brwi, ale barman tylko wzruszył ramionami. Co począć? Po drugiej stronie stolika Gretchen pochwyciła jego spojrzenie i nieznacznie pokręciła głową. Kiedy odezwała się, jej ton był pogodny.

– Czego chcesz, Grant?

– Powiem ci, czego ty powinnaś chcieć, Gretch. Powinnaś ostrożniej wybierać sobie towarzystwo. – Falk zauważył, że Dow miał w sobie coś z arogancji Mالا Deacona, ale podczas gdy jego wuj w swej złości był zimny jak gład, w jego żyłach płynęła gorąca krew. Z bliska na twarzy Dowa można było dostrzec plątaninę popękanych naczynek, świadczącą o nadciśnieniu. – Dziewczyny, które zadają się z tym gościem, kończą martwe.

Koledzy Dowa zarechotali za jego plecami o ułamek sekundy za późno. Falk nie był pewien, czy to ci sami, co poprzedniego wieczoru. Wszyscy oni wyglądali jednakowo. Barman przestał obsługiwać klientów i całą uwagę poświęcił kontrolowaniu sytuacji przy stoliku Falka.

– Dzięki, Grant. Ale jestem już dużą dziewczynką. Potrafię sama podejmować decyzje – odparła Gretchen. – Jeśli powiedziałeś już, co miałeś powiedzieć, zajmij się sobą, a nam pozwól się zająć naszymi sprawami.

Dow roześmiał się, ukazując zaniedbane zęby. Jego piwny oddech uderzył Falka w twarz.

– Nie wątpię, Gretch – odrzekł, mrugając do niej. – Jeśli wolno mi zauważyć, wyjątkowo wystroiłaś się na dzisiejszą okazję. Zwykle nie widzimy cię tutaj w kieckach. – Przeniósł swoje spojrzenie na Falka. – To wszystko dla ciebie, dupku. Mam nadzieję, że to doceniasz.

Gretchen oblała się rumieńcem i unikała spojrzenia Falka. On zaś wstał i zrobił jeden pojedynczy krok w kierunku Dowa. Ryzykował, zakładając, że osiłek będzie wolał uniknąć zamieszania związanego z aresztowaniem, niż wymierzyć mu cios. Miał nadzieję, że założenie to było słuszne. Falk był świadomy swoich umiejętności i wiedział, że bójki barowe się do nich nie zaliczają.

– O co ci chodzi, Grant? – zapytał spokojnie Falk.

– Tak się składa – odparł Dow – że źle wczoraj zaczęliśmy. Przyszedłem więc, by dać ci szansę, żebyś mógł nam to wynagrodzić.

– Co wynagrodzić?

– Dobrze wiesz co.

Mierzyli się wzrokiem. Grant Dow był starszy, od zawsze większy i silniejszy. Całe życie o krok od wybuchu gniewu, co sprawiało, że ludzie na jego widok przechodzili na drugą stronę ulicy. A teraz był do tego też grubszy i roztaczał wokół siebie nikłą woń nadciągających poważnych kłopotów zdrowotnych – gorycz zdawała się sączyć z każdego pora jego skóry.

– To wszystko? – zapytał Falk.

– Nie, do cholery, to nie wszystko. Posłuchaj mojej rady. Posłuchaj rady mojego wuja, na tyle, na ile dziś jest jeszcze coś warta. Wyjedź – Dow mówił niskim głosem. – Zapamiętaj moje słowa: ta kupa gówna, Hadler, nie jest warta kłopotów, w które się pakujesz.

Dow rzucił przez ramię spojrzenie na swoich kumpli. Za oknami pubu panowała ciemność. Falk wiedział, że jeśli nie liczyć głównej ulicy, miasteczko jest opuszczone.



„Te odznaki znaczą mniej niż powinny”. Może jednak nadal coś znacząły.

– Wyjadę, kiedy wszystkie okoliczności śmierci Hadlerów zostaną wyjaśnione – odparł Falk. – Nie wcześniej.

– To nie twoja sprawa.

– Rodzina zastrzelona w takim małym miasteczku jak to? Powiedziałbym, że to dotyczy nas wszystkich. A wygląda na to, że ty masz bardzo sprecyzowane przemyślenia w tej sprawie, więc może zaczniemy od ciebie. Oficjalnie. Co ty na to?

Falk sięgnął do kieszeni po niewielki notes i długopis. Na górze strony napisał „Sprawa Hadlera”. Bezpośrednio poniżej umieścił imię i nazwisko osiłka – dużymi literami, tak aby mężczyzna mógł je dojrzeć.

– W porządku, uspokój się, dupku.

Był zbity z tropu, zgodnie z przewidywaniami Falka. Zobaczyć swoje imię w aktach sprawy – to zawsze wywołuje niezawodne wrażenie.

– Adres?

– Nie zamierzam podawać ci mojego adresu.

– Żaden problem. – Falk nawet się nie zawahał. – Na szczęście go znam.

Zapisał dane farmy Deaconów. Wychylił się, aby spojrzeć na kolegów Dowa stojących za jego plecami, tych, którzy zdążyli się już wycofać.

– Zapiszę też sobie nazwiska twoich kumpli, skoro tak bardzo chcą się wtrącać.

Grant rozejrzał się wokół. Twarze jego towarzyszy straciły zwyczajowo puste spojrzenia i teraz pałały złością.

– Próbujesz mnie wrobić? – zapytał. – Szukasz kozła ofiarnego?

– Grant – odparł Falk, zwalczając pokusę, żeby wyrzucić oczami. – To ty podszedłeś do naszego stolika.

Dow mierzył go od stóp do głów wściekłym spojrzeniem. Zacisnął prawą pięść. Wyglądało na to, że zastanawia się, czy warto zadać cios. Obejrzał się za siebie. Barman nadal się im przyglądał, trzymając ręce w gotowości na kontuarze. Posłał Dowowi groźne spojrzenie i skinął w kierunku drzwi. Tego wieczoru nie będzie więcej piwa dla niego i jego kumpli.

Dow rozluźnił pięść i ze swobodą odsunął się od stolika. Jakby cała sytuacja nie była warta zachodu.

– Łezesz jak zwykle – powiedział na odchodne do Falka. – Cóż, to tutaj twoja jedyna szansa.

Skinął głową na kumpli, którzy razem z nim wyszli z pubu. Barowy gwar, który przycichł podczas wymiany zdań między Falkiem a Dowem, stopniowo powracał.

Falk usiadł z powrotem. Gretchen przyglądała mu się z lekko otwartymi ustami. Uśmiechnął się, ale kiedy chował notes i długopis z powrotem, nie wyciągnął ręki z kieszeni, dopóki nie był pewien, że nie drży.

Gretchen potrząsnęła głową w niedowierzaniu.

– Jezu, niezłe powitanie. I dobra robota. – Mrugnęła do niego. – Mówiłam ci, że jako jedyny miałeś coś w głowie.

Wstała i poszła po następną kolejkę.

Później, tuż przed zamknięciem pubu, odprowadził ją do samochodu. Ulica była cicha. Włosy Gretchen połyskiwały w świetle latarni niczym aureola. Stali naprzeciw siebie w odległości jednego kroku, patrzyli sobie w oczy, a każdy ich ruch był niezręczny, zbyt przemyślany, aż w końcu Gretchen ze śmiechem położyła dłonie na ramionach Falka. Pocałowała go w policzek, delikatnie muskając kącik jego ust. Falk objął ją i przez chwilę przytulali się mocno ciałami rozgrzanyymi w tym ciepłym, nocnym powietrzu.

W końcu z cichym westchnieniem Gretchen odsunęła się od niego, wsiadła do samochodu, uśmiechnęła się i, pomachawszy, odjechała. Falk stał pod gwiazdami i myślał – i to o nikim innym, jak o Grancie. Ten człowiek mówił mnóstwo bzdur, nie ulegało wątpliwości, ale powiedział też coś, czego Falk się uchwycił, a teraz przywołał w pamięci i ostrożnie analizował, obchodząc się z tym jak ze skarbem.

„To wszystko dla ciebie, dupku”.

Wracając do pubu, uśmiechał się do siebie szeroko.

Falk postawił już jedną stopę na schodach prowadzących do jego pokoju, kiedy usłyszał głos barmana.

– Podejdz na chwilę, stary. Jeśli możesz.

Falk westchnął, trzymając dłoń na poręczy. Spojrzał tęsknie w górę. Z półpiętra ze

źle oprawionego portretu królowa posyłała mu pozbawione współczucia spojrzenie. Obrócił się i zawrócił do pubu. Pomieszczenie było teraz puste. W powietrzu unosił się kwaśny, cytrynowy zapach płynu, którym barman czyścił kontuar.

– Napijesz się?

– Myślałem, że już zamknięte. – Falk przysunął sobie stołek i usiadł.

– Zgadza się. To na koszt firmy. – Barman postawił przed Falkiem kufel piwa i nalał też sobie. – Możesz uważać to za podziękowanie.

– Niby za co?

– Nieraz już widziałem, jak Grant Dow się do kogoś przyczepił. Najczęściej kończyło się to tak, że ścierałem czyjaś krew. Dzięki temu, że dziś sprawy potoczyły się inaczej, teraz mogę się wyluzować i napić się z tobą zimnego piwa. – Wyciągnął rękę do Falka. – David McMurdo.

– Zdrowie. – Falk upił łyk piwa, zaskoczony, że tak łatwo mu to przyszło. W ciągu ostatniego tygodnia wypił więcej niż zazwyczaj przez miesiąc. – Przepraszam za wszystko. Pamiętam, jak obiecałem, że nie będzie ze mną kłopotów.

– Przyjacielu, gdyby wszystkie tutejsze problemy rozwiązywano w taki sposób, byłbym szczęśliwym człowiekiem – odrzekł McMurdo, głaszcząc się po brodzie. – Na nieszczęście w tym miasteczku odrobinę za często dochodzi do rękoczynów.

– Od jak dawna tutaj mieszkasz?

– Będzie z dziesięć lat. Ale większość i tak traktuje mnie, jakbym dopiero co tu przyjechał. Albo się tutaj urodzisz i wychowasz, albo już na zawsze będziesz obcy. Tak to już jest w Kiewarze.

– Urodzić się i wychować tutaj też niczego nie gwarantuje – powiedział Falk z ponurym uśmiechem. – Jak w ogóle tu trafiłeś?

McMurdo nie odpowiedział od razu. Przeciągnął językiem po zębach.

– Jaki powód podajesz, kiedy cię pytają, czemu wyjechałeś z Kiewarry?

– Poszukiwanie lepszej pracy – odparł Falk sucho.

– Cóż. Powiedzmy, że ze mną było tak samo, i tak to zostawmy. – McMurdo wskazał na pusty bar, mrugając porozumiewawczo. – Mimo wszystko wygląda na to, że wyszło ci na dobre. Mówiąc szczerze, twój przyjaciel, Luke, mógłby nauczyć się od ciebie, jak radzić sobie z Dowem. Niestety, jest już na to za późno.

– Dochodziło między nimi do zatargów?

– Regularnie – podkreślił McMurdo. – Za każdym razem, kiedy jeden był w pubie i widziałem, że drugi wchodzi, robiło mi się gorzej. Byli jak... sam nie wiem... jak dwa magnesy. Bliźnięta syjamskie. Zazdrośni byli kochankowie. Czy coś w tym stylu. Żaden z nich nie mógł zostawić tego drugiego w spokoju. Nigdy.

– O co się kłócili?

Barman przewrócił oczami.

– A o co nie? O co tylko chcesz. O pogodę, krykieta, o kolor swoich pieprzonych skarpetek. Zawsze się czegoś czepili. Czego bądź.

– Co dokładnie masz na myśli? Bójki na pięści?

– Od czasu do czasu. Bywało naprawdę groźnie, ale nie ostatnio. Od kilku lat ograniczali się jedynie do przepychanek i zaciekłych kłótni. Nie zrozum mnie źle, nie cierpieli się nawzajem. Ale myślę, że na swój sposób czerpali z tego przyjemność. Mogli się pokłócić. Wyżyć do woli.

– Nigdy tego nie rozumiałem.

– Ani ja. Wolę raczej się napić. Ale niektórzy goście naprawdę tego potrzebują. – Przetarł blat jak ktoś, kto dobrze wie, że w pobliżu nie czai się inspekcja sanitarna. – Żeby nie być niesprawiedliwym wobec Dowa, należy przyznać, że musi mu być ciężko opiekować się tym jego wujkiem.

Falk przypomniał sobie, że Mal Deacon wziął go za jego ojca.

– Wiesz, co mu jest?

– Od jakiegoś czasu ma nierówno pod sufitem. Nie wiem, czy to przez picie, czy też z jakichś powodów zdrowotnych. Ale, cokolwiek to jest, sprawiło, że przycichł. Czasem zachodzi tutaj i siedzi przy piwie albo snuje się po miasteczku z tym swoim psem i rzuca ludziom gniewne spojrzenia, ale nic więcej.

– Grant Dow nigdy nie miał w sobie nic z siostry miłosierdzia. Czy opiekuje się swoim wujkiem na pełny etat?

McMurdo wyszczerzył się.

– Ależ skąd! Jest pracownikiem fizycznym. Wykonuje różne dorywcze prace, czasem bawi się w hydraulika, czasem najmuje się na budowach. Robi cokolwiek, byleby mieć na piwo. Ale to niewiarygodne, co obietnica spadku potrafi zdziałać, co?

Kraży plotka, że Deacon ma mu zapisać farmę. Może być sporo warta, bo azjatyccy inwestorzy zawsze chętnie skupują tutaj ziemię. Susza nie będzie trwać wiecznie. Ponoć.

Falk pociągnął łyk piwa. To było interesujące. Farma Hadlerów graniczyła z gospodarstwem Deacona. Nie orientował się w tutejszych cenach rynkowych, ale łączna sprzedaż dwóch parceli zawsze jest korzystniejsza, jeśli się znajdzie właściwego kupca. Zakładając oczywiście, że ziemia Hadlerów będzie na sprzedaż. Scenariusz znacznie mniej prawdopodobny, kiedy Luke żył i nią zarządzał, niż teraz. Falk odłożył tę myśl do późniejszego przeanalizowania.

– Czyli pogłoski, że zajmujesz się morderstwem Hadlerów, są prawdziwe? – zapytał McMurdo.

– Nieoficjalnie – powiedział, już drugi raz tego samego wieczoru.

– Jasne – odparł McMurdo, posyłając mu znaczący uśmiech. – To tutaj i tak najlepszy sposób, żeby coś wskórać.

– Skoro już o tym mowa: czy zdarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć?

– Chodzi ci o to, czy Luke Hadler wszczął jakąś awanturę w noc przed śmiercią? Albo czy Grant Dow w pubie pełnym ludzi zagroził, że z zimną krwią zabije całą jego rodzinę?

– To byłoby pomocne.

– Przykro mi, stary, ale muszę cię rozczarować. – McMurdo pokazał w uśmiechu poźółkłe zęby.

– Jamie Sullivan powiedział, że w wieczór poprzedzający morderstwa był tutaj z Lukiem – oznajmił Falk. – Zamierzali odstrzelić trochę królików.

– To się zgadza.

– Czy Dow też tu wtedy był?

– No oczywiście. Jest tutaj prawie co noc, dlatego tak nie cierpi, kiedy dostaje zakaz. O ile to w ogóle coś daje. Dla niego to co najwyżej niedogodność. Ciężko jest mi to egzekwować i on dobrze o tym wie. Jeśli próbuję, on i jego przygłupiaści koleśie sadowią się przed pubem i piją piwo z puszek. A ja mam później problemy z wykazywaniem strat dla skarbówki, pojmujesz? W każdym razie... – McMurdo potrząsnął głową – ...odpowiedź na twoje pytanie jest taka, że Grant Dow był tutaj

podczas ostatniego wieczoru Luke'a. Podobnie jak prawie wszyscy inni mieszkańcy miasteczka. W telewizji był krykiet, więc było pełno.

– Czy widziałeś, żeby rozmawiali ze sobą? Zwracali na siebie uwagę? Czy któryś z nich zaczął drugiego?

– O ile pamiętam, to nie. Ale, jak już mówiłem, to był dla mnie pracowity wieczór. Byłem zabiegany. – McMurdo zamyślił się, dopijając swoje piwo i tłumiąc beknięcie. – Z tymi dwoma niczego nie można było być pewnym. Nigdy nie dało się przewidzieć, co wydarzy się następnego wieczoru. Wiem, że Luke był twoim kumplem, a Dow to kutas, ale pod wieloma względami byli do siebie bardzo podobni. Obaj nieustępliwi, ekspansywni, zaciętrzewieni. Dwie strony tej samej monety, rozumiesz?

Falk pokiwał głową. Rozumiał. McMurdo zabrał ich puste kufle i Falk zrozumiał, że czas już iść. Wstał, pożegnał się z barmanem, któremu zostało już tylko pogaszenie świateł. Kiedy ociężałym krokiem wspinał się po schodach, komórka zasygnalizowała, że ma nową wiadomość w poczcie głosowej. Dopiero kiedy zamknął się w pokoju i wyciągnął na łóżku, niezdarnie wcisnął przyciski. Z zamkniętymi oczami wsłuchiwał się w znajomy głos.

– Aaron, odbierz w końcu telefon. – Słowa Gerry'ego Hadlera rozbrzmiały w jego uchu. – Dużo myślałem o dniu, w którym zginęła Ellie. – Długie milczenie. – Jeśli możesz, przyjedź jutro na farmę. Jest coś, o czym musisz wiedzieć.

Falk otworzył oczy.

## Rozdział 18

Kiedy następnego dnia Falk parkował na podjeździe, farma Hadlerów wyglądała inaczej. Z drzwi frontowych usunięto strzępy żółtej taśmy policyjnej. Po obu stronach zasłony i żaluzje były odsłonięte i wszystkie okna zostały uchylone.

Mimo poranka słońce solidnie dawało się we znaki, więc wychodząc z samochodu, Falk sięgnął po kapelusz. Zabrał też pudło z rzeczami Billy'ego i Karen i ruszył ścieżką w stronę domu. Drzwi były otwarte. Wewnątrz zapach środków czyszczących nieco zelżał.

Falk znalazł płaczącą Barb w głównej sypialni. Siedziała na skraju wielkiego małżeńskiego łóżka Karen i Luke'a, a na zielonej kołdrze rozsypana była zawartość szuflady. Zwinięte skarpetki i pogniecione bokserki wymieszane z drobnymi monetami i skuwkami od długopisów. Łzy spływały z policzków Barb na kawałek kolorowego papieru, który trzymała na kolanach.

Podskoczyła na dźwięk cichego pukania Falka. Kiedy szedł do niej, zorientował się, że to, co trzyma, jest ręcznie wykonaną laurką z okazji Dnia Ojca. Otarła twarz rękawem i pomachała kartką w kierunku Falka.

– Nic się nie ukryje przed porządnym sprzątnięciem, prawda? Okazuje się, że Billy miał takie same problemy z poprawną pisownią jak jego ojciec.

Próbowała się roześmiać, ale głos jej się łamał. Falk usiadł obok i objął jej drżące ramiona. W pokoju było bardzo gorąco, ponieważ rozgrzane powietrze wlatywało przez uchylone okno. Nic nie powiedział. Ważniejsze było to, co wydostawało się przez te okna, niż to, co przez nie wpływało.

– Gerry poprosił, żebym przyjechał – odezwał się Falk, kiedy Barb trochę się uspokoiła.

– Tak, kochany. – Pociągnęła nosem. – Mówił mi. Wydaje mi się, że jest w stodole.

– Powiedział, o co chodzi? – zapytał, zastanawiając się, kiedy, jeśli w ogóle, Gerry zwierzy się żonie.

Barb potrząsnęła głową.

– Nie. Może chce ci dać coś, co należało do Luke’a. Nie wiem. To był jego pomysł z tymi porządkami. Powiedział, że najwyższy czas, abyśmy się z tym zmierzili.

Ostatnie zdanie było ledwo słyszalne, ponieważ Barb sięgnęła po parę czystych skarpetek Luke’a i ponownie zalała się łzami.

– Próbowałam się zastanowić, czy jest coś, co Charlotte by chciała. Tak bardzo cierpi – mówiła Barb stłumionym głosem. – Nic, co my możemy zrobić, jej nie pomaga. Zostawiliśmy ją z opiekunką, choć Gerry chciał ją tutaj zabrać. Żeby zobaczyć, czy jest tutaj coś, co ją uspokaja. Powiedziałam mu, że za nic na to nie pozwolę. Nie dopuszczę do tego, żeby musiała tu przebywać po tym, co ją tutaj spotkało.

Falk pogłaskał Barb po plecach. Płakała, a on rozglądał się po sypialni. Poza warstwą kurzu było czysto i schludnie. Karen dbała o to, żeby nie zagrządzić przestrzeni, ale i tak udało jej się nadać temu pomieszczeniu przytulny charakter.

Oprawione zdjęcia niemowląt stały na komodzie, która wyglądała na drogą, choć pewnie pochodziła z drugiej, jak nie z trzeciej ręki. Wszystkie pieniądze, które mogła przeznaczyć na wystrój, najwyraźniej trafiły do pokoi dziecięcych. Przez uchylone drzwi szafy Falk dostrzegł rząd ubrań powieszonych na plastikowych wieszakach. Po lewej wisały damskie dopasowane bluzki z długim i krótkim rękawem, obok spodnie do pracy i pojedyncza letnia sukienka. Po prawej dzinsy i podkoszulki Luke’a były ułożone, choć już nie tak starannie.

Wyglądało na to, że po obu stronach łóżka spano regularnie. Na stoliku nocnym Karen stał zabawkowy robot, tubka kremu na noc i okulary do czytania na stercie książek. Po stronie Luke’a znajdowała się ładowarka do telefonu i pusty kubek po kawie – ręcznie pomalowany i podpisany niepewnym pismem „Tatus’”. Na poduszkach nadal widoczne były zagłębienia. Cokolwiek robił Luke Hadler w dniach



poprzedzających śmierć swoją i swojej rodziny, pomyślał Falk, na pewno nie spał na kanapie. Nie było wątpliwości, że ten pokój dzieliło dwoje ludzi.

Przed oczami Falka stanął obraz jego sypialni. Obecnie najczęściej sypiał na środku łóżka. Miał tę samą granatową pościel, odkąd był nastolatkiem. Żadna z kobiet, którym w ciągu ostatnich kilku lat dane było ją widzieć, nie zdołała zadomowić się na tyle, by zaproponować coś mniej... chłopięcego. Firma sprzątająca przychodziła do jego mieszkania dwa razy w miesiącu i wiedział, że sprzątaczkę często musiały się natrudzić, aby znaleźć coś do zrobienia. Nie gromadził rzeczy, nie kolekcjonował niczego z powodów sentymentalnych i radził sobie z tymi meblami, które zostały mu po tym, jak trzy lata wcześniej jego dom dla dwojga stał się mieszkaniem tylko dla niego.

– Jesteś jak zamknięta księga – powiedziała po raz ostatni, zanim się wyprowadziła.

Powtarzała to zdanie często przez te dwa lata, które byli ze sobą. Na początku z zaciekawieniem, później z troską, w końcu oskarżycielsko. Dlaczego nie mógł się przed nią otworzyć? Czy jej nie ufał? Czy nie kochał jej wystarczająco? Za późno zorientował się, że nie odpowiadał na te pytania wystarczająco szybko. Cisza trwająca przez ułamek sekundy wystarczyła, by oboje usłyszeli dzwony pogrzebowe. Od tamtej pory na stoliku nocnym Falka nie leżało nic oprócz książek, budzika i coraz starszego opakowania prezerwatyw.

Barb pociągnęła głośno nosem, ściągając uwagę Falka z powrotem do chwili obecnej. Falk zabrał z jej kolan laurkę i rozglądał się, gdzie mógłby ją odłożyć.

– Widzisz, w tym właśnie tkwi problem – powiedziała Barb, patrząc na niego zaczerwienionymi oczami. – Co ja mam zrobić z tymi wszystkimi rzeczami? Jest ich tyle i nie ma gdzie tego trzymać. Nie pomieszczę tego u nas w domu, ale przecież nie mogę się tego pozbyć, jakby to były śmieci bez znaczenia...

Jej głos stał się piskliwy, złapała kilka przypadkowych przedmiotów znajdujących się w zasięgu jej ręki i przycisnęła je do piersi. Sztuka bielizny, zabawkowy robot, okulary Karen. Sięgnęła po książki i zakłęła głośno.

– Och, na miłość boską, te cholerne książki są z biblioteki. Ciekawe, jak długo są już przetrzymane? – Zwróciła do Falka swoją czerwoną i zdenerwowaną twarz. – Nikt ci nie powie, że tak właśnie to będzie wyglądać, prawda? Och, oczywiście, wszystkim jest przykro z powodu twojej straty i bardzo chętnie wpadają do ciebie tuż po tragedii,

aby mieć o czym plotkować, ale nikt ci nie powie, jak to jest, kiedy trzeba przejrzeć szuflady nieżyjącego syna albo oddać książki zamordowanej synowej do biblioteki. Nikt ci nie powie, jak sobie z tym poradzić...

W poczuciu winy Falk pomyślał o pudle, które zostawił przed drzwiami sypialni. Wziął książki od Barb, wsadził je sobie pod pachę i zdecydowanym gestem wyprowadził ją z pokoju.

– Zajmę się tym. Chodźmy... – Przeszli obok drzwi do pokoju Billy’ego i z uczuciem ulgi znaleźli się w jasnej kuchni. Posadził Barb na stołku. – Zróbmy sobie herbatę – zaproponował i zaczął otwierać szafki. Nie miał pojęcia, co gdzie leży, ale przecież nawet w kuchniach będących miejscem zbrodni zazwyczaj są kubki.

Barb przyglądała się jego poczynaniom przez chwilę, po czym wysiąkała nos, wstała i poklepała go po ramieniu.

– Ja się tym zajmę. Wiem, gdzie co jest.

Okazało się, że musieli zadowolić się kawą rozpuszczalną, do tego czarną. Do lodówki nikt nie zaglądał od przeszło dwóch tygodni...

– Nie zdążyłam ci jeszcze podziękować, Aaron – powiedziała Barb, kiedy czekali, aż woda się zagotuje. – Za to, że nam pomagasz. Za to, że zacząłeś dochodzenie i chcesz odkryć, co tak naprawdę się tu wydarzyło.

– Barb, nic takiego nie zrobiłem – odparł Falk. – Zdajesz sobie sprawę, że wszystko, co robimy z sierżantem, jest nieoficjalne, prawda? Po prostu zadajemy trochę pytań. Nic więcej.

– Och, tak, tak. Oczywiście, wszystko rozumiem. – Ale mówiła to w taki sposób, iż Falk był pewien, że to nieprawda. – To dzięki temu ludzie zaczęli się zastanawiać. A to robi różnicę. Tworzy ferment.

Przed oczami Falka stanęła twarz Ellie i miał nadzieję, że Barb nie będzie musiała tego żałować.

– Luke zawsze był wdzięczny, że miał w tobie przyjaciela – oznajmiła, wlewając wrzątek do trzech kubków.

– Dziękuję – tylko tyle powiedział, ale Barb doszukała się czegoś w jego tonie.

– To prawda – nalegała. – Wiem, że nie potrafił tego okazać, ale potrzebował kogoś takiego jak ty w swoim życiu. Kogoś spokojnego, z głową na karku. Zawsze uważałam,

że to, przynajmniej po części, przyciągnęło go do Karen. Dostrzegał w niej dokładnie te same cechy. – Odruchowo otworzyła szufladę z prawej i wyjęła łyżeczkę. – Czy ty ją w ogóle poznałeś?

Falk potrząsnął głową.

– Szkoda, sądzę, że byś ją polubił. Pod wieloma względami przypomina mi, to znaczy przypominała, ciebie. Podejrzewam, że czasem martwiła się, że była trochę zbyt... Sama nie wiem? Zbyt zwyczajna może. Że stała między Lukiem a jego marzeniami. Ale to nie była prawda. Była bardzo zrównowazona i bystra. I tego właśnie Luke potrzebował. Dzięki niej mój syn nie tracił kontaktu z rzeczywistością. Dzięki wam obojgu. – Barb przyglądała mu się dłuższą chwilę ze smutno przekrzywioną głową. – Powinieneś być przyjechać na ich ślub. Albo z jakiegokolwiek innej okazji. Brakowało nam ciebie.

– Ja... – Chciał zacząć mówić, że miał dużo pracy, ale coś w jej spojrzeniu powstrzymało te słowa. – Szczerze mówiąc, nie czułem się mile widziany.

Barb Hadler dwoma dużymi krokami przemierzyła kuchnię, która niegdyś należała do niej, wyciągnęła ręce do Falka i przytuliła go do siebie. Trzymała go mocno, dopóki nie poczuł, że głęboko ukryte napięcie nieco zelżało.

– Aaron, ty zawsze jesteś mile widziany w mojej rodzinie – wyznała. – Nigdy nie dopuszczaj do siebie innej myśli. – Przez chwilę była znów tą samą Barb Hadler co dawniej. Podała mu dwa kubki kawy, wsunęła książki pod jego pachę i z matriarchalnym błyskiem w oku skinęła w kierunku drzwi.

– Zanieśmy kawę mojemu mężowi, żeby mógł mu powiedzieć, że jeśli chce, by ten dom został uporządkowany, musi przestać kryć się w stodole i sam się do tego zabrać.

Falk podążył za Barb, która wyszła tylnymi drzwiami na oślepiające słońce. Niemal rozlał kawę, kiedy nastąpił na porzucony, zabawkowy kij do krykieta.

Czy tak właśnie mogło wyglądać jego życie? Ta myśl zupełnie nagle zaświtała mu w głowie. Dziecięce kije do krykieta i kawa w domu na farmie? Próbował to sobie wyobrazić. Pracowałby na świeżym powietrzu u boku ojca, dopóki ten nie powierzyłby

mu gospodarstwa. Sobotnie wieczory spędzałby z Lukiem w pubie Fleece, przyglądając się miejscowym dziewczynom, aż w końcu jego wzrok by się zatrzymał. Pospieszny, ale piękny wiejski ślub, pierwsze dziecko dziewięć miesięcy później. Następne w kolejnym roku. Wiedział, że bycie ojcem nie przysłoby mu łatwo, ale był gotów podjąć wysiłek. Ponoć z własnymi dziećmi jest inaczej.

Oczywiście jego dzieci przyjaźniłyby się z dziećmi Luke'a. Musiałyby odnaleźć się w tej zdeorganizowanej wiejskiej szkole, tak, ale miałyby również całe akry ziemi, żeby się wybiegać.

Dni spędzone w polu byłyby naturalnie długie, ale za to noce w domu pełnym ciepła wypełniałyby śmiech i rozgardiasz. Miłość. Ktoś zawsze czekałby na niego przy zapalonym świetle. Kim byłaby ta kobieta?, zastanawiał się. Ellie?

Obraz natychmiast stracił ostrość i zaczął się rozmywać. Gdyby żyła. Gdyby nie wyjechała. Gdyby wszystko było inaczej. Czysta fantazja, zbyt wiele szans zostało zaprzepaszczone, żeby ta wizja mogła się ziścić.

Falk wybrał swoje życie w Melbourne. I był z niego zadowolony. Lubił to, że mógł wyjść na ulicę, być otoczony przez tłum ludzi, w którym nikt jednak go nie znał. Czerpał przyjemność z pracy, która wymagała wyężania umysłu, nie mięśni.

Życie daje i odbiera. Jego mieszkanie było ciche i puste, kiedy wracał do niego pod koniec dnia, za to nie obserwowało go żadne wścibskie spojrzenie, przed którym nic się nie ukryje. Jego sąsiedzi nie osądzali go, nie nękali ani nie rozpowiadali krzywdzących plotek o jego rodzinie. Zostawiali go w spokoju.

Zdawał sobie sprawę, że trzymał ludzi na dystans, że nawiązywał znajomości, ale nie przyjaźnie. Tym lepiej, jeśli pewnego dnia któraś z tych osób miałaby wypłynąć martwa i opuchnięta na powierzchni jakiejś rzeki o rzut kamieniem od jego domu rodzinnego. Tak, musi dojeżdżać do pracy. Tak, spędza wiele godzin w świetle jarzeniówek, za to jego życie nie zależy od kaprysów pogody. Widok bezchmurnego nieba nigdy nie wpędzi go w takie przerażenie i rozpacz, że niewłaściwy koniec strzelby uzna za dobre rozwiązanie.

Na Luke'a Hadlera zawsze w domu czekało światło, ale przez frontowe drzwi do środka dostało się też coś z ogólnej udręki i zwątpienia. I stało się na tyle zgniłe, nieprzeniknione i mroczne, że na zawsze pochłonęło to światło.

Nastrój Falka był przygnębiający, kiedy znaleźli Gerry'ego opartego o miotłę przed jednym z budynków gospodarczych. Gdy ich zobaczył, był zaskoczony i rzucił nerwowe spojrzenie na żonę.

– Nie wiedziałem, że przyjechałeś – powiedział, kiedy Falk podał mu kubek.

– Był w środku i mi pomagał – oznajmiła Barb.

– Jasne. Dzięki. – W głosie Gerry'ego pobrzmiewała nuta niepewności.

– Nadal jest sporo do zrobienia, więc kiedy już tutaj skończysz... – Barb uśmiechnęła się do męża blado. – Wygląda na to, że idzie ci jeszcze gorzej niż mnie.

– Wiem. Przepraszam. Jest ciężiej, niż przypuszczałem. – Gerry obrócił się do Falka.

– Sądziłem, że już czas, byśmy stawili temu czoła. Skonfrontowali się z rzeczywistością. – Spojrzał na dom. – Słuchaj, czy jest tam coś, co byś chciał? Zdjęcia albo coś innego? Będzie nam miło.

Falk nie mógł sobie wyobrazić, żeby istniało coś z tego straszego miejsca, co chciałby zabrać do swojego życia, potrząsnął więc tylko głową.

– Dzięki, Gerry.

Falk upił spory łyk kawy, przełykając tak gwałtownie, że niemal się zakrztusił. Był zdeterminowany, by opuścić to miejsce jak najszybciej. Chciał, by Barb już sobie poszła, żeby mogli porozmawiać z Gerryem na osobności.

Zamiast tego pili kawę we trójkę, wpatrując się w horyzont. Na wzgórzu w oddali Falk dostrzegł sylwetkę brzydkiego, rozwalającego się domu Mała Deacona. Przypomniał sobie słowa barmana, jakoby farma Deacona miała przypaść jego bratankowi.

– Co zamierzacie zrobić z tym miejscem? – zapytał.

Gerry i Barb popatrzyli po sobie.

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy – odpowiedział Gerry. – Podejrzewam, że będziemy musieli je sprzedać. Jeśli się nam uda. Odłożyć pieniądze na funduszu dla Charlotte. Możliwe, że będziemy musieli wyburzyć dom i sprzedać to tylko jako ziemię.

Barb cmoknęła z niezadowoleniem.

– Tak, wiem, kochanie – rzekł tonem przegranego człowieka. – Ale nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek z miejscowych chciał tu zamieszkać po tym wszystkim, nie sądzisz? A przybysze z zewnątrz nie ustawiają się jakoś w kolejce.

– Czy kiedykolwiek Deacon albo Dow zaproponowali wam połączenie sił? – zapytał Falk. – Wspólną sprzedaż posesji azjatyckim inwestorom?

Barb spojrzała na niego, a na jej twarzy malował się wstręt.

– Nigdy nie sprzedalibyśmy im nawet pięciodolarowego banknotu za dziesięć dolarów, a co dopiero wchodzić z nimi w jakieś układy. Prawda, Gerry? – Jej mąż potrząsnął głową, choć Falk podejrzewał, że posiadał bardziej pragmatyczne spojrzenie na rynek nieruchomości w Kiewarze. – Przez trzydzieści lat sąsiedztwa mieliśmy z nimi tylko utrapienie – ciągnęła Barb. – Czemu mielibyśmy im teraz pomagać? Mał zwykł nocą zakradać się i przesuwać pachółki rozdzielające nasze posesje, wiesz? Jakby liczył na to, że jesteśmy za głupi, żeby się zorientować. Kradł wszystko, co nie było przykute łańcuchem do ziemi. Jestem pewna, że to on lata temu przejechał psa Luke’a, i nie ma znaczenia, jak bardzo by temu zaprzeczał. Pamiętasz?

Falk skinął głową. Luke kochał tego psa. Mimo że miał wtedy czternaście lat, płakał otwarcie, tuląc go na poboczu.

– A kiedy był młodszy, w jego domu zawsze do późnych godzin nocnych przesiadywali ludzie z miasteczka, prawda, Gerry? Pili i rozjeżdżali drogi swoimi ciężarówkami. Słuchali muzyki na cały regulator, a doskonale wiedzieli, że musimy wstać skoro świt, żeby zająć się gospodarstwem.

– Kochanie, od tego czasu minęło już wiele lat – powiedział Gerry, na co Barb się obruszyła.

– Bronisz go?

– Nie, Boże, nie. Po prostu stwierdzam fakt. Od jakiegoś czasu nie jest już nawet w stanie tak dokazywać, prawda? Przecież o tym wiesz.

Falkowi przyszło na myśl jego dziwne spotkanie z Deaconem w pubie.

– Wygląda na to, że cierpi na coś w rodzaju demencji.

Barb prychnęła.

– Tak to się teraz nazywa? Nędzne życie pełne złych uczynków mści się teraz na tym pijanym draniu... Tyle ja myślę na ten temat, jeśli chcesz wiedzieć. – Upiła łyk kawy i spojrzała w kierunku ziemi Deacona. Kiedy odezwała się ponownie, Falk słyszał w jej głosie żal. – Najbardziej było mi żal Ellie. My przynajmniej mogliśmy zamknąć przed nim drzwi, ale ta biedna dziewczyna musiała to znosić. Myślę, że troszczył się

o nią na swój sposób, ale zawsze był tak bojowo nastawiony. Pamiętasz, co się stało z naszym górnym polem, Gerry?

– Nie ma dowodów, że to jego sprawka.

– Nie, ale to był on. Nie było innej możliwości. – I Barb zwróciła się do Falka: – To zdarzyło się, gdy mieliście po jedenaście lat, niedługo po tym, jak matka Ellie dała nogę, nie żebym miała jej to za złe... Dziewczynka była zaniedbana, prawda, Gerry? Była taka chuda, nie dostawała wiele do jedzenia. I miała takie spojrzenie... Jakby świat się zawalił. W końcu poszłam do Mała i powiedziałam, że z nią coś jest nie w porządku i że musi coś zrobić, bo jego córka pochoruje się ze zmartwienia.

– Jak na to zareagował?

– No cóż, wyrzucił mnie za drzwi, niemal zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Zresztą można się było tego spodziewać. Ale niecały tydzień później wszystko padło na naszym górnym polu. Nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych. Zrobiliśmy testy i kwasowość gleby była zupełnie zaburzona.

Gerry westchnął.

– No, takie rzeczy się zdarzają, ale...

– Ale zdarzają się znacznie częściej, jeśli twój sąsiad wyleje beczkę chemikaliów – dokończyła Barb. – Tamtego roku straciliśmy tysiące. Musieliśmy walczyć o przetrwanie. A gleba na górnym polu nigdy nie wróciła do pierwotnego stanu.

Falk pamiętał sprawę tamtego pola i pełne napięcia rozmowy przy stole Hadlerów podczas obiadów tamtego roku.

– Dlaczego jemu zawsze wszystko uchodziło płazem? – zapytał.

– Nie było żadnego dowodu na to, że to on – powtórzył Gerry. – Ale... – Uniósł dłoń, widząc, że Barb zamierza mu przerwać. – Ale sam wiesz, jak to jest. Tutaj nie jest łatwo się postawić, zacząć protestować. I dzisiaj jest dokładnie tak samo jak wtedy. Żeby przetrwać, potrzebowaliśmy się nawzajem. Mał Deacon prowadził interesy z wieloma miejscowymi i my wszyscy robiliśmy interesy z nim. A on zbierał przysługi, od czasu do czasu odpuszczał jakąś drobną sumkę, żeby później mieć na kogoś haka. Jeśli miałeś problem z Deaconem, miałeś problem ze wszystkimi. Ni z tego, ni z owego praca, a nawet napicie się piwa we własnym miasteczku stawały się znacznie trudniejsze. A życie i tak nas nie rozpieszczało.

Barb wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Gerry, dziewczynie było tak źle, że się utopiła. – Z brzękiem zebrała puste kubki.  
– Chrzanić interesy i piwo. Powinniśmy byli zrobić więcej. Zobaczymy się w środku.  
Jest mnóstwo rzeczy do zrobienia, kiedy będziesz gotowy.

Obróciła się i ruszyła w kierunku domu, ocierając sobie twarz rękawem.

– Ma rację – skwitował Gerry, patrząc za żoną. – Cokolwiek się wtedy wydarzyło, Ellie zasługiwała na lepsze życie. – Przeniósł na Falka swoje wyzute z emocji spojrzenie. Zupełnie jakby w ciągu ostatnich tygodni jego uczucia się wyczerpały. –  
Dzięki, że zostałeś. Słyszeliśmy, że zadajesz pytania w sprawie Luke’a.

– Zacząłem.

– Czy mogę zapytać, co myślisz? Czy Luke zabił Karen i Billy’ego?

– Sądzę – Falk mówił ostrożnie – iż istnieje możliwość, że tego nie zrobił.

– Jezu, jesteś pewien?

– Nie. Powiedziałem, że istnieje taka możliwość.

– Ale uważasz, że ktoś inny jest w to zamieszany?

– Możliwe.

– Czy to ma związek z tym, co przytrafiło się Ellie?

– Szczerze mówiąc, Gerry, nie mam pojęcia.

– Ale to możliwe?

– Możliwe.

Milczenie.

– Chryste. Posłuchaj, jest coś, co powinienem był ci powiedzieć na samym początku...

Było gorąco, ale to nie przeszkadzało Gerry’emu Hadlerowi. Wystukiwał rytm na kierownicy i pogwizdywał. Wieczorne słońce padało przez okna samochodu na jego ramiona, kiedy jechał pustą drogą. Tego roku opady deszczu były obfite i Gerry był zadowolony z obrotu spraw na swojej farmie. Na siedzeniu dla pasażera leżała butelka musującego wina. Kiedy w mieście załatwiał sprawunki, spontanicznie wstąpił też do monopolowego. Kupił wino, żeby zrobić niespodziankę Barb, która, jak Gerry miał nadzieję, właśnie przygotowywała swoją piątkową zapiekankę z jagnięciny. Włączył radio. Leciąca piosenka, której nie znał, ale jej jazzujący rytm przypadł mu do gustu. Kiwając głową w takt, zwolnił, ponieważ zbliżał się do skrzyżowania.



– Wiedziałem, że ty i Luke kłamaliście w sprawie alibi w dniu śmierci Ellie Deacon. – Gerry mówił tak cicho, że Falk musiał wyciąć słuch. – Sęk w tym, że myślę, iż mógł o tym wiedzieć ktoś jeszcze.

Gerry był dwadzieścia metrów przed skrzyżowaniem, kiedy przed oczami mignęła mu znajoma sylwetka na rowerze. Jego syn jechał z opuszczoną głową, pedałując z całych sił. Z daleka wyglądało, jakby intensywnie połyskujące w słońcu włosy Luke'a były zaczesane do tyłu. Gerry z roztargnieniem zauważył, że była to odmiana, ponieważ Luke zazwyczaj czesał się niechlujnie. Nie było mu z tym jednak do twarzy.

Luke przemknął przez skrzyżowanie, nie rozglądając się nawet na boki. Gerry cmoknął z dezaprobatą. Będzie musiał zamienić kilka słów z chłopakiem. Zgadza się, zazwyczaj drogi są puste, ale to nie oznacza, że można czuć się zupełnie bezpiecznie. Takie zachowanie Luke mógł przypłacić życiem.

– Jechał z południa, od strony rzeki. Czyli nie mógł być na polach, gdzie, jak twierdziliście, byliście razem. Nie było cię z nim. Nie miał przy sobie strzelby.

– Nawet jeśli jechał z południa, to nie znaczy, że musiał być nad rzeką – powiedział Falk. – Po pierwsze są tam farmy, a po drugie szlaki rowerowe.

Gerry potrząsnął głową.

– Luke nie był na żadnym szlaku rowerowym. Miał na sobie tę szarą koszulę, którą w tamtym czasie uwielbiał. Wiesz którą: tę okropną, błyszczącą, którą zawsze oszczędzał na specjalne okazje. Wydawało mi się, że był nieźle wystrojony tamtego popołudnia. Jakby był na randce albo coś w tym stylu. Zaczesał sobie nawet włosy do tyłu. Wtedy wmawiałem sobie, że pewnie eksperymentował z nową fryzurą. – Gerry zasłonił oczy dłonią i stał tak przez moment. – Ale w głębi duszy zawsze wiedziałem, że jego włosy były po prostu mokre.

Luke dawno już przejechał skrzyżowanie, kiedy Gerry zahamował. Jakby chcąc udowodnić swoją rację, zatrzymał ciężarówkę na dłuższą chwilę i uważnie rozejrzał się w obie strony. Po prawej sylwetka jego syna oddalała się, stając się coraz mniejsza. Po lewej widział jedynie na tyle, na ile pozwalał mu zakręt. Droga była wolna. Gerry nacisnął pedał gazu i ruszył. Oddalając się od skrzyżowania, spozjrzał w tylne lusterko.

Coś odbiło się w nim na zaledwie sekundę. Zniknęło, niemal w tym samym momencie, w którym Gerry to dostrzegł: biały pikap przejechał przez skrzyżowanie. Z lewej strony. I oddalił się w tym samym kierunku, co jego syn.

Falk milczał przez długi czas.

– Nie widziałeś, kto prowadził? – Falk przyglądał się Gerry’emu uważnie.

– Nie. Nie dostrzegłem. Nie zwracałem na to szczególnej uwagi, a samochód jechał tak szybko, że nie mogłem zobaczyć. Ale ktokolwiek to był, założę się, że widział Luke’a. – Gerry nie patrzył na Falka. – Trzy dni później wyciągnęli z rzeki ciało tej biedaczki i był to najgorszy dzień w moim życiu. – Zaśmiał się cicho i dziwnie. – No cóż, przynajmniej do teraz. To jej cholerne zdjęcie było wszędzie, pamiętasz?

Falk przytaknął. Przez całe dni powiększone i nieostre zdjęcie Ellie wyglądało z gazet, a niektóre sklepy umieściły je również na plakatach, aby zebrać pieniądze na pokrycie kosztów pogrzebu.

– Przez dwadzieścia lat żyłem w obawie, że nagle skądś pojawi się ten kierowca. Że zapuka do drzwi komisariatu i powie, że tamtego dnia widział Luke’a.

– Może jednak nikt go nie widział.

– Może. – Gerry spojrzął na dom swojego syna. – A może kiedy w końcu zdecydował się zapukać, nie zapukał do drzwi policji.

## Rozdział 19

Falk siedział w samochodzie na poboczu, zastanawiając się nad tym, czego dowiedział się od Gerry'ego. Białych pikapów było w Kiewarze zawsze na pęczki. To mogło nic nie znaczyć. Falk zastanawiał się, czemu ktoś, jeśli faktycznie widział tamtego dnia Luke'a wracającego znad rzeki, nie miałby powiedzieć tego od razu? Kto miałby skorzystać na trzymaniu tego w tajemnicy przez dwadzieścia lat?

Jedna myśl szczególnie mu dokuczała. Jeśli kierowca pikapa widział Luke'a, to czy Luke widział kierowcę? Być może – ten pomysł domagał się poświęcenia mu większej uwagi – być może było na odwrót. Może to Luke dotrzymywał tajemnicy kogoś innego. I, z obojętnie jakich powodów, w końcu miał tego dość.

Falk wpatrywał się niewidzącym spojrzeniem w smętny krajobraz, rozpatrując to zagadnienie na różne sposoby. W końcu z westchnieniem wyciągnął komórkę. Kiedy Raco odebrał, Falk usłyszał szelest papieru.

– Jesteś na komisariacie? – zapytał.

Była piękna niedziela. Falk zastanawiał się, co o tym myślała żona sierżanta.

– No. – Westchnienie. – Przeglądam dokumenty Hadlerów. Nie wiem, czy coś z tego wyniknie. A ty?

Falk streścił mu wyznanie Gerry'ego.

– Dobra. – Raco zrobił głęboki wydech. – Co o tym sądzisz?

– Nie wiem. To może być coś, ale równie dobrze nic. Będziesz tam jeszcze trochę?

– Z przykrością muszę powiedzieć, że znacznie dłużej niż trochę.

– Wpadnę.

Ledwie Falk skończył rozmawiać, kiedy jego telefon zabrzączał ponownie. Otworzył wiadomość i grymas na jego twarzy przekształcił się w uśmiech, kiedy zobaczył, kto mu ją przysłał.

„Zajęty?, pisała Gretchen. Głodny? Jemy z Lachiem lunch w Centenary Park”.

Falk pomyślał o sierżancie, który z trudem przebijał się przez raporty w sprawie Hadlerów, a następnie o kawie, która przelewała mu się w żołądku, odkąd wyjechał od Hadlerów. Przywołał w pamięci uśmiech Gretchen, kiedy zostawiała go stojącego przed pubem pod rozgwieżdżonym niebem. „To wszystko dla ciebie, dupku”.

„Jadę”, odpisał. Zastanowił się przez chwilę i dodał: „Ale nie mogę zostać długo”. Nie uśmierzyło to jego poczucia winy, lecz Falk się tym nie przejął.

Centenary Park był pierwszym miejscem w Kiewarze, gdzie Falk dostrzegł, że zainwestowano jakieś pieniądze. Kwietniki były nowe i zostały obsadzone w przemyślany sposób kaktusami dobrze znoszącymi suszę, dzięki czemu park cechował się bujną roślinnością, której Falk nie widział, jak mu się zdawało, już od bardzo dawna.

Ławka, na której czworo przyjaciół przesiedziało tyle sobotnich nocy, zniknęła, co zauważył ze smutkiem. Zamiast niej ustawiono wymyślne wyposażenie placu zabaw, pomalowane na błyszczące kolory podstawowe. Wszędzie biegały dzieci, a stojące na obrzeżu stoły piknikowe zajęte były co do jednego. Wózki dziecięce konkurowały o miejsce z przenośnymi lodówkami, podczas gdy rodzice przerywali pogawędki jedynie po to, by nakarmić lub skarcić swoje latorośle.

Falk pierwszy dostrzegł Gretchen i zatrzymał się, aby popatrzeć na nią przez chwilę. Siedziała sama na uboczu, z długimi nogami wyciągniętymi przed siebie, opierając się łokciami o blat stołu za swoimi plecami. Włosy miała związane w luźny kok, na który nasunęła okulary przeciwsłoneczne. Przyglądała się dzieciom na placu zabaw rozbawiona – Falkowi ten widok wydał się bardzo znajomy. W słońcu i z tej odległości mogło się wydawać, że Gretchen nadal ma szesnaście lat.

Musiła poczuć na sobie jego spojrzenie, ponieważ nagle podniosła wzrok. Uśmiechnęła się i uniosła rękę, a Falk zaczął iść w jej kierunku. Pocałowała go na powitanie w policzek i otworzyła plastikowe pudełko.

– Poczęstuj się kanapką, Lachie nigdy ich nie przeje.

Wybrał tę z szynką i usiedli obok siebie na ławce. Ponownie wyciągnęła nogi przed siebie i teraz jej udo przylegało do jego. Na nogach miała klapki, a paznokcie u stóp pomalowała na połyskliwy róż.

– To miejsce zmieniło się nie do poznania. Niesamowite – stwierdził Falk, spoglądając na dzieci bawiące się na huśtawkach. – Skąd się wzięły pieniądze na to wszystko?

– Wiem, co masz na myśli. To z jakiegoś funduszu charytatywnego dla wsi. Parę lat temu się nam poszczęściło i wpadliśmy w oko bogatym darczyńcom. No i teraz to jest najfajniejsze miejsce w miasteczku. Zawsze jest tu mnóstwo ludzi. Dzieci je uwielbiają. Chociaż serce mi krwawiło z powodu naszej ławki... – Uśmiechnęła się, kiedy przyglądali się, jak jeden z malców zakopywał kolegę w piasku. – Dla maluchów to rewelacja. A naprawdę, uwierz mi, nie ma tu dla nich wiele rozrywek.

Falk przypomniał sobie łuszczącą się farbę i pojedynczy kosz na szkolnym boisku.

– Pewnie rekompensuje im szkołę. Bo tam jest jeszcze gorzej, niż to zapamiętałem.

– Tak, kolejna sprawa, za którą możemy być wdzięczni suszy. – Gretchen odkręciła butelkę wody i pociągnęła łyk. Następnie przechyliła butelkę w jego stronę, dokładnie w ten sam sposób, w jaki kiedyś zwykła częstować wódką. Łatwa bliskość. Przyjął ją. – Nie ma pieniędzy na społeczność – powiedziała. – Wszystko, cokolwiek miasteczko dostaje od rządu, idzie na dopłaty dla farmerów, więc nic nie zostaje dla dzieci. Ale mamy szczęście, że Scott jest dyrektorem. Przynajmniej jemu naprawdę zależy. Tyle że liczba spraw, które można załatwić przy pustym koncie bankowym, jest ograniczona. Nie ma mowy o tym, żebyśmy poprosili rodziców o jeszcze jakieś pieniądze.

– Nie możecie ponownie zwrócić się do bogatych darczyńców?

Uśmiechnęła się smutno.

– Próbowaliśmy. Wydawało nam się, że w tym roku z pewnością coś dostaniemy. Mimo że chodziło o inną organizację niż ta od placu zabaw. Prywatna inicjatywa. Crossley Educational Trust. Słyszałeś o nich?

– Nie wydaje mi się.

– Goście o miękkich sercach, i tego właśnie nam trzeba. Dają pieniądze potrzebującym wiejskim szkołom, lecz najwyraźniej są jakieś jeszcze bardziej wiejskie

lub jeszcze bardziej potrzebujące placówki, choć naprawdę trudno w to uwierzyć. Daj im, Boże. Byliśmy w czołówce, ale tym razem nie zostaliśmy wybrani. Będziemy szukać, spróbujemy oczywiście za rok, ale do tego czasu kto wie, co się wydarzy... – urwała, żeby pomachać do syna, który stał na szczycie zjeżdżalni, próbując przyciągnąć ich uwagę. Kiedy złapał ich spojrzenia, zjechał. – Lachie na razie jest tutaj szczęśliwy, a to już coś.

Sięgnęła po plastikowy pojemnik, ponieważ synek już biegł w ich kierunku. Podążyła mu kanapką, lecz chłopiec zignorował ją, wpatrując się w Falka.

– Cześć, kolego. – Falk podał mu rękę. – Jestem Aaron. Poznaliśmy się już, pamiętasz? Twoja mama i ja przyjaźniliśmy się, kiedy byliśmy młodszy.

Lachie potrząsnął jego dłonią, zadowolony z nowego doświadczenia.

– Widziałeś mnie na zjeżdżalni?

– Oczywiście – odpowiedziała Gretchen, choć pytanie nie było skierowane do niej.

Falk pokiwał głową.

– Byłeś naprawdę dzielny – odparł. – Ta zjeżdżalnia jest bardzo wysoka.

– Mogę to zrobić jeszcze raz. Patrz. – I Lachie pobiegł.

Gretchen patrzyła za nim ze śmiesznym wyrazem twarzy. Chłopiec ponownie poczekał, dopóki Falk nie skupił na nim całej swej uwagi, i dopiero wtedy zjechał. Natychmiast pobiegł zrobić to jeszcze raz. Falk pokazał mu kciuk w geście aprobaty.

– Dzięki – powiedziała Gretchen. – Ma teraz prawdziwą obsesję na punkcie dorosłych mężczyzn. Wydaje mi się, że zaczyna dostrzegać, że inne dzieci mają tatę i... no, sam wiesz... – Wzruszyła ramionami. Nie patrzyła mu w oczy. – Na tym przecież polega macierzyństwo, prawda? Osiemnaście lat przytłaczającego poczucia winy.

– Jego tata w ogóle się nim nie zajmuje? – Falk usłyszał nutę ciekawości w swoim głosie.

Gretchen również to wyłapała i uśmiechnęła się znacząco.

– Nie. I nie martw się, możesz o to pytać. Jego tata odszedł. Nie znasz go. Nikt miejscowy, po prostu ktoś, kto przez chwilę miał tu pracę. Sama nie wiem o nim wiele, oprócz tego, że zostawił mi to wspaniałe dziecko. I tak, zdaję sobie sprawę z tego, jak to brzmi.

– To nie brzmi w żaden sposób. Lachie ma szczęście, że ma ciebie – odparł.

Ale przyglądając się, jak chłopiec sprawnie wspinał się po drabinkach, nie mógł oprzeć się pokusie, żeby nie zastanowić się, jak wyglądał jego ojciec.

– Dzięki. Nie zawsze tak się czuję. Czasem zastanawiam się, czy nie powinnam postarać się kogoś poznać. Dla dobra nas obojga. Postarać się stworzyć Lachiemu normalną rodzinę. Pokazać mu, jak to jest mieć mamę, która nie jest cały czas wykończona i zdenerwowana, jeśli to w ogóle możliwe. Ale, sama nie wiem... – urwała i Falk przestraszył się, że się spieszyła. Jednak ona uśmiechnęła się do niego szeroko. – Nie za bardzo jest się z kim umawiać w naszym bagienku.

Falk roześmiał się.

– Czyli nigdy nie wyszłaś za męża? – dopytywał.

– Nie, nigdy.

– Ani ja.

Gretchen zmrużyła oczy w rozbawieniu.

– No wiem, wiem.

Falk pomyślał, że kobiety zawsze wiedziały takie rzeczy. Skąd? Nie wiedział. Uśmiechnęli się do siebie. Spróbował wyobrazić sobie Gretchen i Lachiego mieszkających na rozległej farmie Kellermanów, którą kupiła, i przypomniał sobie dziwną izolację gospodarstwa Hadlerów. Nawet Falk, który był bardziej zamknięty w sobie niż większość ludzi, po kilku godzinach w otoczeniu samych pól zaczął tęsknić za towarzystwem.

– Musisz się czuć samotna na farmie – powiedział, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Przepraszam. To naprawdę było pytanie, a nie koszmarny sposób na podryw.

Gretchen roześmiała się.

– Wiem. Z taką gadką wpasowałbyś się tutaj lepiej, niż ci się zdaje. – Jej twarz spochmurniała. – Ale fakt, czasem to jest problem. Nie to, że brakuje mi towarzystwa, raczej czuję się odcięta od wszystkiego. Nikt nie oferuje tutaj niezawodnego internetu, nawet z zasięgiem telefonicznym bywają problemy. Nie żeby całe tabuny ludzi próbowały się do mnie dodzwonić... – urwała, a jej usta zacisnęły się w wąską linię. – Wiesz, że dowiedziałam się o Luke’u dopiero następnego ranka?

– Naprawdę? – Falk był wstrząśnięty.

– Tak. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby do mnie zadzwonić. Ani Gerry’emu, ani

Barb. Nikomu. Pomimo tego wszystkiego, przez co razem przeszliśmy, ja... – wzruszyła ramionami nieznacznie – ...nie byłam ważna. Tamtego popołudnia odebrałam Lachiego ze szkoły, pojechałam do domu, zjedliśmy kolację. Położyłam go spać i oglądałam film na DVD. Było nudno i zwyczajnie, ale to był ostatni normalny wieczór, wiesz? Nic specjalnego, lecz oddałabym wszystko, żeby tylko móc do tego wrócić. Następnego ranka, kiedy podjechałam pod szkołę, w s z y s c y mówili tylko o tym. Poczułam się tak, jakby oni wszyscy wiedzieli i... – pojedyncza łza spłynęła jej po nosie – ...i nikt nie zaprzął sobie głowy, żeby do mnie zadzwonić. Nie mogłam w to uwierzyć. To znaczy... nie byłam w stanie uwierzyć w to, co usłyszałam... Przejechałam koło jego farmy, no ale oczywiście nie mogłam się do niej zbliżyć. Drogi były zablokowane, a wszędzie mnóstwo glin. Więc wróciłam do domu. Do tego czasu zrobiło się już o wszystkim głośno w telewizji, no a wtedy nie dało się tego już przeoczyć.

– Przykro mi, Gretch – rzekł Falk, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Jeśli ci to pomoże, to do mnie również nikt nie zadzwonił. Dowiedziałem się, kiedy zobaczyłem jego twarz na stronie z wiadomościami. – Falk nadal pamiętał swoje wzburzenie wywołane przez widok tak dobrze znanej mu twarzy pod tamtym straszonym nagłówkiem.

Gretchen skinęła głową. Nagle jej wzrok skupił się na czymś za jego plecami. Mina jej zrzedła. Pospiesznie otarła oczy.

– Chryste! Uważaj, nadchodzi – przestrzegła go. – Mandy Vaser. Pamiętasz ją? Wtedy nazywała się Mandy Mantel. Jezu, nie mogę się tym teraz zajmować.

Falk obrócił się. Rudowłosa dziewczyna o ostrych rysach, którą pamiętał jako Mandy, zmieniła się w schludną, drobną kobietę z błyszczącym rudym bobem na głowie. Niosła niemowlę przytroczone do niej w jakiś przedziwny sposób za pomocą tworzących nosidło szerokich pasów, które wyglądały jak splot naturalnych włókien reklamowanych jako „organiczne”. Nadal jednak miała wydatne rysy twarzy.

– Wyszła za Toma Vasera. Był rok czy dwa od nas starszy – szeptała Gretchen. – Ma dwoje dzieci w szkole. I pełne ręce roboty jako samozwańcza rzeczniczka grupy zaniepokojonych matek.

Mandy zatrzymała się przed nimi. Spojrzała na Falka oraz jego kanapkę z szynką z wyrazem obrzydzenia.



– Cześć, Mandy – przywitał się, ale został ostentacyjnie zignorowany.

Jedyną reakcją Mandy było to, że opiekuńczo położyła dłoń na główce dziecka, jakby chcąc osłonić je przed jego powitaniem.

– Gretchen, przepraszam, że ci przeszkadzam. – Jej ton świadczył o czymś wręcz przeciwnym. – Czy mogłabyś podejść do naszego stołu na chwilę? Tylko na słówko. – Jej spojrzenie pomknęło na moment w stronę Falka.

– Mandy – Gretchen odezwała się bez entuzjazmu. – Pamiętasz Aarona? Ze szkoły? Teraz pracuje w policji federalnej. – Szczególny nacisk położyła na ostatnie słowa.

Falk przypomniał sobie, że kiedyś Mandy i on się pocałowali. Jeśli dobrze pamiętał, było to na szkolnej dyskotecie. Mieli po czternaście lat, a ona zaskoczyła go, wsuwając mu głęboko do ust język, który intensywnie smakował tanią lemoniadą, a wszystko to przy akompaniamencie ryku stereo dobiegającego z kąta sali gimnastycznej. Zastanawiał się, czy ona też to pamiętała. Ze sposobu, w jaki marszczyła brew i unikała kontaktu wzrokowego, wnioskował, że z całą pewnością tak.

– Miło znów cię widzieć. – Falk wyciągnął do niej rękę, choć nie dlatego, że mu na tym zależało. Po prostu podejrzewał, że wprawi to Mandy w zakłopotanie.

Wpatrywała się w nią i widać było, że musi się wysilić, by zwalczyć odruchową uprzejmą reakcję. I udało się, a Falk został z ręką zawieszoną w powietrzu. Niemal poczuł do niej odrobinę szacunku.

– Gretchen – Mandy traciła cierpliwość. – Pozwól na słowo.

Gretchen spojrzała jej prosto w oczy, nie wykonując najmniejszego ruchu.

– Im szybciej to powiesz, Mandy, tym szybciej będę mogła odpowiedzieć ci, żebyś nie wtykała nosa w nie swoje sprawy, i obie będziemy mogły wrócić do swoich zajęć.

Mandy zeszywniała. Spojrzała przez ramię na grupę matek o podobnych fryzurach, które przyglądały im się zza ciemnych okularów.

– W porządku. Zgoda. Mnie, to znaczy nam, nie podoba się, że Aar... twój przyjaciel przebywa w pobliżu naszych dzieci. – Spojrzała na Falka. – Chcemy, żeby sobie poszedł.

– Zrozumiałam – odparła Gretchen.

– Czy to znaczy, że on sobie pójdzie?

– Nie – odpowiedzieli równocześnie Gretchen i Falk.

Falk pomyślał, że właściwie jest już najwyższy czas, by pojechał na komisariat do Raca, ale nie zamierzał dawać satysfakcji cholernej Mandy Mantel. Oczy ich rozmówczyni zwężyły się do rozmiaru szparek. Nachyliła się w ich kierunku.

– Słuchaj – powiedziała. – Teraz to ja i pozostałe mamy grzecznie prosimy, ale za chwilę mogą zjawić się tatusiowie, którzy nie będą już tacy uprzejmi, choć może wyrażą się bardziej zrozumiale dla was.

– Many, na miłość boską! – Gretchen nie wytrzymała. – To jest policjant. Słyszysz, co mówię?

– Jasne, słyszałam też, co zrobił Ellie Deacon. – Teraz już przyglądali się im wszyscy rodzice na placu zabaw. – Naprawdę, Gretchen, nie możesz chyba być aż tak zdesperowana? Żeby wystawiać własnego syna na takie niebezpieczeństwo? Jesteś przecież mamą. Zacznij się zachowywać, jakbyś wiedziała, co to znaczy.

Chłopak, który ożenił się z Mandy, był znany z tego, że napisał i publicznie wyrecytował wiersz dla Gretchen z okazji walentynek. Nic dziwnego, że kobieta była zadowolona, że w końcu mogła się na niej odegrać.

– Jeśli zamierzasz spędzać czas z tym... z tym... człowiekiem, Gretchen – kontynuowała Mandy – zastanowię się, czy nie powiadomić opieki społecznej. Dla dobra Lachiego.

– Hej... – zaczął Falk, ale Gretchen nie pozwoliła mu dokończyć.

– Mandy Vaser – zaczęła spokojnym głosem, który był jak stal. – Myślisz, że jesteś taka wszechwiedząca? To zrób jedną mądrą rzecz w swoim życiu. Obróć się i odejdz. – Na te słowa kobieta wyprostowała się, nie zamierzając ustępować pola. – I wiesz co, Mandy? Jeśli zrobisz cokolwiek, co będzie kosztowało mojego syna choćby minutę snu lub jedną wylaną łzę... – Nie skończyła zdania, pozwalając mu zawisnąć w powietrzu.

Lodowaty ton Gretchen był dla Falka czymś całkowicie obcym.

Mandy zrobiła wielkie oczy.

– Grozisz mi? To jest język agresji i traktuję to jako groźbę. Nie mogę w to uwierzyć. Po tym wszystkim, przez co przeszło to miasteczko.

– To ty mi grozisz! Już ja ci dam opiekę społeczną!

– Staram się, żeby Kiewarra była bezpiecznym miejscem dla naszych dzieci. Czy proszę o zbyt wiele? Czy sprawy nie mają się dostatecznie źle? Wiem, że Karen nigdy

cię nie obchodziła, ale mogłabyś przynajmniej okazać trochę szacunku, Gretchen.

– Wystarczy, Mandy – zaoponował Falk ostro. – Na miłość boską, zamknij się i zostaw nas w spokoju.

Mandy wymierzyła palec w Falka.

– Nie! To ty odejdz! – Obróciła się na pięcie i odmaszerowała. – Dzwonię po męża – te rzucone na odchodne słowa unosiły się za nią na placu zabaw jeszcze przez chwilę.

Policzki Gretchen pokrył rumieniec. Kiedy pociągnęła z butelki łyk wody, Falk dostrzegł, że trzęsą jej się ręce. Wykonał gest, chcąc dotknąć jej ramienia, ale powstrzymał się, ponieważ wiedział, że są obserwowani, i nie chciał jeszcze bardziej pogarszać sytuacji.

– Przepraszam cię – rzekł Falk. – Nie powinienem był się tutaj z tobą spotykać.

– Nie chodzi o ciebie – odparła. – Sytuacja jest bardzo napięta. A upał jeszcze wszystko pogarsza. – Wzięła głęboki oddech i posłała Falkowi niepewny uśmiech. – Mandy zawsze była jędzą.

– To prawda – przytaknął.

– A tak między nami, to nieprawda, że nie lubiłam Karen. Po prostu nie byłyśmy ze sobą blisko. W szkole jest mnóstwo mam. Nie da się przyjaźnić ze wszystkimi. Co zresztą widać. – I skinęła w kierunku, w którym odeszła Mandy.

Falk otworzył usta, aby odpowiedzieć, gdy nagle zabrzęczał jego telefon. Zignorował to. Gretchen uśmiechnęła się.

– W porządku. Odbierz.

Uśmiechając się przepraszająco, Falk otworzył wiadomość. Zerwał się na równe nogi, jeszcze zanim doczytał ją do końca.

Pięć słów od Raca: „Jamie Sullivan kłamał. Przyjedź natychmiast”.

## Rozdział 20

– Jest tam.

Falk spojrział przez grubą szybę w drzwiach jedynej na komisariacie sali przesłuchań. Jamie Sullivan siedział przy stole i smętnie wpatrywał się w papierowy kubek. Wydawał się mniejszy niż wtedy, kiedy siedział we własnym salonie.

Falk czuł się winny, zostawiając Gretchen w parku. Wahał się, ale ona spojrzała mu w oczy i powiedziała, że wszystko w porządku. Nie uwierzył jej, więc uśmiechnęła się do niego i popchnęła go w stronę samochodu.

– Jedź. Wszystko jest okej. Zadzwoń.

Odjechał.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytał Raco, a kiedy sierżant mu odpowiedział, skinął głową z uznaniem.

– Ta informacja była cały czas przed naszymi oczami – stwierdził Raco. – Po prostu ją przeoczyliśmy w nawale wydarzeń tamtego dnia.

– No cóż, to był bardzo pracowity dzień. Wygląda na to, że również dla Jamiego Sullivana.

Sullivan gwałtownie podniósł głowę, kiedy weszli do środka. Palce zacisnął na kubku.

– Dobra, Jamie. Chcę, żeby to było jasne: nie jesteś aresztowany – zaczął energicznie Raco. – Ale musimy wyjaśnić kilka spraw, o których już rozmawialiśmy. Pamiętasz agenta federalnego Falka. Chciałbym, żeby był obecny przy naszej rozmowie, jeśli się zgodzisz?

Sullivan przełknął. Patrzył rozbieganym wzrokiem, niepewny, jak brzmi prawidłowa odpowiedź.

– Chyba tak. On pracuje dla Gerry’ego i Barb, tak?

– Nieoficjalnie – odpowiedział Raco.

– Powiniennem zadzwonić po adwokata?

– Jeśli tylko chcesz.

Zapadła cisza. Zakładając, że Jamie Sullivan w ogóle miał swojego prawnika, spędzał on pięćdziesiąt tygodni w roku, zajmując się sporami o miedzę i umowami na zakup bydła, pomyślał Falk. To byłoby dla niego nieznanne terytorium. Nie wspominając już o kosztach za godzinę jego pracy. Sullivan najwyraźniej doszedł do podobnych wniosków.

– Nie jestem aresztowany?

– Nie.

– W porządku – powiedział w końcu. – Pytajcie, do cholery. Muszę wracać do domu.

– Jasne. Byliśmy u ciebie, Jamie, dwa dni temu – zaczął Raco. – Rozmawialiśmy o dniu, w którym zginęli Luke, Karen i Billy Hadlerowie.

– Tak. – Nad górną wargą Sullivana pojawiła się warstewka potu.

– I podczas tej wizyty powiedziałeś nam, że kiedy Luke wyjechał od ciebie, około szesnastej trzydzieści, ty zostałeś. Powiedziałeś... – Zajrzał do swoich notatek. – „Pracowałem. Tu na farmie. Kończyłem robotę na zewnątrz. Zjadłem obiad z babcią”.

Sullivan milczał.

– Czy chciałbyś teraz coś sprostować? Dodać?

Sullivan patrzył to na Raca, to na Falka. Potrząsnął głową.

– W porządku – odrzekł Raco, podając mu przez blat stołu kartkę papieru. – Wiesz, co to jest?

Sullivan przeciągnął językiem po spierzchniętych wargach. Dwukrotnie.

– To raport Państwowej Straży Pożarnej – odpowiedział.

– Dokładnie. Jak możesz zauważyć, pieczętka z datą wskazuje na ten sam dzień, w którym zabito Hadlerów. Za każdym razem, kiedy strażacy otrzymują wezwanie, muszą wypełnić taki właśnie raport. W tym konkretnym przypadku zareagowali na

sygnał alarmowy. To jest napisane tutaj. – I wskazał zadrukowane linijki na papierze. – A pod spodem jest adres, pod który zostali wezwani. Rozpoznajesz?

– Oczywiście. – Długa chwila milczenia. – To moja farma.

– Według opisu sytuacji... – Raco sięgnął po raport – ...straż pożarna została wezwana na twoją farmę o godzinie siedemnastej czterdzieści siedem. Powiadomienie było automatyczne, ponieważ twoja babcia wcisnęła swój guzik alarmowy. Kiedy ekipa dotarła na miejsce, zastała ją samą w domu, w którym płonąła kuchenka. Dalej można przeczytać, że ugasili ogień i zajęli się staruszką. Próbowali się do ciebie dodzwonić, nie odbierałeś, ale później wróciłeś do domu. To było o osiemnastej pięć, tak tu jest napisane.

– Byłem na polach.

– Nieprawda. Zadzwoiłem do gościa, który sporządził raport. Pamięta, że przyjechałeś od strony głównej drogi.

Trzech mężczyzn patrzyło po sobie. Sullivan spuścił wzrok jako pierwszy, zupełnie jakby właściwej odpowiedzi szukał na blacie stołu.

– Na początku, tuż po wyjeździe Luke'a, byłem na polach, ale potem wybrałem się na przejażdżkę – powiedział w końcu.

– Dokąd?

– Donikąd. Tak po prostu.

– A dokładniej? – zapytał Falk.

– Rozejrzeć się. Ale nie w pobliżu farmy Hadlerów. Potrzebowałem miejsca, żeby pomyśleć.

Falk popatrzył na niego. Sullivan usiłował odwzajemnić jego spojrzenie.

– Ta twoja farma... – powiedział Falk. – Ile ma akrów?

– Kilkaset.

– Całkiem sporo.

– Wystarczająco.

– Powiedz mi zatem, czemu ktoś, kto spędza codziennie dwanaście, czternaście godzin na kilkuset akrach pola, potrzebuje jeszcze więcej przestrzeni, żeby pomyśleć?

Sullivan odwrócił wzrok.

– Czyli wybrałeś się na przejażdżkę. Sam. Jakie masz wytłumaczenie na to, że

przemilczałeś to przed nami? – zapytał Raco.

Sullivan przeniósł wzrok na sufit, zastanawiając się i odrzucając pierwszą odpowiedź, która przyszła mu na myśl. Po czym wyciągnął dłonie i po raz pierwszy spojrział im prosto w oczy.

– Wiedziałem, jak to zabrzmie, i nie chciałem narobić sobie problemów. Prawdę powiedziawszy, miałem nadzieję, że się o tym nie dowiedziecie.

Po raz pierwszy Falk miał wrażenie, że słyszy prawdę. Z akt wiedział, że Sullivan miał dwadzieścia pięć lat, a do Kiewarry przyjechał dziesięć lat wcześniej z babcią i nieżyjącym już ojcem. Ponad dziesięć lat po utonięciu Ellie Deacon. Jednakże...

– Czy nazwisko Ellie Deacon coś ci mówi? – zapytał, a kiedy Jamie spojrział na niego, na jego twarzy odmalowało się coś, co zniknęło jednak zbyt szybko, aby Falk mógł to odczytać.

– Wiem, że umarła. Lata temu. I wiem... – Tu skinął na Falka. – Wiem, że Luke i... i ty... się z nią przyjaźniliście. Tylko tyle.

– Czy Luke mówił o niej?

Sullivan zaprzeczył ruchem głowy.

– Przynajmniej nie do mnie. Wspomniał ją raz czy dwa, mówiąc, że miał przyjaciółkę, która utonęła, ale nie roztrząsał przeszłości.

Falk przewertował akta, aż w końcu znalazł zdjęcie, którego szukał, i podsunął je Sullivanowi. Było to przybliżenie wnętrza platformy towarowej z pikapa Luke'a, ostrość ustawiona była na cztery poziome ślady w pobliżu jego ciała.

– Masz pomysł, co to może być? – zapytał, a Jamie zaczął intensywnie się wpatrywać.

Cztery linie. Po dwie jedna nad drugą po wewnętrznej stronie naczepy, w odległości jednego metra od siebie. Sullivan nie dotknął zdjęcia. Jego wzrok przesuwał się po nim, jakby mężczyzna próbował coś zrozumieć.

– Rdza? – zasugerował w końcu. Nie był jednak przekonany do własnych słów i pozostałych również nie przekonał.

– Okej – Falk zabrał zdjęcie z powrotem.

– Zrozumcie, ja ich nie zabiłem. – Ton głosu Sullivana stał się piskliwy. – Luke był moim kumplem. I to dobrym.

– To pomóż nam – powiedział Raco. – Pomóż Luke’owi. Nie każ nam marnować czasu na ciebie, skoro powinniśmy zajmować się czymś innym.

Na niebieskiej koszuli Sullivana, pod pachami, pojawiły się mokre plamy. Nad stołem uniósł się zapach rozgrzanego ciała. Cisza się przeciągała.

Falk zaryzykował.

– Jamie. Jej mąż wcale nie musi się o tym dowiedzieć.

Sullivan podniósł wzrok i po raz pierwszy na jego twarzy zagościł cień uśmiechu.

– Myślicie, że posuwam czyjąś żonę?

– Myślę, że jeśli jest ktoś, kto może potwierdzić, gdzie wtedy byłeś, powinieneś nam teraz o tym powiedzieć.

Sullivan zamarł w bezruchu. Czekali. Farmer jednak potrząsnął lekko głową.

– Nie ma nikogo takiego.

Falk pomyślał, że nie trafił, ale coś mu mówiło, że również nie do końca się pomylił.

– Co może być gorszego od bycia przesłuchiwanym w sprawie potrójnego morderstwa? – zastanawiał się pół godziny później Falk, kiedy przyglądali się, jak Jamie Sullivan wsiada do swojego dżipa i odjeżdża. Przesłuchanie kręciło się w kółko, dopóki Jamie nie założył ramion i nie odmówił udzielania więcej jakichkolwiek odpowiedzi. Zamiast tego powiedział, że koniecznie musi sprawdzić, co z jego babcią, albo przynajmniej kogoś do niej posłać.

– Z całą pewnością czegoś się obawia – przyznał Raco. – Pytanie czego?

– Będziemy mieć go na oku – stwierdził Falk. – Pojadę teraz na trochę do pubu przejrzeć resztę dokumentów Hadlerów.

Przełożony Falka zawsze powtarzał, że w razie wątpliwości należy skupić się na pieniądzach. Była to dobra rada. Raco zapalił papierosa i odprowadził go do samochodu zaparkowanego na skrawku ziemi za komisariatem. Kiedy wyszli z za rogu, Falk stanął jak wryty. Stał i patrzył, czekając, aż jego umysł pojmie to, co widziały jego oczy.

Na drzwiach i masce jego samochodu ktoś wielokrotnie wypisał wiadomość. W słońcu litery lśniły na srebrno:



DOPADNIEMY CIĘ, MORDERCO.

## Rozdział 21

Kiedy Falk przyjechał zdewastowanym samochodem na parking przed pubem, Gretchen urwała w pół słowa cokolwiek wtedy mówiła. Stała na chodniku i rozmawiała ze Scottem Whitlamem, a Lachie bawił się obok. Kiedy Falk parkował, widział w lusterku ich spojrzenia.

– Cholera – wymamrotał pod nosem.

Z komisariatu do pubu było zaledwie kilkaset metrów, ale dla niego ta podróż przez centrum miasteczka okazała się bardzo długa. Wszedł z samochodu, a kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, srebrne zadrapania na karoserii raziły go w oczy.

– O mój Boże, kiedy to się stało? – Gretchen podbiegła do niego z Lachiem.

Chłopiec pomachał Falkowi, zanim z szeroko otwartymi oczami zaczął przyglądać się autu. Wyciągnął swój mały paluszek i zaczął wodzić nim po wrytych literach. Ku przerażeniu Falka zaczął też literować pierwsze słowo, zanim Gretchen pospiesznie go od tego odwiodła. Powiedziała mu, żeby pobawił się po drugiej stronie parkingu, i chłopiec, choć niechętnie, zaczął wrzucać drobne kamyczki do kratki ściekowej.

– Kto to zrobił? – rzuciła, zwracając twarz w stronę Falka.

– Nie wiem.

Whitlam gwizdnął cicho i ze współczuciem, powoli obchodząc pojazd dookoła.

– Ktoś naprawdę poszedł na całość. Czym oni to zrobili? Nożem, śrubokrętem?

– Naprawdę, nie mam pojęcia.

– Banda drani – skwitował dyrektor. – To miejsce jest czasem gorsze od miasta.

– Jak się czujesz? – Gretchen dotknęła łokcia Falka.

– W porządku – odparł. – Zdecydowanie lepiej niż auto. – Poczł ukłucie gniewu. Miał ten samochód od przeszło sześciu lat. Niby nie było to nic specjalnego, ale też nigdy nie sprawiał Falkowi problemów. Nie zasługiwał na taki los z ręki jakiegoś wiejskiego półgłówka.

DOPADNIEMY CIĘ, MORDERCO.

Falk zwrócił się do Whitlama:

– Chodzi o zdarzenie z przeszłości. Dziewczyna, z którą się przyjaźniliśmy...

– W porządku – Whitlam skinął głową. – Słyszałem tę historię.

Gretchen dotknęła wyżłobionych śladów.

– Aaron, posłuchaj, musisz być ostrożny.

– Nic mi nie będzie. To jest denerwujące, ale...

– Nie. To coś znacznie gorszego.

– A co jeszcze mogą mi zrobić? Dopaść mnie?

Nie odezwała się od razu.

– Nie wiem. Zobacz, co się stało Hadlerom.

– To trochę co innego.

– Jesteś pewien? Chodzi mi o to, że tak naprawdę nie wiadomo.

Falk spojrzał na Whitlama, szukając wsparcia, ale ten wzruszył tylko ramionami.

– Napięcie sięga zenitu, stary. Małe sprawy urastają do gigantycznych rozmiarów, zanim zdążysz się zorientować. Sam przecież wiesz. Nie zaszkodzi być trochę ostrożniejszym. Zwłaszcza że te dwie sprawy wydarzyły się jednego dnia.

Falk spojrzał na niego badawczo.

– Dwie sprawy?

Whitlam rzucił spojrzenie na Gretchen, która poruszyła się niespokojnie.

– Przykro mi – powiedział. – Myślałem, że do tego czasu zdążyłeś już je zobaczyć.

– Co?

Whitlam wyjął kartkę papieru z tylnej kieszeni spodni i podał mu. Falk rozłożył ją. Gorący wiatr poderwał suche liście u ich stóp.

– Kto to widział?

Żadne z nich nie odpowiedziało. Falk zmierzył ich wzrokiem.

– No?

– Wszyscy. Jest ich pełno w całym miasteczku.

W pubie było gwarno, ale Falk słyszał celtycki zaśpiew McMurda wzbijający się ponad wrzawą. Zatrzymał się w drzwiach za Whitlamem.

– Nie zamierzam z tobą dyskutować, kolego – mówił McMurdo zza baru. – Rozejrzyj się. To jest pub. Tu nie ma demokracji.

W swojej dużej dłoni trzymał zmięte ulotki. Dokładnie takie same jak ta, która wypalała dziurę w kieszeni Falka. A on musiał walczyć ze sobą, by jej nie wyciągnąć i nie zacząć oglądać od nowa. Była to marnej jakości odbitka, pewnie ktoś powielił pięćset egzemplarzy na kserokopiarce w bibliotece.

Na górze wielkimi literami napisano: „Śp. Ellie Deacon, lat szesnaście”. Pod spodem widniało zdjęcie ojca Falka w wieku ponad czterdziestu lat. Obok umieszczono pospiesznie zrobione ujęcie Falka, najprawdopodobniej w momencie, kiedy wychodził z pubu. Na zdjęciu spoglądał w bok, a jego twarz została uwieczniona w chwilowym grymasie. Pod zdjęciami, mniejszą czcionką, napisano: „Ci mężczyźni byli przesłuchiwani w sprawie utonięcia Ellie Deacon. Potrzeba więcej informacji, chrońmy nasze miasteczko! Zadbajmy o bezpieczną Kiewarrę!”.

Wcześniej na parkingu Gretchen uścisnęła go.

– Banda skończonych kutasów – szepnęła mu do ucha. – Ale i tak uważaj na siebie.

Zgarnęła Lachiego, nie zważając na jego protesty, i odjechała. Whitlam prowadził Falka do pubu, ignorując jego protesty.

– Ludzie tutaj są jak rekiny – powiedział. – Atakują, jak tylko poczują krew. Najlepsze, co możesz zrobić, to usiąść tam i napić się ze mną zimnego piwa. Co jest naszym prawem, danym przez Boga mężczyznom urodzonym pod Krzyżem Południa.

Obaj weszli do środka. Duży mężczyzna o czerwonej twarzy, którego Falk pamiętał, jak odwrócił się pewnego razu plecami na ulicy do jego ojca, kłócił się przez kontuar z McMurdem. Mężczyzna w emocjach uderzał palcem w ulotki, mówiąc coś, czego Falk nie dosłyszał, na co barman potrząsał głową.

– Nie wiem, co ci powiedzieć, kolego. Jeśli chcesz przeciwko czemuś protestować, możesz wziąć do ręki kartkę i długopis i napisać do swojego przedstawiciela w parlamencie. Ale nie tutaj. – Wyrzucając ulotki do kosza, zauważył Falka.

Nieznacznie potrząsnął głową.

– Chodźmy stąd – powiedział Falk do Whitlama i wycofał się na zewnątrz. – Dzięki za zaproszenie, ale to nie jest dobry pomysł.

– Myślę, że masz rację. Niestety. Chryste, czasem czuję się tutaj, jakbym występował w *Uwolnieniu* – stwierdził Whitlam. – Co teraz?

– Chyba zaszyję się w swoim pokoju. Przejrzę papiery. Może to się rozejdzie po kościach.

– Chrzkań to. Lepiej napij się ze mną.

– Nie, nie, ale dzięki. Lepiej jeśli nie będę się wychylał.

– Nie, to wcale nie brzmi lepiej. Chodź. Pojedziemy moim samochodem, dobrze? – Whitlam wyciągnął kluczyki, szczerząc się. – Mojej żonie dobrze zrobi, jak cię pozna. Może poczuje się trochę bezpieczniejsza. – Jego uśmiech przygasł, ale po chwili znów pojaśniał. – A poza tym jest coś, co chciałbym ci pokazać.

Whitlam wysłał wiadomość do żony i w milczeniu jechali przez miasteczko.

– Nie obawiasz się, że ktoś zobaczy mnie u ciebie w domu? – zapytał w końcu Falk. Przypomniał sobie zajście w parku. – Mamy ze szkoły nie będą zachwycone.

– Mogą się wypchać – skwitował Whitlam, nie spuszczając wzroku z drogi. – Może to je czegoś nauczy. „Nie sądziecie, a nie będziecie sądzeni przez bandę małoszkolnych świrów” czy jak to tam było... Jak myślisz, kto jest twoim psychofanem?

– Pewnie Mal Deacon. Albo jego bratanek Grant.

Whitlam zmarszczył brwi.

– Stawiałbym raczej na Granta. Deacon jest raczej nieobecny. Mam na myśli jego władze umysłowe. Ale nie orientuję się zbyt dobrze, bo staram się nie mieć z nimi do czynienia. Nie szukam kłopotów.

– Pewnie masz rację. – Falk spoglądał ponuro przez okno. Pomyślał o swoim samochodzie, o srebrnych literach wrytych na lakierze. – Ale obaj nie mają oporów przed ubrudzeniem sobie rąk.

Whitlam spojrzał na niego, ważąc ostatnie słowa. W końcu wzruszył ramionami. Skręcił z głównej drogi i jechał teraz wąskimi uliczkami. Byli w części Kiewarry najbardziej zbliżonej swoim charakterem do przedmieść. Domy tutaj wydawały się

zgrabne i zadbane w porównaniu z farmami, a gdzieśgdzie zdarzały się nawet zielone trawniki. Falk pomyślał, że bez trudu można było odgadnąć, kto zainwestował w sztuczną murawę. Whitlam zatrzymał się na wybrukowanym podjeździe eleganckiego domu jednorodzinnego.

– Ładnie mieszkaś – powiedział Falk.

Whitlam skrzywił się.

– Przedmieścia na prowincji. Połączenie najgorszego z obu światów. Połowa domów w sąsiedztwie stoi pusta, co stanowi problem. Nie jest tu bezpiecznie, wiesz? Wiele dzieciaków się tutaj kręci. Ale wszyscy, którzy utrzymują się z hodowli i rolnictwa, mieszkają na swojej ziemi, a w miasteczku nie ma nic, co przyciągnęłoby nowych ludzi. – Wzruszył ramionami. – Na razie tylko wynajmujemy. Zobaczmy z czasem, jak się sprawy potoczą.

Zaprowadził Falka do chłodnej kuchni wykończonej na wysoki połysk, gdzie jego żona za pomocą skomplikowanego ekspresu przygotowywała kawę o głębokim i bogatym aromacie. Sandra Whitlam była szczupłą, bladą kobietą o wielkich zielonych oczach, które sprawiały, że cały czas wyglądała na przestraszoną. Kiedy Whitlam dokonał prezentacji gościa, Sandra uścisnęła dłoń Falka z pewną podejrzliwością, po czym wskazała mu miejsce na wygodnym krześle kuchennym.

– Napijesz się piwa? – zawołał do niego Whitlam, otwierając lodówkę.

Sandra, która właśnie kładła na blacie trzy porcelanowe filiżanki, zatrzymała się.

– Czy nie przyjechaliście z pubu? – Jej ton był lekki, lecz nie odwróciła się, aby spojrzeć na męża.

– No cóż, koniec końców nie weszliśmy nawet do środka – odparł Whitlam, mrugając do Falka.

Sandra zacisnęła usta w cienką linię.

– Kawa zdecydowanie mi wystarczy, dzięki, Sandro – stwierdził Falk. – Pachnie wyśmienicie.

Posłała mu nikły uśmiech, a Whitlam z westchnieniem zamknął lodówkę. Nalała kawy do filiżanek i w ciszy krzątała się po kuchni, układając na półmisku wybór serów i krakersy. Falk upił łyk kawy i spojrzał na zdjęcie rodzinne oparte o ścianę niedaleko jego łokcia. Widniała na nim para z małą dziewczynką o włosach w kolorze piasku.

– To wasza córka? – zapytał, aby wypełnić czymś ciszę.

– Danielle. – Whitlam sięgnął po fotografię. – Gdzieś tu się kręci. – Spojrzał na żonę, która zatrzymała się przy zlewie na dźwięk imienia swojego dziecka.

– Ogląda telewizję w pokoju – powiedziała.

– W porządku z nią?

Sandra tylko wzruszyła ramionami, więc Whitlam obrócił się z powrotem do Falka.

– Mówiąc szczerze, Danielle jest dość zagubiona – oznajmił. – Mówiłem ci, że przyjaźniła się z Billym Hadlerem. Nie jest w stanie zrozumieć, co się stało.

– Na szczęście – powiedziała Sandra, składając ze złością ściereczkę w kwadrat. – Mam nadzieję, że nigdy nie będzie musiała zrozumieć nic tak strasznego. Za każdym razem, kiedy o tym myślę, robi mi się niedobrze. Co ten łajdak zrobił swojej żonie i dziecku. Dla takich jak on piekło to za mało.

Sięgnęła ponad blatem i ukroiła cienki plasterek sera, z całej siły wbijając nóż, aż uderzył o deskę z ostrym stukiem.

Whitlam odkaslnął cicho.

– Aaron kiedyś mieszkał w miasteczku. Przyjaźnił się z Lukiem Hadlerem, kiedy byli młodszy.

– Cóż, może wtedy był inny. – Sandra nie dała się zbić z tropu. Uniosła brwi, spoglądając na Falka. – Więc dorastałeś w Kiewarze? To musiały być dla ciebie naprawdę długie lata.

– Nie było aż tak źle. Rozumiem, że nie podoba ci się tutaj?

Sandra roześmiała się.

– Nie był to dla nas początek, jakiego się spodziewaliśmy – powiedziała nieco urywanym głosem. – Ani dla nas, ani dla Danielle.

– Z pewnością nie. Cóż, nie jestem najlepszą osobą, żeby bronić tego miejsca... – rzekł Falk. – ...ale wiesz, to, co przydarzyło się Hadlerom... Z czymś takim człowiek ma do czynienia co najwyżej raz w życiu.

– Możliwe – odparła Sandra. – Ale to, czego naprawdę nie potrafię zrozumieć, to nastawienie, które tutaj panuje. Niektórzy ludzie niemal s o l i d a r y z u j ą s i ę z Lukiem Hadlerem. Opowiadają, jak musiało mu być ciężko, a ja mam ochotę nimi potrząsnąć. Zrozum, jak bardzo głupim trzeba być? Nieważne, przez co Luke

przechodził. Kogo to o b c h o d z i? Możesz sobie wyobrazić ostatnie chwile Billy'ego i Karen? Ale nieee, tutaj panuje, nawet nie wiem, jak to nazwać, takie prowincjonalne współczucie wobec niego. I... – wycelowała palec swojej wypielęgnowanej dłoni w Falka – ...wcale nie obchodzi mnie, że sam później odebrał sobie życie. Zabicie żony i dziecka to ostateczny wymiar przemocy domowej. Ni mniej, ni więcej.

Przez dłuższą chwilę jedyne dźwięki w kuchni wydawał ekspres do kawy stojący na nieskazitelnie czystym blacie.

– W porządku, kochanie. Nie tylko ty tak myślisz – rzekł Whitlam.

Sięgnął przez blat i położył dłoń na rękach żony. Sandra mrugała szybko oczami, tusz na jej rzęsach rozmywał się w kącikach oczu. Przez chwilę trzymała dłoń nieruchomo, zanim zmuszona była sięgnąć po chusteczkę.

Whitlam zwrócił się do Falka.

– To było straszne dla nas wszystkich. Ja straciłem ucznia. Danielle swojego kolegę. Sandra oczywiście myśli o Karen.

Z gardła Sandy wydobył się cichy jęk.

– Powiedziałaś mi, że tamtego dnia, kiedy Billy zginął, miał przyjść do was pobawić się z waszą córką. – Falk przypomniał sobie ich rozmowę w szkole.

– Tak – odpowiedziała za męża Sandra, zajmując się nalewaniem kawy i niemal w widoczny sposób biorąc się w garść. – Przychodził do nas dość często. Podobnie jak Danielle często bawiła się u Hadlerów. Przypadli sobie do serca, to było naprawdę słodkie. Bardzo za nim tęskni. Nie może zrozumieć, że już go więcej nie zobaczy.

– To znaczy, że Billy odwiedzał was regularnie?

– Może nie regularnie, ale jego wizyty nie były niczym nadzwyczajnym – odparła Sandra. – Nie zaplanowałyśmy z Karen nic w tamtym tygodniu, ale ni z tego, ni z owego Danielle wyciągnęła swój zestaw do minibadmintonu, który dostała na ostatnie urodziny. Ona i Billy byli w tym beznadziejni, ale i tak to uwielbiali. Później na jakiś czas popadł w zapomnienie, aż znów się do tego zapaliła... wiesz, jakie są dzieci... i chciała, żeby Billy jak najszybciej przyszedł z nią pograć.

– To kiedy rozmawiałaś z Karen, żeby się umówić? – zapytał Falk.

– Myślę, że to było dzień wcześniej, prawda? – Sandra spojrzała na męża, który wzruszył tylko ramionami. – Tak, tak sądzę. Bo, pamiętasz, Danielle męczyła cię, żebyś



rozwiesił siatkę w ogrodzie. Zadzwoiłam więc do Karen, żeby się spytać, czy następnego dnia Billy nie chciałby przyjść do nas po szkole. Odpowiedziała: „Tak, zgoda”, i to było tyle.

– Jak brzmiała?

Sandra zmarszczyła brwi, jakby to był jakiś test.

– Wydaje mi się, że w porządku – odpowiedziała. – Ciężko mi sobie przypomnieć. Może była trochę... rozkojarzona. Ale to była krótka rozmowa. Było dość późno i nie było czasu na pogawędkę. Ja zadzwoniłam z propozycją, ona się zgodziła i tyle.

– Kiedy odwołała?

– Zadzwoiła następnego dnia. Zaraz po lunchu.

– Sandra Whitlam przy telefonie.

– Sandra, cześć, tu Karen.

– Och, cześć. Co słychać?

Krótką chwilą ciszy, a później cichy dźwięk, być może śmiech.

– Dobrze pytanie. Słuchaj, przepraszam, ale okazuje się, że jednak Billy nie będzie mógł przyjść dziś do was.

– Och, jaka szkoda. – Sandra musiała stłumić jęk. Teraz ona albo Scott, a pewnie nawet oboje spędzą wieczór, grając w badminton. W myślach zaczęła układać listę potencjalnych zastępstw. – Ale wszystko dobrze? – zapytała z sekundowym opóźnieniem.

– Tak, tak. To tylko... – Na linii zapadła cisza i Sandra przez chwilę myślała, że je rozłączyło. – Ostatnio jest trochę nieswój. Myślę, że będzie dla niego lepiej, jeśli od razu po szkole wróci do domu. Przykro mi. Mam nadzieję, że Danielle nie będzie bardzo zawiedziona.

Sandra poczuła się winna.

– Nie, oczywiście, że nie, nie wygłupiaj się. Jeśli coś go bierze, nic się na to nie poradzi. Postępujesz słusznie, zwłaszcza biorąc pod uwagę, co Danielle zaplanowała. Możemy umówić się kiedy indziej. Znów cisza. Sandra spojrzała na zegar na ścianie. Poniżej na korkowej tablicy przypięta była jej lista zadań.

– Tak – odezwała się w końcu Karen. – Pewnie tak.

Sandra już miała słowa pożegnania na końcu języka, kiedy usłyszała po drugiej stronie westchnięcie Karen. Zawahała się. Jeśli miałyby wskazać matkę dziecka w wieku szkolnym, która nie wdycha kilka razy dziennie, wskazałyby kobietę, która zatrudnia opiekunkę. Mimo to ciekawość wzięła górę.

– Karen, czy wszystko w porządku u ciebie?

Cisza.

– Tak. – Znów milczenie. – A u ciebie?

Sandra Whitlam przewróciła oczami i ponownie spojrzała na zegar. Jeśli od razu pojedzie do miasteczka, wróci na czas, żeby powiesić pranie i podzwonić w sprawie zastępstwa za Billy'ego, zanim trzeba będzie odebrać Danielle ze szkoły.

– W porządku, Karen. Dziękuję, że poinformowałaś mnie o Billym. Mam nadzieję, że szybko wydobrzeje. Do usłyszenia wkrótce.

– Codziennie czuję się winna z powodu tej rozmowy – powiedziała Sandra, po raz kolejny dolewając wszystkim kawy, jakby to był jej tik nerwowy. – Chciałam jak najszybciej skończyć... Może ona potrzebowała z kimś porozmawiać, a ja ją zbyłam...  
– I zalała się łzami.

– Nie jesteś niczemu winna, kochanie. Skąd mogłaś wiedzieć, co się stanie? – Whitlam wstał i objął żonę.

Stała sztywno, rzucając zawstydzone spojrzenia na Falka i wycierając łzy.

– Przepraszam – zachlipała. – Chodzi o to, że Karen była taka miła. Należała do tych osób, dzięki którym jest tutaj znośnie. Wszyscy ją uwielbiali. Wszystkie mamy w szkole. Pewnie też niektórzy ojcowie... – Chciała się roześmiać, ale śmiech uwiązł jej w gardle. – O Boże, nie o to mi chodziło... Karen nigdy by nie... Chodziło mi jedynie o to, że była lubiana...

Falk pokiwał głową.

– W porządku. Zrozumiałem. Wszyscy za nią przepadali.

– Dokładnie tak.

Zapadła cisza. Falk opróżnił swoją filiżankę i wstał.

– Pewnie i tak powinienem już sobie pójść i zostawić was w spokoju.

Whitlam również przełknął ostatni łyk swojej kawy.

– Poczekaj, zaraz cię odwiozę. Chciałbym ci jeszcze coś pokazać. Spodoba ci się. Chodź.

Falk pożegnał się z nadal roztrzęsioną Sandrą i poszedł za panem domu do jego przytulnego gabinetu. Słyszał stłumione dźwięki kreskówki dobiegające z wnętrza domu.

Wystrój gabinetu był zdecydowanie bardziej męski niż pozostała część domu, meble wyglądały na dość zużyte, ale też naprawdę lubiane. Na wszystkich ścianach, od podłogi po sufit, znajdowały się półki wypełnione książkami o sporcie.

– Masz tutaj pół biblioteki – stwierdził Falk, przyglądając się zawartości regałów, która oscylowała między krykietem a wyścigami zaprzęgów, między biografiami a almanachami. – Najwyraźniej jesteś miłośnikiem sportu.

Whitlam pochylił głowę, parodiując gest zawstydzenia.

– Pracę magisterską napisałem z historii nowożytnej, ale przyznaję, że wszystkie moje badania dotyczyły historii sportu. Wyścigi, boks, początki ustawiania meczów i tak dalej, i tak dalej. Same ciekawe rzeczy. Ale lubię myśleć, że nadal wiedziałbym, co zrobić ze zwyczajnym starym dokumentem.

Falk uśmiechnął się.

– Mówiąc szczerze, nie brałem cię za osobę od starych zakurzonych dokumentów.

– Częsty błąd. Ale potrafię wykopać z tych archiwów prawdziwe perełki. A skoro o tym mowa... – Wyciągnął okazałych rozmiarów kopertę z szuflady biurka i podał ją Falkowi. – Pomyślałem, że to cię może zainteresować.

Falk otworzył ją i wyciągnął czarno-białą odbitkę zdjęcia. Młodzi mężczyźni z podstawowego składu drużyny krykietowej z 1948 roku, ubrani w najlepsze stroje, pozowali do zdjęcia. Ich małe twarze były rozmyte i nieostre, ale bez żadnych wątpliwości w środku pierwszego rzędu Falk rozpoznał znajomą twarz. Był to jego dziadek. Serce drgnęło mu w piersi, kiedy zobaczył jego imię widniejące w starannie opisanym składzie drużyny: „Kapitan: Falk J.”.

– To niesamowite. Gdzie to znalazłeś?

– W bibliotece. Dzięki moim pilnie strzeżonym umiejętnościom archiwisty. –

Whitlam się uśmiechnął. – Zgłębiałem historię sportu w Kiewarze. Dla własnej przyjemności. I natknąłem się na to. Pomyślałem, że sprawi ci to przyjemność.

– I sprawiło. Dzięki.

– Możesz to zatrzymać. To tylko odbitka. Kiedyś, jak będziesz chciał, pokażę ci, gdzie znaleźć oryginał. Pewnie są tam też inne zdjęcia z tego okresu. Możliwe, że twój dziadek będzie na nich.

– Naprawdę dziękuję ci, Scott. Co za znalezisko...

Whitlam oparł się o biurko. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął zmiętą ulotkę oczerniającą Falka i rzucił ją do kosza. Trafił idealnie.

– Przepraszam za Sandrę – powiedział. – Nawet zanim się to stało, miała problemy z przystosowaniem się do życia tutaj. Idea relaksującej wiejskiej odskoczni w naszym przypadku się nie ziściła. A to, co stało się z Hadlerami, tylko wszystko pogorszyło. Myśleliśmy, że przenosząc się tutaj, uciekniemy właśnie przed tego typu problemami.

Wygląda na to, że wpadliśmy z deszczu pod rynnę.

– To, co przydarzyło się Hadlerom, naprawdę jest niezwykle rzadkie – powtórzył Falk.

– Wiem – rzekł Whitlam, rzucając spojrzenie ku drzwiom. W przedpokoju nikogo nie było. Zniżył głos. – Ale jest przewrażliwiona, jeśli chodzi o jakąkolwiek przemoc. Zachowaj to dla siebie, ale w Melbourne zostałem napadnięty i nie skończyło się to dobrze... – Ponownie spojrzął w kierunku drzwi, lecz wyglądało na to, że kiedy już zaczął, czuł potrzebę zrzućcia tego ciężaru. – Byłem w Footscray na imprezie z okazji czterdziestki kumpla i chciałem pójść skrótem na stację, wiesz, wszyscy tak robią. Lecz tym razem było tam czterech kolesi. Jeszcze prawie dzieciaki, ale mieli noże. Zastąpili nam drogę, mnie i jeszcze jednemu gościowi. Nie znałem go, po prostu ktoś, kto też poszedł skrótem. No i wpadliśmy. Odstawili całe przedstawienie: zażądali portfeli i telefonów, ale w którymś momencie coś poszło nie tak. Wystraszyli się czegoś i puściły im nerwy. Mnie pobili i skopali, miałem połamane żebra. A ten drugi gość dostał nożem w brzuch i wykrawiał się na asfalt. – Whitlam przełknął ślinę. –

Musiałem go zostawić, żeby wezwać pomoc, bo dranie zabrali mi telefon. Kiedy wróciłem, karetka była już na miejscu... Niestety, było za późno. Sanitariusze powiedzieli, że już nie żył.

Whitlam spuścił wzrok i przez dłuższą chwilę bawił się spinaczem do papieru. Potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić myśli.

– Tak czy owak, najpierw to, a teraz ta sprawa tutaj. Chyba już wiesz, czemu Sandra jest nieszczęśliwa. – Uśmiechnął się słabo. – Ale to samo można zapewne powiedzieć o większości mieszkańców miasteczka.

Falk starał się znaleźć jakiś wyjątek, lecz nie potrafił.

## Rozdział 22

Z powrotem w swoim pokoju Falk stał przy oknie i patrzył na pustą główną ulicę. Whitlam odwiózł go do pubu i pożegnał się z nim przyjacielsko na oczach wszystkich przechodniów. Falk spojrział jeszcze, jak odjeżdża, a następnie poszedł na parking sprawdzić, czy jego karoseria wygląda tak źle, jak zapamiętał. Wyglądała znacznie gorzej... Słowa wydrapane na samochodzie błyszcząły intensywnie w świetle zachodzącego słońca, a w dodatku za wycieraczkę wetknięty był okazały plik ulotek.

Falk przekradł się przez pub niezauważony i resztę wieczoru spędził w łóżku, przeglądając dokumenty dotyczące Hadlerów. Oczywiście go piekły. Było późno, ale nadal czuł wewnętrzne rozedrganie spowodowane licznymi dolewkami kawy Sandry Whitlam. Przyglądał się jednemu samochodowi, jadącemu z włączonymi światłami, i samicy oposa, wielkości małego kota, wspinającej się po słupie elektrycznym z młodym przyczepionym do pleców. Po chwili ulica ponownie pogrążyła się w ciszy. W prawdziwej, wiejskiej ciszy.

Falk pomyślał, że to właśnie była jedna z tych rzeczy, które najbardziej zaskakiwały mieszkańców takich jak Whitlamowie. Cisza. Rozumiał tę tęsknotę za idyllicznym życiem na wsi, którą żywi tak wielu ludzi. Ta idea ma w sobie nieodparty urok, kiedy stoi się w korku, aby wrócić do pozbawionego ogrodu mieszkania. Zabiegani mieszkańcy miast marzą o czystym powietrzu i dobrych relacjach z sąsiadami. Ich dzieci mogłyby jeść wyhodowane przez nich warzywa i potrafiłyby cenić ciężką, uczciwą pracę. Ale już na samym początku, kiedy pusta ciężarówka firmy przeprowadzkowej znika za horyzontem, okazuje się, że rozległość otwartego

krajobrazu jest dla nich przytłaczająca. Przestrzeń uderza ich jako pierwsza. Jej ogrom. Można w niej utonąć. Rozejrzeć się i zrozumieć, że aż po horyzont nie ma żywej duszy – tak, to może być dziwne i niepokojące doznanie.

Wkrótce nowo przybyli przekonują się również, że warzywa na wsi nie rosną tak chętnie jak w skrzynce na ich miejskim oknie. Każdy zielony pęd trzeba hołubić i cierpliwie namawiać do wykiełkowania z niechętej ziemi, a sąsiedzi są zbyt zajęci tym samym, tyle że na skalę przemysłową, by wykrzesać entuzjazm na powitanie. Nie trzeba już wprawdzie dojeżdżać w korku do pracy, ale też nie za bardzo jest w ogóle gdzie pojechać.

Falk nie obwinał Whitlamów. Widział to wielokrotnie wcześniej jako dziecko. Nowo przybyli patrzyli na jałowość i rozległość tej trudnej ziemi i po krótkim czasie na ich twarzach malowało się dokładnie to samo. „Nie tego się spodziewaliśmy”.

Odwrócił się od okna, przypominając sobie, jak surowe warunki życia przenikały do dziecięcych rysunków. Smutne twarze i krajobraz we wszystkich odcieniach brązu. Falk skonstatował, że malunki Billy’ego były pogodniejsze. Widział je porozwieszane w domu Hadlerów – kolorowe i sztywne od zaschniętej farby. Samoloty z uśmiechniętymi ludźmi w oknach. Różnego rodzaju samochody. Przynajmniej nie był smutny, jak niektóre dzieciaki. Falk niemal roześmiał się głośno, kiedy dotarła do niego absurdalność tej myśli. Billy był martwy, ale nie nieszczęśliwy. Przynajmniej do ostatnich chwil. Pod koniec życia musiał być przerażony.

Po raz setny Falk próbował wyobrazić sobie Luke’a ścigającego swojego syna. Potrafił przywołać ten obraz, ale był on rozmazany i z czasem wcale nie nabierał ostrości. Falk wrócił myślą do ostatniego spotkania z Lukiem. Było to pięć lat temu, pewnego niczym niewyróżniającego się szarego dnia w Melbourne. Wówczas deszcz traktowano jeszcze jako niedogodność, nie zaś błogosławieństwo. Już wtedy Falk musiał przyznać sam przed sobą, że pod wieloma względami nie znał Luke’a w ogóle.

Falk od razu dostrzegł Luke’a w barze na Federation Square. Zmęczony, zmoknięty i prosto z pracy, Falk był po prostu kolejnym mężczyzną w garniturze. Z kolei Luke, mimo że dopiero co wyszedł z przydługiej konwencji dostawców, tryskał energią, którą ciężko było przeoczyć. Stał oparty o filar, z piwem w ręku i rozbawionym uśmiechem na twarzy, przyglądając się wczesnowieczornej klienteli, na którą składali się brytyjscy turyści i młodzi ludzie ubrani od stóp do głów na czarno. Powitał Falka piwem i klepinięciem w plecy.

– Z taką fryzurą nie pozwoliłbym mu nawet ostrzyć owcy – powiedział na powitanie, nie zniżając głosu, i wskazał kuflem w kierunku chudego młodzieńca z irokezem na głowie, którego zrobienie z pewnością słono go kosztowało. Falk odwzajemnił uśmiech, ale w duchu zastanawiał się, czemu za każdym razem, kiedy się spotykali, Luke przybierał pozę prowincjonalnego buraka. Był właścicielem gospodarstwa rolnego w Kiewarze, obracał sześciocyfrowymi sumami, ale zawsze zachowywał się tak samo.

Było to jednak wygodne usprawiedliwienie dla przepaści między nimi, która z każdym ich spotkaniem okazywała się coraz większa. Falk kupił kolejkę i zapytał o Barb, Gerry'ego i Gretchen. Wszyscy mieli się dobrze. Nie było co opowiadać.

Luke spytał, jak Falk radził sobie po śmierci ojca, który zmarł rok wcześniej. W porządku, odparł Falk, w równym stopniu zaskoczony i wdzięczny przyjacielowi, że to go w ogóle obchodzi. A co z dziewczyną, z którą Falk się widywał? I znów zaskoczenie. Dobrze, dzięki. Miała się wprowadzić. Luke wyszczerzył się w uśmiechu. „Jezu, no to uważaj. Bo jak tylko zarzuci twoje łóżko tymi ozdobnymi poduszeczkami, nigdy się już takiej nie pozbędziesz”. Roześmiali się. Lody zostały przełamane.

Syn Luke'a, Billy, miał rok i rósł jak na drożdżach. Luke pokazał Falkowi zdjęcia na telefonie. Całe mnóstwo zdjęć. Ten przeglądał je z pobłażliwością typową dla osób bezdietnych. Słuchał zabawnych opowieści Luke'a o innych dostawcach spotkanych podczas konferencji, których Falk nigdy nie miał poznać. W zamian Luke udawał zainteresowanie, kiedy Falk opowiadał o pracy, marginalizując papierkową codzienność i uwypuklając ciekawsze momenty.

– Bardzo dobrze – mówił mu zawsze Luke. – Dopadnij tych złodziejskich drani. – Ale mówił to w sposób, który delikatnie dawał Falkowi do zrozumienia, że dla jego przyjaciela ściganie facetów w garniturach nie jest prawdziwą policyjną robotą.

Tym razem jednak Luke był zainteresowany bardziej niż zwykle. Bo tym razem nie chodziło jedynie o facetów w garniturach. Żona futbolisty została znaleziona martwa, a pod jej łóżkiem odkryto dwie walizki wypełnione tysiącami dolarów. Falk został wezwany, żeby zająć się finansowym aspektem sprawy. Okoliczności były dziwne. Kobieta znaleziono w wannie. Przyczyną śmierci było utonięcie.

– Miałeś ostatnio jakieś problemy w Kiewarze? – Nie musiał uściślać, o co mu chodziło.

Te słowa wymknęły się Falkowi, zanim zdolał je powstrzymać, i zawisły między nimi. Odkaszlnął, a Luke energicznie potrząsnął głową.

– Nie, stary. Już od lat nie. Mówiłem ci ostatnio.

Falk poczuł, że w jego ustach odruchowo pojawiły się słowa podziękowania, ale z jakichś powodów nie mógł ich wypowiedzieć. Nie znowu. Zamiast tego przypatrywał się przyjacielowi, który skupił wzrok na czymś ponad jego ramieniem.

Nie był pewien, co sprawiło, że miał ochotę to drażnić, ale poczuł przyływ irytacji. Pewnie po prostu przenosił napięcie z pracy. Był głodny, zmęczony i chciał wrócić do domu. A może miał już dość tego, że ciągle musiał czuć, że coś zawdzięcza temu człowiekowi. Niezmiennie towarzyszyło mu uczucie, że z każdej sytuacji Luke wychodzi obronną ręką.

– Czy kiedykolwiek powiesz mi, gdzie naprawdę byłeś tamtego dnia? – zapytał Falk.

Luke z powrotem przeniósł na niego swój wzrok.

– Stary, mówiłem ci – odparł. – I to tysiące razy. Strzelałem do królików.

– Jasne. Okej. – Falk powstrzymał się, żeby nie przewrócić oczami.

To była zwyczajowa odpowiedź na to jego pytanie, odkąd kilka lat wcześniej zaczął je zadawać. Nigdy jednak w jego uszach nie brzmiała prawdziwie. Luke rzadko sam wybierał się, żeby postrzelać. Ponadto Falk cały czas miał w pamięci jego twarz w oknie swojej sypialni. Jego wspomnienia z tamtej nocy były zabarwione strachem i poczuciem ulgi, to prawda, ale zawsze miał wrażenie, że ta historia była wyssana z palca. Luke przyglądał mu się uważnie.

– Może powinienem zapytać, gdzie ty wtedy byłeś? – Ledwie silił się na pogodny ton głosu. – Skoro znów do tego wracamy.

Falk wbił w niego swoje spojrzenie.

– Wiesz, gdzie byłem. Łowiłem ryby.

– Nad rzeką.

– W górze rzeki, wielkie dzięki.

– Ale sam.

Falk nie odpowiedział.

– Czyli twoje słowo będzie musiało mi wystarczyć – stwierdził Luke, upijając łyk piwa i nie spuszczać oczu z Falka. – Na szczęście twoje słowo zawsze było dla mnie na wagę złota, stary. I wydaje mi się, że dla nas obu będzie znacznie lepiej, jeśli zostaniemy przy strzelaniu do królików, nie sądzisz?

Obaj mierzyli się wzrokiem wśród narastającego gwaru. Falk rozważał swoje możliwości. Po czym sięgnął po piwo i zamknął się.

W końcu chwycili się swoich zwyczajowych pretekstów: pociąg, który trzeba złapać, i konieczność wczesnego wstania... Kiedy podali sobie ręce na pożegnanie – jak się okazało, po raz ostatni w życiu – Falk z trudem próbował sobie przypomnieć, dlaczego nadal się przyjaźnili.

Falk poszedł do łóżka i zgasił światło. Długo leżał w bezruchu. Spachacz ponownie pojawił się wcześniej tego wieczoru i teraz jego cienista sylwetka czaiła się nad drzwiami do łazienki. Na zewnątrz panowała głucha noc. Falk wiedział, że potrzebował snu, ale w jego głowie fragmenty niedawnych i starych rozmów domagały się jego uwagi. Resztki kofeiny we krwi sprawiały, że jego oczy wciąż nie chciały się zamknąć.

Przewrócił się na bok i zaświecił lampkę nocną. Na krześle pod jego kapeluszem leżały książki z biblioteki, które wcześniej tego dnia zabrał, żeby wyręczyć Barb. Zamierzał oddać je następnego dnia. Sięgnął po pierwszą z brzegu. Praktyczny poradnik ekologicznej uprawy sukulentów. Już sam tytuł sprawił, że zaczął ziewać. Z pewnością zasnęłyby po zaledwie kilku stronach, ale jakoś nie potrafił się przemóc i zacząć czytać. Kolejna książka okazała się mocno wyeksploatowanym kryminałem w miękkiej okładce. Kobieta, tajemnicza postać czająca się w ciemnościach, zabójstwa. Klasyka gatunku. Nie do końca w jego guście, ale przecież gdyby nie lubił



zagadek, wybrałby inny zawód. Oparł się o poduszkę i zaczął czytać.

Fabuła była przewidywalna i przeciętna. Po trzydziestu stronach powieki zaczęły mu ciążyć. Postanowił odłożyć książkę po skończeniu rozdziału, a kiedy obrócił kartkę, cienki skrawek papieru wypadł spomiędzy stron i wylądował mu na twarzy.

Wziął go do ręki, aby mu się przyjrzeć. Był to wydrukowany kwit biblioteczny, który stwierdzał, że niniejsza książka została wypożyczona Karen Hadler w poniedziałek dziewiętnastego lutego. Cztery dni przed śmiercią, pomyślał Falk. Karen posłużyła się kwitem, żeby zaznaczyć miejsce, do którego doczytała, a świadomość, że ten podrzędny thriller mógł być ostatnią rzeczą, jaką czytała w życiu, sprawiła, że Falk popadł w przygnębienie. Już miał zmiąć kwit, kiedy zauważył odręczne zapiski na odwrocie.

Zaciekawiony, wygładził papier i spojrział na drugą stronę. Spodziewał się, że zobaczy listę zakupów, jednak to, co zapisała Karen, przyspieszyło bicie jego serca. Staranniej wygładził świstek i podsunął go pod lampkę, żeby odczytać pochyle i ozdobne pismo.

W jakimś momencie między tym, jak Karen wypożyczyła książkę, a tym, jak cztery dni później została zastrzelona na progu swojego domu, zdążyła na odwrocie kwitu zapisać dwie linijki. W pierwszej znajdowało się pojedyncze słowo, zanotowane pospiesznie, odrobinę niechlujnie i trzykrotnie podkreślone.

„Grant?”.

Falk usiłował się skupić, ale jego uwagę przyciągał dziesięciocyfrowy numer telefonu znajdujący się pod spodem. Wpatrywał się w niego, aż oczy mu się zaszkliły, a cyfry stały się nieostre i rozmazane. Krew pulsowała mu w żyłach z ogłuszającym hukiem. Mrugnął raz i drugi, ale cyfry pozostawały niezmiennie w tej samej kolejności.

Falk nie zastanawiał się ani przez chwilę, do kogo należał ten numer telefonu. Nie musiał. Znał go bardzo dobrze. To był jego numer.

## Rozdział 23

Następnego ranka znaleźli Granta Dowa na czworakach pod zlewem pewnej kobiety. W rękę trzymał klucz francuski, a spodnie zsunęły mu się, ukazując rowek między pośladkami.

– Ej, czy on wróci, żeby to naprawić? – zapytała kobieta, kiedy zabierali Dowa na posterunek.

– Nie liczyłbym na to – powiedział Raco.

Dzieci kobiety z szeroko otwartymi oczami przyglądały się, jak odjeżdżali oznakowanym samochodem policyjnym. Wyraz ich twarzy przypominał ten, który kilka godzin wcześniej miał Raco, kiedy Falk pokazał mu kwit. Sierżant chodził po komisariacie, napompowany adrenaliną.

– T w ó j numer? – powtarzał w kółko. – O czym Karen Hadler chciała z tobą rozmawiać? O Grancie?

Falk, który spędził większość nocy, zadając sobie to samo pytanie, mógł tylko potrząsnąć głową.

– Nie wiem. Jeśli próbowała się dodzwonić, z pewnością nie zostawiła wiadomości. Przejrzałem historię nieodebranych połączeń, ale nie znalazłem tam ani numeru stacjonarnego Hadlerów, ani komórki Karen, ani jej telefonu w pracy. I wiem, że z nią nie rozmawiałem. Nie tylko ostatnio. Nigdy. Ani razu w całym jej życiu.

– Ale ona wiedziała, kim jesteś, prawda? Luke mówił o tobie. Barb i Gerry widzieli cię w telewizji w zeszłym miesiącu. Dlaczego chciała rozmawiać właśnie z tobą?

Raco podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił dziesięć cyfr. Patrzył na Falka, trzymając słuchawkę przy uchu. Komórka Falka zadzwoniła głośno w jego dłoni. Nie słyszał wiadomości, kiedy włączyła się poczta głosowa, ale znał ją dobrze. Nasłuchał się własnego głosu w ciągu tej nocy, kiedy z niedowierzaniem wykręcał swój własny numer z telefonu znajdującego się w pokoju.

Dodzwoniłeś się do agenta federalnego Aarona Falka. Proszę, zostaw wiadomość – informowało nagranie. Krótko i rozkosznie.

Raco rozłączył się i wbił wzrok w Falka.

– Pomyśl.

– Robię to cały czas.

– Musisz skupić się bardziej. Wiemy, że Luke i Grant Dow za sobą nie przepadali. Ale jeśli Karen miała z nim jakieś kłopoty, dlaczego nie zadzwoniła na komisariat?

– Jesteś pewien, że nie próbowała?

– W tygodniu przed śmiercią Hadlerów z żadnego z ich numerów nie wykonano telefonu na komisariat ani na numer alarmowy – wyrecytował Raco. – Sprawdziliśmy wykazy rozmów zaraz po tym, jak znaleźliśmy ciała.

Sięgnął po kryminał i obrócił go w dłoniach, przyglądając się okładce. Po raz kolejny przewertował strony. Nie było między nimi już nic więcej.

– O czym jest ta książka?

– Pani detektyw prowadzi śledztwo w sprawie serii śmierci w college’u w Stanach – opowiedział pokrótce Falk, który przebrnął przez książkę do końca jeszcze tej nocy. – Podejrzewa, że to miejscowy mizantrop wziął na cel bogate dzieciaki.

– Jakież brednie. I co? To był on?

– Och, nie. Pozory oczywiście myliły. Okazało się, że mordowała matka jednej ze studentek ze stowarzyszenia.

– Matka...? Jezu, litości. – Raco przyłożył palce do nasady nosa, a następnie zamknął książkę z trzaskiem. – Jak sądzisz? Czy ta cholerna książka może coś znaczyć?

– Nie wiem. Nie sądzę, aby Karen zdążyła ją przeczytać. Byłem w bibliotece, jak tylko otworzyli, i dowiedziałem się, że często wypożyczała takie właśnie książki.

Raco usiadł z powrotem i przez chwilę wpatrywał się w kwit pustym wzrokiem, po czym znów wstał.

– Jesteś pewien, że nigdy do ciebie nie zadzwoniła?

– Na sto procent.

– W porządku. Jedziemy. – Zabrał kluczyki z biurka. – Ty nic na ten temat nie wiesz, ani Karen, ani Luke nic już nam nie powiedzą. Znajdźmy więc jedyne pozostałego przy życiu człowieka, który może nam wyjaśnić, czemu znaleźliśmy w sypialni martwej kobiety jego imię zapisane na skrawku papieru.

Zostawili Dowę w sali przesłuchań na godzinę, żeby zmiękł.

– Zadzwoniłem do Clyde – oznajmił Raco, już znacznie spokojniej. – Powiedziałem im, że jakiś utrapiony śledczy finansowy z Melbourne zjawiał się, żeby przejrzeć papiery Hadlerów. Powiedziałem, że masz kilka pytań dotyczących dokumentów znalezionych na farmie, i zapytałem, czy nie chcieliby towarzyszyć ci w znajdowaniu odpowiedzi. Odmówili, co mnie nie dziwi. Możemy więc działać bez przeszkód.

– Niezła robota – pochwalił go zaskoczony Falk. Dotarło do niego, że tym razem w ogóle nie przyszło mu na myśl, żeby zawiadomić komisariat w Clyde. – Co teraz?

– Nigdzie na farmie nie znaleziono odcisków Dowę.

– To nic nie znaczy, mógł przecież mieć rękawiczki. Jakie ma alibi na czas morderstw?

Raco potrząsnął głową.

– Mocne i słabe zarazem. Kopał rów na kompletnym odludziu razem z dwoma kolegami. Oczywiście sprawdzimy to, ale założę się, że będą przysięgać na wszystko, że Dow był tam razem z nimi.

– Jasne. Zobaczmy, co on sam nam powie.

Dow siedział rozparty na krześle ze skrzyżowanymi ramionami i wzrokiem utkwionym wprost przed siebie. Kiedy weszli, ledwo na nich spojrział.

– Najwyższy czas – mruknął. – Niektórzy z nas muszą zapracować na życie.

– Chcesz zadzwonić po swojego adwokata, Grant? – zapytał Raco, odsuwając sobie krzesło. – Proszę bardzo.

Dow zmarszczył brew, a Falk pomyślał, że jego prawnik pracuje pewnie w tej samej firmie, co przedstawiciel Sullivana. Własność i było przez pięćdziesiąt tygodni

w roku. Dow potrząsnął głową.

– Nie mam nic do ukrycia. No dalej.

Falk z zainteresowaniem dostrzegł, że Grant był raczej zły niż zdenerwowany. Falk położył folder na stole i odczekał kolejną chwilę.

– Opisz swoją relację z Karen Hadler.

– Czysto masturbacyjna.

– Coś jeszcze? Uwzględniając fakt, że znaleziono ją martwą.

Dow obojętnie wzruszył ramionami.

– Nie.

– Ale podobała ci się – stwierdził Falk.

– Widziałeś ją? Zanim wykitowała, oczywiście. – Ani Falk, ani Raco nic na to nie odpowiedzieli, więc Dow wywrócił oczami. – Dobra. Myślę, że była w porządku. Przynajmniej jak na miejscowe warunki – odparł.

– Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś?

Dow ponownie wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam.

– W poniedziałek przed jej śmiercią? Dziewiętnastego lutego. Albo w ciągu następných dwóch dni?

– Naprawdę nie umiem powiedzieć. – Dow zmienił pozycję, a krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem. – Słuchajcie, czy ja tu muszę siedzieć? Tak, z prawnego punktu widzenia. Bo mam w chuj roboty.

– Przejdźmy więc do sedna – przerwał mu Falk. – Może mógłbyś nam wytłumaczyć, dlaczego Karen Hadler zapisała twoje imię, Grant, na kwicie w tygodniu przed swoją śmiercią? – Przysunął mu ksero kwitu do wglądu.

Jedynym dźwiękiem w sali przesłuchań, kiedy Dow przez długi moment wpatrywał się w podaną mu kartkę, był pomruk świetlówek. Nagle uderzył dłonią o stół.

Obaj przesłuchujący aż podskoczyli.

– Nie wrobiecie mnie w to! – wykrzyczał, a jego ślina rozprysnęła się na całej szerokości blatu.

– W co mielibyśmy cię wrobić, Grant? – Głos Raca celowo brzmiał obojętnie.

– W to pieprzone morderstwo! Jeśli Luke zabił swoją żonę i dzieciaka, to jego

sprawa. – Wymierzył w nich gruby paluch. – Ale co, do cholery, ma to wspólnego ze mną, pytam się?

– Gdzie byłeś tego popołudnia, kiedy Hadlerowie zostali zastrzeleni? – zapytał Falk.

Dow potrząsnął głową, ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku. Kołnierzyk jego koszuli był mokry od potu.

– Stary, możesz się wypchać. Wystarczająco dużo złego zrobiłeś Ellie. Nie uda ci się zaszkodzić jeszcze mnie i wujowi. To polowanie na czarownice.

Raco wtrącił się, zanim Falk zdołał odpowiedzieć.

– W porządku, Grant. – Jego głos był spokojny. – Szukamy po prostu odpowiedzi na pewne pytania. Postaram się ci to ułatwić, jak tylko się da. Powiedziałeś funkcjonariuszom z Clyde, że kopaleś rowy z dwoma pomocnikami, których nazwiska podałeś. Czy nadal tak twierdzisz?

– Tak. Kopalem rów. Przez cały dzień.

– A oni to potwierdzą, tak?

– No lepiej, żeby tak. Bo to prawda – odparł, patrząc im prosto w oczy.

W przeciągającej się ciszy natrętna mucha krążyła nad ich głowami.

– Powiedz mi, Grant, co zrobisz z farmą po śmierci wuja? – zapytał Falk.

Dow wyglądał na zaskoczonego zmianą tematu.

– Co?

– Słyszałem pogłoski, że ty dziedzicysz po Deaconie?

– I co z tego? Zasłużyłem na to – odciął się.

– Czym? Pozwalając staremu i choremu wujowi mieszkać w jego własnym domu?

O tak, do tego trzeba prawdziwego mężczyzny. – Prawdę mówiąc, Falk nie widział żadnych powodów, dla których Dow nie miałby dziedziczyć po wuju, ale jego słowa najwyraźniej trafiły w czułe miejsce.

– Zrobiłem trochę więcej, mądralo. – Dow już otworzył usta, aby powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyślił. Zastanowił się chwilę, zanim odezwał się ponownie. –

A poza tym, czemu nie? Jestem jego krewnym.

– Jedynym po śmierci Ellie, co? – Falk naciskał, a Grant sapał oburzony. – Jak już będziesz mógł, to sprzedasz posesję?

– Dokładnie tak. Przecież nie będę uprawiał tej ziemi, co nie? Nie jestem głupi. Zwłaszcza że aż roi się od Chińczyków, którzy niemal wyskakują ze swoich małych żółtych skór, aby kupić tutaj ziemię. Nawet taką gównianą jak nasza.

– I taką jak Hadlerów?

Dow nie odpowiedział natychmiast.

– Podejrzewam, że tak.

– Mała Charlotte ma pewnie nawet mniej ochoty niż ty, żeby taszczyć worki z nawozem. Z tego, co się orientuję, ta ziemia również będzie na sprzedaż. Wcześniej czy później. Dwie parcele obok siebie – mówił Falk – są zdecydowanie bardziej atrakcyjne z perspektywy zagranicznych inwestorów... Co już samo w sobie jest interesujące. Ale znacznie bardziej, jeśli właściciel jednej z nich skończył z kulką w głowie. – Przynajmniej tym razem Dow się nie odezwał, więc Falk zorientował się, że facet musiał dojść do tych samych wniosków. – Wróćmy więc do Karen. – Falk skorzystał z okazji, żeby zmienić taktykę. – Nagabywałeś ją?

– Co?

– Składałeś jej propozycje seksualne?

Dow prychnął.

– Daruj sobie. To była prawdziwa królowa lodu. Nie chciało mi się wysilać.

– Sądziysz, że odrzuciłaby cię – kontynuował Falk. – To musiało być denerwujące.

– Już ty się o mnie nie martw, ja sobie używam do woli. Lepiej zajmij się swoimi sprawami, bo z tego, jak uganiaasz się za Gretchen, wnioskuję, że masz co robić.

Falk puścił to mimo uszu.

– Czy Karen zraniła twoje ego? Pokłóciłeś się z nią o coś? Sprawy wymknęły się spod kontroli?

– Co? Nie. – Dow patrzył to na Falka, to na Raca.

– Ale miałeś problemy z jej mężem. Z tego, co słyszeliśmy, nawet dość często. – Raco włączył się do rozmowy.

– I co z tego? Nigdy nie chodziło nam o nic poważnego. Po prostu z Luke'a był kutas. Ale to nie miało nic wspólnego z jego żoną.

Nastąpiła chwila milczenia. Kiedy Falk się odezwał, mówił bardzo spokojnie.

– Grant, sprawdzimy, co robiłeś tamtego dnia, i być może kumple potwierdzą twoje

słowa. Sęk w tym, że czasem z alibi bywa jak z gipsem. Na początku się trzyma, ale pod wpływem nacisku zaczyna się sypać cholernie szybko.

Dow na chwilę spuścił wzrok. Kiedy podniósł głowę, wyraz jego twarzy był już inny. Uśmiechał się. Szczrzył się z wyrachowaniem, które odbijało się w jego oczach.

– Rozumiem, że masz na myśli swoje alibi? Bo niby czemu moja kuzynka miałaby napisać twoje pieprzone nazwisko przed śmiercią?

W przeciągającej się ciszy trzy pary oczu wpatrywały się w ksero bibliotecznego kwitu. Kiedy kartka z nazwiskiem Falka została znaleziona wśród rzeczy Ellie, był zdecydowanie bardziej wstrząśnięty niż Dow teraz, w podobnej przecież sytuacji. Zastanawiał się właśnie, co z tego wynika, kiedy rozległ się śmiech Dowa.

– Dobrze, że moja historyjka ma solidne podstawy, prawda? Możesz ją sprawdzić, ile chcesz, proszę bardzo. Nie zrozum mnie źle, ale nie miałem czasu dla Hadlerów. I tak, zamierzam sprzedać farmę wuja przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ale to nie ja ich zabiłem, nie było mnie na tej farmie, więc jeśli będziesz chciał mi to udowodnić, będziesz musiał mnie wrobić. I wiesz co? – Walnął pięścią o stół, a hałas rozbrzmiał jak wystrzał. – Nie jestem pewien, czy starczy ci jaj.

– Jeśli byłeś tam, Grant, znajdziemy na to dowód.

Wykrzywił się.

– Możecie próbować.



## Rozdział 24

– Wasze szczęście, że nadal mamy zapis z kamery, zazwyczaj kasujemy po miesiącu.

Scott Whittlam przeglądał pliki na komputerze, aż znalazł ten, którego szukał. Oparł się o fotel, robiąc miejsce przed ekranem dla Raca i Falka. Byli w jego gabinecie. Przez otwarte drzwi dobiegała wrzawa poniedziałkowego popołudnia w szkole.

– Okej, tutaj mamy widok z kamery nad głównym wejściem – tłumaczył Whittlam, naciskając klawisz myszy. Na ekranie pojawiło się nagranie z kamery przemysłowej. Urządzenie było zainstalowane nad drzwiami i skierowane na schody, aby uchwycić każdą wchodzącą do budynku osobę. – Przykro mi, jakoś nie jest najlepsza.

– Bez obaw. I tak jest znacznie lepsza niż to, co mamy z farmy Hadlerów – uspokajał Raco.

– I tak pożytek z kamery sprowadza się do tego, co uda się jej zarejestrować – dodał Falk. – Co tam masz jeszcze?

Whittlam kliknął myszą ponownie i obraz się zmienił.

– Druga kamera znajduje się nad parkingiem dla personelu. – I to urządzenie zostało zamocowane dość wysoko, zapis przedstawiał rząd nieostrych samochodów.

– To jedyne kamery w szkole? – zapytał Raco.

– Niestety. – Whittlam potarł palec wskazujący o kciuk w uniwersalnym geście oznaczającym pieniądze. – Byłoby więcej, gdyby było nas stać.

– Możemy znaleźć ostatni dzień Karen? – zapytał Falk, chociaż to nie Karen interesowała ich najbardziej.

Szukali Granta Dowa. Zgodnie ze swoją obietnicą Falk i Raco spędzili kilka godzin,

wypyując kumpli Dowa o jego alibi. Na nic się to zdało. Stali za nim murem. Falk nie spodziewał się niczego innego, ale i tak go to zdenerwowało.

Whitlam powiększył obraz parkingu, który teraz wypełniał cały ekran.

– Karen zazwyczaj korzystała z parkingu, więc pewnie znajdziemy ją na materiale z tej kamery.

Znalazł odpowiednie nagranie i przeskoczył do momentu, kiedy skończyły się lekcje. Oglądali na pozbawionym dźwięku zapisie uczniów wychodzących ze szkoły dwójkami i trójkami, śmiejących się i plotkujących, wolnych aż do następnego dnia. W kadrze pojawił się szczupły, łysy mężczyzna. Podeszedł do jednego z aut i otworzył bagażnik. Szperał w nim przez chwilę, po czym wyjął z niego wypakowaną torbę. Zrzucił ją sobie na ramię i zniknął z pola widzenia kamery, odchodząc w kierunku, z którego przyszedł.

– Woźny – poinformował Whitlam.

– Co ma w torbie?

Whitlam potrząsnął głową.

– Wiem, że ma swoje narzędzia. Jeśli miałbym zgadywać, stawiałbym właśnie na to.

– Od dawna tu pracuje? – zapytał Falk.

– Wydaje mi się, że od pięciu lat. Nie wiem, na ile moja opinia będzie dla was przydatna, ale zawsze uważałem go za porządnego gościa.

Falk nie odpowiedział. Obejrzelikolejne dziesięć minut materiału, aż wszyscy uczniowie opuścili szkołę i na parkingu zapanował spokój. Kiedy tracili już nadzieję, na ekranie pojawiła się Karen.

Falkowi zaparło dech w piersiach. Ta martwa już kobieta za życia była naprawdę piękna. Przyglądał się, jak przechodziła przez parking, a wiatr rozwiewał jej jasne włosy. Słaba jakość nagrania sprawiła, że wyraz jej twarzy był nieczytelny. Nie była wysoka, ale kiedy tak szła żwawym krokiem przez parking od strony żłobka, popychając przed sobą wózek z Charlotte, miała postawę tancerki.

Trzy kroki za nią ukazał się Billy. Na widok krępego, ciemnowłosego chłopca Falka przeszedł dreszcz – to dziecko wyglądało zupełnie jak jego ojciec. Raco niespokojnie zmienił pozycję i odkaszlnął. Na własne oczy widział, jakie okrucieństwo spotkało tego chłopca. Billy ociągał się, całkowicie pochłonięty zabawką, którą ścisnął w ręce.

Karen obróciła się i najwyraźniej zawołała go przez ramię, a on podbiegł do niej. Zapakowała oboje dzieci do samochodu, zapięła je pasami i zamknęła drzwi. Poruszała się szybko i z wprawą. Spieszyła się? Falk nie był pewny.

Na ekranie Karen wyprostowała się i przez chwilę stała zupełnie nieruchomo, jedną rękę trzymając na dachu samochodu, obrócona plecami do kamery. Jej głowa pochyliła się odrobinę do przodu, ręka poszybowała do twarzy. Wyglądało na to, że wykonała nieznaczny ruch palcami. I następny.

– Jezu, czy ona płacze? – zapytał Falk. – Szybko, cofnij trochę.

Żaden z nich nie odezwał się, kiedy ponownie przypatrywali się tej scenie. Odtworzyli ją jeszcze trzeci i czwarty raz. Opuszczona głowa, dwa szybkie ruchy dłonią.

– Nie umiem powiedzieć – stwierdził Raco. – Możliwe. Ale równie dobrze może drapać się po nosie.

Tym razem nie zatrzymywali już nagrania. Karen podniosła głowę, prawdopodobnie wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi od strony kierowcy i wsiadła do auta. Wycofała i już jej nie było. Na parkingu nikt nie pozostał. Czas na nagraniu wskazywał, że jej i Billy'emu zostało mniej niż osiemdziesiąt minut życia.

Oglądali dalej, pomijając długie momenty, w których nikt nie przyjeżdżał ani nie odjeżdżał. Dziesięć minut po Karen na ekranie pojawiła się sekretarka, ale przez kolejne czterdzieści nie działo się absolutnie nic. W końcu jeden po drugim zaczęli odjeżdżać nauczyciele. Whitlam podał nazwisko każdego z nich. Tuż po szesnastej trzydzieści ponownie zjawił się woźny, włożył torbę do bagażnika i odjechał.

W końcu samochód Whitlama został na parkingu jako jedyny. Przyspieszyli nagranie. Krótco po dziewiętnastej na ekranie pojawił się Whitlam we własnej osobie. Szedł powoli, ze spuszczoną głową i zwieszonymi ramionami. Siedząc teraz obok Falka, dyrektor głośno wypuścił powietrze. Oglądał nagranie z zaciśniętą szczęką.

– Ciężko mi na to patrzeć – oznajmił. – To było już po tym, jak policjanci z Clyde zadzwonili do mnie, aby poinformować, że Karen i Billy nie żyją.

Patrzyli, jak na ekranie Whitlam powoli wsiadł do samochodu. Udało mu się odpalić dopiero za którymś razem, wycofał samochód i wyjechał z parkingu. Oglądali jeszcze kolejne dziesięć minut nagrania. Po Grancie nie było ani śladu.

– To ja już pójdę – oznajmiła Deborah z torebkę przewieszoną przez ramię.

Odczekała chwilę, ale w odpowiedzi usłyszała jedynie niewyraźny pomruk. Falk podniósł głowę i uśmiechnął się do niej. W ciągu ostatnich kilku dni lody między nimi zaczęły topnieć, a punkt przełomowy ich znajomości nastąpił, kiedy przynosząc kawę dla pozostałych, Deborah uwzględniła również jego. Falk podejrzewał, że Raco mógł wziąć ją na słówko...

Raco i posterunkowy Barnes nie zareagowali, kiedy drzwi komisariatu się za nią zatrzasnęły. Wszyscy trzej siedzieli przed komputerami, wpatrzeni w ziarnisty obraz przesuwany się im przed oczami. Zabrali cały dostępny materiał z obu kamer w szkole i zaczęli rozglądać się po miasteczku. Raco poinformował Falka, że na głównej ulicy Kiewarry monitoring zainstalowany był w trzech miejscach: obok pubu, niedaleko budynku rady miejskiej oraz nad drzwiami magazynu aptecznego. Raco i Falk mieli już materiał z nich wszystkich.

Barnes ziewnął i przeciągnął się, jego potężne ramiona niemal sięgnęły sufitu. Falk spodziewał się, że posterunkowy zacznie narzekać, ale ten bez słowa wrócił przed ekran. Wcześniej powiedział Falkowi, że nie znał Luke'a ani Karen, ale kilka tygodni przed śmiercią Hadlerów miał pogadankę o bezpieczeństwie na drodze w klasie Billy'ego. Na jego biurku nadal stała kartka z podziękowaniami od dzieci, na której widniał również wykonany kredką podpis nieżyjącego już chłopca.

Falk sam stłumił ziewnięcie. Ślęczeli nad tym od wielu godzin. Przeglądał zapis z kamer szkolnych. W ciągu całego tego czasu widział zaledwie kilka interesujących zdarzeń. Uczeń sikający na koła samochodu dyrektora. Nauczycielka zarysowująca samochód kolegi i odjeżdżająca pośpiesznie. Ale nigdzie nie widać było Granta Dowa.

Zamiast tego Falk cały czas wracał do nagrań, na których była Karen. W ostatnim tygodniu przyjechała do szkoły trzykrotnie – pracowała we wszystkie dni, oprócz wtorku, kiedy miała wolne, w piątek zaś była już martwa. Wszystkie dni wyglądały mniej więcej tak samo. Przyjeżdżała około wpół do dziewiątej. Wyprowadzała dzieci z samochodu, zabierała plecaki i kapelusze przeciwsłoneczne i znikwała, idąc w kierunku szkoły. Krótko po piętnastej trzydzięci proces przebiegał w odwrotnym kierunku.

Falk obserwował jej ruchy. To, jak pochylała się, żeby powiedzieć coś Billy'emu,

trzymając jedną rękę na jego ramieniu. Nie mógł dostrzec jej twarzy, ale wyobrażał sobie, że uśmiecha się do syna. Patrzył, jak przytulała Charlotte, przenosząc ją z fotelika samochodowego do wózka. Karen była niezwykle sympatyczna, zanim strzał w brzuch pozbawił ją życia. Potrafiła sobie radzić zarówno z dziećmi, jak i z rachunkami. Falk zyskał pewność, że Barb miała rację. Z całą pewnością by ją polubił.

Obsesyjnie skupiał się na czwartku, kiedy to Karen i Billy zostali zamordowani. Odtwarzał nagranie w kółko i w kółko, analizując klatka po klatce. Czy Karen nieznacznie zawahała się, podchodząc do samochodu? Czy coś w buszu przykuło jej wzrok? Czy ścisnęła rękę synka mocniej niż zwykle? Falk podejrzewał, że zaczął niesłusznie wyolbrzymiać wagę tych szczegółów, ale nie mógł przestać. Wpatrywał się w obraz blondwłosej żony przyjaciela i w duchu marzył, że wyciąga telefon i dzwoni pod numer, który zapisała sobie na kwicie bibliotecznym. I marzył, że on sam, w przeszłości, odbiera ten telefon. Nic takiego się jednak nie stało. Scenariusz nie uległ zmianie.

Zastanawiał się, czy nie skończyć pracy na ten dzień, kiedy Barnes upuścił długopis, którym się bawił, i wyprostował się na krześle.

– Hej, chodźcie to zobaczyć. – Kliknął myszą, cofając ziarnisty obraz na ekranie. Przeglądał materiał z kamery nad apteką, która była skierowana na spokojną boczną uliczkę i drzwi wiodące do magazynu.

– Co tam masz? Dowa? – zapytał Falk, kiedy razem z sierżantem stanął przed ekranem Barnes'a.

– Niezupełnie – powiedział posterunkowy, włączając nagranie.

Pochodziło z czwartku z godziny szesnastej czterdzieści jeden. Ponad godzinę przed znalezieniem ciał Karen i Billy'ego.

Przez chwilę materiał wyglądał raczej jak zdjęcie niż film, ponieważ widniała na nim jedynie pusta droga. Nagle przejechał dżip. Trwało to zaledwie sekundę.

Barnes cofnął i odtworzył w zwolnionym tempie, a następnie zatrzymał, kiedy tylko auto się ukazało. Obraz był rozmazany i pod dziwnym kątem, ale było to bez znaczenia. Twarz kierowcy była dobrze widoczna. Zza szyby patrzył na nich Jamie Sullivan...

Zmierzchało, kiedy Raco i Falk zjawili się na ulicy za apteką, ale nie było tam nic do zobaczenia. Wcześniej wysłali Barnesę do domu po dniu dobrze wykonanej pracy. Falk stanął pod kamerą i rozejrzał się wokół. Uliczka była wąska i biegła równoległe do głównego deptaka Kiewarry. Z jednej strony wychodziły na nią tyły budynków zajmowanych przez agencję nieruchomości, salon fryzjerski, przychodnię lekarską i aptekę, z drugiej połacie porośniętej chaszczami ziemi zostały pospiesznie zamienione w parkingi. Całość sprawiała wrażenie, jakby była zupełnie opuszczona.

Falk i Raco przeszli uliczkę od początku do końca. Można było wjechać na nią samochodem z obu stron, jak również wyjechać z niej na drogi prowadzące z miasteczka na wschód i na zachód. W godzinach szczytu był to wymarzony objazd. Ale, jak uświadomił sobie Falk, to była Kiewarra, tu nie było godzin szczytu...

– Dlaczego Jamie Sullivan nie chciał być widziany w miasteczku dwadzieścia minut przed tym, jak Karen i Billy zostali zamordowani? – Słowa Falka odbiły się echem od ceglanych ścian.

– Kilka powodów przychodzi mi na myśl, ale żaden z nich nie jest dobry – odparł Raco.

Falk spojrzał na kamerę.

– Przynajmniej teraz mamy jakieś pojęcie o tym, gdzie wtedy był – stwierdził Falk.  
– Zdążyłby dojechać stąd do Hadlerów na czas, prawda?

– Tak, bez problemu.

Falk oparł się o mur i odchylił głowę do tyłu. Cegły oddawały ciepło, które zgromadziły w ciągu całego dnia. Czuł się wykończony. Kiedy zamknął oczy, miał wrażenie, jakby pod nimi był piasek.

– Czyli mamy Jamiego Sullivana, który twierdzi, że był bliskim kumplem Luke’a, a mimo to okłamuje nas co do tego, gdzie był, i zostaje przyłapany w tym miejscu na godzinę przed śmiercią przyjaciela – podsumował Raco. – No i mamy też Granta Dowa, który przyznaje, że nie znosił Luke’a, ale posiada żelazne alibi, mimo że jego imię zostało zapisane przez Karen na krótko przed jej śmiercią.

Falk otworzył jedno oko i spojrzał na Raca.

– Nie zapominaj o kierowcy tajemniczego białego pikapa, który mógł widzieć Luke’a Hadlera na rozstajach, jak wracał od strony rzeki dwadzieścia lat temu.

– A tak, jeszcze to.

Stali w ciszy przez dłuższą chwilę, wpatrując się w ulicę, zupełnie jakby odpowiedź czekała na nich na jakimś miejskim graffiti.

– Chrzanić to – rzucił Falk, odpychając się od ściany i stając prosto. Nie przyszło mu to bez wysiłku. – Podejźmy do tego metodycznie. Zaczniemy od tego, że ponownie ściągniemy Sullivana na komisariat, żeby wytłumaczył nam, dlaczego włóczył się po bocznych uliczkach. Mam dość tego, jak z nami pogrywa.

– Teraz? – Oczy Raca były czerwone z przepracowania.

– Jutro.

Kiedy szli ku głównej ulicy, zadzwonił telefon Raca. Policjant zatrzymał się na chodniku i wyjął go z kieszeni.

– Żona. Wybacz, lepiej odbiorę – powiedział, przykładając aparat do ucha. – Cześć, ślicznotko.

Zatrzymali się przed sklepem. Falk ruchem głowy skinął w kierunku witryny i pokazał, że idzie po coś do picia. Raco pokiwał głową z wdzięcznością.

W środku sklepu było chłodno i cicho. Teoretycznie było to to samo miejsce, w którym pracowała Ellie, spędzając wieczory na nabijaniu na kasę cen mleka i papierosów. Po tym jak znaleziono jej ciało, w witrynie pojawił się nawet plakat z jej twarzą i zorganizowano zbiórkę pieniędzy na wieniec.

Od tego czasu wystrój zmienił się jednak tak bardzo, że właściwie był to już inny sklep. Ale Falk nadal pamiętał, jak przychodził pogawędzić ze stojącą za ladą Ellie, tak często, jak tylko udawało mu się wymyślić jakiś powód. Najczęściej wydawał pieniądze na rzeczy, których wcale nie potrzebował.

Wiekowe lodówki zostały zastąpione otwartymi chłodziarkami, których zawartości Falk się teraz przyglądał, rozanielony bijącym od nich zimnem. W środku nadal jednak odczuwał nieprzyjemny żar, jakby trawiła go nieustępująca gorączka. W końcu wybrał dwie butelki wody, lekko zeschniętą kanapkę z szynką i serem oraz opakowanego w folię muffina na kolację.

Skierowawszy się z zakupami do kasy, Falk jęknął w duchu, po raz kolejny rozpoznając twarz sprzedawcy za ladą. Nie widział tego mężczyzny od czasu, kiedy

obaj byli zmuszeni przebywać w tych samych dusznych klasach szkolnych.

Co prawda miał teraz mniej włosów, ale jego ciężkie rysy były wciąż takie same. W szkolnych czasach należał do grona mało pojętych dzieci, które szybko wpadały w gniew. Falk rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie jego imię. Nasuwały mu się przykre podejrzenia, że pewnie Luke nieraz sobie z niego kpił, a on ani razu nie wstawił się za nim. Kładąc na ladzie swoje zakupy, przywołał na twarz wymuszony uśmiech.

– Jak się masz, Ian? – W ostatnim momencie, kiedy już sięgał po portfel, imię sprzedawcy wyłoniło się w jego pamięci niczym z jakiejś czystej nicości. Ian jakiś tam... Willis.

Willis patrzył na ułożone przed sobą produkty, jakby zapomniał, co ma z nimi zrobić.

– To wszystko, dzięki, stary – powiedział Falk.

Mężczyzna wciąż milczał, podniósł głowę i popatrzył ponad ramieniem Falka.

– Następny – zawołał.

Falk rozejrzał się dookoła. Oprócz niego nie było w sklepie nikogo. Obrócił się z powrotem. Willis uparcie wpatrywał się w dal. Falk poczuł, jak zalewa go gorąca fala irytacji. I czegoś jeszcze. Wstydu niemalże.

– W porządku, stary. Nie zamierzam sprawiać ci żadnych kłopotów. Chcę to tylko kupić i tyle będziesz mnie widział – spróbował Falk ponownie, przysuwając swoją kolację bliżej kasy. – I nikomu nie powiem, że mnie obsłużyłeś, słowo skauta.

Sprzedawca nadal na niego nie patrzył.

– Następny.

– Serio? – Falk słyszał gniew w swoim głosie. – To miasteczko umiera, a ty możesz sobie pozwolić na stratę klienta?

Mężczyzna spuścił wzrok i niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Falk rozważał zabranie zakupów i zostawienie pieniędzy, kiedy Willis w końcu otworzył usta.

– Słyszałem, że wróciłeś. Mandy Vaser twierdzi, że niepokoisz dzieci w parku. – Silił się na pełen odrazy ton, ale nie mógł ukryć złośliwego zadowolenia.

– Chyba żartujesz – odparł Falk.

Jego dawny kolega z klasy potrząsnął głową, ponownie wbijając wzrok



w powietrze.

– Nie zamierzam cię obsługiwać. Ani dziś, ani nigdy.

Falk wpatrywał się w niego. Przyszło mu na myśl, że gość prawdopodobnie czekał dwadzieścia lat, żeby móc poczuć się od kogoś lepszym, i teraz nie zamierza zmarnować swojej szansy. Już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Ta sytuacja była książkowym przykładem zmarnowanej energii.

– Nieważne. – Zostawił zakupy na ladzie. – Powodzenia, Ian. Bo będzie ci potrzebne. – Dzwonek u drzwi zabrzmiał, kiedy pchnął drzwi i wyszedł na upał.

Raco, który skończył już rozmowę, spojrzał na puste ręce Falka, a następnie na wyraz jego twarzy.

– Co się stało?

– Zmieniłem zdanie.

Raco rzucił okiem na sklep, na Falka. Zrozumiał.

– Chcesz, żebym wszedł tam na słowo?

– Nie, nie przejmuj się. Do zobaczenia jutro. Zastanów się, jak rozegrać rozmowę z Sullivanem.

Falk obrócił się na pięcie, bardziej zdenerwowany zajściem w sklep, niż chciał to przyznać. Nagle poczuł wielką ochotę, żeby odejść stąd jak najszybciej, nawet jeśli czekał go samotny wieczór w małym pokoiku nad pubem. Raco zwalczył pokusę porozmawiania ze sprzedawcą i przeniósł swoją uwagę na Falka.

– Słuchaj, zapraszam do mnie na kolację – zdecydował. – Żona już od kilku dni męczy mnie, żebym cię do nas zaprosił.

– Nie, naprawdę, wszystko w porządku...

– Stary, muszę przekonać albo ciebie teraz, albo żonę później. Z tobą pójdzie mi znacznie łatwiej.

## Rozdział 25

Czterdzieści minut później Rita Raco postawiła przed Falkiem parujący talerz makaronu. Odsuwając się, lekko dotknęła jego ramienia, a chwilę później powróciła z butelką wina. Siedzieli na zewnątrz przy niewielkim sosnowym stoliku przykrytym kolorowym obrusem i patrzyli, jak niebo zmienia kolor na głęboki odcień indygo. Małżonkowie mieszkali w przebudowanym dawnym sklepie na końcu głównej ulicy. Od komisariatu dzieliła ich odległość spaceru. W ogródku na tyłach rosła lawenda i drzewo cytrynowe, a zawieszane wzdłuż płotu lampiony nadawały mu radosny nastrój.

Światło sączyło się z kuchennych okien i Falk przyglądał się Ricie, która krzątała się, co chwila przynosząc to i owo. Chciał jej pomóc, ale odpędziła go z uśmiechem. Była drobna, lecz dobrze zbudowana, a jej brązowe, błyszczące włosy sięgały ramion. Cały czas nieświadomie dotykała swojego ciężowego brzucha. Tryskała energią i mimo swojego stanu poruszała się z lekkością, wykonując niezliczone czynności.

Kiedy się śmiała, a robiła to często, na jej lewym policzku pojawiał się dołeczek i, siadając do kolacji, Falk bez trudu zrozumiał, dlaczego jej mąż był w niej aż tak bardzo zakochany. W trakcie sutego posiłku, na który składało się danie z makaronu w sosie z pomidorów, bakłażanów z dodatkiem pikantnej kiełbaski oraz bardzo przyzwoity shiraz, poczuł, że sam odrobinę był pod jej urokiem.

Nocne powietrze nadal było ciepłe, ale zmierzch uśmierzył upał. Rita sączyła wodę mineralną, posyłając tęskne spojrzenia w kierunku wina.

– Och, czego ja bym nie dała za choćby łyk... Tyle już czasu minęło – powiedziała

i roześmiała się, widząc karcące spojrzenie męża. Wyciągnęła rękę i głaskała go po karku, dopóki uśmiech nie powrócił na jego twarz. – Tak bardzo martwi się o dziecko – rzekła do Falka. – Już jest nadopiekuńczy, a ona jeszcze nawet się nie urodziła.

– Kiedy termin? – zapytał Falk. Jego niewprawne oko podpowiadało mu, że to tuż-tuż.

– Za cztery tygodnie. – Zauważyła spojrzenie męża i ponownie się roześmiała. – Kolejne cztery niewiarygodnie długie tygodnie przede mną.

Przy dobrym jedzeniu rozmowa toczyła się gładko. O polityce, religii, futbolu. Na każdy temat, byle nie o tym, co działo się w Kiewarze. O wszystkim, byle nie o Hadlerach. Dopiero kiedy Raco sprzątnął ze stołu i zniknął z talerzami wewnątrz domu, Rita zebrała się na odwagę.

– Proszę, powiedz mi szczerze. Czy wszystko będzie dobrze?

Spojrzała ku kuchennym drzwiom i Falk zrozumiał, że nie miała na myśli jedynie sprawy Hadlerów.

– Zrozum, rola policjanta w małej społeczności nigdy nie jest łatwa – zdawał się tłumaczyć. – Pod wieloma względami jest się na straconej pozycji. W grę wchodzi różne układy, zbyt wielu ludzi wie zbyt wiele o sobie nawzajem. Ale twój mąż wykonuje doskonałą robotę. Naprawdę. Jest bystry. Oddany. Przełożeni potrafią to docenić. Daleko zajdzie.

– Och. – Rita wydobyła z siebie lekceważący pomruk i machnęła ręką. – Aż tak mu nie zależy. Jego ojciec przez całe życie był dzielnicowym. W mieścinie, której nawet nie ma na mapie, niedaleko granicy Australii Południowej. Z pewnością nigdy o niej nie słyszałeś. Nikt, kto tam nie mieszka, nigdy o niej nie słyszał... – Jej wzrok ponownie poszybował ku drzwiom. – A jednak, jak rozumiem, był niezwykle szanowany. Rządził miastem jak surowy, ale sprawiedliwy patriarcha i kochali go za to. Nawet wtedy, kiedy przeszedł na emeryturę.

Urwała. Sięgnęła po butelkę i rozlała resztki wina między swoją i Falka szklanką.

– Ciii – powiedziała i przyłożyła palec do ust, unosząc wino w geście toastu.

Falk uśmiechnął się.

– Czy tam właśnie się poznaliście? W Australii Południowej?

– Tak, ale nie w tym jego miasteczku – odrzekła. – Spotkaliśmy się w restauracji

moich rodziców w Adelajdzie. Pracował niedaleko. To była jego pierwsza policyjna posada i był taki... p o p r a w n y. Tak bardzo chciał, żeby jego ojciec mógł być z niego dumny. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie i opróżniła swoją szklaneczkę. – Ale był też samotny. Ciągle przychodził do restauracji, aż w końcu się nad nim zlitowałam i pozwoliłam mu zaprosić się na drinka. – Pogładziła się po brzuchu. – Pobraliśmy się, jak tylko skończyłam studia. Dwa lata temu.

– Co studiowałaś?

– Jestem magistrem farmacji.

Falk zawahał się. Nie wiedział, jak zadać pytanie, które cisnęło mu się na usta. Rita pospieszyła mu z pomocą.

– Wiem – oznajmiła z uśmiechem. – Co ja tu robię bosa i w ciąży pośrodku niczego, skoro mogłabym z powodzeniem wykorzystywać moją wiedzę gdzieś indziej? –

Wzruszyła ramionami. – Robię to dla męża, no i przecież nie będzie to trwało w nieskończoność. On nie ma takich ambicji jak inni, wiesz? Uwielbia ojca, a ponieważ jest najmłodszy z trójki synów, czuje, moim zdaniem niesłusznie, że cały czas musi zabiegać o jego uwagę. Więc przeprowadziliśmy się do tej miejsciny, a on miał swoją wizję, że wszystko potoczy się tak jak w przypadku jego ojca. Tyle że niemal natychmiast wszystko potoczyło się... – zawahała się – ...po prostu źle. Cały czas jest pod presją. Powiedział ci, że to on znalazł ciało tego chłopczyka?

Falk skinął głową.

Rita zadrżała mimo gorąca.

– Cały czas mu powtarzam: to, co się tutaj dzieje, to nie twoja wina. To miejsce jest inne. W niczym nie przypomina miasteczka twojego taty.

Rita uniosła brwi, oczekując od Falka potwierdzenia, i dostała je. Potrząsnęła głową, a na jej policzku pojawił się cień dołeczka.

– Ale co ja mogę? To przekracza granice logicznego myślenia, prawda? Chodzi mi o relacje mężczyzn z ich ojcami.

W tym momencie Raco pojawił się w drzwiach, trzymając trzy kubki kawy.

– Włożyłem naczynia do zlewu, żeby odmokły. O czym rozmawiacie?

– Mówiłam, że żyjesz w zbyt dużym napięciu, próbując dorównać swojemu ojcu – przyznała się Rita i pogładziła jego kręcone włosy. – Twój partner się ze mną zgadza.

Falk, który przecież nic takiego nie powiedział, doszedł do wniosku, że Rita pewnie miała rację.

Raco zaczerwienił się lekko, ale pozwolił się głaskać.

– To niezupełnie tak...

– W porządku, kochanie. Aaron rozumie – powiedziała Rita, patrząc na Falka nad kubka kawy. – Prawda? Chodzi mi o to, że przecież ty też przynajmniej po części jesteś tutaj z tego samego powodu, czyż nie? Dla swojego ojca.

Zapadła niezręczna cisza.

– Mój ojciec nie żyje.

– Och, bardzo mi przykro. – Rita posłała mu pełne współczucia spojrzenie. – Ale i tak to prawda. Śmierć rzadko zmienia nasze uczucia wobec danej osoby. A może nawet je wzmacnia.

– Kochanie, o czym ty w ogóle mówisz? – zapytał Raco, trącając ją przyjaźnie, kiedy sięgał po pustą butelkę po winie. – Wiedziałem, że nie powinnaś pić ani trochę.

Rita zmarszczyła się nieznacznie i widać było, że się waha. Patrzyła to na Falka, to na męża.

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – Pewnie coś źle zrozumiałam. Po prostu słyszałam plotki, o twojej przyjaciółce z młodości, która nie żyje. Podobno twój ojciec miał z tego powodu nieprzyjemności, oskarżano go nawet, aż musiał opuścić swój dom i wyjechać. Razem z tobą. To musiało spowodować pewne... napięcia. Nawet teraz całe miasteczko jest zasypane tymi ohydnyymi ulotkami, na których jest również jego zdjęcie. – Urwała. – Przepraszam. Nie zwracaj na mnie uwagi. Jak zawsze coś nadinterpretuję.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

– Nie, Rito – rzekł Falk. – Wydaje mi się, że właściwie odczytałaś tę sytuację.

Przez ponad sto kilometrów za Kiewarrą pikap Mała Deacona nie zniknął z tylnego lusterka samochodu Falków. Ojciec Aarona, Erik, jechał, zerkając w nie cały czas, a jego ręce kurczowo ścisnęły kierownicę.

Aaron, na siedzeniu dla pasażera, milczał, nadal przeżywając swoje pospieszne pożegnania z Lukiem i Gretchen. Sprzęty gospodarstwa domowego tłukły się i przesuwwały z tyłu samochodu. Zabrali, co tylko się zmieściło. Zamknęli i zabezpieczyli swój dom, jak tylko mogli. Stado owiec zostało rozdzielone między sąsiadów. Aaron nie mógł się zebrać, żeby zapytać, czy to na chwilę, czy

to już na zawsze...

Tylko raz, na samym początku, Erik zwolnił, dając Malowi możliwość wyprzedzenia ich. Jakby to była normalna przejażdżka samochodem w najzwyczajniejszy dzień. Zamiast tego brudny biały pikap podjechał tak blisko, że szturchnął ich samochód w zderzak i głowa Aarona z bolesnym szarpnięciem poleciała do przodu. Erik już więcej nie zwalniał.

Minęła niemal godzina, kiedy nagle Deacon nacisnął klakson i nie puszczając go, wypełnił powietrze jazgotem. Podjechał bliżej, jego samochód stawał się coraz większy w bocznym lusterku od strony Aarona, a hałas niósł się po pustej drodze. Szczelnie wypełnił głowę Aarona, który oparł dłonie o schowek, przygotowując się na nieuniknione uderzenie od tyłu. Jego ojciec obok miał boleśnie zaciśniętą szczękę. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność i kiedy Aaron myślał, że nie znieśie tego już ani chwili dłużej, klakson Deacona zamilkł. Nagła cisza aż dzwoniła w uszach.

W lusterku zobaczył, jak Deacon opuścił szybę, powoli wyciągnął rękę, a następnie pokazał środkowy palec. Mimo silnego podmuchu powietrza trwał w tym obraźliwym geście w nieskończoność. A potem odbicie jego samochodu w lusterku zaczęło maleć i maleć, aż w końcu zniknęło w ogóle.

– Ojciec nie znosił Melbourne – powiedział Falk. – Nigdy nie czuł się tam u siebie. Znalazł pracę biurową, która polegała na zarządzaniu siecią dostaw dla gospodarstw rolnych, ale to tylko wyssało z niego resztki życia.

Falk został posłany do najbliższego gimnazjum, aby dokończyć ostatni rok nauki. Rozbity i skonsternowany, rzadko pamiętał o tym, by coś zanotować, a co dopiero podnieść rękę. Egzaminy końcowe przeszedł ze stopniami, które, choć solidne, nie były rewelacyjne.

– Mnie udało się odnaleźć trochę lepiej niż jemu. Był naprawdę samotny – stwierdził. – I nigdy już nie rozmawialiśmy o tym, co się stało. Obaj zamknęliśmy się w sobie i tak żyliśmy dalej. Na niewiele się to zdało.

Rita i Raco patrzyli na niego przez stół. Rita położyła dłoń na jego rękę.

– Jestem przekonana, że cokolwiek dla ciebie poświęcił, czuł, że było warto.

Falk pochylił głowę.

– Dzięki, że tak mówisz, ale nie jestem pewien, czy on by się z tym zgodził.

Jechali w ciszy, a Aaron nadal patrzył w lusterko. Deacon nie pojawił się już więcej. Po godzinie ojciec Aarona zahamował tak gwałtownie, że pas boleśnie wbił się w ciało chłopaka, kiedy ich ciężarówka z piskiem opon zatrzymywała się na poboczu pustej drogi.

Aaron aż podskoczył, kiedy Erik uderzył dłonią o kierownicę... Ojciec był bledszy niż zazwyczaj, a jego czoło pokrywał pot. Erik obrócił się na siedzeniu i jednym szybkim ruchem złapał syna za koszulę. Aaron aż wzdrygnął się, kiedy ręce, które nigdy nie zostały podniesione na niego w gniewie,

skręcały materiał i przyciągnęły go bliżej.

– Zapytam tylko raz, więc lepiej powiedz prawdę.

Aaron po raz pierwszy słyszał podobny ton w głosie ojca. Pobrzmiwało w nim obrzydzenie.

– Zrobiłeś to?

Wstrząs wywołany tym pytaniem wdarł się niemal z fizyczną siłą w pierś Aarona, który poczuł, jakby miał się udusić. Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Co? Tato...

– Powiedz mi!

– Nie!

– Czy masz cokolwiek wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny?

– Nie! Tato, nie! Oczywiście, że nie mam z tym nic wspólnego!

Aaron czuł, jak serce tłucze mu się o zaciśniętą pięść ojca. Pomyślał o ich najbardziej wartościowych rzeczach wrzuconych na tył ciężarówki i o pospiesznych pożegnaniach z przyjaciółmi. O Ellie, której już nigdy nie zobaczy, i o Deaconie, którego nawet teraz się obawiał. Poczul, jak wzbiera w nim gniew, i spróbował odepchnąć ojca.

– Nie zrobiłem tego! Jezu, jak w ogóle możesz mnie o to pytać?

Uścisk Erika nie zelżał.

– Czy wiesz, ile osób zapytało mnie o kartkę napisaną przez tę dziewczynę? Moi przyjaciele. Ludzie, których znam od lat. Od lat. Przechodzili na drugą stronę ulicy na mój widok. Wszystko przez tę kartkę. – Pociągnął Aarona mocniej. – Jesteś mi winien wyjaśnienie. Dlaczego zapisała twoje nazwisko?

Aaron Falk pochylał się. Ojciec i syn, twarzą w twarz. Otworzył usta.

– A twoje?

– Już nigdy nie było między nami tak samo – oznajmił Falk. – Próbowałem naprawić to parę razy w ciągu tych wszystkich lat. On pewnie też, na swój sposób. Ale nie potrafiliśmy. Przestaliśmy w ogóle mówić o Kiewarze. Jakby to się nie wydarzyło, jakby to miejsce w ogóle nie istniało. Jakoś znosił Melbourne, mnie, a później umarł. I tyle.

– Jak śmiesz? – Spojrzenie oczu Erika zapłonęło i pojawił się w nich wyraz, którego Aaron nie potrafił nazwać. – Twoja matka jest pochowana w tym miasteczku. Ta farma została zbudowana przez twoich dziadków, na miłość boską! Moje życie i moi przyjaciele są właśnie tam. Nie waż się zrzucić tego na mnie.

Aaron czuł pulsowanie krwi w głowie. Jego przyjaciele. Jego matka. On zostawił za sobą niemal tyle samo.

– To czemu uciekamy? – Złapał nadgarstek ojca i uwolnił swoją koszulę. – Dlaczego zmuszasz nas do ucieczki z podkulonym ogonem? To sprawia, że wyglądamy na winnych.

– Nie, to ta kartka obarcza nas winą. – Erik patrzył twardo na syna. – Powiedz prawdę! Naprawdę byłeś wtedy z Lukiem?

Aaron zdobył się na to, by spojrzeć ojcu w oczy.

– Tak.

Erik Falk otworzył usta. Ale od razu je zamknął. Patrzył na syna, jakby widział go po raz pierwszy. Atmosfera w aucie stała się nie do zniesienia. Potrząsnął głową, obrócił się przodem do kierownicy i zapalił silnik.

Przez resztę drogi nie zamienili ani słowa. Aarona trawił gniew, wstyd i tysiące innych uczuć. Nie przestał jednak wpatrywać się w lusterko.

Po części żałował, że Mal Deacon już nigdy nie nadjechał.



## Rozdział 26

Kiedy Falk wrócił do pubu z kolacji u Raca, poczuł nagłą potrzebę, żeby zmyć z siebie wszystko. Przeszłość przyłgnęła do niego niczym warstewka brudu. To był naprawdę długi dzień i Falkowi wydawało się, że było później niż w rzeczywistości. Pub nadal tętnił życiem, kiedy on przemykał po schodach do swojego pokoju.

Pod prysznicem na jego nagim ciele widoczne były efekty przebywania pod słońcem Kiewarry. Skóra na jego przedramionach, szyi i obojczykach, niedawno jeszcze biała, teraz stała się czerwona i podrażniona.

Płynąca woda na początku niemal zagłuszyła walenie do drzwi. Falk zakręcił kurki i stał, nasłuchując. Ponowny łomot, tylko tym razem głośniejszy.

– Falk! Szybko! – odezwał się przytłumiony głos. – Jesteś tam?

Chwycił ręcznik i niemal pośliznął się na mokrej podłodze. Kiedy otworzył drzwi na oścież, jego oczom ukazał się zdyszany McMurdo z pięścią uniesioną do drzwi.

– Na dół – wydyszał barman. – Szybko! – I sam ruszył, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Falk wciągnął szorty, koszulkę i buty, nie wycierając się, i zatrzaskał za sobą drzwi.

W barze panował chaos. Krzesła były poprzewracane, a na podłodze skrzyło się potłuczone szkło. Jakaś postać siedziała skulona w kącie, przyciskając dłonie do krwawiącego nosa. McMurdo na kolanach próbował rozdzielić dwóch mężczyzn siłujących się na podłodze. Zgromadzeni w półkolu gapie powoli rozpięchali się na widok Falka, który w dwóch susach znalazł się na środku pomieszczenia.

Nagła cisza sprawiła, że walczący mężczyźni na tyle się zdekoncentrowali, że

barman zdołał się między nich wcisnąć. Rozdzielił ich i po chwili każdy z nich leżał w swoim kącie, dysząc ciężko.

Oko Jamiego Sullivana zaczęło puchnąć i nabierać niepokojącego kształtu. Miał też rozwaloną dolną wargę i zadrapania na policzku.

Naprzeciw niego Grant Dow wyszczerzył się, ale natychmiast skrzywił, ostrożnie sprawdzając stan swojej szczęki. Wyglądało na to, że był górą, i wiedział o tym.

– No jasne. Ty i ty – Falk zwrócił się do dwóch najmniej pijanych gapiów. – Zabierzcie Sullivana do łazienki i pomóżcie mu zmyć krew z twarzy. I przyprowadźcie go z powrotem. Zrozumiano?

Następnie zwrócił się do Dowa:

– A ty siadaj tutaj i czekaj! Nie! Zamknij się! Zrób to w swoim najlepszym interesie i choć raz zamknij tę jadaczkę. Słyszysz?

Falk zwrócił się do McMurda.

– Poproszę o czystą szmatkę, a dla wszystkich kolejka wody. W plastikowych kubkach.

Falk podszedł ze szmatką do mężczyzny z rozbitym nosem, który nadal siedział zgięty wpół w kącie.

– Wyprostuj się, stary – poprosił. – Dokładnie tak. Masz. Przyłóż to sobie. – Mężczyzna puścił swój nos i zdziwionemu Falkowi ukazała się zakrwawiona twarz Scotta Whitlama. – Jezu, jak się w to wplątałeś?

Whitlam chciał wrzucić ramionami, ale tylko się skrzywił.

– Niewłaściwe miejsce, niewłaściwy czas – powiedział tylko, przykładając szmatkę do nosa.

Falk obrócił się i odezwał do zgromadzonych.

– Proponuję, żebyście wynieśli się stąd do cholery.

Kiedy pub się wyludniał, zjawił się Raco. Miał na sobie ten sam podkoszulek co podczas kolacji, ale jego kręcone włosy były przykłapnięte z jednej strony i miał zaczerwienione oczy.

– McMurdo zadzwonił. Spałem już. Trzeba wezwać pogotowie? Doktor Leigh jest na dyżurze.

Falk rozejrzał się. Sullivan wrócił już z łazienki i na samą wzmiankę o doktorze na

jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie. Pozostali dwaj poszkodowani siedzieli zgarbieni na krzesłach.

– Nie. Nie sądzę – stwierdził. – Chyba że podejrzewasz u nich martwicę mózgu...

O co poszło? – zapytał McMurda.

Barman wywrócił oczami.

– Nasz przyjaciel, ten tutaj, pan Dow, zdaje się sądzić, że jest łączony ze śmiercią Hadlerów tylko dlatego, że Jamie Sullivan nie ma jaj, by się przyznać. Postanowił więc, że go do tego zachęci, skoro okazja sama się nadarzyła.

Falk podszedł do Dowa.

– Co tu zaszło?

– Nieporozumienie.

Falk nachylił się nad nim, tak że jego usta znalazły się tuż przy uchu Dowa. Czuł zapach alkoholu, którym na wskroś przesiąkła skóra tamtego.

– Jeśli ci się naprzykrzamy, Grant, to wystarczy, że podasz nam powód, dla którego zapisała sobie twoje imię.

Dow roześmiał się gorzko.

– To naprawdę niezłe usłyszeć to od ciebie. Masz na myśli taki powód, jakiego nigdy nie podałeś, aby wyjaśnić kartkę, którą zostawiła Ellie? Nie. – Potrząsnął głową.

– Mógłbym podać ci tysiące powodów, a ty i tak byś się nie odczepił. Nie uspokoisz się, dopóki nie wrobisz w sprawę Hadlerów mnie lub mojego wuja.

Falk odsunął się.

– Uważaj. Gadaj tak dalej, a doprosisz się formalnego oskarżenia i napytasz sobie biedy, rozumiesz? – Falk wyciągnął dłoń. – Kluczyki.

Grant spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Bez jaj.

– Możesz je odebrać jutro na komisariacie.

– Mam ponad pięć kilometrów na farmę – protestował Grant.

– Trudno. Miłego spaceru – odparł Falk, wyciągając mu kluczyki z ręki i chowając je do kieszeni. – A teraz spadaj.

Zwrócił się w stronę, gdzie McMurdo i Raco niewprawnie próbowali opatrzeć Whitlana i Sullivana.

– Chciałbyś powiedzieć nam, co się tutaj stało, Jamie? – zapytał.

Sullivan wbił wzrok w podłogę.

– Tak jak powiedział. Nieporozumienie.

– Nie chodzi mi o dzisiaj.

Nie było odpowiedzi. Falk pozwolił, żeby cisza się wydłużała.

– Będzie tylko coraz gorzej, pogrążasz się.

Nic.

– Nie ma sprawy – skwitował. Był nadal wilgotny po przerwaniu prysznicu i miał już dość. – Jutro o dziesiątej na komisariacie. I tak musimy z tobą porozmawiać. Przyjmij dobrą radę, stary, i zastanów się dobrze, gdzie wtedy byłeś.

Sullivan wyglądał, jakby miał się rozplakać. Falk wymienił spojrzenia z sierżantem.

– Odwiozę cię do domu, Jamie – powiedział Raco. – Chodź, zabierzmy cię stąd.

Sullivan pozwolił wyprowadzić się z baru, nie patrząc na nikogo. Falk podszedł do Whitlama, który w swoim kącie wyglądał na zawstydzonego.

– Wydaje mi się, że krwawienie ustało – powiedział, ostrożnie dotykając nosa.

– Niech spojrzę. – Falk próbował przypomnieć sobie szkolenie z pierwszej pomocy.

– Cóż, jeśli tylko nie będziesz musiał jutro pozować do zdjęcia szkolnego, najprawdopodobniej przeżyjesz.

– Hurra.

– Nie ma potrzeby, żebyśmy również ciebie ściągali jutro na komisariat, prawda?

– Nie. – Whitlam podniósł ręce. – Jestem niewinny. Wychodziłem z toalety, kiedy na mnie wpadli. Nie wiedziałem nawet, co mnie trafiło. Straciłem równowagę i uderzyłem twarzą o krzesło.

– W porządku – rzekł Falk, pomagając mu wstać. Mężczyzna zachwiał się nieznacznie. – Nie jestem jednak pewien, czy powinieneś prowadzić.

– Nie jestem samochodem.

– Motor?

– Jezu, nie, jestem nauczycielem w podstawówce. Rower.

– Jasne. Chodź.

Z trudem, ale udało się im zmieścić rower Whitlama w bagażniku samochodu Falka.

Jechali pustymi ulicami w milczeniu.

– Poszczeniście się wam z nagraniem z monitoringu? – zapytał w końcu Whitlam, kaszląc, ponieważ spróbował oddychać przez nos.

– Nadal się przez nie przekopujemy – stwierdził Falk. – Dzięki za pomoc.

– Nie ma problemu. – Zniekształcony obraz jego opuchniętej twarzy odbijał się w szybie, kiedy wpatrywał się w pustkę za oknem. – Jezu, mam nadzieję, że to się wkrótce skończy. To miejsce przypomina koszmar.

– Będzie lepiej – odparł odruchowo Falk.

– Naprawdę? – zapytał Whitlam i opadł ciężko na siedzenie. – Nie jestem pewien. Pamiętam jeszcze, jak przejmowałem się jakimiś normalnymi sprawami: wynikami meczów, programami reality... To niewiarygodne... Teraz mam na głowie szkołę, braki funduszy, ciągłą pogoń za pieniędzmi. No i śmierć ucznia, na litość boską.

Whitlam wpatrywał się w okno, dopóki nie zatrzymali się pod jego domem. Nad gankiem paliło się ciepłe światło. Na jego poobijanej twarzy odmalowała się ulga. Był w domu.

Falk, wykończony i nadal w mokrych ubraniach, poczuł dojmującą tęsknotę za swoim mieszkaniem.

– Dzięki. Może wejdiesz na drinka? – zaproponował Whitlam, kiedy wysiedli z samochodu, ale Falk potrząsnął głową.

– Dzięki, nie tym razem. Wystarczy mi na dziś.

Falk otworzył bagażnik i wyciągnął rower, manewrując kierownicą.

– Przepraszam, jeśli zabrudził ci samochód – powiedział Whitlam, wpatrując się w ciemnościach we wnętrze wozu.

– Nic nie szkodzi. Dasz sobie radę? Z nosem? I całą resztą?

Whitlam obrócił rower. Próbował się uśmiechnąć.

– Jasne, przeżyję. Przepraszam, że byłem taki smętny. To z powodu przedawkowania paracetamolu.

– Nie zawsze tak będzie. Miałeś pecha, że się w to wplątałeś.

– Ale w tym tkwi problem, prawda? Nie da się kontrolować takich zdarzeń – skonstatował Whitlam głucho. Falk nie był pewien, czy to jedynie wina nosa. – To niemal śmieszne. Stoję tutaj i użalam się nad sobą, ale wtedy przypominam sobie

o biednym Billym. On dopiero został wplątany. Mówię ci, cokolwiek działo się w tym domu, Luke, susza, farma, jakakolwiek była przyczyna, to nigdy nie powinno było dotknąć tego dziecka.

Drzwi frontowe otworzyły się i stanęła w nich Sandra, oświetlona przez blask z wnętrza domu. Pomachała im. Whitlam pożegnał się, a Falk patrzył za nim, jak prowadzi rower po podjeździe. Nadal wyglądał na odrobinę roztrzęsionego. Kiedy Falk wszedł do samochodu, jego telefon wydał pojedynczy dźwięk. Wiadomość od Raca. Falk przeczytał ją i zachwycony uderzył w kierownicę.

„Chcesz wiedzieć, czemu Jamie Sullivan był w tamtej alejce? Zadzwoń, jak będziesz mógł”.

## Rozdział 27

Kiedy wczesnym rankiem następnego dnia Raco i Falk przyjechali na komisariat, mężczyzna czekał już cierpliwie na zewnątrz.

– Doktor Leigh. – I Raco przedstawił lekarzowi Falka. – Dziękuję za przybycie.

– W porządku. Chciałbym tylko zaznaczyć, że nie mam dużo czasu. Czeka na mnie dziś komplet pacjentów. A później jestem na dyżurze.

Raco nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się uprzejmie i otworzył drzwi posterunku. Falk przyglądał się lekarzowi z ciekawością. Nigdy wcześniej go nie widział, ale poznał jego nazwisko z raportów dotyczących śmierci Hadlerów. Pierwszy ratownik medyczny na miejscu zbrodni. Był po czterdziestce, gęste włosy, zdrowy blask osoby, która stosuje się do własnych zaleceń.

– Przyniosłem moje notatki dotyczące Hadlerów. – Doktor Leigh położył folder na stole w sali przesłuchań. – W tej sprawie zostałem wezwany, prawda? Jakies postępy?

Usiadł na krześle i zupełnie spokojny założył nogę na nogę. Trzymał się niezwykle prosto i miał znakomitą posturę.

– Można tak powiedzieć. – Tym razem Raco się nie uśmiechnął. – Doktorze Leigh, czy mógłby nam pan powiedzieć, gdzie był po południu dnia dwudziestego drugiego lutego?

Jamie Sullivan stał samotnie na swoim polu i patrzył za oddalającym się pikapem Luke'a Hadlera. Kiedy auto zniknęło mu z pola widzenia, wyjął telefon i wysłał wiadomość. Czekał. Dwie minuty później telefon zawibrował. Sullivan skinął głową i ruszył w kierunku swojego dżipa.

Na twarzy lekarza odmalowało się zaskoczenie. Uśmiechnął się, zbity z tropu.

– Wie pan, sierzancie, gdzie byłem tamtego popołudnia. Byliśmy razem na miejscu zbrodni dokonanej na Hadlerach.

– A dwie godziny wcześniej?

Chwila milczenia.

– W przychodni.

– Przyjmował pan pacjentów?

– Wcześniej tak. Później przez kilka godzin odpoczywałem w mieszkaniu nad przychodnią.

– Dlaczego?

– To znaczy? Robię tak zazwyczaj, kiedy mam dzieloną zmianę. Praca tego samego dnia rano i wieczorem jest wykańczająca. O czym pan z pewnością sam wie, sierzancie.

Raco nie zareagował na próby znalezienia nici porozumienia między nimi.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

Sullivan szybko pokonał krótką odległość do miasteczka. Na wiejskich drogach nie spotkał nikogo, a kiedy zbliżał się do centrum, minął zaledwie pół tuzina innych samochodów. Zanim skierował się na główną ulicę, skręcił w prawo w wąską boczną uliczkę, na którą wychodziły tyły kilku sklepów. Wiedział, że był przesadnie ostrożny. Nikt, widząc jego samochód zaparkowany w miasteczku, nie zastanawiałby się, czemu tam się znalazł, ale potrzeba utrzymywania tego w sekrecie była niczym blizna na jego ciele, której nie dało się już usunąć. Kiedy przejeżdżał koło apteki, na kamerze przemysłowej mignęło światelko.

Doktor Leigh pochylił się do przodu, marszcząc brew. Jego długie palce zamarły na brzegu akt Hadlerów w niepewności.

– A tak poważnie, to o co tutaj, do diabła, chodzi?

– Czy mógłby pan odpowiedzieć, doktorze? – poprosił Raco. – Czy był pan wtedy sam?

Leigh patrzył to na Falka, to na Raca.

– Czy powinienem zadzwonić po adwokata? Czy ona powinna tu być? – zapytał wyzywająco.

– To byłoby rozsądne – odpowiedział Raco.



Doktor Leigh odskoczył od stołu jak poparzony.

Sullivan zaparkował w garażu, który zawsze czekał na niego – pusty i niezamknięty. Wysiadł i opuścił drzwi tak, aby jego samochód był niewidoczny. Zgrzyt metalu o metal sprawił, że Jamie aż się wzdrygnął. Odczekał chwilę. Znikąd żadnej reakcji. Uliczka była pusta.

Sullivan skierował kroki ku nieoznaczonym drzwiom obok wejścia do magazynu przychodni i zadzwonił dzwonkiem. Rzucił spojrzenie na lewo i na prawo. Chwilę później drzwi się otworzyły. Doktor Leigh uśmiechnął się na jego widok. Poczekali, aż obaj znajdą się w środku, za szczelnie zamkniętymi drzwiami, a potem się pocałowali.

Leigh zamknął oczy i palcem wskazującym potarł nasadę nosa. Jego idealnie proste plecy pochyliły się nieznacznie.

– Wszystko jasne. Wnioskuje, że wiecie, jak się przedstawia sytuacja – powiedział.

– A zatem... tak, tamtego popołudnia nie byłem w mieszkaniu sam. Byłem z Jamiem Sullivanem.

Raco był jednocześnie sfrustrowany i zadowolony. Usiadł wygodniej na krześle i potrząsnął głową w niedowierzaniu.

– Najwyższy czas. Czy zdaje pan sobie sprawę, doktorze, ile godzin spędziliśmy, a właściwie zmarnowaliśmy, nad historijką Sullivana?

– Wiem. Naprawdę. Jest mi z tego powodu przykro. – I wyglądało na to, że mówi szczerze.

– Przykro panu? Troje ludzi nie żyje. Był pan tam ze mną. Widział pan ich ciała. Tego biednego chłopca. Sześciolatka z odstrzeloną głową. Jak mógł pan pozwolić, żebyśmy gonili własny ogon? Kto wie, jakie szkody wyrządziliście...

Doktor zachwiał się na krześle, jakby ktoś go uderzył.

– Ma pan rację – odparł. Przygryzł paznokieć i wyglądał, jakby miał się rozpłakać.

– Myśli pan, sierzancie, że nie chciałem od razu wszystkiego powiedzieć? Jak tylko się dowiedziałem, że byliście u Jamiego i zadawaliście pytania... Oczywiście, że powinien był wszystko wam wtedy powiedzieć. Ja powinienem był wam to powiedzieć... Chyba spanikowaliśmy... Nie przyznaliśmy się od razu, a później czas mijał i... było coraz trudniej... Sam pan rozumie...

– Cóż, mam nadzieję, że to było warte rozkwaszonej twarzy Jamiego, bo właśnie to mu się przytrafiło zeszłej nocy – powiedział Raco, a Leigh spojrział na niego

wstrząśnięty. – Och, nie wiedział pan, co? – kontynuował. – Tak, wdał się w bójkę w pubie. Tylko dlatego w końcu powiedział mi, jak się sprawy mają. Oberwała raczej jego głowa, nie sumienie. Mogliście pomóc nam już kilka dni temu. Obaj powinniście się wstydzić.

Doktor zakrył oczy dłonią i siedział tak przez dłuższy czas. Falk wstał i przyniósł mu szklanekę wody, którą ten wychylił z wdzięcznością. Czekali.

– Wtedy nie mógł pan nam powiedzieć. Teraz jest na to najwyższy czas – rzekł Falk nie bez współczucia.

Leigh przytaknął.

– Jamie i ja jesteśmy razem od półtora roku. Ale, oczywiście, nie chwaliliśmy się tym – mówił. – Zaczęło się wtedy, kiedy coraz częściej musiał u mnie bywać ze swoją babcią. Pogarszało się jej, a jemu samemu było ciężko. Potrzebował wsparcia i kogoś, żeby pogadać. I tak się zaczęło. To znaczy, zawsze podejrzewałem, że jest gejem, ale tutaj... – urwał i pokręcił głową. – Mniejsza z tym, przepraszam, to nieistotne. W dniu śmierci Hadlerów przychodnia była otwarta do szesnastej, a później miałem przerwę. Jamie przysłał mi wiadomość, a ja go zaprosiłem do siebie. Tak się zazwyczaj umawialiśmy. Przyjechał, chwilę rozmawialiśmy. Napiliśmy się czegoś zimnego. A później... poszliśmy do łóżka.

Wziąwszy prysznic, Sullivan wycierał się w malutkiej łazience, kiedy w mieszkaniu zadzwonił telefon alarmowy. Usłyszał, jak Leigh odbiera. Rozmowa, której stłumione odgłosy docierały do niego, była krótka i pospieszna. Kiedy doktor zajrzał do łazienki, był bardzo zmartwiony.

– Muszę jechać. Była strzelanina.

– Cholera, naprawdę?

– Tak. Słuchaj, Jamie, powinieneś wiedzieć... To u Luke'a Hadlera.

– Żartujesz! Dopiero co był u mnie. Nic mu nie jest?

– Nie znam żadnych szczegółów. Zadzwonię. Nie czekaj na mnie. Kocham cię.

– A ja ciebie.

I już go nie było.

Sullivan ubrał się drżącymi rękami i pojechał do domu. Widział już kiedyś wypadek z bronią. Przyjaciel przyjaciela jego ojca. Kwaśny, metaliczny zapach krwi uderzył go i nie mógł uwolnić się od niego przez wiele miesięcy. Teraz wystarczyło samo wspomnienie, żeby go przywołać. Jamie wydmuchiwał nos w chusteczkę, kiedy zajechał przed swój dom, gdzie czekało na niego dwóch strażaków w kombinezonach ochronnych.

– Spokojnie, stary, twojej babci nic nie jest. Czego nie można, niestety, powiedzieć o ścianie

w kuchni.

– Po tym jak przyjechaliście do Jamiego, żeby go przepytąć, zadzwonił do mnie, przestraszony – kontynuował Leigh. – Powiedział, że spanikował i skłamał, mówiąc, gdzie wtedy był. – Leigh popatrzył im prosto w oczy. – Nie ma na to żadnego usprawiedliwienia. Wiem o tym i on też. Ale proszę, żebyście nie osądzali go zbyt surowo. Kiedy jest się zmuszonym kłamać w pewnych sprawach wystarczająco długo, to wchodzi w krew.

– Nie osądzam cię za to, że jesteś gejem, stary. Chodzi o to, że zmarnowaliście nasz czas – rzekł Raco.

Doktor skinął głową.

– Wiem. Gdybym mógł cofnąć czas, postąpiłbym inaczej. Z całą pewnością. Nie wstydzę się tego, że jestem gejem – oznajmił. – A Jamie... pracuje nad tym. Ale w Kiewarze jest mnóstwo ludzi, którzy dobrze zastanowiliby się, zanim poszliby leczyć siebie lub swoje dzieci u pedała. Albo zanim usiedliby koło niego w pubie... –

Leigh spojrzał na Falka. – Sam wiesz, jak to jest, kiedy się trochę różnisz. Po prostu chcieliśmy tego uniknąć.

Pozwolili doktorowi wrócić do jego zajęć. Po chwili jednak Falk wybiegł za nim.

– Hej, zanim odjedziesz, chciałbym jeszcze zapytać o Malę Deacona. Jak bardzo zaawansowana jest jego demencja?

Leigh stanął w bezruchu.

– Nie mogę o tym z tobą rozmawiać.

– O tym też nie?

– Przykro mi. Chciałbym. Ale naprawdę nie mogę. To mój pacjent.

– Nie pytam o szczegóły. Ogólny zarys sytuacji wystarczy. Co on pamięta? To, co zdarzyło się dziesięć minut wcześniej, ale nie dziesięć lat temu, czy na odwrót?

Leigh zawahał się, spoglądając na posterunek.

– Mówiąc bardzo ogólnie – odpowiedział – osoby po siedemdziesiątym roku życia z objawami podobnymi do tych, których doświadcza Mał, doświadczają nagłego pogorszenia pamięci. Lepiej orientują się w odległej przeszłości niż w bieżących wydarzeniach, wspomnienia często się im mieszają, zacierają, łączą. Jeśli o to pytasz,

nie są wiarygodni. Mówimy oczywiście o ogólnej sytuacji.

– Czy to go zabije? Obiecuję, że to już ostatnie pytanie.

Na twarzy doktora malowała się udręka. Rozejrzał się dookoła. Ulica była zupełnie pusta. Ściszył głos.

– Nie bezpośrednio. Ale to komplikuje wiele spraw. Podstawowe kwestie związane z higieną i odżywianiem są zaburzone. Można pokusić się o stwierdzenie, że pacjent w podobnym stanie ma jeszcze przed sobą rok, dwa lata życia. Może trochę więcej, może trochę mniej. Jeśli zaś pacjent przez całe dorosłe życie lubił się codziennie napić, to tylko pogarsza sprawę. Ogólnie mówiąc, oczywiście.

Skinął głową, jakby stawiając kropkę, i odwrócił się. Falk pozwolił mu odejść.

– Powinniśmy postawić im obojgu zarzuty – podsumował Raco, kiedy Falk wrócił do środka.

– Tak, powinniśmy.

Obaj wiedzieli, że tego nie zrobią.

Raco opadł na swój fotel i zakrył twarz dłońmi. Głośno westchnął.

– Jezu, i co teraz?

Broniąc się przed świadomością, że zabrnęli w ślepy zaułek, Falk wykonał telefon do Melbourne. Po godzinie otrzymał wykaz wszystkich jasnych pikapów, które były zarejestrowane w Kiewarze w roku śmierci Ellie Deacon. Było ich sto dziewięć.

– Dodatkowo trzeba uwzględnić, że mógł to być ktoś przyjezdny – dodał Raco ponuro.

Falk przejrzał listę. Było na niej wiele znajomych nazwisk. Byłych sąsiadów. Rodziców dawnych kolegów ze szkoły. Widniał tam też, oczywiście, Mal Deacon. Ale i niemal wszyscy inni: Gerry Hadler, rodzice Gretchen, nawet ojciec Aarona. Tamtego dnia na skrzyżowaniu Gerry mógł widzieć kogokolwiek. Zniechęcony Falk zamknął folder.

– Wychodzę na trochę.

Raco tylko mruknął w odpowiedzi i Falk był zadowolony, że nie zapytał go dokąd.

## Rozdział 28

Cmentarz znajdował się tuż za miasteczkiem na dużej działce ocienionej przez potężne eukaliptusy. Wyjeżdżając z Kiewarry, Falk minął znak informujący o zagrożeniu pożarowym, które tym razem było oznaczone jako skrajne. Wiatr się wzmaczał.

Nie widział jeszcze grobów Hadlerów, ponieważ w pochówku uczestniczyła tylko najbliższa rodzina, ale znalazł je z łatwością. Nowe, wypolerowane nagrobki wyglądem przypominały meble, które ktoś omyłkowo zostawił na zewnątrz. Całe tonęły w celofanie, pluszowych zabawkach i więdnących kwiatach. Nawet z odległości kilku kroków zapach rozkładających się roślin był oszałamiający.

Tylko pod nagrobkiem Luke'a było nieco puściej. Falk zastanawiał się, czy obowiązek sprzątnięcia tych wszystkich dowodów pamięci, kiedy ostatecznie zamienią się w śmieci, spoczywa na Barb i Gerrym. Barb miała wystarczająco dużo na głowie, żeby jeszcze i tu decydować, co wyrzucić, a co zachować. Falk obiecał sobie, że to sprawdzi.

Usiadł na chwilę na wyschniętej ziemi obok grobów, nie zwracając uwagi na kurz i brud osadzające się na jego spodniach od garnituru. Przejechał dłonią po wygrawerowanym napisie na grobie Luke'a, próbując pozbyć się poczucia nierealności całej tej sytuacji, które towarzyszyło mu od dnia pogrzebu.

Luke Hadler jest w tej trumnie – powtarzał w myślach. – Luke Hadler jest tu pochowany.

Gdzie był Luke tego popołudnia, kiedy umarła Ellie? To pytanie powracało jak bumerang. Falk powinien był to od niego wydusić, kiedy jeszcze miał szansę. Ale

naprawdę wierzył w to, że Luke kłamał, by go chronić. Gdyby tylko wiedział, co miało się zdarzyć...

Uciał tę myśl natychmiast. Odkąd przyjechał do Kiewarry, słyszał te słowa już ze zbyt wielu ust. „Gdybym tylko wiedział, postąpiłbym inaczej”. Na to jednak było już za późno. Z pewnymi sprawami po prostu trzeba żyć.

Falk wstał i zostawił świeże groby za sobą. Skierował się w głąb cmentarza i szybko znalazł rząd, którego szukał. Tutaj nagrobki straciły swój połysk całe lata temu, ale wiele z nich było dla Falka niczym starzy znajomi. Idąc, przesunął dłonią z uczuciem po kilku z nich, zanim zatrzymał się przed jednym, wyjątkowo spłowiałym od słońca kamieniem. Na tym grobie nie było kwiatów i po raz pierwszy Falk uświadomił sobie, że powinien być o tym pomyśleć. Jak na dobrego syna przystało. Kwiaty dla matki.

Zamiast tego pochylił się i chusteczką wyczyścił jej wyryte na nagrobku imię z kurzu i brudu. To samo zrobił z datą śmierci. Nigdy nie musiał jej sobie przypominać. Odkąd sięgał pamięcią, wiedział, że zmarła w dniu jego narodzin. Komplikacje poporodowe i utrata krwi, powiedział ojciec szorstko, kiedy Falk był na tyle duży, żeby zapytać, po czym spojrzał na swojego syna w taki sposób, iż Aaron poczuł, że niemal, choć może niezupełnie, wart był tego poświęcenia.

Jako dziecko nabrał zwyczaju samotnego jeżdżenia na cmentarz rowerem i na początku stał godzinami nad grobem matki w ramach narzuconej sobie samemu kary. W końcu dotarło do niego, że nikogo nie obchodziło, czy on tam stał, czy siedział, i ich relacja przekształciła się w coś na kształt jednostronnej przyjaźni. Bardzo się starał wzbudzić w sobie synowską miłość, ale nawet wówczas wydawało mu się to sztuczne. Po prostu nie potrafił wykrzesać w sobie tego uczucia wobec kobiety, której nawet nigdy nie widział. Miał poczucie winy, że więcej go w nim było dla Barb Hadler.

Ale lubił odwiedzać matkę, poza tym jej można było powiedzieć wszystko. Zaczął przywozić ze sobą coś do zjedzenia, książki, zadania domowe i leżąc tak w trawie, obok nagrobka, snuł swobodny monolog na temat swojego życia.

Zanim do Falka w pełni dotarło, co robi, wyciągnął się na kłującej, zeschniętej trawie, w jednej chwili powracając do starego nawyku. Cień drzew czynił upał znośniejszym. Wpatrując się w niebo, głosem niewiele różniącym się od szeptu,

opowiedział matce wszystko o Hadlerach i swoim powrocie do Kiewarry. O ponownym spotkaniu Gretchen. O ciężkim uczuciu w piersi podczas konfrontacji z Mandy w parku i z Ianem w sklepie. O tym, jak bardzo się boi, że nigdy nie dowie się prawdy o Luke'u.

Kiedy słowa już mu się wyczerpały, po prostu leżał w ciszy obok matki, otulony ciepłem ziemi i powietrza.

Kiedy się obudził, słońce było już w innym punkcie nieba. Ziewając, wstał i rozprostował zeszywniałe kończyny. Nie był pewien, ile czasu minęło. Strzepnął ubranie i ruszył ku głównej bramie cmentarza. W połowie drogi przystanął. Powinien odwiedzić jeszcze jeden grób.

Tym razem potrzebował więcej czasu. Widział go tylko raz, na pogrzebie, zanim wyjechali z Kiewarry na zawsze. W końcu trafił na niego, niemal przez przypadek: niewielki kamień nagrobny schowany pośród innych, bardziej ozdobnych. Był zarośnięty pozółkłą trawą. Obok niego leżała pojedyncza wiązanka dawno zwiędłych kwiatów w zmiętym celofanie. Falk ponownie wyjął chusteczkę i wyciągnął dłoń, aby oczyścić i ten wygrawerowany podpis. Eleanor Deacon.

– Nie dotykaj, ty kundlu – rozległ się głos za plecami Falka.

Aż podskoczył. Obrócił się i zobaczył Mala Deacona siedzącego w cieniu, u stóp wielkiej figury anioła. W ręce trzymał butelkę piwa, a u jego stóp spał jego spory, brązowy pies. Kiedy Deacon wstał, zwierzę obudziło się i przeciągnęło, pokazując język w kolorze surowego mięsa. Mężczyzna zostawił butelkę u stóp anioła.

– Zabieraj od niej łapy, zanim ci je odetnę.

– Nie ma potrzeby, Deacon. Już sobie idę. – Falk odsunął się.

Deacon spojrzał na niego badawczo.

– Ty jesteś dzieciakiem, prawda?

– Co?

– Jesteś dzieciakiem Falka. Nie starym.

Falk spojrzał na twarz mężczyzny. Jego szczęka była mocno zaciśnięta, a spojrzenie jego oczu było bardziej przytomne niż podczas ich poprzedniego spotkania.

– Tak, jestem dzieciakiem Falka – mówiąc to, poczuł, że dopadł go smutek. Zaczął

iść w kierunku wyjścia.

– Jasne. Mam nadzieję, że tym razem odchrzanisz się na dobre. – Deacon podązał za nim chwiejnym krokiem. Skrócił psu smycz, tak że zwierzę zaskomlało.

– Jeszcze nie. I uważaj na psa. – Falk nawet nie zwolnił. Słyszał, że Deacon próbował za nim nadążyć. Jego kroki były nierówne, a dodatkowo spowalniał je wyboisty teren.

– Nawet teraz nie możesz zostawić jej w spokoju, co? Może i jesteś tylko tym dzieciakiem, ale jesteś zupełnie jak ojciec. Brzydzę się tobą.

Falk obrócił się.

Z podwórka wyraźnie dochodziły dwa głosy. Jeden wzbudzony, drugi spokojniejszy. Dwunastoletni Aaron położył swój plecak na stole w kuchni i podszedł do okna. Zobaczył swojego ojca stojącego z założonymi rękami i znudzonym wyrazem twarzy, podczas gdy Mał Deacon mierzył w niego palcem.

– Brakuje mi sześciu – mówił Deacon. – Dwie jarki i cztery jagnięta. Te same, które oglądałeś w zeszłym tygodniu.

Erik Falk westchnął.

– Mówię ci, stary, że tu ich nie ma. Chcesz tracić czas, żeby ich tu szukać, proszę bardzo.

– Czyli twierdzisz, że to zwykły zbieg okoliczności, tak?

– Myślę, że raczej chodzi o twój dziurawy płot. Gdybym chciał te owce, tobym je kupił. Na moje oko były zresztą dość mizerne.

– Niczego im nie brakuje. A może raczej nie kupiłeś ich, bo po co, skoro mogłeś je ukraść. Nie mam racji? – Głos Deacona stawał się coraz głośniejszy. – Nie byłby to zresztą pierwszy raz, kiedy skusiłeś się na moją własność.

Erik Falk wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Pora na ciebie, Mał – rzekł, odwracając się, ale Deacon szarpnął go za ramię.

– Zadzwoń z Sydney, żeby powiedziec, że nie wraca, wiesz? Zadowolony? Czujesz się prawdziwym twardzielem, prawda? Cieszysz się, że namówiłeś ją, by związała?

– Do niczego nie namawiałem twojej żony – odparł Erik, strącając jego rękę ze swojego ramienia. – Powiedziałbym, stary, że sam odwalileś kawał dobrej roboty swoim pićiem i pięściami. Jedynym zaskoczeniem jest to, że tak długo wytrzymała.

– Ach tak, prawdziwy rycerz w lśniacej zbroi. Zawsze mogła wyplakać się na twoim ramieniu, a ty sączyłeś truciznę do jej ucha. Namówiłeś ją do ucieczki, a w międzyczasie sypiałeś z nią, co?

Erik Falk uniósł brwi w zdziwieniu. Roześmiał się autentycznie rozbawiony.

– Mał, nie posuwałem twojej żony, jeśli to cię trapi.

– Bzdury.

– Nie, stary, to nie są bzdury. To prawda. W porządku, wpadała czasem na herbatę i wyzalić się, kiedy miała dość. Potrzebowała czasem od ciebie odetchnąć. Ale to tyle. Była miła, ale, nie zrozum mnie źle, lubiła wypić prawie tak bardzo jak ty. Może gdybyś lepiej troszczył się o to, co twoje, o żonę,



o owce, nie uciekałyby w cholerę od ciebie. – Falk potrząsnął głową. – Szczerze mówiąc, nie mam czasu ani dla ciebie, ani dla twojej żony. Przykro mi jedynie ze względu na twoją córkę.

Mal Deacon wymierzył swój cios zupełnie niespodziewanie dla Erika, który oberwał tuż nad lewym okiem. Zachwiał się i przewrócił do tyłu, mocno uderzając głową o ziemię.

Aaron wybiegł z domu z krzykiem i przypadł do ojca, który patrzył w niebo oszołomionym spojrzeniem. Krew lała się z rozcięcia tuż przy linii włosów. Aaron usłyszał śmiech Deacona i rzucił się na niego z pięściami. Starszy mężczyzna zrobił krok do tyłu, ale nawet się nie zachwiał. W jednej chwili złapał Aarona za przedramię, wykręcając je w żelaznym uścisku, i przyciągnął jego twarz do swojej.

– Posłuchaj uważnie. Kiedy twój stary podniesie się z ziemi, przekaż mu, że to, co go teraz spotkało, wyda mu się niczym klepnięcie po głowie w porównaniu z tym, co czeka jego lub ciebie, jeśli przyłapię kogoś z was na wtrącaniu się w moje sprawy.

Pchnął Aarona na ziemię i odszedł przez podwórko, gwizdząc przez zęby.

– Błagał mnie, wiesz? – powiedział Deacon. – Twój ojciec. Po tym, co zrobiłeś mojej Ellie. Przyszedł do mnie. Nie próbował nawet wmawiać mi, że to nie ty. Nic z tych rzeczy. Chciał, żebym powiedział wszystkim w miasteczku, żeby wstrzymali się, dopóki policja nie wyjaśni sprawy do końca. Jakby gównu mnie to obchodziło.

Falk wziął głęboki oddech i zmusił się, żeby odejść.

– Wiedziałeś o tym, prawda? – Słowa Deacona ścigały go. – Że cię podejrzewał? Twój własny ojciec. Oczywiście, że wiedziałeś. To musi być okropne uczucie, gdy ojciec tak nisko cię ceni...

Falk zatrzymał się. Był na tyle daleko, że słowa Deacona ledwie do niego dolatywały. Idź dalej, powiedział sobie, ale zamiast tego obrócił się. Deacon stał z wykrzywionymi ustami.

– Co? – zawołał. – Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że kupił tę wyssaną z palca historyjkę, że byłeś z synem Hadlerów. Twój ojciec mógł być niedojdą, tchórzem, ale głupi nie był. Udało ci się kiedykolwiek wyjaśnić mu to wszystko? Czy podejrzewał cię aż do dnia, w którym umarł?

Falk nie odpowiedział.

– Tak myślałem.

Nie! – chciał mu odkrzyknąć Falk. – Nigdy już nie było dobrze między nami. Długo wpatrywał się w starszego mężczyznę, następnie z dużym wysiłkiem odwrócił się i odszedł. Krok po kroku, mijając dawno zapomniane nagrobki. Słyszał, że za jego plecami Mal Deacon śmieje się, stojąc z nogami szeroko rozstawionymi na grobie

swojej córki.

## Rozdział 29

Strzał rozbrzmiał na polu, echo rozniosło się w ciepłym powietrzu. Zanim zdążyła zapanować cisza, rozległ się następny. Na podjeździe farmy Gretchen Falk zamarł z ręką w powietrzu, kiedy właśnie miał zatrzasać drzwi samochodu.

Jego myśli pomknęły do świeżo wyszorowanego przedpokoju w domu Hadlerów i poplamionego dywanu. Oczami wyobraźni widział wykrwawiającą się jasnowłosą kobietę, tym razem nie Karen, lecz Gretchen.

Kolejny strzał i Falk zaczął biec przez pola w kierunku, skąd dochodziły. Echo sprawiało, że nie był pewien, w którą stronę powinien się kierować. Nerwowo spojrzął na linię horyzontu, jego oczy łzawiły od oślepiającego słońca – nic nie widział.

W końcu udało mu się ją dostrzec: jej spodnie w kolorze khaki i żółta koszula stanowiły idealny kamuflaż na tle wyblakłych pól. Stał jak wryty, a uczucie głębokiej ulgi prawie natychmiast zamieniło się w zawstydzenie. Gretchen odwróciła się do niego i wpatrywała się weń przez chwilę, po czym zarzuciła strzelbę na ramię i uniosła dłoń w geście powitania. Miał nadzieję, że nie widziała, jak biegł.

– Hej, szybko przyjechałeś! – zawołała. Na szyi zawiesiła sobie różowe nauszники ochronne.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. – Zadzwoił do niej zaraz po wyjściu z cmentarza. – Potrzebowałem zobaczyć jakąś przyjazną twarz.

– Jasne. Miło cię widzieć. Mam godzinę, zanim będę musiała pojechać odebrać Lachiego ze szkoły.

Falk rozejrzał się dookoła, dając sobie czas na wyrównanie oddechu.

– Ładnie tutaj.

– Dzięki. Najwyraźniej króliki też tak myślą. Muszę odstrzelić jeszcze kilka, zanim skończę na dziś. Chodź, możesz je dla mnie wypatrywać.

Poszedł za nią w głąb pola, gdzie zostawiła swoją torbę ze sprzętem. Pogrzebała w niej i po chwili podała mu zapasową parę nauszników. Sięgnęła ponownie, tym razem wyjmując naboje. Winchestera. Nie remingtony, które znaleziono przy Hadlerach, odruchowo zanotował Falk. Poczł ulgę, ale natychmiast zawstydzil się, że w ogóle zwrócił na to uwagę. Gretchen załadowała strzelbę.

– Nora jest tam – wskazała, mrużąc oczy w słońcu. – Daj znać, gdy jakiegoś zobaczysz.

Falk założył nauszники i wszystko stało się przytłumione, jakby znalazł się pod wodą. Widział, jak eukaliptusy bezszelestnie poruszały się na wietrze. Za to dźwięki wewnątrz jego głowy nasiliły się: tętno krwi, delikatny stuk zębów.

Patrzył na obszar wokół nory. Przez dłuższą chwilę nic się nie poruszyło, ale w końcu coś drgnęło. Już miał dać znać Gretchen, kiedy ona sama oparła strzelbę o ramię i zmrużyła oko. Wycelowowała i trafiła. Stłumiony dźwięk uderzenia i stado kakadu poderwało się z pobliskiego drzewa.

– Dobrze. Mamy go – powiedziała Gretchen, ściągając nauszники.

Podeszła i nachyliła się nad martwym zwierzęciem, jej szorty przez chwilę wydawały się bardzo opięte. Wyprostowała się i tryumfalnie pomachała bezwładnym martwym szkodnikiem.

– Masz cela – rzekł.

– Chcesz spróbować?

Falk nie miał właściwie ochoty. Nie strzelał do królików, odkąd był nastolatkiem. Ale ona już podawała mu strzelbę, więc tylko wzruszył ramionami.

– W porządku.

Broń była jeszcze ciepła.

– Pamiętasz, jak to się robi? – spytała Gretchen, po czym sięgnęła i założyła mu nauszники.

Jego skóra pulsowała w miejscu, gdzie musnęły ją palce Gretchen. Skierował wzrok

ku norze. Nieopodal krew wsączała się w ziemię. Przypomniało mu to ślad, jaki zostawiło po sobie ciało Billy'ego Hadlera, i przeszedł go zimny dreszcz. Nagle wiedział, że nie chce strzelać. Na polu przed nim coś się poruszyło.

Gretchen stuknęła go w ramię i wskazała kierunek. Nie zareagował. Ponowiła gest.

– Co się dzieje? – Raczej dostrzegł, niż usłyszał jej słowa. – Jest tuż przed tobą.

Opuścił strzelbę i ściągnął nauszники.

– Przepraszam – odpowiedział. – Chyba minęło zbyt wiele czasu.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym pokiwała głową.

– W porządku. – Poklepała go po ramieniu, odbierając od niego broń. – Ale wiesz, że i tak będę musiała je odstrzelić, prawda? Nie mogą mieszkać na mojej ziemi.

Uniosła strzelbę, celowała przez chwilę i wystrzeliła.

Jeszcze zanim znalazła swoją ofiarę, Falk nie miał wątpliwości, że trafiła.

W domu Gretchen sprzątnęła papiery, które leżały na kuchennym stole.

– Rozgość się. Nie zwracaj uwagi na bałagan – powiedziała, stawiając dzbanek wody na wolnym miejscu. – Wypełniałam formularze dla zarządu szkoły, żebyśmy mogli starać się o kolejne dotacje. Zwrócić się do jakichś organizacji charytatywnych. Myślę, że powinniśmy ponownie spróbować z Crossley Trust, mimo że Scott uważa to za stratę czasu. Problem w tym, że zanim ktokolwiek da ci kasę, chce wiedzieć o szkole wszystko.

– Wygląda na to, że czeka cię mnóstwo papierkowej roboty.

– Prawdziwy koszmar, a ja nie jestem w tym dobra, przyznaję. Nigdy wcześniej nikt z rady nie musiał tego robić... – urwała. – Tym właśnie zajmowała się Karen. Więc, sam rozumiesz...

Falk rozejrzał się po kuchni, pomagając Gretchen przenieść papiery na szafkę. Nie był pewien, czego się spodziewał, ale nie wyobrażał sobie, że brak pieniędzy będzie aż tak widoczny. Kuchnia była czysta, lecz szafki i sprzęty najlepsze czasy miały już dawno za sobą.

Na honorowym miejscu wisiała fotografia syna Gretchen. Sięgnął po nią i przesunął palcem po szerokim uśmiechu Lachiego. Przypomniał mu się Billy z nagrania monitoringu, idący za Karen przez parking. I tylko osiemdziesiąt minut życia przed

nim... Falk odłożył zdjęcie.

– Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale czy Karen kiedykolwiek wspominała o mnie? – zapytał, a Gretchen spojrzała na niego zaskoczona.

– O tobie? Nie sądzę. Ale raczej ze sobą nie rozmawialiśmy. Czemu pytasz? Czy ona w ogóle cię znała?

Falk wzruszył ramionami, zastanawiając się po raz tysięczny, co oznaczał zapisany na kwicie numer jego telefonu.

– Nie wydaje mi się. Zastanawiałem się po prostu, czy moje imię pojawiało się w ogóle.

Gretchen przyglądała mu się badawczo, jej jasne oczy nawet nie mrugnęły.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale, jak już mówiłam, nie znałam Karen zbyt dobrze. – Wzruszyła ramionami, jakby chciała w ten sposób zakończyć temat. Nastąpiła niezręczna chwila ciszy, w której słychać było jedynie lód uderzający o szklanekę, kiedy nalewała wody dla nich obojga. – Zdrowie – powiedziała, unosząc swoją szklanekę. – Nie zawsze, ale czasem to jest lepsze od wina.

Falk patrzył na mikroruchy mięśni jej gardła, kiedy pociągnęła długi łyk.

– Jak wam idzie śledztwo? – zapytała.

– Wygląda na to, że Jamie Sullivan jest poza podejrzeniami.

– Naprawdę? To dobrze, prawda?

– Dobrze dla niego. Nie jestem pewien, czy to posuwa całą sprawę naprzód.

Gretchen przekrzywiła głowę niczym ptak.

– Ale ty zostaniesz, dopóki nie rozwiążecie tej sprawy?

Aaron wzruszył ramionami.

– Jeśli to będzie szło w tym tempie, to szczerze wątpię. W przyszłym tygodniu muszę wrócić do pracy... – Zamilkł. – Wpadłem dziś na Mala Deacona. – I opowiedział jej całe zajście na cmentarzu.

– Nie daj mu zajść sobie za skórę. Ten człowiek zwariował. – Gretchen sięgnęła przez stół, żeby dotknąć jego ręki. – Dwadzieścia lat minęło, a on nadal próbuje zwalić na ciebie to, co się stało jego córce. Nigdy nie dotarło do niego, że byliście wtedy z Lukiem razem.

– Gretchen, słuchaj...

– Jeśli ktoś ponosi za to winę, to tylko i wyłącznie Mal Deacon – kontynuowała Gretchen. – To jego wina, że Ellie była nieszczęśliwa, jego wina, że wolała się utopić. Przez te wszystkie lata brakowało mu kogoś, na kogo mógłby zwalić winę.

– Naprawdę nigdy nie miałaś wątpliwości, że to było samobójstwo?

– Nie, oczywiście, że nie. Czemu miałabym w to wątpić?

– Po prostu się pytam. Pamiętam, że Ellie zachowywała się pod koniec życia dziwnie, była jeszcze bardziej zamknięta w sobie. I nie ma wątpliwości, że życie z Deaconem musiało być koszmarem. Ale nigdy nie podejrzewałem, że była aż tak zdesperowana. Z pewnością nie na tyle, żeby się zabić.

Gretchen zaśmiała się sucho.

– Boże, wy, chłopcy, potraficie być tacy ślepi... Ellie Deacon była w opłakanym stanie.

Pod koniec lekcji Ellie wrzuciła do plecaka podręcznik do matematyki. Wcześniej odruchowo zaczęła przepisywać zadanie z tablicy, ale zamarła z piórem w powietrzu. Jaki to miało sens? Zastanawiała się, czy w ogóle przychodzić tego dnia do szkoły, ale niechętnie zdecydowała, że jednak trzeba. Nie chciała w żaden sposób ściągać na siebie uwagi. Nie potrzebowała tego. Lepiej było zachowywać się jak zawsze. Nie wychylać się i mieć nadzieję – jeśli nie na lepsze, to przynajmniej nie na gorsze.

Na korytarzu grupa chłopców podawała sobie z rąk do rąk przenośne radio, przysłuchując się transmisji meczu krykieta. Australia kontra Południowa Afryka. Wiwatowali. Piątkowe popołudnie, do tego wszystko szło dobrze. Dla nich weekend już się rozpoczął.

Ellie zastanawiała się, kiedy ostatnio tak się czuła. Szczerze mówiąc, nie mogła sobie przypomnieć... Dni powszednie były złe, ale weekendy jeszcze gorsze. Ciągnęły się w nieskończoność.

Ten weekend miał być jednak inny. Hołubiąc tę myśl w sercu, wyszła na korytarz. Po tym weekendzie wszystko się zmieni. Koniec był jasno wyznaczony.

Pograżona w myślach Ellie aż podskoczyła, kiedy ktoś złapał ją za ramię.

– Co masz na myśli? – zapytał Falk.

– Wiesz dobrze, co mam na myśli, Aaron. Byłeś tam. Widziałeś dokładnie to samo, co ja. Jak dziwnie zachowywała się podczas tych ostatnich tygodni. Niemal nie spędzała już czasu z nikim z nas. Prawie się nie pokazywała. Albo cały czas pracowała w tym zasranym sklepie, albo... sama nie wiem co. Chodzi o to, że nie spotykała się z nami. I zupełnie przestała pić, pamiętasz? Powiedziała, że chce schudnąć, ale biorąc pod uwagę to, co się później wydarzyło, brzmi to jak kompletna bzdura.

Falk powoli pokiwał głową. Pamiętał to. Był zaskoczony, ponieważ Ellie wydawała się z nich wszystkich najbardziej rozsmakowana w alkoholu. Co nikogo nie dziwiło, znając jej historię rodzinną...

– Jak myślisz, dlaczego przestała?

Gretchen smutno wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może nie ufała sobie po alkoholu. Nie była pewna, co może zrobić. I choć niechętnie to przyznaję, to Luke miał rację tamtego wieczoru, kiedy wybuchła ta awantura nad przepaścią.

– O czym ty mówisz?

– Nie chodzi mi o to, że to w porządku, że nas nabrał – wyjaśniła pospiesznie. – To było podłe. Ale Luke powiedział, że Ellie przestała znać się na żartach. Nie powinien był tego mówić, a jednak to była prawda... Nie musiała się śmiać z tego jego głupiego wyczynu, oczywiście, ale czy śmiała się wtedy z czegokolwiek? Cały czas była trzeźwa, poważna i znikąca gdzieś sama. Przecież też to pamiętasz.

Falk milczał. Pamiętał dobrze.

– I sędzę... – Gretchen urwała.

– Co sądzisz?

– Sędzę, a jeśli mamy być ze sobą szczerzy, to ty też pewnie od dawna podejrzewasz, że Ellie Deacon była molestowana...

Ellie wyszarpała rękę z uścisku Luke'a i potarła ślad. Nie zwrócił na to uwagi.

– Gdzie się spieszysz? Chcesz wyskoczyć do miasteczka na colę? – Głos Luke'a brzmiał przesadnie zwyczajnie.

Ellie straciła już rachubę, ileż to już razy od czasu kłótni nad urwiskiem próbował zaaranżować spotkanie z nią sam na sam. Jak do tej pory zawsze go zbywała. Podejrzewała, że może chce ją przeprosić, lecz nie miała siły ani chęci, żeby się o tym przekonać. Taki właśnie był Luke, pomyślała. Musisz wyjść mu naprzeciw, nawet po to, żeby cię przeprosił. Nawet jeśli nie byłaby na niego nadal zła, to ten dzień i tak nie okazałby się dla niego szczęśliwszy od poprzednich.

– Nie mogę. Nie dziś.

Celowo nie przeprosiła. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna jednak pogodzić się z nim, przez wzgląd na dawne czasy. Znali się przecież od lat. Mieli wspólną historię. Ale Luke przybrał obrażoną minę i Ellie nabrała pewności, że nie warto. W życiu Ellie Deacon było wystarczająco wielu mężczyzn, którzy brali więcej, niż jej dawali. Nie potrzebowała kolejnego. Obróciła się na pięcie. Lepiej o tym zapomnieć. Luke Hadler był, jaki był, i to nie miało się kiedykolwiek zmienić.



Falk spuścił wzrok, kiedy poczucie winy i żal wezbrały w jego piersi. Gretchen dotknęła jego ramienia.

– Wiem, że niełatwo to przyznać – wyznała. – Ale oznaki nie pozostawiały wątpliwości. Byliśmy po prostu za młodzi i zbyt skoncentrowani na sobie, żeby je dostrzec.

– Dlaczego nic nam nie powiedziała? – zapytał Falk.

– Może się bała, a może wstydziła.

– A może czuła, że nikogo to nie obchodzi.

Gretchen popatrzyła na niego.

– Wiedziała, że tobie na niej zależy, Aaron. Dlatego wołała ciebie od Luke’a.

Potrząsnął głową, ale ona potaknęła.

– To prawda. Byłeś rozsądny. Mogła na tobie polegać. Ty byś ją wysłuchał, gdyby chciała się zwierzyć. Jasne, Luke był bardziej przebojowy i wygadany niż ty. Ale nie zawsze o to chodzi. Luke był gwiazdą, zgadza się, ale większość ludzi nie lubi być na marginesie swojego własnego życia. Z tobą jest inaczej. Tobie od zawsze bardziej zależało na innych niż na sobie samym. Gdyby tak nie było, dawno wyjechałbyś z Kiewarry.

– Hej, Ellie.

Była już w połowie korytarza, nadal czując spojrzenie Luke’a na swoim karku, kiedy usłyszała głos dobiegający z pustej klasy. W środku Aaron Falk pakował opisane doniczki z roślinami do kartonowego pudła. Uśmiechnęła się sama do siebie i weszła do środka.

– Jak ci poszła prezentacja? Znów byłeś najlepszy? – zapytała, wsuwając do pudła liść paprotki, który zdołał się wymknąć.

Aaron skromnie wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Było w porządku. Rośliny nie są w zasadzie moją mocną stroną.

Ellie wiedziała, że choć nigdy by tego nie przyznał, i w tym zamierzał dojść do perfekcji. W kwestiach nauki wystarczyło, że Aaron zaledwie kiwnął palcem. Ona również przez ostatni rok co najwyżej kiwała palcem, jednak z zupełnie innym skutkiem... Nauczyciele postawili na niej kreskę już jakiś czas temu.

Aaron zamknął pudło i niezręcznie podniósł je, balansując nim na długich rękach.

– Nie będzie łatwo donieść to do domu. Może mogłabyś mi pomóc? Na końcu drogi czeka cola.

On również siłił się na zwykły ton, ale przy tym lekko się zaczerwienił i spuścił wzrok. Wszystko było trochę dziwne od czasu ich pocałunku pod skalnym drzewem. Awantura nad przepaścią nie pomogła. Ellie poczuła potrzebę wyjaśnienia wszystkiego, ale nie znajdowała słów. Chciała ująć jego twarz w dłonie i powiedzieć mu, że zrobił wszystko, co było w jego mocy.

Czekał cierpliwie, a ona wahała się. Mogła z nim pójść. To nie zajęłoby dużo czasu. Ale nie, przykazała sobie zdecydowanie. Podjęła już decyzję. Miała być gdzieś indziej.

– Nie mogę. Przepraszam – powiedziała szczerze.

– Nic nie szkodzi.

Uśmiech na jego twarzy był autentyczny, a ona poczuła napływający żal. Aaron był jednym z tych dobrych chłopaków. Przy nim czuła się bezpieczna.

Powinnaś mu powiedzieć, zaświtało jej w głowie. Potrząsnęła głową. Nie. Nie mogła mu powiedzieć. Postąpiłaby głupio. Było już na to za późno. Próbowałby ją powstrzymać. Ale kiedy spojrzała w jego otwartą twarz i poczuła, jak cała skręca się z samotności, przyszło jej na myśl, że może jednak tego chce.

– Biedna Ellie – rzekł Falk. – Chryste, przecież byliśmy jej przyjaciółmi, a wszyscy ją zawiedliśmy.

Gretchen spojrzała na swoje dłonie.

– Wiem. Też czuję się winna z tego powodu. Ale nie zamartwiaj się. Inni także musieli to dostrzec, lecz woleli udąć, że nic nie widzą. Byłeś jeszcze dzieckiem. Zrobiłeś, co mogłeś. Bo ty zawsze byłeś dla niej dobry.

– Może niewystarczająco. Cokolwiek to było, przez co przechodziła, to się działo tuż pod naszym nosem, a my ledwo zwróciliśmy na to uwagę, jeśli w ogóle.

W kuchni było cicho i spokojnie i Falk poczuł, że najchętniej zostałby tu na zawsze. Gretchen położyła swoją ciepłą dłoń na jego ręce.

– To jedna z tych ciężkich lekcji, jakie daje życie. Dużo się wtedy działo. Nie tylko z powodu Luke'a.

Ellie spojrzała na Aarona, który ponownie się do niej uśmiechnął. Powiedz mu, odezwał się cichy głos w jej głowie, ale natychmiast go stłumiła. Przestań. Wszystko postanowione. Nikomu nie powie.

– Muszę już iść – rzekła.

Ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się. Myśl o tym, co miało się zdarzyć, obezwładniła ją. Zanim dotarło do niej, co zamierzała zrobić, podeszła do niego, oparła się o pudło z kwiatami i pocałowała Aarona delikatnie w usta. Były ciepłe i spierzchnięte. Odsunęła się pospiesznie, boleśnie uderzając biodrem o ławkę.

– Dobra. To do zobaczenia.

Obracając się do drzwi, Ellie niemal podskoczyła, przerażona. Były otwarte, a o ich framugę opierał się Luke i patrzył na nich bez słowa. Wyraz jego twarzy był nieprzenikniony. Ellie wzięła głęboki oddech i zmusiła się do uśmiechu.

– Do zobaczenia, Luke – powiedziała, przeciskając się koło niego.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

## Rozdział 30

Falk siedział na łóżku, a przed nim leżały rozłożone dokumenty Hadlerów. W pubie poniżej panowała cisza. Ostatni klienci wyszli kilka godzin wcześniej. Falk wpatrywał się w swoje notatki dotyczące sprawy. Rysował strzałki, łączył ze sobą różne aspekty, aż stworzył gęstą sieć z kilkoma martwymi punktami. Sięgnął po czystą kartkę i spróbował od nowa. Rezultat był taki sam. Wziął do ręki komórkę i wykonał telefon.

– Sądzę, że Ellie Deacon była wykorzystywana przez swojego ojca – oznajmił do słuchawki, kiedy Raco odebrał.

– O co chodzi? Zaczekaj – odpowiedział mu zaspany głos.

Falk słyszał dźwięki stłumionej rozmowy między mężem i żoną. Spojrzał na zegarek. Było później, niż sądził. Minęła minuta, zanim Raco odezwał się ponownie. – Jesteś tam jeszcze?

– Przepraszam, nie zauważyłem, która godzina.

– Nie szkodzi. Co mówiłeś o Ellie?

– Coś wypłynęło dzisiaj podczas mojej rozmowy z Gretchen. O tym, że Ellie była nieszczęśliwa. Nie tak zwyczajnie smutna, ale wręcz zdesperowana. Jestem pewien, że Mal Deacon stosował wobec niej przemoc.

– Bił ją? Molestował?

– Nie wiem. Możliwe, że jedno i drugie.

– Jasne – odparł Raco.

Cisza.

– Deacon nie ma alibi na popołudnie, kiedy Hadlerowie zostali zabici.

Po drugiej stronie Raco westchnął ciężko.

– Stary, on ma ponad siedemdziesiąt lat i problemy z głową. Może i jest sukinsynem, ale trzęsącym się ze starości.

– No i co z tego? Nadal jest w stanie utrzymać strzelbę.

– To z tego – odciął się Raco – że według mnie postrzegasz go przez pryzmat nienawiści za to, co ci się przytrafiło dwadzieścia lat temu. – Falk nic mu na to nie odpowiedział. – Przepraszam – zreflektował się po chwili Raco i ziewnął. – Jestem zmęczony. Porozmawiajmy jutro. Rita cię pozdrawia.

– Ja ją również. I przepraszam. Dobranoc.

Falkowi wydawało się, że minęło zaledwie dziesięć minut, kiedy telefon stacjonarny obudził go swoim piskliwym dzwonieniem. Otworzył oczy. Było dopiero po siódmej. Leżał z ręką na twarzy, próbując zmusić się do reakcji. Zdaje się, że przeglądał swoje notatki, aż zasnął niespokojnym, przerywanym snem i teraz w głowie mu dudniło. Nie będąc w stanie znieść dłużej tego hałasu, zebrał odrobinę energii i podniósł słuchawkę.

– Jezu, no wreszcie – powiedział McMurdo. – Obudziłem cię?

– Tak.

– To nieważne, przyjacielu. Słuchaj, musisz zejść tu natychmiast.

– Nie jestem ubrany...

– Wierz mi, to konieczne. Spotkamy się z tyłu pubu. I pomogę ci, jak tylko będę mógł.

Samochód Falka był cały w gównie. Grube smugi pokrywały karoserię, ściekając w kałuże koło kół i wokół wycieraczek. Maź zdążyła już podeschnąć w promieniach porannego słońca i zasklepić się w słowach wydrapanych w lakierze. DOPADNIEMY CIĘ.

Falk musiał naciągnąć koszulę na nos, zanim mógł się zbliżyć. Zapach niemal materializował się w jego ustach. Muchy wpadły w szal i odganiał je z obrzydzeniem, kiedy obsiadały mu twarz i włosy.

Wnętrze prezentowało się znacznie gorzej. Prawdopodobnie gumowy wąż został wetknięty w niewielką szparę uchylonego okna, którą Falk zwykł zostawiać, aby

gorące powietrze mogło się nocą wydostać. Odrażający szlam pokrywał całą kierownicę oraz radio i zbierał się w zagłębieniach foteli i na podłodze, tworząc mętne kałuże. Żaden inny samochód na parkingu nie został zdemolowany. McMurdo stał z boku, przyciskając ramię do nosa i ust. Potrząsnął głową.

– Jasna cholera, stary. Bardzo mi przykro. Zauważyłem to, kiedy wynosiłem puste beczki po piwie. Musieli zrobić to w nocy... – urwał. – Na szczęście to zwierzęce... Przynajmniej w większości...

Nie odrywając koszuli od nosa, Falk okrążył auto w milczeniu. Jego biedne auto. Najpierw porysowane, teraz ostatecznie zniszczone. Poczł, jak wzbierała w nim złość. Zajrzał przez umazane okno, wstrzymując oddech. W środku było coś jeszcze. Cofnął się, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Do siedzeń przyklejono usmarowane gównem setki ulotek z prośbą o informacje w sprawie śmierci Ellie Deacon.

Na komisariacie panował ponury nastrój.

– Stary, zamierzam udzielić Dowowi i jego wujowi surowego napomnienia – powiedział Raco, zanim sięgnął po dzwoniący telefon. – Wiesz chociaż, ile był wart twój samochód? Może mógłbyś dostać jakieś odszkodowanie.

Falk wzruszył ramionami rozkojarzony, siadając przy biurku i wbijając pusty wzrok w akta Hadlerów. Po drugiej stronie pokoju Raco właśnie odkładał słuchawkę. Ukrył twarz w dłoniach.

– Wygląda na to, że Deacon zdecydował się uderzyć pierwszy. Zamierza złożyć skargę. Na ciebie.

– Doprawdy? – Falk założył ręce i wyjrzał przez okno. – Ale to mój samochód jest cały w gównie.

– Mówi, że go nękaś. Że naruszyłeś grób jego córki, czy coś w tym stylu. Zjawi się z adwokatem.

– Jasne.

– Muszę zapytać, czy...

– Nic takiego nie zrobiłem, ale nie było żadnych świadków. Czyli jego słowo przeciwko mojemu. A ja mam w tym swój interes, więc...

– Nie martwi cię to, stary? To poważna sprawa. Ja przyjmuję to zgłoszenie, ale ono

pójdzie dalej. Twoja kariera może ucierpieć.

Falk spojrzał na niego.

– Oczywiście, że mnie martwi, ale to właśnie jest cały Deacon, prawda? – Głos Falka był tak cichy, że Raco musiał się nachylić, żeby go usłyszeć. – Zostawia za sobą jedynie zniszczenie i nieszczęście. Bił żonę, córkę pewnie też. Trzymał to miasteczko w garści i dzięki temu wygnał stąd mnie i mojego ojca. Nie wiemy tylko, co jego bratanek zrobił Karen Hadler, że zapisała sobie jego imię niedługo przed śmiercią. Ci dwaj są w tym wszystkim po uszy. Ale nikt nigdy nie wyciągnął wobec nich żadnych konsekwencji.

– Co proponujesz?

– Nie wiem. Mówię tylko, że Deacon zasługuje na to, żeby go powiesić za jaja. Dopaść go za akt wandalizmu to dla niego za mało. Jest winny czegoś zdecydowanie poważniejszego. Śmierci Hadlerów, śmierci swojej córki. Czegoś takiego. Jestem tego pewien.

Dobiegł ich dźwięk otwieranych drzwi komisariatu. Deacon i jego prawnik byli już na miejscu.

– Stary, posłuchaj mnie uważnie – powiedział Raco. – Nie wiesz tego. Jeśli zostaniesz przyłapany na opowiadaniu takich historii poza posterunkiem, oskarżenie o nękanie okaże się uzasadnione, więc trzymaj język za zębami. Nic nie łączy Deacona ze śmiercią Hadlerów, obojętnie jak bardzo byś tego chciał.

– Zapytaj go.

– Masz kłapki na oczach, to niebezpieczne.

– Po prostu go zapytaj.

Adwokatem Deacona była młoda kobieta, pełna pasji do bronięcia praw swojego klienta. Raco cierpliwie śledził jej słowa, prowadząc ich do sali przesłuchań. Falk odprowadził całą trójkę wzrokiem i opadł zniechęcony na krzesło. Deborah wyszła ze swojego stanowiska i podeszła do niego z butelką zimnej wody.

– Ciężko się tutaj siedzi, kiedy Mał Deacon jest w pokoju obok.

– Tak – odparł Falk. – Procedury... Działają na twoją korzyść dopóty, dopóki ktoś nie uruchomi ich przeciwko tobie.

– Wiesz, czego ci trzeba? Musisz się czymś zająć, żeby nie czekać. – Skinęła głową w kierunku korytarza. – Przydałoby się posprzątać w schowku.

Falk spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie sędzę, żebym...

Deborah rzuciła mu znaczące spojrzenie zza okularów.

– Chodź za mną.

Otworzyła drzwi i wprowadziła go do środka. W pomieszczeniu czuć było stęchlizną, a na półkach zalegały sterty papierów i materiałów biurowych. Przyłożyła palec do ust, a następnie do ucha. Przez otwór wentylacyjny nad półkami Falk usłyszał głosy. Mimo że były stłumione, bez problemu można je było rozróżnić:

– Dla celów nagrania: ja jestem sierżant Raco, obecny jest również posterunkowy Barnes. Proszę się przedstawić.

– Cecilia Targus – głos prawniczki doleciał przez wentylację.

– Malcolm Deacon.

W schowku Falk wpatrywał się w Deborah.

– To musi zostać naprawione – wyszeptał, a ona posłała mu ledwo dostrzegalne mrugnięcie.

– Wiem, ale to już nie dziś.

Zamknęła za sobą drzwi, a Falk usiadł na pudle i zaczął się przysłuchiwać.

Prawniczka Deacona próbowała zacząć.

– Mój klient... – urwała.

Falk oczyma wyobraźni widział, jak Raco unosi dłoń, aby ją uciszyć.

– Dała nam pani pisemną wersję skargi złożonej przeciwko agentowi federalnemu Falkowi, dziękuję. Jak zapewne zdaje sobie pani sprawę, nie jest on tutaj służbowo i nie jest członkiem tutejszej policji. Skarga zostanie więc przekazana odpowiedniemu oficerowi w jego jednostce.

– Mój klient chce otrzymać zapewnienie, że zostanie zostawiony w spokoju i...

– Obawiam się, że nie mogę udzielić tego rodzaju zapewnienia.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ pani klient mieszka w najbliższym sąsiedztwie farmy, na której zastrzelono niedawno trzy osoby, a do tej pory nie przedstawił jeszcze alibi na ten czas

– odrzekł Raco. – Jest również podejrzany o dokonanie aktu wandalizmu zeszłej nocy. Dojdziemy do tego później...

Zapadła cisza.

– W związku ze śmiercią trzech członków rodziny Hadlerów pan Deacon nie ma nic do powiedzenia...

Tym razem prawniczce przerwał jej klient:

– Gównu miałem wspólnego z tą strzelaniną. I możecie to sobie nagrać – wypalił.

Cecilia Targus wciąła się ostro.

– Panie Deacon, radzę panu...

– Och, zamknij się, skarbie, jasne? – Ton Deacona był jadowity. – Nie masz pojęcia, jak to tutaj wygląda. Ci goście zrzucą to na mnie w sekundę, jeśli dam im chociażby cień szansy, a ja nie zamierzam dać się przymknąć.

– Niemniej jednak pański bratanek prosił mnie, żebym udzieliła panu wsparcia prawnego...

– W czym problem? Cycki sprawiają, że jesteś nie tylko głupia, ale i głucha?

Zapadła długa cisza.

Falk uśmiechnął się wbrew sobie. Nie ma to jak stara dobra mizoginia, przez którą miejscowy burak odrzuca dobrą radę. Cóż, Deacon nie może twierdzić, że go nie ostrzeżono...

– Proszę, opowiedz nam jeszcze raz o tamtym dniu, Mal. – Głos Raca był spokojny, ale stanowczy.

Falk pomyślał, że sierżant ma przed sobą świetlaną przyszłość – o ile tylko ta sprawa nie zabije jego entuzjazmu.

– Nie ma co opowiadać. Byłem koło domu i naprawiałem płot, kiedy zobaczyłem pikap Luka Hadlera wjeżdżający na podjazd przed jego domem.

Głos Deacona zdradzał zaniepokojenie, jakiego Falk nigdy u niego nie słyszał, ale jego słowa brzmiały, jakby się wyuczył ich na pamięć.

– Hadler cały czas wyjeżdża i odjeżdża, więc nie zwracam na to uwagi – kontynuował Mal. – Po chwili usłyszałem strzał dochodzący z jego farmy. Wszedłem do domu. Chwilę później rozległ się kolejny.

– Zareagowałeś jakoś?



– Niby jak? To przecież cholerna farma. Codziennie coś się odstrzeliwuje. Skąd miałem wiedzieć, że tym razem była to kobieta i dziecko?

Falk wyobraził sobie, że Deacon wzrusza ramionami.

– Jak już mówiłem, nie zwróciłem na to uwagi, bo rozmawiałem przez telefon.

Nastąpiła pełna zdumienia cisza.

– Co?

Falk usłyszał echo własnego niedowierzania w tonie Raca. We wcześniejszym zeznaniu Deacona nie było mowy o żadnym telefonie. Falk znał je prawie na pamięć.

– Co? – powtórzył Deacon, nie rozumiejąc, o co chodzi. – Odebrałeś telefon? Między wystrzałami?

– No tak – odparł Deacon. – Przecież ci mówiłem. – Jego głos brzmiał jednak inaczej, nie było w nim już takiej pewności.

– Nie, nic takiego mi nie mówiłeś – powiedział Raco. – Zeznałeś, że wszedłeś do domu i wtedy usłyszałeś drugi strzał.

– Tak, wszedłem do domu, p o n i e w a ż zadzwonił telefon – odrzekł Deacon, wahając się. Mówił teraz wolniej, a przy ostatnim słowie odrobinę się zająknął. – To ta lalunia z apteki zadzwoniła. Powiedziała, że moja recepta jest gotowa.

– Rozmawiałeś przez telefon z ekspedientką z apteki, kiedy usłyszałeś drugi wystrzał? – zapytał Raco, nie ukrywając niedowierzania.

– Tak – potwierdził Deacon, choć słychać było, że wcale nie jest tego pewien. – Tak było. Właśnie tak. Bo ona zapytała, co to za huk, a ja powiedziałem, że to nic takiego, życie na farmie.

– Rozmawiałeś przez komórkę.

– Nie, przez stacjonarny. Na farmie jest chujowy zasięg.

Znów cisza.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wcześniej? – zapytał Raco.

Kiedy Deacon odezwał się po dłuższej chwili, brzmiał jak mały chłopiec.

– Nie wiem.

Ale Falk wiedział. Demencja. Oparł głowę o chłodny mur schowka. W środku miotła nim frustracja. Przez wentylację dobiegło go ciche kasznięcie. Adwokatka odezwała się bardzo zadowolona.

– To tyle w tej sprawie.

## Rozdział 31

Raco przesłuchiwał Deacona przez kolejne dwadzieścia minut, wypytując go o samochód Falka. To była stracona sprawa. W końcu pozwolił mu odejść, surowo go napomniawszy.

Falk wziął kluczyki do wozu policyjnego i poczekał za komisariatem, dopóki Deacon nie odjedzie. Dał mu kolejne pięć minut i powoli ruszył w stronę jego farmy. Wzdłuż drogi znaki ostrzegające przed zagrożeniem pożarowym informowały, że nadal było ono skrajne.

Falk skręcił przy wyblakłym drogowskazie prowadzącym do miejsca ambitnie nazwanego „Posiadłością Deacona” i dalej toczył się po żwirowej drodze. Kilka obszarpanych owiec z nadzieją podniosło łby, kiedy przejeżdżał obok.

Farma znajdowała się wysoko na wzgórzu i roztaczał się z niej zapierający dech w piersiach widok na okolicę. Po prawej stronie Falk wyraźnie widział gospodarstwo Hadlerów, usytuowane w pewnej odległości w płytkiej dolinie. Z tej wysokości sznury na pranie przypominały pajęczynę, a ławki ogrodowe – mebelki dla lalek. Dwadzieścia lat wcześniej uwielbiał ten widok i zachwycał się nim podczas rzadkich odwiedzin w domu Ellie. Teraz nie mógł go znieść.

Falk zatrzymał samochód przed rozpadającą się stodołą w momencie, kiedy Deacon zamykał swoje auto. Ręce mężczyzny trzęsły się i upuścił kluczyki na drogę. Falk z założonymi rękami patrzył, jak starszy człowiek schyla się powoli, aby je odzyskać. Pies Deacona podbiegł do pana i wyszczerzył zęby na Falka. Deacon spojrzął do góry. Przynajmniej ten jeden raz zwyczajowo malująca się na jego twarzy agresja ustąpiła

miejsca czemuś innemu. Wyglądał na zmęczonego i skołowanego.

– Dopiero co wróciłem z komisariatu – powiedział, choć nadal niepewnie.

– Tak, wiem.

– To czego chcesz? – Deacon wyprostował się, jak tylko mógł. – Zamierzasz przywalić staruszkowi, kiedy nikt nie patrzy? Jesteś prawdziwym tchórzem.

– Nie zamierzam zmarnować uderzenia, które zakończy moją karierę, na ciebie – odparł Falk.

– To czego chcesz?

To było dobre pytanie. Falk spojrzał na Deacona. Przez dwie dekady jego obraz w głowie Falka stał się wyolbrzymiony. Zamienił się w postrach, upiora na uczcie, potwora spod łóżka. Stojąc przed nim, Falk nadal czuł smak swojego gniewu, ale rozrzedzony przez coś innego. Nie litość, zdecydowanie nie przez litość.

Falk zrozumiał, że czuje się oszukany. Za długo zwlekał, żeby rozprawić się z przeciwnikiem, który skurczył się i postarzał do tego stopnia, że walka między nimi nie mogła być równa. Falk zrobił krok do przodu i w oczach Deacona na sekundę odmalował się strach. Falk powstydział się tego i przystanął. Co on tutaj robi?

Spojrzał Deaconowi prosto w oczy.

– Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią twojej córki.

– Gówno prawda. To twoje nazwisko było na tamtej kartce. A twoje alibi jest wyssane z palca. – Jego słowa po raz kolejny brzmiały pusto, niczym wyuczona na pamięć wyliczanka. Falk nie zamierzał tego słuchać.

– Skąd wiesz, Deacon? Powiedz mi. Dlaczego zawsze byłeś taki pewny, że nie byłem razem z Lukiem Hadlerem? Bo wygląda na to, że wiesz dużo więcej o dniu śmierci swojej córki, niż chcesz przyznać.

Kiedy Mał Deacon wszedł do domu, w powietrzu nie wyczuł zapachu obiadu, co wprawiło go w zły nastrój. W salonie jego bratanek leżał na starej, brązowej kanapie – jego oczy były zamknięte, a na brzuchu postawił sobie puszkę piwa. Z radia dobiegał krykiet. Kangury prowadziły w meczu z Południową Afryką.

Deacon zrzucił nogi bratanek z kanapy, na co ten otworzył jedno oko.

– Nie ma jeszcze nic do zjedzenia? – zapytał Deacon.

– Ellie nie wróciła ze szkoły.

– Nie mogłeś zacząć czegoś robić, ty leniwy draniu? Cały dzień siedziałem z owcami i mam tego

powyżej uszu.

Grant wzruszył ramionami.

– To robota Ellie.

Deacon mruknął, ale taka była prawda. To był obowiązek Ellie. Sięgnął po piwo z sześciopaka, który przyniósł sobie Grant, i ruszył w głąb domu.

W sypialni jego córki panowała sterylna czystość. Było to miejsce, które niemal odcinało się od chaosu panującego w reszcie domu. Deacon stanął w drzwiach i pociągnął łyk piwa z puszki. Rozglądał się po pokoju, ale nie wchodził do środka. Stojąc na progu nieskazitelnego pomieszczenia, odniósł nieprzyjemne wrażenie, że coś tu było nie tak. Niczym oczko w pończosze, pęknięcie na chodniku. Wszystko wyglądało doskonale, ale nie była to prawda.

Jego wzrok spoczął na białej ramie łóżka. Zmarszczył brew. W drewnie widniało niewielkie, okrągłe zagłębienie, a farba w tym miejscu złuszczyła się i odpadła. Poniżej w różowym dywanie odcisnięte było kółko dwa odcienie ciemniejsze. Ledwo widoczne, ale jednak.

Deacon poczuł zimno w żołądku, jakby coś w nim wzbierało. Stał i patrzył na pokój, na zagłębienie w ramie łóżka i na plamę na dywanie i czuł, jak alkohol zaczyna roznosić po jego ciele pierwsze oznaki gniewu. Jego córka powinna być w domu, ale jej nie było. Ścisnął puszkę w dłoni, czekając, aż jej chłód go uspokoi.

Później powie policjantom, że to był moment, w którym poczuł, że coś jest naprawdę niedobrze.

Falk uważnie przyglądał się ojcu Ellie.

– Może i masz czyste ręce w sprawie Hadlerów – powiedział. – Ale wiesz coś o tym, co spotkało twoją córkę.

– Uważaj, co mówisz – głos Deacona był cichy i napięty niczym ściśnięta sprężyna.

– Czy dlatego zawsze tak starałeś się obarczyć mnie winą za śmierć Ellie? Jeśli nie ma winnych pod ręką, ludzie zaczynają się rozglądać wokół. Kto wie, czego by się doszukali, gdyby to tobie przyjrzeni się wystarczająco blisko. Zaniedbanie? Molestowanie?

Starzec zamachnął się na Falka z zadziwiającą siłą, a ponieważ zrobił to zniechęca, udało mu się powalić go na ziemię. Brudna dłoń Deacona uderzyła go w twarz. Pies zaczął go okręzać, ujadając wściekle.

– Wypatroszę cię! – wrzeszczał Deacon. – Jeszcze jedno takie słowo, a wybebeszę cię jak zwierzę. Kochałem ją. Słyszysz? Kochałem tę dziewczynę.

Luke Hadler miał serce w gardle. Zamarł z jedną ręką na radiodbiorniku, kiedy drużyna Południowej Afryki niemal zdobyła bramkę. Panika jednak szybko została zażegnana dzięki zmianie zawodnika wybijającego piłkę, więc wyłączył radio.

Obficie spryskał się dezodorantem po gołej klatce piersiowej i otworzył szafę na oścież. Odruchowo

sięgnął po szarą koszulę, którą ona kiedyś pochwaliła. Luke przejrzał się w lustrze i wyszczerzył zęby w uśmiechu, zapinając koszulę. Podobało mu się to, co widział, ale z doświadczenia wiedział, że to jeszcze nic nie znaczy. Trzeba by umieć czytać w myślach, żeby wiedzieć, co się działo w głowie dziewczyny.

Chociażby to, co się wydarzyło tego dnia. Przed oczami stanął mu obraz Ellie przyciskającej swoje zmysłowe usta do ust Aarona i jego odbicie w lustrze skrzywiło się. Czy to był ich pierwszy raz? Coś mu mówiło, że nie. Luke poczuł gwałtowny napad czegoś na kształt zazdrości i potrząsnął głową, aby odpędzić to uczucie. Co go to obchodzi? Nic. Ale naprawdę Ellie Deacon potrafiła być czasem wredną, małą suką. Olała go i natychmiast poleciała do Aarona. Nie żeby mu to przeszkadzało, ale wystarczyło spojrzeć obiektywnie na tę sytuację, żeby zrozumieć, że coś było bardzo nie tak.

Długie palce Deacona boleśnie wbiły się w policzek Falka, który złapał go za nadgarstek i odepchnął. Starszy mężczyzna przewrócił się, co Falk wykorzystał, żeby się podnieść i odsunąć. Całe zajście trwało zaledwie kilka sekund, ale obaj ciężko dyszeli od adrenaliny. Deacon spojrzał na niego, w kącikach ust bielila mu się ślina.

Falk nachylił się nad nim, nie zwracając uwagi na obnażone zęby psa. Stał nad starym, chorym, leżącym na ziemi człowiekiem. Później będzie miał o to do siebie pretensje, ale w tym momencie nic go to nie obchodziło.

Kiedy Aaron dotarł do domu, ręce bolały go od niesienia pudła z roślinami, ale uśmiech nie schodził z jego twarzy. Jego dobry nastrój mąciło jedynie, choć nieznacznie, poczucie, że powinien był pójść za Ellie. Pewnie tak by postąpił Luke. Podtrzymał rozmowę i w końcu namówił ją na tę colę.

Zmarszczył brwi, kładąc pudło na ganku. Ellie uśmiechnęła się do Luke'a, wychodząc z klasy. Niemal ze sobą nie rozmawiali, a ona i tak się do niego uśmiechnęła?

Aaron był przygotowany na to, że po odejściu Ellie Luke będzie mu dokuczał i robił niesmaczne komentarze, ale ten na szczęście ograniczył się jedynie do uniesienia brwi.

– Uważaj z nią – tylko tyle powiedział.

Aaron zaproponował, żeby poszli razem na główną ulicę i spędzili trochę czasu razem, ale Luke pokręcił głową.

– Wybacz, stary, ale muszę gdzieś być.

Ellie też mu powiedziała, że była zajęta. Czym? Aaron się zastanawiał. Gdyby szła do pracy, nie ukrywałaby tego przed nim... Zmusił się, żeby nie rozmyślać zbyt intensywnie, co też jego przyjaciele robią bez niego.

Zamiast tego, żeby czymś się zająć, wyciągnął swoje wędki i ruszył nad rzekę. W górę jej nurtu, gdzie ryby brały jak marzenie. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie lepiej byłoby, gdyby poszedł pod skalne drzewo, na wypadek gdyby Ellie tam była. Ale przecież gdyby chciała się z nim widzieć, powiedziała mu to. Tak ciężko było się czasem domyślić, o co jej chodzi. Może gdyby spędzili więcej czasu tylko ze sobą, Ellie dostrzegłaby, że Aaron byłby dla niej naprawdę dobry. Jeśli nie potrafił dać jej tego odczuć, to coś było bardzo nie w porządku.

– Myślisz, że zabiłem twoją córkę? – zapytał Falk, spoglądając w dół na Deacona. – Sądziś, że trzymałem jej ciało pod wodą, dopóki nie utonęła? A później okłamywałem wszystkich przez te lata, nawet własnego ojca?

– Nie wiem, co się wydarzyło tamtego dnia.

– Jestem pewien, że wiesz.

– Kochałem ją.

– A od kiedy to miłość jest wystarczającym powodem, aby kogoś nie krzywdzić?

– Może jakaś podpowiedź! W skali od jeden do pójścia do więzienia, w co się wplątałeś? – Raco krzychał na niego przez telefon. Falk jeszcze nigdy nie słyszał, żeby sierżant był tak wzburzony.

– W nic się nie wplątałem. Wszystko w porządku. Opuść sobie – odparł Falk. Siedział w wozie policyjnym kilometr od farmy Deacona. Telefon poinformował go o ośmiu nieodebranych połączeniach od Raca.

– W nic? – Raco nie uwierzył. – Bierzesz mnie za głupka? Właśnie złożono skargę na ciebie. Sądziś, że nie potrafię się domyślić, gdzie jesteś? Myślisz, że jestem tępym wieśniakiem?

– Co? – zdziwił się Falk. – Raco, stary, skądże. – Był nadal wstrząśnięty tym, że tak łatwo stracił kontrolę nad sobą. Takie zachowanie zupełnie do niego nie pasowało.

– Wybiegasz stąd chwilę po tym, jak przesłuchanie się skończyło... A tak swoją drogą, wiem, że podsłuchiwałeś... I słyszę w twoim głosie, że wykręciłeś jakiś numer z Deaconem. W dodatku wzięłeś wóz policyjny! To nie jest w porządku! Przypominam ci, że to ja tutaj dowodzę, więc jeśli nękałeś kogoś, kto złożył na ciebie skargę, to, na miłość boską, mamy bardzo poważny problem!

Nastąpiło długie milczenie. Falk wyobrażał sobie, że Raco chodzi nerwowo po komisariacie, podczas gdy Deborah i Barnes przysłuchują się ich rozmowie. Falk odetchnął głęboko parę razy. Jego serce nadal waliło, ale zdrowy rozsądek powracał.

– Nie ma ze mną żadnego problemu – odrzekł Falk. – Przepraszam. Odbiło mi na moment. Jeśli wynikną z tego jakieś kłopoty, poniosę konsekwencje. Ja, nie ty. Obiecuję.

Raco nie odzywał się tak długo, że Falk nie był pewien, czy tam nadal był.

– Posłuchaj, stary – odezwał się w końcu znacznie cichszym głosem. – Myślę, że to zaczyna cię przerastać. Biorąc pod uwagę twoją tutejszą historię...

Falk pokręcił głową, choć nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć.

– Nie, już ci powiedziałem. To był chwilowy obłąd. Nic się nie stało.

– Zrozum, zrobiłeś wszystko, czego można by od ciebie wymagać. Nawet więcej – ciągnął Raco. – Zaszliśmy dalej, niż kiedykolwiek udałoby mi się samemu. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale może czas z tym skończyć. Poinformować o wszystkim Clyde. Obwiniam się o to, że nie zrobiliśmy tego na samym początku. I za to ty nie ponosisz odpowiedzialności, tylko ja...

– Raco...

– I masz obsesję na punkcie Dowa i Deacona. Koniecznie chcesz udowodnić ich winę. Chcesz ich przyskrzynieć za Hadlerów, żeby pomścić to, co się stało Ellie...

– Nie chodzi o to! Znaleźliśmy przecież imię Dowa zapisane pismem Karen!

– Wiem, ale nie mamy żadnych innych dowodów! Obaj mają alibi. – Raco westchnął. – Wygląda na to, że opowieść Deacona o rozmowie telefonicznej, która miała miejsce podczas strzelaniny, jest prawdziwa. Barnes sprawdza teraz wykazy rozmów, ale dziewczyna z apteki potwierdziła jego wersję. Dobrze to pamięta.

– Cholera. – Falk przesunął dłonią po twarzy. – Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniała?

– Ponieważ nikt nigdy jej o to nie zapytał. – Znów zapadła cisza. – Deacon tego nie zrobił – wolno powiedział Raco. – Nie zabił Hadlerów. Musisz przejrzeć na oczy. I to szybko. Jesteś tak zapatrzony w przeszłość, że ona cię zaślepia.



## Rozdział 32

Napięcie, jakie Falk czuł w ramionach, zaczęło ustępować, kiedy Gretchen po raz trzeci naląła mu wina do kieliszka. Ciężar, który leżał mu na piersi od tak dawna, że przestał zwracać na niego uwagę, nieco zelżał. Mięśnie szyi rozluźniały się. Upił porządny łyk wina, rozkoszując się tym, że na jego skołatane myśli powoli opadała mgiełka zapomnienia.

W kuchni było teraz ciemno, pozostałości po kolacji zostały już uprzątnięte ze stołu. Głównym daniem był gulasz jagnięcy. Jej własny, jak powiedziała. Baranek, nie przepis. Wspólnie uporali się z naczyniami: ona myła, on wycierał. Pracując w tandemie, napawali się tą domową odmianą zażyłości.

W końcu przenieśli się do salonu, gdzie zadowolony Falk zatonął w miękkiej, starej kanapie, oczywiście z kieliszkiem wina w ręce. Przyglądał się Gretchen, która powoli poruszała się po pokoju, na bocznych stolikach zapalając dyskretne światła, które spowiły salon w głębokim, ciepłym blasku. Nacisnęła niewidoczny przycisk i popłynęły pierwsze takty nastrojowego jazzowego utworu. Ciemnobrązowe zasłony były rozsunięte i teraz falowały, muskane wieczornym powiewem. Za oknami rysował się nieruchomy krajobraz.

Wcześniej tego samego wieczoru Gretchen przyjechała po niego do pubu.

– Co się stało z twoim samochodem? – zapytała.

Opowiedział jej. Nalegała, żeby pokazał jej szkody, więc zaprowadził ją na parking. Z wahaniem uniosła plandekę... Samochód został umyty za pomocą węża ogrodowego, ale wewnątrz było zniszczone. Gretchen naprawdę mu współczuła, choć

podśmiewywała się cicho, masując jego ramiona. Sprawiała, że sytuacja przestała mu się wydawać tak bardzo zła.

Kiedy jechali bocznymi drogami, napomknęła, że Lachie śpi u opiekunki. Niczego nie wyjaśniała. W świetle księżyca jej blond włosy lśniły.

Teraz przysiadła się do niego. Rozłożyła się na tej samej kanapie, choć na drugim jej końcu. Dystans, który musiał pokonać. Zawsze sprawiało mu to trudność. Odczytywanie sygnałów. Za wcześnie – i reakcją była obraza, za późno – w zasadzie to samo. Uśmiechnęła się. Pomyślał, że może tym razem nie będzie aż tak trudno.

– Nadal opierasz się przed powrotem do Melbourne – stwierdziła i napiła się wina, które miało taki sam kolor jak jej usta.

– Czasem przychodzi mi to łatwiej, czasem trudniej – odparł. Również się uśmiechnął. Czuł ciepło rozplwające się w jego piersi, w jego brzuchu. I niżej.

– Jakież widoki na zakończenie sprawy?

– Ciężko stwierdzić, jeśli mam być szczerzy – odpowiedział enigmatycznie. Nie chciał rozmawiać o śledztwie.

Skinęła głową i osunęli się w przyjemne milczenie. Melancholijne jazzowe nuty ginęły w ciepłym powietrzu.

– Hej – odezwała się Gretchen. – Coś ci pokażę.

Obróciła się, aby zdjąć coś ze stojącej za kanapą półki z książkami. Mimowolnie przysunęła się w tym ruchu do niego, a pod jej bluzką mignęło gładkie ciało. Gretchen usiadła z powrotem, trzymając w rękach dwa albumy ze zdjęciami – opasłe księgi w twardych oprawkach. Otworzyła pierwszy z nich, ale po chwili odłożyła go na bok. Sięgnęła po następny i przysunęła się do Falka.

Dystans pokonany. Tak szybko... Nawet nie skończył tego kieliszka.

– Natknęłam się na to przy jakiejś okazji – oznajmiła.

Spojrzał. Czuł jej nagie ramię na swoim. Przypomniał mu się dzień, w którym zobaczył ją po raz pierwszy po tych wszystkich latach. Tuż przed pogrzebem. Nie. Nie chciał teraz o tym myśleć. Nie chciał myśleć o Hadlerach. O Luke'u.

Przyglądał się, kiedy otwierała album. Na każdej stronie znajdowały się trzy lub cztery zdjęcia za plastikową samoprzylepną osłonką. Na pierwszych kilku stronach widniały fotografie z wczesnego dzieciństwa Gretchen, których cechą wspólną były

przejaskrawione tony żółte i czerwone – znak rozpoznawczy ciemni na tyłach apteki. Wertowała dalej.

– Gdzie to jest... Ach, tutaj. Zobacz. – I obróciła stronę ku niemu.

Falk pochylił się. Na zdjęciu rozpoznał siebie. I ją. Nigdy wcześniej nie widział tej fotografii. Zrobiono ją trzydzieści lat temu: on z gołymi nogami w szarych szortach, ona w za dużej szkolnej sukience. Stali koło siebie wśród grupy innych dzieci w mundurkach. Wszystkie uśmiechały się, tylko on i Gretchen podejrzliwie patrzyli w obiektyw. Oboje mieli jasne włosy – ona złociste, on białe. Ze swojego zbuntowanego spojrzenia Falk wywnioskował, że pozowali zgodnie z instrukcjami fotografa.

– Wydaje mi się, że to pierwszy dzień szkoły. – Gretchen patrzyła z ukosa, podnosząc jedną brew. – Wygląda więc na to, że ty i ja zaprzyjaźniliśmy się jako pierwsi.

Roześmiał się i nachylił do przodu, a ona przeciągnęła palcem po tym zdjęciu z przeszłości. Teraz patrzyła na niego, a jej czerwone usta rozchyliły się w uśmiechu, ukazując białe zęby. Zaczęli się całować. Jego ramię obejmujące jej plecy przyciągnęło ją bliżej, jej usta na jego wargach były gorące, jego nos wtulał się w jej policzek, a druga ręka gładziła jej włosy. Biust Gretchen był kusząco miękki, a uwaga Falka koncentrowała się na jej krótkiej dżinsowej spódniczce przyciśniętej do jego ud.

Odsunęli się od siebie, śmiejąc się w zakłopotaniu i łapiąc powietrze. W przygaszonym świetle jej oczy były niemal granatowe. Odgarnął kosmyk włosów z jej czoła, a ona znów się przysunęła i znów go zaczęła całować. Zapach jej szamponu i smak wina były wszechobecne.

Nie usłyszał dzwoniącej komórki. Dopiero kiedy Gretchen przestała się poruszać, odnotował istnienie świata poza ich uściskiem. Próbował nie zwracać na to uwagi, ale ona położyła palec na jego ustach. Pocałował go.

– Cii – zaśmiała się. – To twoja? Nie, to moja. Przepraszam.

– Zostaw to – powiedział, ale ona już wstawała, oddalając się od niego.

– Nie mogę, przykro mi. To może być opiekunka. – Posłała mu zawadiacki uśmiech, który sprawił, że przeszedł go dreszcz. Nadal czuł na skórze jej dotyk. Spojrzała na ekran komórki. – To ona, zaraz wracam. Rozgość się.

Mrugnęła do niego. Zuchwale wesoła zapowiedź tego, co miało się wydarzyć.

– Cześć, Andrea. Wszystko w porządku? – usłyszał jeszcze, jak mówiła do słuchawki.

Falk wydał policzki i przetarł oczy. Potrząsnął głową, napił się wina i usiadł prosto na kanapie. Ocknął się trochę. Byle nie za bardzo, pomyślał, żeby czar nie przysł. Czekał na jej powrót.

Z sąsiedniego pokoju dobiegał jej stłumiony głos. Falk oparł głowę o kanapę, wsłuchując się w dobiegające go dźwięki. Słyszał intonację jej głosu, opadającą i wznoszącą się, kojącą. Tak, w jego głowie pojawiła się myśl. Może mógłby się przyzwyczaić. Nie do życia w Kiewarze, ale gdzieś indziej. Gdzieś, gdzie rośnie soczysta trawa i pada deszcz. Wiedział, jak radzić sobie z rozległą, otwartą przestrzenią. Melbourne i jego prawdziwe życie wydawały się miliony kilometrów stąd. Miasto weszło mu w krew, ale wciąż nie wiedział, co kryło jego wnętrze.

Zmienił pozycję i jego ręka zawadziła o chłodną, twardą oprawę albumu. Głos Gretchen był niemal niedosłyszalny. W jej tonie nie było zdenerwowania, była spokojna i cierpliwie coś tłumaczyła. Falk położył sobie album na kolanach i otworzył go bez przekonania, próbując zwalczyć ociężałość po winie.

Szukał tego zdjęcia, które mu wcześniej pokazała, ale zorientował się, że wziął niewłaściwy album. Zamiast zdjęć z dzieciństwa już na pierwszej stronie spostrzegł Gretchen znacznie starszą: dziewiętnasto-, dwudziestoletnią. Już zamykał album, lecz zmienił zdanie. Spojrzał na zdjęcia z zainteresowaniem. Nigdy nie widział jej w tym wieku. Znał ją młodszą, a teraz również starszą. Nic pośrodku. Gretchen nadal patrzyła w obiektyw trochę podejrzliwie, ale jej poza była bardziej swobodna. Spódniczki stały się krótsze i nie była już zawstydzona.

Obrócił stronę i poczuł ukłucie, widząc Gretchen i Luke'a uwiecznionych na kolorowej, błyszczącej odbitce. Oboje mieli jakieś dwadzieścia lat, śmiali się, stykając głowami. Co ona mu powiedziała? „Spotykaliśmy się jeszcze przez kilka lat... ale tak naprawdę to była dziecinada. To musiało się rozpaść”.

Na kolejnych czterech stronach widniały podobne ujęcia. Wyjazdy, wakacje na plaży, przyjęcia bożonarodzeniowe. I nagle się urwało. W momencie gdy twarz Luke'a przestała być twarzą dwudziestolatka. Luke zniknął z albumu Gretchen w tym

samym czasie, kiedy poznał Karen. To logiczne, Falk próbował przekonać sam siebie. To miało sens.

Szybko przejrzał pozostałe strony albumu przy akompaniamencie dochodzącego zza ściany kojącego szeptu Gretchen. Już miał zamknąć księgę, kiedy jego dłoń zamarła.

Na ostatniej stronie, pod żółknącą plastikową osłonką znajdowało się zdjęcie Luke'a Hadlera. Patrzył w dół, nie w obiektyw, a na jego twarzy malował się błogi uśmiech. Zdjęcie było ciasno skadrowane, ale wyglądało na to, że zostało zrobione w szpitalu. Luke siedział na skraju łóżka. W ramionach trzymał noworodka.

Z fałd niebieskiego kocyka wychylała się różowa twarzączka, ciemne włoski i tłuściutka piąstka. Luke trzymał dziecko ze swobodą, blisko siebie. Po ojcowsku.

Falk odruchowo pomyślał, że to Billy. W domu Hadlerów widział mnóstwo podobnych fotografii. Jednak to imię nie pasowało. Falk pochylił się nad albumem, pocierając oczy, teraz już zupełnie rozbudzony. Zdjęcie nie było dobrej jakości. Zostało zrobione w ciemnym pomieszczeniu z użyciem flesza. Ale było dość ostre. Falk podsunął album pod lampkę nocną, żeby lepiej widzieć. Na tle niebieskiego kocyka wyraźnie widniała plastikowa opaska na rączce niemowlaka. Jego imię zapisano wyraźnymi drukowanymi literami:

LACHLAN SCHONER.

## Rozdział 33

W ciemnych oknach Falk mógł zobaczyć wyraz swojej twarzy, jak wykrzywia się i ulega całkowitej przemianie. Głos Gretchen dochodził z przedpokoju. Nagle w jego uszach brzmiał zupełnie inaczej. Chwycił drugi album i pospiesznie go przekartkował. Na zdjęciach była Gretchen, sama lub w towarzystwie matki albo ze starszą siostrą podczas wypadów do Sydney...

Po Luke'u ani śladu. Aż... niemal to przeoczył i musiał się cofnąć. Kolejne zdjęcie słabej jakości. Zrobione podczas jakiegoś lokalnego festynu. Gretchen stała z tyłu. Obok niej stała Karen Hadler, a obok Karen stał jej mąż... Luke Hadler patrzył nad głową swojej żony wprost na Gretchen. Ona również na niego patrzyła i posyłała mu ten sam zawadiacki uśmiech, którym chwilę wcześniej obdarzyła Falka. Wrócił do zdjęcia Luke'a z synem Gretchen. Ten chłopiec ze swoimi ciemnymi włosami, brązowymi oczami i wydatnym nosem nie wdał się w ogóle w matkę...

Falk aż podskoczył na głos Gretchen tuż za swoimi plecami.

– Nic się nie stało – zakomunikowała. Falk obrócił się do niej, a ona uśmiechnęła się, odłożyła telefon i sięgnęła po kieliszek. – Lachie po prostu potrzebował usłyszeć mój głos...

Uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy zobaczyła wyraz jego twarzy oraz zdjęcie, na które patrzył. Jej spojrzenie stało się nieprzeniknione.

– Czy Barb i Gerry Hadlerowie wiedzą? – Falk usłyszał zdenerwowanie w swoim głosie i nie spodobało mu się to. – Czy Karen wiedziała?

– Niby co? – Gretchen natychmiast przyjęła postawę obronną.

– Gretchen...

– Powiedziałam ci. Ojciec Lachiego wyjechał. Luke był moim starym przyjacielem. Więc nas odwiedził. Od czasu do czasu spędzał kilka godzin z Lachiem. I co z tego? Co w tym złego? Chodziło o to, żeby dziecko miało jakiś męski wzór do naśladowania. Nic więcej. – Gretchen zaczęła się płatać, więc urwała. Wzięła głęboki oddech i spojrzała na Falka. – Luke nie jest jego ojcem.

Falk nic nie odpowiedział.

– Nie jest! – wybuchnęła.

– A co jest napisane w jego akcie urodzenia?

– Nic. Ojciec nieznany. I to nie twoja sprawa.

– Masz choć jedno zdjęcie ojca Lachiego? Jedno zdjęcie, które mogłabyś mi pokazać? – Tym razem to ona nie odpowiedziała. – Masz?

– Nic nie muszę ci pokazywać.

– Musiało być ci ciężko, kiedy Luke poznał Karen. – Falk nie poznawał swojego tonu. Był zimny i obcy.

– Na litość boską, Aaron, Luke nie jest ojcem Lachiego! – Twarz i szyja Gretchen były czerwone. Napiła się wina. W jej głosie zabrzmiała błagalna nuta. – Nie spaliśmy ze sobą od... Jezu, od lat...

– Co się stało? Luke nie chciał się z tobą ustatkować i nadal szukał okazji. Nagle spotkał Karen i...

– No i co? – przerwała mu. Wino chlusnęło z jej kieliszka. Siłą powstrzymywała łzy, a po czułości między nimi nie zostało ani śladu. – Oczywiście, że się wkurzyłam, kiedy to ją wybrał. Zraniło mnie to. Luke mnie zranił. Ale takie jest życie, prawda? Taka jest miłość... – urwała. Przygryzła koniuszek języka.

– Zastanawiałem się, czemu nie lubiłaś Karen – mówił Falk. – Ale to wystarczyło, prawda?

– I co z tego? Nie musiałam od razu być jej przyjaciółką...

– Ona miała wszystko, czego pragnęłaś. Luke'a, poczucie bezpieczeństwa, pieniądze, przynajmniej tyle, ile miał. A ty byłaś tutaj sama. Ojciec twojego dziecka wyjechał. Podobno. A może mieszkał nieopodal, bawiąc się w rodzinę z kimś innym?

Gretchen naskoczyła na niego, teraz płacząc już bez skrępowania.

– Jak możesz pytać mnie o coś takiego? Jak możesz podejrzewać, że miałam z nim romans, kiedy był już żonaty? Że jest ojcem mojego syna?

Falk wpatrywał się w nią. Zawsze była piękna. Niemal nieziemsko. A później przypomniał sobie plamę w pokoju Billy’ego Hadlera. Przypomniał sobie Gretchen strzelającą do królików.

– Pytam, bo muszę.

– Jezu, co ci się stało? – Miała nieprzyjazny wyraz twarzy. Jej zęby zabarwiły się od wina. – Jesteś zazdrosny? Że przez chwilę chciałam być z Lukiem, a on ze mną? Pewnie dlatego tu w ogóle jesteś, prawda? Myślałeś, że udało ci się w końcu zdobyć nad Lukiem przewagę, skoro już go nie ma.

– Nie bądź głupia.

– Ja jestem głupia? Spójrz na siebie – powiedziała głośniej. – Kiedy byliśmy młodszy, zawsze za nim chodziłeś, jak piesek. A teraz, nawet teraz, siedzisz w miasteczku, którego nienawidzisz, z jego powodu. To żalosne. Jaki on na ciebie miał wpływ? Zachowujesz się, jakbyś miał obsesję.

Falk czuł niemal, jakby ich zmarły przyjaciel przyglądał się im ze stron albumu.

– Jezu, Gretchen. Jestem tu, bo zabito trzy osoby. W porządku? Więc dla dobra twojego syna mam nadzieję, że kłamstwo o twoim związku z Lukiem jest najgorszym postępkiem, jaki masz na sumieniu.

Przepchnęła się obok niego, przewracając kieliszek z winem. Plama wsiąkła w dywan niczym krew. Otworzyła drzwi wejściowe na oścież i podmuch gorącego powietrza naniósł do środka zeschnięte liście.

– Wynoś się... – Jej oczy były puste. Jej twarz zgrzana i brzydka. Na progu nabrała powietrza, jakby miała powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyśliła. Jej usta ułożyły się w lodowaty uśmiech. A jednak... – Aaron. Poczekaj. Zanim zrobisz coś nierozsądnego... muszę ci coś powiedzieć. – Jej głos przeszedł niemal w szept. – J a w i em.

– Co wiesz?

Wspięła się na palce tak, że jej usta znalazły się tuż przy jego uchu. Czuł zapach wina w jej oddechu.

– Wiem, że twoje alibi na dzień śmierci Ellie Deacon to stek bzdur. Wiem to, bo



wiem, gdzie wtedy był Luke. I ciebie z nim nie było.

– Poczekaj, Gretchen...

Ale ona wypchnęła go za drzwi.

– Wygląda na to, że wszyscy mamy swoje tajemnice, Aaron.

I drzwi zamknęły się z trzaskiem.

## Rozdział 34

To była dla Falka długa droga powrotna. Każdy krok odbijał się rykoszetem od jego stóp i potęgował dudnienie w głowie. Jego myśli roily się niczym muchy. W głowie odtwarzał wszystkie rozmowy, które odbył z Gretchen, przeświatlając je pod nowym kątem, wyszukując nieścistości. Zadzwoił do Raca, ale sierżant nie odbierał. Może nadal się gniewał. Falk zostawił mu wiadomość z prośbą, żeby oddzwonił.

Kiedy w końcu dotarł do pubu, dochodziła godzina zamknięcia. Scott Whitlam stał na schodach, zakładając kask rowerowy. Jego sfluczony nos wyglądał znacznie lepiej niż poprzedniego wieczoru. Dyrektor spojrzał na Falka i przestał mocować się z zapięciem.

– Wszystko w porządku, stary?

– Ciężka noc.

– Na to wygląda. – Whitlam zdjął kask. – Chodź, postawię ci jednego.

Falk nie marzył o niczym innym jak to, żeby wspiać się po schodach i pójść do łóżka, ale nie miał siły, by odmówić. Wszedł za Whitlamem do środka. Pub był niemal pusty, a McMurdo wycierał kontuar. Kiedy ich zobaczył, przerwał swoje zajęcie i bez pytania sięgnął po dwa kufle. Whitlam położył swój kask na barze.

– Ja stawiam. Możesz to dopisać do mojego rachunku, stary? – zapytał barmana.

McMurdo zmarszczył brew.

– Nie daję nic na rachunek.

– No co ty... Nawet stałym klientom?

– Nie każ mi tego powtarzać, przyjacielu.

– Okej, okej. Jasne. – Whitlam wyciągnął portfel i zaczął w nim szperać. – Może trochę mi brakować... Będę musiał zapłacić kartą...

– Zostaw to mnie. – Falk położył banknot dwudziestodolarowy na barze, ignorując protesty Whitlama. – W porządku. Zapomnij. Zdrowie.

Falk pociągnął spory łyk. Im szybciej wypije, tym szybciej ten dzień się dla niego skończy.

– Co się właściwie stało? – zapytał Whitlam.

– Nic. Po prostu mam tego miejsca powyżej uszu.

„Zraniło mnie to. Luke mnie zranił”.

– Jakież postępy?

Przez jedną szaloną chwilę Falk chciał mu wszystko opowiedzieć. McMurdo przerwał sprzątanie i przysłuchiwał się im zza kontuaru. Lecz Falk tylko wzruszył ramionami.

– Po prostu będę zadowolony, jak już stąd wyjadę. – Co by się nie wydarzyło, musiał być w poniedziałek z powrotem w pracy w Melbourne. Wcześniej, jeśli Raco postawi na swoim.

Whitlam przytaknął.

– Przynajmniej ty możesz to po prostu zrobić. Chociaż... – Podniósł dłoń i skrzyżował palce. – Ja mogę ruszyć w twoje ślady wcześniej, niż myślałem.

– Wyjeżdżasz z Kiewarry?

– Mam taką nadzieję. Muszę szybko coś zrobić ze względu na Sandrę. Nie wytrzyma tutaj długo. Zacząłem rozglądać się za nową posadą, może znajdę jakąś szkołę na północ stąd. Zawsze jakaś odmiana.

– Na północ pogoda jest jeszcze bardziej upalna.

– Ale tam przynajmniej pada – odparł Whitlam. – Tu najgorszy jest brak wody. To on doprowadza to miasteczko do szaleństwa.

– Wypiję za to, żeby ci się udało – powiedział Falk, osuszając kufel.

Głowa zaczynała mu ciążyć: wino, piwo, emocje.

Whitlam zauważył to i również dopił swoje piwo.

– Jasne. Lepiej już pojedę. W końcu jutro szkoła. – Podał mu rękę. – Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze przed twoim wyjazdem, ale jeśli nie, to powodzenia.

Falk uściskał jego dłoń.

– Dzięki. Powodzenia z przeprowadzką na północ.

Whitlam wyszedł, pomachawszy wesoło ręką, a Falk podał puste kufle barmanowi.

– Dobrze słyszałem, że niedługo się stąd zwijasz?

– Pewnie tak...

– Cóż, wierz mi lub nie, ale będzie mi ciebie brakowało – wyznał McMurdo. – Jako jedyny zawsze płacisz. A skoro już o tym mowa... – Otworzył kasę i zwrócił Falkowi jego pieniądze. – Dopisałem piwo do twojego rachunku za pokój. Choć pewnie lepiej byłoby ci je wliczyć w wydatki, czy co tam mają policjanci w delegacji.

Falk był zaskoczony.

– Och, dzięki. Myślałem, że nie zapisujesz na rachunek.

– Powiedziałem tak Whitlamowi, ty jesteś w porządku.

Falk zmarszczył brew.

– A Whitlam nie? Musisz go przecież dobrze znać.

McMurdo roześmiał się krótko.

– A tak, owszem, znam go wystarczająco dobrze. Dlatego właśnie wiem, na co wydaje pieniądze. – Skinął w kierunku automatów do gry migających z tyłu pomieszczenia.

– Whitlam gra? – zapytał Falk z niedowierzaniem.

McMurdo skinął głową.

– I obstawia. Psy, konie. Zawsze jednym okiem sprawdza kanał z wyścigami, a drugim śledzi aplikacje w swoim telefonie.

– Żartujesz. – Falk był zdziwiony, ale nie zaskoczony.

Pomyślał o tych wszystkich sportowych książkach w domu Whitlama. W swojej karierze spotkał wielu hazardzistów. Nie ma jednego określonego typu. Jedyne, co ich wszystkich łączy, to złudzenia i nieszczęście.

– Nie obnosi się z tym, ale zza baru dostrzega się różne rzeczy – oznajmił McMurdo. – Zwłaszcza jeśli chodzi o płacenie za piwo. Ale, prawdę powiedziawszy, wydaje mi się, że nie przepada za automatami.

– Nie?

– Nie, odnoszę wrażenie, że to dla niego płotka. Niemniej jednak nie przeszkadza

mu to w karmieniu ich monetami za każdym razem, kiedy tu jest. Tym się właśnie zajmował, kiedy przypadkowo oberwał tamtego wieczoru. Wiesz, podczas bójki Jamiego i Granta.

– Naprawdę?

– Tak, ale nie powinienem rozpowiadać takich rzeczy – zreflektował się barman. – Przepuszczanie własnych pieniędzy nie jest zbrodnią. Na szczęście. Inaczej byłbym bankrutem.

– Podobnie jak wielu innych. – Falk zdobył się na uśmiech.

– Tacy goście mają naprawdę przechlapane. Zawsze na tropie jakiejś strategii albo luki w systemie. A koniec końców liczy się tylko to, czy postawiłeś na właściwego konia.

Falk, jak nigdy wcześniej, czuł się w pokoiku nad barem jak w celi. Umył zęby, nie włączając światła, i padł na łóżko. Mimo pogoni chaotycznych myśli w głowie czuł, że zmęczenie brało górę. Sen był blisko.

Po ulicy potoczyła się puszka, stuk metalu w absolutnej ciszy. Zасыpiającemu Falkowi ten dźwięk skojarzył się z odgłosem wydawanym przez automaty do gry. McMurdo miał rację w kwestii hazardu. Z tą sprawą było podobnie. Czasem żadna strategia nie jest w stanie pomóc.

„Liczy się tylko to, czy postawiłeś na właściwego konia”.

Jakiś trybik zaczął obracać się w umyśle Falka. Powoli, ponieważ był zatarty, pokryty rdzą i zapieczony. Poruszał się opornie, ale w końcu zaskoczył.

Falk otworzył oczy. Było zbyt ciemno, żeby cokolwiek dojrzeć, ale on wpatrywał się w ciemność, intensywnie myśląc.

Wyobraził sobie trójwymiarowy obraz Kiewarry. On wspinał się wyżej i wyżej, a krajobraz pod nim malał. Kiedy wspiął się na samą górę, spojrzął w dół. Ponad miasteczkiem, ponad suszą, ponad sprawą Hadlerów. Po raz pierwszy sprawy przedstawiały mu się z zupełnie innej perspektywy.

Falk rozważał to wszystko, leżąc z otwartymi oczami i wpatrując się w nicość jeszcze przez długi czas. Sprawdzał trybik w jego nowej pozycji. W końcu usiadł, w pełni rozbudzony. Naciągnął podkoszulek i wsunął nogi do butów. Wziął latarkę

i starą gazetę i zszedł na parking.

Jego samochód stał na swoim miejscu. Smród sprawił, że oczy zaszyły mu łzami, ale nie zwracał na to uwagi. Podniósł plandekę i, przy użyciu gazety, otworzył bagażnik. Ponieważ od wnętrza samochodu oddzielały go tylne siedzenia, nie uległ zniszczeniu w zalewie gówna.

Falk włączył latarkę i oświetlił nią pusty bagażnik. Wpatrywał się w to, co zobaczył, przez długą chwilę. Po czym wyciągnął komórkę i zrobił zdjęcie.

Kiedy wrócił do pokoju, długo nie mógł jeszcze zasnąć. Obudził się o świcie, ubrał się i czekał niecierpliwie. Punkt dziewiąta wyciągnął komórkę i wykonał jeden telefon.

Dłonie Luke'a Hadlera na kierownicy były mokre od potu. Klimatyzacja chodziła pełną parą, ale odkąd wyjechał z farmy Jamiego Sullivana, temperatura w samochodzie nie stała się ani odrobinę znośniejsza. Zaschło mu w gardle i żałował, że nie wziął ze sobą butelki wody. Zmusił się, żeby skoncentrować się na drodze. Był prawie w domu. Jeszcze chwila.

Wjechał na ostatnią prostą, kiedy zauważył postać na drodze. Stała samotnie. Machała do niego.

## Rozdział 35

Falk wpadł na komisariat zdyszany. Po skończonej rozmowie telefonicznej przybiegł z pubu ile sił w nogach.

– To była zasłona dymna.

Raco spojrział na niego znad biurka. Miał zaczerwienione oczy i wyglądało na to, że jeszcze nie obudził się do końca.

– Co?

– Cała ta sprawa, stary. Nie chodziło o Luke’a.

– Świetnie – wymruczał pod nosem Luke, ale serce mu zamarło, kiedy rozpoznał postać przy drodze. Przez chwilę rozważał, czy mógłby się nie zatrzymać, dzień jednak był upalny. Słupek rtęci dawno przekroczył czterdzieści stopni.

Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym wcisnął hamulec i zatrzymał pikapa. Opuścił szybę i wychylił się.

Falk drżącymi rękami otworzył akta Hadlerów – jednocześnie podekscytowany i sfrustrowany.

– Składaliśmy się wespół, próbując znaleźć powiązania Luke’a: co ukrywał, komu zależało na jego śmierci. I co znaleźliśmy? Nic. Przynajmniej nic istotnego. Mnóstwo pomniejszych motywów, ale nic konkretnego. Miałeś rację.

– Naprawdę?

– Miałem klapki na oczach. Ale ty również. Cały czas stawialiśmy na złego konia.

– Jakiś problem? – Luke wychylił się i skinął głową w kierunku rzeczy leżącej u stóp osoby, która go

zatrzymała.

– Dzięki. Zdaje się, że tak. Masz jakieś narzędzia?

Luke wyłączył silnik i wyszedł z pikapa. Przykucnął, aby lepiej ocenić sytuację.

– Co się stało?

I były to ostatnie słowa w życiu Luke'a Hadlera, ponieważ w tym momencie potężny cios spadł na tył jego głowy. Rozległo się głucho uderzenie i zapadła nagle cisza, ponieważ ptaki na okolicznych drzewach zamilkły, zaskoczone.

Stojąc nad powalonym ciałem Luke'a Hadlera i próbując uspokoić oddech, Scott Whitlam patrzył na dzieło swoich rąk.

Falk wygrzebał z akt kserokopię kwitu bibliotecznego Karen. Słowo „Grant?” widniało na nim nad numerem telefonu Falka. Położył kartkę na biurku Raca i uderzył w nią palcem.

– „Grant”, na litość boską! Tu nie chodzi o cholerne imię!

Karen zamknęła za sobą drzwi do gabinetu dyrektora, tłumiąc dźwięki środowej szkolnej wrzawy. Miała na sobie sukienkę w czerwone i białe jabłka i wyglądała na zmartwioną. Usiadła na krześle stojącym najbliżej biurka Scotta Whitlama, wyprostowała się i skrzyżowała skromnie kostki nóg.

– Scott – zaczęła. – Jeśli mam być szczerą, nie byłam pewna, czy powinnam z tym do ciebie przychodzić. Jest pewien problem i nie mogę przemykać na to oczu.

Pochyliła się i ostrożnie, a nawet z pewnym zawstydzeniem, podała mu kartkę papieru. Na nagłówku widniało logo Crossley Educational Trust. Karen spojrzała na niego spod swojej jasnej grzywki, szukając tylko jednego. Rozproszenia swoich obaw.

Gdzieś w najbardziej prymitywnej części mózgu Whitlama, odpowiadającej za strategię przetrwania, coś drgnęło, dając mu szybki wgląd w to, jak daleko jest w stanie się posunąć, aby powstrzymać tę kobietę.

– Grant – powiedział Falk, wskazując na słownik. – Inaczej dotacja, dofinansowanie, subwencja, wsparcie finansowe. Dokładnie o to szkoła podstawowa w Kiewarze zabiegała w zeszłym roku w Crossley Educational Trust. Ich podanie zostało odrzucone. Tyle że wiesz co?

Raco zamrugął, niedowierzając.

– Żartujesz?

– Nie. Dziś rano rozmawiałem z przewodniczącym tej fundacji i dowiedziałem się, że szkoła podstawowa w Kiewarze otrzymała od nich grant w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów...



Z perspektywy czasu Scott Whitlam mógł dokładnie wskazać moment, w którym wszystko schrzanił. Wziął od Karen kartkę z tym wiele mówiącym logo i przyjrzał się jej. Była to ankieta, wysyłana automatycznie do placówek, którym przyznano fundusze, aby zebrać dane dotyczące wdrażania zmian.

Nie było to nic, co mogłoby go pograżyć, więc domyślił się, że papierów było więcej. Celowo ich nie przyniosła. Karen dawała mu szansę, żeby się wytłumaczył albo przyznał. Whitlam bez problemu wyczytał z jej oczu błaganie o jakieś rozsądne wyjaśnienie.

Powinien był powiedzieć: „Tak, to dziwne, sprawdzę, o co chodzi. Może jednak się nam poszczęściło”. Jezu, powinien był jej podziękować. Tak właśnie powinien był postąpić. Ale on wpadł w panikę. Nie poświęcił odpowiedniej ilości czasu na zapoznanie się z dokumentem, zanim go odłożył.

To nigdy nie miała być dla niego prosta rozgrywka, ale to był właśnie ten moment, w którym przegrał. „Oczy węża” w grze w kości. Przegrana na całej linii.

– To nic takiego – odrzekł tylko, tymi słowami przypieczętowując swój los. – Pomyłka. Nie zwracaj na to uwagi.

Ale to była jego pomyłka. Widział to po sposobie, w jaki zeszywniała i spuściła wzrok. Odcięła się od niego. Jeśli wchodząc do jego gabinetu, nie była jeszcze pewna, wychodząc z niego, nie miała najmniejszych wątpliwości.

Jej pożegnanie było suche jak pola wokół Kiewarry.

– Scott Whitlam – powiedział Raco. – Cholera. Cholera. Czy to ma sens?

– Tak. Niestety. Facet ma problemy z hazardem. Dowiedziałem się wczoraj w nocy.

– Falk powtórzył słowa McMurda. – I to właśnie mnie tknęło. Coś, co powiedział McMurdo, uświadomiło mi, że cały czas szukaliśmy w złym miejscu.

– O czym my mówimy? Kradzież szkolnych pieniędzy, ale w jakim celu? Na pokrycie długów? – zapytał Raco.

– Możliwe. Whitlam zjawił się tutaj w zeszłym roku. Nic go z Kiewarrą nigdy nie łączyło. Siedzi tutaj, choć wyraźnie mu się tu nie podoba. Sprzedał mi jakąś historyjkę o napadzie rabunkowym w Melbourne, w którym coś poszło nie tak. Jakiś nieznajomy stracił życie. Nie zdziwiłbym się, gdyby kryło się za tym coś więcej.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Jezu, biedna Karen – jęknął Raco.

– Zachowaliśmy się jak idioci – odezwał się Falk. – Zbyt szybko ją odfajkowaliśmy. Ją i Billy’ego. Sądziliśmy, że zginęli przez przypadek, że zginęli z powodu Luke’a. Tylko on zawsze się liczył, był gwiazdą. Odkąd byliśmy dziećmi. Stanowił idealną zasłonę. Jak cokolwiek mogło dotyczyć jago nudnej żony, a nie jego?

– Chryste. – Raco zamknął oczy, przebiegając w myślach akta sprawy. Potrząsnął głową. Powoli elementy wskakiwały na właściwe miejsce. – Grant Dow nie prześladował Karen. Karen nie bała się męża.

– Jeśli o coś chodziło w ogóle, to pewnie Luke martwił się tym, co ona mogła odkryć w szkole.

– Myślisz, że mu powiedziała?

– Myślę, że musiała – stwierdził Falk. – Skąd miałaby mój numer telefonu.

Prosto z gabinetu Whitlana Karen poszła do żeńskiej toalety. Zamknęła się w kabinie i przyłożyła głowę do drzwi, zanim pozwoliła popłynąć gniewnym łzom. Aż do momentu tego spotkania żywiła cień nadziei. Chciała, żeby Scott Whitlam spojrział na tę kartkę i roześmiał się. „Wiem dokładnie, co się stało”, powiedziałby i wyjaśnił wszystko w sensowny i przekonujący sposób.

Tak bardzo chciała, żeby tak zareagował, lecz stało się zupełnie inaczej. Karen wytarła oczy drżącą ręką. Co teraz? Jakaś część jej nadal nie mogła uwierzyć w to, że Scott ukradł te pieniądze, choć wiedziała, że tak właśnie było. Gdyby nie bała się przyznać tego sama przed sobą, wiedziała to od samego początku. Sama sprawdziła wyciągi z kont. Błędy, które ostatnio się zdarzały, zostały popełnione przez Whitlana, nie przez nią. To dzięki nim doszła do prawdy – po nitce do kłębka. Ukradł pieniądze. Spróbowała powiedzieć to na głos, ale nie podobало jej się brzmienie tych słów.

Karen głęboko wierzyła w to, że podejrzewać kogoś nie znaczy mieć pewność, chociaż jej mąż postrzegał świat jedynie w odcieniach czerni i bieli.

– Kochanie, jeśli myślisz, że ten skurczybyk zwędził pieniądze, zadzwoń na policję i zgłoś to. Jeśli chcesz, zrobię to za ciebie – powiedział Luke dwa wieczory wcześniej.

Karen siedziała w łóżku z nową książką z biblioteki, choć nie mogła się na niej skupić. Przyglądała się, jak jej mąż rozebrał się i rzucił ubrania na stertę na krześle. Stał teraz nagi, przeciągając się i ziewając. Posłał jej senny uśmiech i uderzyło ją, jak pięknie wyglądał w półmroku. Rozmawiali szeptem, żeby ich głosy nie obudziły dzieci.

– Nie, Luke – odparła. – Nie wtrącaj się. Proszę. Poradzę sobie, ale chcę mieć pewność. Jak ją zyskam, zgłoszę sprawę na policję.

Po części zdawała sobie sprawę, że była zbyt ostrożna. Ale dyrektor szkoły był niezwykle ważną osobą w ich małej społeczności. Karen nie potrafiła sobie wyobrazić reakcji rodziców. Nastroje były takie, że obawiała się, iż mogliby mu nawet wyrządzić krzywdę. Nie mogła sobie pozwolić na wysunięcie oskarżeń tej wagi, dopóki nie miała niepodważalnych dowodów. W Kiewarze było źle i bez tego. Trzeba było to zrobić należycie. Na szali znajdowała się również jej praca. Jeśli nie miała racji, straci ją w jednej chwili.

– Powinnam najpierw porozmawiać ze Scottem – oznajmiła, kiedy jej mąż wszedł do łóżka i położył ciepłą rękę na jej udzie. – Dać mu szansę się wytłumaczyć.

– Raczej dać mu szansę to zatuszować. Kochanie, pozwól, żeby policja się tym zajęła.

Milczała buntowniczo. Luke westchnął.

– W porządku. Jeśli nie chcesz tego zgłosić, przynajmniej zasięgnij porady w sprawie tego dowodu,

który, jak sądzisz, musisz zdobyć. – Luke przetoczył się przez łóżko i sięgnął po telefon. Przeglądał listę kontaktów, aż znalazł ten, którego szukał, i podał telefon Karen. – Zadzwoń do niego. To mój przyjaciel, który jest policjantem. Zajmuje się pieniędzmi z ramienia federalnych w Melbourne. To równy gość. Naprawdę bystry. W dodatku jest mi coś winien. Możesz mu zaufać. Na pewno ci pomoże.

Karen Hadler nic nie odpowiedziała. Powiedziała Luke'owi, że się tym zajmie, i tak właśnie zrobi. Ale było późno i wolała się nie sprzeczać. Znalazła długopis na szafce nocnej i sięgnęła po kawałek papieru, który miała pod ręką – kwit biblioteczny, którego użyła jako zakładki. Obróciła go i zapisała jedno słowo w ramach przypomnienia dla samej siebie, a pod spodem przepisała numer Aarona Falka. Później, ponieważ mąż nadal się jej przyglądał, z namaszczeniem włożyła go do książki, którą odłożyła na stolik nocny.

– Żeby się nie zgubił – powiedziała, gasząc światło i układając się na poduszkach.

– Zadzwoń do niego – raz jeszcze poprosił Luke, wyciągając rękę, aby przytulić żonę. – Aaron będzie wiedział, co zrobić.

## Rozdział 36

Półtorej godziny później Falk i Raco obserwowali szkołę z nieoznakowanego wozu policyjnego. Zaparkowali na wzgórzu w bocznej uliczce, skąd mieli dobry widok na główny budynek i znajdujący się przed nim plac zabaw. Tylne drzwi otworzyły się i do środka wszedł posterunkowy Barnes. Biegł całą drogę ze szkoły i był zdyszany. Nachylił się między przednimi siedzeniami i z dumą wyciągnął do nich dłoń, na której leżały zupełnie nowe naboje marki Remington. Raco wziął jeden do ręki i przyglądał mu się uważnie. Pokiwał głową. Takie same znaleziono przy Hadlerach. Technicy z pewnością będą w stanie powiedzieć na ten temat coś więcej, ale na razie taka ekspertyza musiała im wystarczyć.

– Tak jak pan podejrzewał, były w schowku woźnego – powiedział Barnes, niemal podskakując na siedzeniu.

– Miałeś jakieś problemy z ich zdobyciem? – zapytał Falk.

Barnes usiłował przybrać skromną minę, ale zupełnie mu to nie wyszło.

– Poszedłem prosto do woźnego. Użyłem magicznej formułki „rutynowa inspekcja”. Pozwolenia, legalizacje gaśnic, te sprawy. Wpuścił mnie natychmiast. To było za łatwe. Znalazłem tyle nieprawidłowości, że nie piśnie o mojej wizycie ani słowa. Powiedziałem, że tym razem mu odpuszczę, jeśli uzupełni braki do mojej następnej wizyty.

– Dobra robota – pochwalił go Raco. – Jeśli tylko nie powiadomi o tym Whitlana w ciągu następnych kilku godzin, wszystko pójdzie po naszej myśli. Wsparcie z Clyde będzie za czterdzieści minut.

– Nie rozumiem, dlaczego po prostu tam nie wejdzimy i nie zgarniemy drania – mamrotał Barnes z tylnego siedzenia. – Ci z Clyde nie zrobili nic, a zgarną zasługi.

Raco spojrzął do tyłu.

– Nie martw się, nikt o nas nie zapomni – uspokajał. – Zabezpieczenie jego mieszkania i wyciągów bankowych nie przyniesie im zbyt wiele chwały.

– Chciałbym, żeby się pospieszyli – odparł Barnes.

– Ja też – dodał Falk.

Wszyscy trzej obrócili się i wbili spojrzenia w budynek szkoły. Rozległ się dzwonek i drzwi się otworzyły. Dzieciaki wypadły na zewnątrz, zbierając się w grupkach, biegając, korzystając na wszelkie sposoby z chwilowej wolności. Za nimi Falk dostrzegł postać opartą o główne drzwi. Kapelusz na głowie, kubek kawy w dłoni, czerwony krawat odcinający się od białej koszuli. Scott Whitlam. Falk poczuł, że za nim Barnes zmienił pozycję.

– Pięćdziesiąt tysięcy. To żałosna suma, żeby za nią zabić troje ludzi – skwitował Barnes.

– W tym wszystkim pieniądze są mniej ważne, niż myślisz – stwierdził Falk. – Hazardziści, tacy jak on, zawsze za czymś gonią. Widziałem, jak szybko ich sytuacja staje się rozpaczliwa. Uważają, że każdy rzut kostką to kolejna szansa. Pytanie, za czym goni Whitlam?

– Nieważne. Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć – odparł Barnes.

– Ale tak właśnie jest z pieniędzmi – oznajmił Falk. – Sprawiają, że wszystko staje się odrażające.

Whitlam stał w drzwiach szkoły z kubkiem w dłoniach. Znowu zerwał się wiatr. Czuł, jak pył oblepiał jego spoconą skórę. Przed nim na placu zabaw dzieci biegały i pisały, a on zastanawiał się, czy już może pozwolić sobie odetchnąć. Za kilka dni Falk miał wyjechać, przy odrobinie szczęścia może nawet wcześniej. Postanowił, że dopiero wtedy sobie na to pozwoli. Nie wcześniej. A potem jeszcze tylko kilka miesięcy. Nie wychylać się i przy odrobinie szczęścia będzie mógł zacząć nową pracę na północy. Po części nie mógł uwierzyć, że udało mu się zejść tak daleko. Niemal dostał zawału serca, kiedy Raco wspomniał, że na farmie Hadlerów był monitoring.

Nie miał o tym pojęcia i siedząc tak między dwoma policjantami, na myśl, jak mało brakowało, żeby został odkryty, oblał się zimnym potem.

Musiał się stąd wyrwać. Będzie musiał przekonać Sandrę, by dała mu jeszcze jedną szansę. Jeszcze raz zaczyna wszystko od nowa, a on tym razem skończy z hazardem. Obiecał to. Powiedział jej to zeszłej nocy i pośród swoich łez po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że mówi szczerze. Sandra patrzyła na niego w milczeniu. Słyszała te słowa nie pierwszy raz. Zaraz przed tym, jak przenieśli się do Kiewarry, i wcześniej jeszcze przynajmniej dwukrotnie. Ale tym razem musiał ją do tego przekonać. Co więcej, musiał przekonać sam siebie. I sprawić, by im się udało. Musiał przestać. Bo tym razem na szali znalazło się znacznie więcej, niż był gotów stracić.

Na samą myśl robiło mu się niedobrze. Sandra martwiła się tak bardzo, ale przecież nie miała nawet pojęcia o tym, co im grozi. Myślała, że życie na ciągłym debecie to najgorsze, co może jej się przydarzyć... To uczucie skrywanego wstydu, kiedy cotygodniowe zakupy w spożywczaku trzeba robić na kredyt. Konieczność utrzymywania pozorów za pomocą wynajmowanych mieszkań i drogiego sprzętu kupowanego na raty. Nie miała pojęcia o długach, a te ciągnęły się za nimi stąd aż do Melbourne. Ani o tym, co czekało ją i jej córkę, jeśli te długi nie zostaną spłacone na czas...

Whitlam niemal uśmiechnął się, szeroko i szyderczo, na myśl o tym, by powiedzieć jej prawdę. Obietnica użycia gwoździarki wystarczyłaby, żeby Sandra popędziła co sił na północ.

Dostarczyli wiadomość do jego domu. Do Kiewarry. Dwóch gości z Melbourne bez karków, z pewnością uzależnionych od sterydów, osobiście zjawili się w jego małomiasteczkowej ostoi, by powiedzieć mu, że szef się niecierpliwi. Zapłać. Przywieźli ze sobą gwoździarkę, żeby mu pokazać... Whitlam był sparaliżowany ze strachu. Sandra i Danielle były w domu. Z kuchni dobiegała ich wesoła rozmowa, podczas gdy mężczyźni szczegółowo opisywali, co im zrobili, jeśli on nie wytrząśnie skądś forsy. Przerazająca ścieżka dźwiękowa.

Powiadomienie z Crossley Educational Trust przyszło dwa dni później. List był zaadresowany bezpośrednio do Whitlama. Był to akurat dzień, kiedy Karen miała wolne, więc nikt nie otworzył go przed nim.

Decyzję podjął w mgnieniu oka. Ta fundacja rozdawała miliony. Pięćdziesiąt tysięcy było kroplą w morzu dla tych bogatych skurczybyków. Z łatwością rozpisze te pieniądze na jakieś niejasne i trudne do oszacowania cele: kursy, programy wsparcia i tym podobne. Te pieniądze powinny mu pomóc. Przynajmniej na chwilę. Tego właśnie potrzebował. Choćby chwili spokoju. Pożyczy je, żeby spłacić Melbourne. Odda później, cóż, może kiedyś... Jakoś... Nie wystarczało to na spłacenie wszystkich jego długów, nie było o czym śnić. Ale dzięki tej kwocie zyskiwał oddech.

Nie zagłębił się w szczegóły, kiedy przekierowywał pieniądze z dotacji. Wystarczyło podmienić numery kont – ze szkolnego na prywatne. To, o którym Sandra nie wiedziała. Nazwę szkoły zostawił na formularzu. Banki używają tylko numerów, nie nazw odbiorców. Wiedział, że nikt nigdy nie sprawdza, czy to się zgadza. Plan był w porządku, przekonywał sam siebie. Nie jakiś wspaniały, nawet nie dobry, ale w porządku. Jednak pewnego popołudnia Karen Hadler zapukała do jego gabinetu z formularzem z Crossley Trust w ręce...

Whitlam przypomniał sobie jej oczy. Zacisnął dłoń w pięść i dyskretnie uderzył nią o ścianę, tak że obtarł sobie knykcie.

Whitlam odprowadził Karen wzrokiem do drzwi. Kiedy zamknęła je za sobą, obrócił się na krześle i bezgłośnie zwymiotował do kosza na śmieci. Nie mógł pójść do więzienia. Siedząc w celi, nie byłby w stanie spłacić długu ludziom, których żadne wymówki nie interesowały. Miał zapłacić – albo on, albo jego rodzina. Taki był układ. Podpisany i zatwierdzony. No i widział gwoździarkę... Zmusili go, żeby jej dotknął. Poczuł jej ciężar w ręce. Miał zapłacić, albo... Nie. Nie było wyjścia. Musiał zapłacić. Oczywiście, że zapłaci.

Siedział w swoim gabinecie i zmuszał się do myślenia. Karen wiedziała. Co znaczy, że pewnie powie o wszystkim swojemu mężowi, jeśli jeszcze tego nie zrobiła. Jak szybko uderzy na alarm? Była osobą ostrożną. Często skrupulatną aż do przesady. To ją spowalniało. Karen Hadler musiała być przekonana w stu procentach, zanim przystępowała do działania. Co innego Luke...

Nie miał zbyt wiele czasu. To nie mogło się rozejść. Nie mógł do tego dopuścić. Nie miał wyjścia.

Dzień z życia szkoły dobiegł końca, nie przynosząc gotowych rozwiązań. Whitlam odczekał, ile się dało, a później zrobił to, co zawsze, kiedy pojawiał się stres. Wziął wszystkie swoje pieniądze, i trochę nie swoich, i udał się do pubu pograć na maszynach. To właśnie tam, otulone w blask sztucznego oświetlenia i radosne pobrzękiwanie automatów, pojawiły się pierwsze zarysy planu. Jak zwykle zresztą.

Schowany w kącie baru Scott Whitlam usłyszał głos Luke'a Hadlera. Zamarł, nie ważąc się oddychać, w oczekiwaniu, że Luke opowie Jamiemu Sullivanowi o szkolnych pieniądzach. Był tego pewien, ale jego tajemnica pozostała nieodkryta. Zamiast tego narzekali na króliki i umówili się, że

następnego dnia wspólnie odstrzelą je na farmie Sullivana. Ustalili godzinę. Luke miał przywieźć swoją strzelbę. Ciekawe, pomyślał Whitlam. Może nadal był w grze. Przynajmniej na razie. Kolejne sto dolarów w monetach wydane na automaty i Whitlam miał już plan. Cały czas analizowany w tę i nazad, w końcu zaczął wypełniać się szczegółami. Był w porządku. Nie idealny, ale w porządku. Nie było pewności, że się powiedzie. Szanse oceniał na pół na pół. Ale Whitlam był gotów na takie ryzyko. I w dzień, i w nocy.

Whitlam przyglądał się grupce biegających po placu zabaw dzieci, wśród których była też jego córka. Przez sekundę wydawało mu się, że dostrzegł także Billy'ego Hadlera – nie po raz pierwszy zresztą. Głowa drgnęła mu mimowolnie, jakby dopadł go skurcz szyi. Nadal robiło mu się niedobrze, kiedy myślał o tym chłopcu. Nie żeby to coś zmieniało.

Billy'ego nie miało tam być. Whitlam zacisnął zranioną dłoń na kubku i wrócił do gabinetu. Chłopca nie miało być w domu. Wszystko zostało przygotowane. Upewnił się co do tego. Celowo wyciągnął zestaw do minibadmintonu. Później wystarczyła jedynie subtelna sugestia z jego strony, żeby Sandra zadzwoniła do Karen i umówiła spotkanie ich dzieci na następny dzień. Gdyby głupia matka chłopca nie odwołała tego w ostatniej chwili, rujnując jego plan, Billy by nie ucierpiał. Tylko Karen była winna tego, co przytrafiło się Billy'emu.

Whitlam ze swej strony zrobił wszystko, by uratować chłopca. I nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Napił się kawy i skrzywił, ponieważ nadal była gorąca. Czuł, jak spływa mu po przełyku, zakwaszając wnętrze.

Whitlam wyszedł z pubu ze ściśniętym żołądkiem i spędził bezsenną noc, szukając dziury w swoim planie. Następnego dnia siedział w swym gabinecie, w odrętwieniu wpatrując się przed siebie i oczekując pukania do drzwi. Karen musiała już komuś powiedzieć. Z całą pewnością. Ktoś miał do niego przyjść. Tylko kto? Policja? Przewodniczący rady rodziców? Może znów Karen? Obawiał się tego i jednocześnie nie mógł się doczekać. Pukanie znaczyłoby, że Karen puściła parę z ust. Że było już dla niego za późno i że nie musiał robić tego, co zaplanował.

Nie było potrzeby zastanawiać się, czy pomysł uda mu się zrealizować. Udowodnił to w tamtej alei w Footscray. Tamten gość powinien był wiedzieć lepiej. Ponoć był zawodowcem...

Whitlam spotkał go już raz wcześniej. Któregoś wieczoru mężczyzna zaszedł go na parking, odebrał mu portfel i przekazał swoją wiadomość wraz z mocnym ciosem w nerki. W Footscray miało być pewnie podobnie, domyślał się Whitlam. Ale mężczyzna się zdenerwował, zaczął wymachiwać nożem i domagać się większej kwoty niż ta, na którą byli umówieni. Wypadki potoczyły się szybko.

Gość był powolny i niemal z pewnością pod wpływem jakichś mniej lub bardziej nielegalnych



substancji. Usłyszał słowo „nauczyciel” i nie docenił atletycznego Whitlama. Źle wymierzony cios został zablokowany chwytem rodem z rugby i obaj upadli na beton.

Ostrze noża błysnęło pomarańczowo w świetle ulicznych latarni i Whitlam poczuł, jak ostrze przesuwa mu się po brzuchu, zostawiając za sobą ciepłą smużkę. Adrenalina i strach zrobiły swoje: Whitlam złapał rękę, która trzymała nóż, wykręcił ją i używając ciężaru własnego ciała, skierował ostrze w kierunku torsu mężczyzny. Napastnik nie wypuszczał noża. Trzymał go, kiedy żelazo zatapiało się w jego ciele. Jęczał Whitlamowi prosto w twarz, kiedy ten przygwaźdżał go całym sobą, czując zwalniający rytm pulsującej krwi. Poczekał, aż mężczyzna przestanie oddychać. A potem jeszcze całą minutę dłużej.

Whitlam miał łzy w oczach. Trząsał się cały w obawie, że zaraz zemdleje. Lecz gdzieś głęboko w środku był zupełnie spokojny. Znalazł się w trudnej sytuacji, ale sobie poradził. Zrobił to, co było trzeba. On, Whitlam, który niemal przyzwyczył się do uczucia spadania za każdym razem, kiedy sięgał po portfel, ten jeden raz kontrolował sytuację.

Drżącymi palcami dotknął własnego brzucha. Rozcięcie było płytkie. Wyglądało gorzej, niż było w rzeczywistości. Pochylił się nad napastnikiem i skrupulatnie przeprowadził dwie serie sztucznego oddychania, upewniając się, by zostawić odpowiednią ilość krwawych śladów, co potwierdzałoby jego postawę obywatelską. Na sąsiedniej ulicy znalazł dom, w którym świeciło się światło. Uwolnił powstrzymywane emocje, prosząc, aby poinformowali policję o napadzie. Napastnicy uciekli, ale szybko, szybko, ktoś jest ciężko ranny.

Za każdym razem, kiedy Whitlam myślał o tym wydarzeniu, a zdarzało się to częściej, niż się tego spodziewał, zawsze odczytywał je jako akt samoobrony. Jednak nowa sprawa rozgrywała się w jego gabinecie, a nie w ciemnej uliczce, i nie było noża, tylko dokumenty, ale Whitlam wiedział, że w zasadzie różnica była żadna. Gość na ulicy. Karen po drugiej stronie biurka. Oboje zmuszali go, żeby się bronił. Nie dawali mu wyboru. Albo oni, albo on. Whitlam wybierał siebie.

Dzień w szkole dobiegł końca. Klasy i plac zabaw opustoszały. Nikt nie zapukał do drzwi jego gabinetu. Karen jeszcze na niego nie doniosła. Nadal mógł się uratować. Teraz albo nigdy.

Spojrzał na zegar.

Teraz.

## Rozdział 37

– Jak Whitlam dostał się na farmę Hadlerów? – zapytał Barnes, pochylając się między dwoma przednimi siedzeniami. – Oczy nam prawie z orbit wyszły, kiedy szukaliśmy tego na nagraniu ze szkolnych kamer. Byłem pewien, że jego samochód cały dzień stał na parkingu.

Falk odszukał fotografię ciała Luke'a leżącą na naczepie jego samochodu. Wyciągnął powiększenie czterech poziomych smug na wnętrzu naczepy. Podał je Barnesowi razem ze swoim telefonem, na którego ekranie widniało zdjęcie, które zrobił poprzedniej nocy w bagażniku swojego samochodu. Na filcowym obiciu bagażnika można było dostrzec dwie długie linie.

Barnes przyjrzał się uważnie.

– Ślady są takie same – powiedział. – Co je zostawiło?

– Te w moim bagażniku są świeże – powiedział Falk. – To ślady opon. Pojechał tam swoim pieprzonym rowerem.

Whitlam nie powiedział nikomu w sekretariacie, że wychodzi. Wymknął się niezauważony przez nikogo drogą pożarową, zostawiając marynarkę na krześle i włączony komputer – jasny przekaz, że jest gdzieś na terenie szkoły i lada moment wróci.

Zakradł się do schowka, unikając ograniczonego zasięgu kamer. Dzięki Bogu za brak funduszy, pomyślał, a później niemal roześmiał się z ironii tej sytuacji. W ciągu zaledwie kilku minut dostał się do schowka na amunicję i zabrał ze sobą garść naboji. Szkoła dysponowała jedną strzelbą w celu kontroli liczebności królików. Włożył ją do sportowej torby, którą zarzucił na ramię. Miał użyć jej tylko w ostateczności. Luke Hadler powinien mieć ze sobą własną broń. Umówił się na polowanie z Sullivanem. Ale czy będzie miał naboje? Nie wiadomo.

Następnie Whitlam pobiegł po swój rower. Przyjechał tego dnia bardzo wcześnie i zaparkował

w cichej uliczce niedaleko szkoły. Wyciągnął rower z bagażnika i przejechał nim resztę drogi. Przypiął rower, wiedząc, że w tym miejscu wkrótce zostanie otoczony przez inne. Ukryty na widoku. Następnie wrócił po samochód, wjechał nim na szkolny parking i zajął dobrze widoczne miejsce. Teraz odpiął swój jednoślad i chwilę później jechał po pustych wiejskich drogach w stronę farmy Hadlerów. Nie było daleko i Scott szybko dojechał. Zatrzymał się kilometr od domu, wybierając miejsce, gdzie pobocze było zarośnięte. Ukrył się w zaroślach i czekał, szepcząc cichą modlitwę, żeby tylko zdążył.

Po dwudziestu pięciu minutach był zlany potem i pewien, że przegapił swoją szansę. Droga nie przejechał ani jeden pojazd. Kolejne osiem minut, dziewięć. I nagle, kiedy Whitlam, patrząc na strzelbę, zastanawiał się, czy może jest dla niego jakieś inne rozwiązanie, usłyszał upragniony dźwięk.

Z oddali słyhać było silnik pikapa. W dodatku tego, na który czekał. Zakręciło mu się w głowie i posłał w niebo krótką modlitwę dziękczynną. Wszedł na drogę i rzucił swój rower obok. Wyciągnął ręce i zaczął nimi machać z desperacją tonącego człowieka.

Przez jedną straszną chwilę wyglądało na to, że pikap się nie zatrzyma. Zaczął jednak zwalniać, aż w końcu zahamował tuż obok. Kierowca opuścił szybę.

Luke Hadler wychylił się z samochodu.

– Jakiś problem?

Łokieć Whitlama przeszył ostry ból, kiedy z zamachem uderzył wyładowaną kamieniami skarpetą w głowę Luke'a. Dało się słyszeć nieprzyjemny trzask i Luke upadł twarzą na drogę.

Whitlam naciągnął rękawiczki ochronne, zabrane ze szkolnego laboratorium, i otworzył naczepę pikapa. Ze zwinnością atlety wsunął ręce pod pachy Luke'a i załadował go na tył samochodu. Nasłuchiwał. Oddech Luke'a był płytki i urywany. Whitlam uderzył go w głowę jeszcze dwukrotnie. Poczuł, jak czaszka pękła pod naporem kamieni. Pojawiła się krew. Whitlam nie zwrócił na to uwagi. Nakrył ciało Luke'a plandeką, którą znalazł w naczepie, i wrzucił na niego swój rower. Pokryte kurzem koła oparły się o bok auta...

Strzelba Luke'a leżała na siedzeniu dla pasażera. Whitlamowi zakręciło się w głowie z poczucia ulgi i oparł głowę o kierownicę, aby odczekać minutę, aż uczucie minie. Ale broń nie była naładowana. Trudno. Whitlam wyjął z kieszeni szkolne naboje marki Remington i załadował ją.

Kości zostały rzucone.

## Rozdział 38

Poranna przerwa minęła trzydzieści minut wcześniej i teraz wszystko trwało w bezruchu. Z oddali plac wydawał się opuszczony i Falk tłumiał właśnie ziewnięcie, kiedy zadzwonił jego telefon. Raco i Barnes aż podskoczyli, kiedy ten dźwięk wtargnął w ciszę panującą w samochodzie.

– Agent federalny Falk? – zapytał głos, kiedy Falk odebrał połączenie. – Mówi Peter Dunn, prezes Crossley Educational Trust. Rozmawialiśmy dziś rano.

– Zgadza się – odpowiedział Falk, prostując się. – O co chodzi?

– Proszę zrozumieć, że jest mi niezręcznie, ale chodzi o ten grant, o który pan pytał, dla szkoły podstawowej w Kiewarze.

– Tak? – Falk marzył o tym, żeby prezes przeszedł do sedna.

– Wiem, że zaznaczał pan, iż sprawa jest poufna, ale właśnie odkryłem, że moja asystentka, która jest tu nowa i jeszcze próbuje się odnaleźć, przekazała to innemu członkowi zarządu, który nie zdawał sobie sprawy z tajnego charakteru i...

– I co?

– I wygląda na to, że wykonała telefon do rzeczonyj szkoły jakieś dwadzieścia minut temu, by sprawdzić...

– Nie! – Falk sięgnął i zapiął pas samochodowy, ponagłając Raca i Barnes, by zrobili to samo.

– Tak, wiem. Przykr...

– Z kim rozmawiała?

– To była duża suma, więc zajęto się tym od razu. Z dyrektorem, panem

Whitlamem...

Po tych słowach Falk rozłączył się.

– Do szkoły. Natychmiast.

Raco wcisnął pedał gazu z całej siły.

Ciałem Luke'a trochę rzucało, kiedy Whitlam jechał do jego domu. Starał się nie patrzeć w tylne lustro i mocno ścisnął kierownicę, choć jego ręce w gumowych rękawiczkach bardzo się pociły. Na farmie zaparkował pikapa i wyskoczył z niego, zanim zdołał pomyśleć o tym, co miał zrobić. Zawahał się dopiero przed drzwiami.

Whitlam nie znał układu domu Hadlerów ani nie orientował się w ich gospodarstwie. Przynajmniej nie na tyle, żeby szukać Karen. Kiedy dotarło do niego szaleństwo całej tej sytuacji, zobaczył własną rękę, która właśnie naciskała dzwonek. To ją do niego przyprowadzi. Strzelba zwisała z jego ramienia, przyciskając mu się do uda.

Karen Hadler otworzyła drzwi, mrugając zaskoczona. Nabrała powietrza, jej język podniósł się do zębów, formując spółgłoskę syczącą „s”. Jego imię zamarło na jej ustach, kiedy jednym szybkim ruchem zdjął strzelbę z ramienia i pociągnął za spust. Robiąc to, zamknął oczy, a kiedy ponownie je otworzył, Karen leciała do tyłu – jej brzuch był czerwony i rozerwany. Whitlam skrzywił się, kiedy jej łokieć wylądował na wykafelkowanej podłodze z głośnym stuknięciem, a głowa odskoczyła do tyłu. Jej oczy mrugały szybko, a z piersi wydobył się przeciągły jęk.

Whitlamowi dzwoniło w uszach i nic nie słyszał.

– Mamusiu?

Nie. Nie. Nic nie słyszał.

– Mamusiu?

Nic oprócz własnego oddechu i dzwonięcia w uszach, z całą pewnością nie słyszał Billy'ego Hadlera piszczącego z ciemnego kąta przedpokoju, z zabawką zwisającą mu w ręce i ustami otwartymi szeroko w przerażeniu.

– Mamusiu?

Whitlam nie mógł w to uwierzyć, po prostu nie mógł. Dzieciak był w domu. Dlaczego, do diabła, nie bawił się teraz bezpiecznie w jego własnym ogrodzie po drugiej stronie miasteczka? A jednak był tutaj. I wszystko widział. Teraz Whitlam będzie zmuszony zrobić wszystko tak, jakby chłopiec tego nie widział, a znał na to tylko jeden sposób... „Czy jesteś teraz zadowolona, ty wścibska suko?”, wrzasnął do martwego ciała Karen, kiedy Billy odwrócił się i zaczął uciekać, wydając tylko przerażające posapywania, zbyt był bowiem przerażony, by płakać.

Whitlam czuł się, jakby wyszedł z własnego ciała. Pobiegł za chłopcem i wpadł do jego pokoju. Prawie nie widział, jak sam otwiera drzwi szafy i zdiera pościel z łóżka. Gdzie on jest? Gdzie on jest? Whitlam był zły, wściekły, że został do tego zmuszony. Z kosza na pranie dobiegł jakiś dźwięk, ale Whitlam nie pamiętał, jak go przewracał, choć przecież musiał to zrobić. Tam był Billy. Billy, przyciśnięty do ściany, ukrywający twarz w rękach. Whitlam pamiętał jednak, jak nacisnął spust. Tak. Z czasem będzie to pamiętał coraz lepiej...

Ponownie w jego głowie odezwało się okropne dzwonięcie i ponownie – och, dobry Boże, proszę, nie – coś jeszcze, jakiś dźwięk. Przez jeden straszny moment myślał, że płacz wydobywa się

z Billy'ego, któremu teraz brakowało pół głowy i piersi. Przyszło mu na myśl, że może on sam wydaje te dźwięki, ale kiedy przyłożył dłoń do ust, okazało się, że były zamknięte.

Podążył za płaczem, niemal z ciekawością, do pokoju po drugiej stronie korytarza. W łóżeczku ze szczebelkami stało dziecko, drąc się wniebogłosy. Whitlam przystanął w drzwiach, obawiając się, że zaraz zwymiotuje.

Skierował lufę strzelby w stronę swojego podbródka, przyłożył, poczuł ciepło metalu na skórze, ale chwila słabości szybko minęła. Powoli obrócił broń. Trzęsła się, kiedy wycelował ją w żółte śpioszki dziecka. Wziął oddech. Chaos w jego głowie był ogłuszający, lecz udało mu się dosłyszeć nagłą głos rozsądku. Popatrz! Zamarł. Mrugnął. Popatrz, jaka jest mała! I posłuchaj! Płacze. Płacze, nie mówi. Nie wypowiada słów. Nie umie mówić, więc nie powie...

Przeraziło go, że mimo wszystko nadal czuł pokusę.

– Bum – szepnął do siebie.

W odpowiedzi usłyszał przerażający śmiech, ale kiedy się rozejrzył, nie było nikogo.

Whitlam odwrócił się i uciekł. Nad ciałem Karen, do pikapa Luke'a, za kierownicę i dalej, dalej, na wiejską drogę. Nie spotkał nikogo i jechał, dopóki nie zaczął trząść się tak bardzo, że nie był już w stanie prowadzić. Skręcił w pierwszą drogę, którą zobaczył. Żalną dróżkę prowadzącą na niewielką polanę.

Wysiadł i wyciągnął swój rower. Zęby dzwoniły mu niemiłosiernie. Drżącymi rękami ściągnął plandekę, która teraz zakryła cztery poziome smugi na lakierze, powstałe, kiedy rower ruszał się podczas jazdy.

Whitlam zebrał się w sobie i nachylił nad ciałem. Nie było żadnych oznak życia. Patrzył na twarz Luke'a z tak bliska, że widział, gdzie się zaciął podczas golenia. Ani śladu oddechu. Szybko naciągnął nowe rękawiczki i włożył plastikową pelerynę, następnie zaciągnął ciało na skraj naczepy. Nie bez problemów posadził je w zgiętej pozycji. Włożył strzelbę między nogi Luke'a, przycisnął do niej jego palce i oparł lufę o jego zęby.

Obawiał się, że ciało się zsunie, i przyszła mu do głowy dziwaczna myśl, iż powinien był to przećwiczyć. Ale zamknął tylko oczy i pociągnął za spust. Twarz Luke'a przestała istnieć, a jego ciało upadło do tyłu. Ślad po uderzeniach w tył głowy znikł, kiedy czaszka Luke'a zmieniła się w miazgę. Zrobione. Whitlam włożył rękawiczki, pelerynę i plandekę do reklamówki, żeby później je spalić. Wziął trzy głębokie oddechy, wsiadł na rower i odjechał.

Kiedy oddalał się od miejsca zbrodni, muchy już zaczynały tam krążyć.

## Rozdział 39

Gabinet Whitlana był pusty. Zniknął jego portfel, razem z telefonem i kluczami. Jego marynarka nadal wisiała na oparciu fotela.

– Może poszedł się przejść – powiedziała nerwowo sekretarka. – Jego samochód nadal jest tutaj.

– Nie, nie – rzekł Falk. – Barnes, jedź do jego domu. Jeśli jego żona tam jest, zatrzymaj ją. – Zamyślił się na chwilę, po czym zwrócił się do sekretarki. – Czy córka Whitlana jest nadal w szkole?

– Tak, tak sędzę...

– Prowadź do niej. Natychmiast.

Sekretarka musiała truchtać, aby dotrzymać kroku policjantom.

– Tu – oznajmiła, niemal bez tchu, zatrzymując się przed drzwiami klasy. – Jest tu.

– Która to? – zapytał Falk, wypatrując przez szybę w drzwiach dziecka, które widział tylko na fotografii.

– Tam – wskazała sekretarka. – Mała blondynka w drugim rzędzie.

Falk obrócił się do Raca.

– Wyjechałyby z miasta bez dziecka?

– Ciężko powiedzieć. Ale nie sędzę. Nie, jeśli miałby wybór.

– Zgadza się. Pewnie jest niedaleko – stwierdził Falk. – Zadzwoń do Clyde. Muszą już dojeżdżać. Trzeba zarządzić blokadę dróg i zwołać wszystkich, którzy mają jakiegokolwiek doświadczenie w poszukiwaniach.

Raco podążył za spojrzeniem Falka, który spoglądał przez okno. Tuż za szkołą

zaczynał się gęsty i nieprzenikniony busz, który doskonale strzegł swoich tajemnic.

– Zanosi się na cholernie ciężkie poszukiwania – skwitował Raco, przykładając telefon do ucha. – To najlepsza kryjówka na świecie.

Członkowie ekip poszukiwawczych stali ustawieni ramię w ramię na skraju buszu, ich odblaskowe kamizelki wyraźnie odcinały się od otoczenia. Eukaliptusy szemrały i powiewały nad ich głowami, kiedy wiatr przedzierał się przez gałęzie. Podmuchy unosiły w powietrze pył i żwir, zmuszając poszukiwaczy do mrużenia i osłaniania oczu. Za ich plecami rozciągała się Kiewarra migocząca w otoczce upału.

Falk zajął swoje miejsce w szeregu. Było południe i niemal natychmiast poczuł, że pod kamizelką był cały mokry od potu. Obok niego stał Raco z ponurą miną.

– Panie i panowie, proszę włączyć radia – zawołał przez megafon dowodzący grupą poszukiwawczą. – I pamiętajcie, że występuje tutaj wąż tygrysi, więc patrzcie pod nogi.

Śmigłowiec ciął gorące powietrze ponad ich głowami. Na sygnał dowodzącego pomarańczowa linia ruszyła do przodu niemal jednocześnie. Busz pochłonał ich, szczelnie zamykając się za ich plecami. Górujące nad okolicą eukaliptusy i gęsta roślinność rozdzieliły grupę, kiedy jej członkowie zapuszczali się coraz głębiej i głębiej. Po kilku krokach Falk widział już jedynie Raca po swojej lewej i jedną pomarańczową kamizelkę daleko po swojej prawej stronie.

Była to specjalna technika poszukiwawcza, jak wcześniej wyjaśnił im bardzo zniecierpliwiony dowódca. Świetnie sprawdzała się w gęstym buszu. Członkowie ekipy poszukiwawczej ustawiają się w linii i każdy z nich idzie dokładnie przed siebie, sprawdzając wszystko na swojej drodze, aż napotka na przeszkodę nie do pokonania.

– Teoria głosi, że jeśli my nie możemy przejść, poszukiwana osoba również tego nie dokonała. Kiedy nie będzie już się dało pójść dalej, obracacie się i wracacie na ścieżkę – powiedział, podając Falkowi kamizelkę. – Miejcie oczy otwarte. W buszu potrafi być strasznie.

Falk parł do przodu. Było dziwnie cicho, jeśli nie liczyć trzasku suchych gałązek pod stopami i wiatru hulającego między gałęziami. Rozżarzone do białości słońce było wysoko i od czasu do czasu jego promienie przebijały się przez gęstą roślinność



niczym reflektory. Nawet hałas helikoptera zdawał się przytłumiony, kiedy tak unosił się wysoko ponad ich głowami niczym drapieżny ptak.

Falk poruszał się ostrożnie, ponieważ gra słońca na ziemi bywała zdradliwa. Nie był pewien, jakich znaków powinien wypatrywać, ale robiło mu się niedobrze na samą myśl, że mógł je przeoczyć. Nie brał udziału w pełnowymiarowych przeszukiwaniach buszu od czasu szkolenia w akademii policyjnej. Ale jako dziecko spędził dostatecznie dużo czasu wśród tych drzew, aby wiedzieć, że one zdecydowanie łatwiej wciągały cię do środka, niż pozwalały ci odejść.

Pokaźna kropla potu wpadła mu do oka, przetarł je więc zniecierpliwiony. Minuty płynęły. Wokół niego drzewa z każdym niemal krokiem rosły coraz gęściej i Falk musiał podnosić nogi coraz wyżej, torując sobie drogę przez wysoką trawę. Przed sobą dostrzegł przerośnięte zarośla. Nawet z daleka wyglądały na płataninę nie do przejścia. Doszedł niemal do końca swojej linii. Ani śladu Whitlana.

Ściągnął kapelusz i potarł głowę dłonią. Nie dobiegały do niego żadne okrzyki świadczące o powodzeniu innych poszukujących. Radio u jego paska milczało. Czy minęli go? Falkowi stanął przed oczami obraz Luke'a leżącego na tyle swojego pikapa. Nałożył kapelusz z powrotem i ruszył dalej, torując sobie drogę w kierunku zarośli. Posuwał się powoli i zdołał ujść zaledwie kilka metrów, kiedy poczuł, że coś odbiło się od jego kamizelki.

Falk spojrzał zaskoczony. W pewnej odległości po jego lewej stronie, kilka kroków dalej w busz, zatrzymał się Raco i obrócił do niego. Trzymał palec przy ustach.

– Whitlam? – Falk poruszył ustami bezdźwięcznie.

– Możliwe – zasygnalizował Raco, robiąc ręką niepewny gest. Podniósł radio do ust i coś wyszeptał.

Falk rozejrzał się dookoła, wypatrując pomarańczowego koloru. Najbliższy członek ekipy był zaledwie małą plamką za zasłoną z drzew. Falk zaczął skradać się w kierunku Raca, krzywiąc się, kiedy poszycie głośno trzeszczało pod jego stopami.

Spojrzał tam, gdzie wskazywał przyjaciel. Powalona kłoda wytworzyła zagłębienie tuż przed linią zarośli. Niemal niewidoczne, ale jednak rzucające się w oczy na tle otoczenia, widniało coś różowego, cielesnego. Opuszki palców. Raco sięgnął po policyjny pistolet.

– Nie radzę – zza kłody dobiegł ich głos Whitlama. Brzmiał dziwnie spokojnie.

– Scott, stary, to my – Falk wysilił się na przyjazny ton. – Czas się poddać. Szuka cię tutaj pięćdziesiąt osób. Masz tylko jedno wyjście.

Whitlam roześmiał się.

– Zawsze jest więcej niż jedno wyjście – rzekł. – Jezu, ale wam, glinom, brakuje wyobraźni. Powiedz koledze, żeby schował broń. A potem może znów włączyć to swoje radio i powiedziec reszcie, żeby się wycofali.

– Nie masz na co liczyć – odpowiedział mu Raco, który cały czas mierzył w kierunku kłody. Jego ręce były zupełnie pewne.

– Ależ mam. – Whitlam wstał niespodziewanie. Był brudny i spocony, a na jego zaczerwienionych policzkach malowała się sieć drobnych zadrapań. – Spokojnie – powiedział. – Jesteś w telewizji.

Whitlam wskazał palcem na policyjny helikopter nad ich głowami, który pojawiał się i znikał w szczelinach między czubkami drzew, zataczając koła na niebie. Falk nie był pewien, czy załoga ich dostrzegła, ale miał taką nadzieję.

Niespodziewanie Whitlam wyciągnął ramię w ich kierunku w geście przypominającym nazistowskie pozdrowienie i odsunął się od kłody. Mocno ścisnął coś w ręku.

– Nie zbliżajcie się – nakazał, obracając dłoń.

Falk dostrzegł błysk metalu i w jego głowie pojawiła się myśl, że to pistolet, ale gdzieś w głębi umysłu nadal trwał proces przetwarzania danych. Obok niego Raco cały się spiął. Whitlam rozprostował palce dłoni, jeden po drugim, i Falk przestał oddychać.

Usłyszał jęk Raca – głęboki i przeciągły. To było tysiąc razy gorsze niż pistolet.

Scott Whitlam trzymał w dłoni zapalniczkę...

## Rozdział 40

Whitlam otworzył wieczko zapalniczki i oślepiająco biały płomień zatańczył na tle buszu. Sytuacja rodem z koszmaru. Niczym splątane linki spadochronu lub hamulce, które nie zadziałały na autostradzie. Niczym złe przecucie. Falk widział niemal, jak strach wzbiera w jego wnętrzu i napiera na skórę.

– Scott... – zaczął, ale Whitlam uniósł jeden palec w ostrzegawczym geście.

Zapalniczka, którą trzymał, należała do tych drogich, których ogień płonie, dopóki nie zamknie się jej ręcznie. Płomień drżał i tańczył na wietrze.

Jednym ruchem Whitlam sięgnął do kieszeni i wyjął małą butelkę. Otworzył ją i napił się. Nie spuszczając z nich oczu, przekrzywił butelkę i rozlał bursztynowy płyn wokół siebie. Opary whisky natychmiast doleciały do Falka.

– Potraktujcie to jako moje ubezpieczenie – zawołał Whitlam.

Płomień zafalował, kiedy jego wyprostowana ręka zaczęła drżeć.

– Scott! – zawołał Raco. – Ty pieprzony idioto! Zabijesz nas wszystkich, siebie też.

– To mnie zastrzel, ale wtedy i tak ją upuszczę.

Falk zmienił pozycję. Liście i gałązki głośno zachrzęściły pod jego stopami. Dwa lata bez porządnego deszczu, do tego jeszcze alkohol. Stali na beczce prochu. Gdzieś za ich plecami, niewidoczne, ale połączone nieprzerwanym łańcuchem eukaliptusów i traw, znajdowały się szkoła i miasteczko. Ogień przeleciałby przez ten łańcuch niczym pocisk. Ruszyłby naprzód, rzuciłby się, trawiąc wszystko na swej drodze. Wspiąłby się na wzgórze jak zwierzę i siałby spustoszenie z nieludzką wprost dokładnością.

Ręce Raca trzęsły się, kiedy mierzył do Whitlana. Obrócił głowę nieznacznie w kierunku Falka.

– Gdzieś tam jest Rita – wyszeptał przez zaciśnięte zęby. – Zastrzelę go, zanim pozwolę mu podpalić to miejsce.

Falk pomyślał o pełnej życia żonie Raca i jej ciążowym brzuchu. Podniósł głos.

– Scott, nie ma szans, żebyś z tego wyszedł, jeśli płomień dotknie ziemi. Wiesz o tym. Spłoniesz żywcem.

Głowa Whitlana drgnęła nieznacznie na dźwięk tych słów i zapalniczka zakołysała się w jego ręce. Falk wciągnął powietrze, a Raco odsunął się o krok i zaklął.

– Chryste, uważaj, co robisz, dobra? – wrzasnął.

– Tylko nie podchodź – rzucił Whitlam, odzyskując panowanie nad sobą. – Odłóż pistolet.

– Nie.

– Nie masz wyboru. Bo upuszczę.

– Zamknij zapalniczkę.

– Ty pierwszy. Broń na ziemię.

Raco zawahał się, jego palec na spuście zbieleł. Spojrzał na Falka, po czym niechętnie pochylił się i odłożył broń. Falk nie miał do niego pretensji, wiedział, jak wygląda pożar buszu. Jeden z jego sąsiadów stracił dom i czterdzieści owiec, kiedy pewnego lata pozornie kontrolowane wypalanie wymknęło się spod kontroli. Falk i jego ojciec obwiązali sobie twarze chustkami i chwycili za węże i wiadra, kiedy niebo w południe stało się czarno-czerwone. W powietrzu unosiły się piski owiec. Ogień huczał i ryczał jak demon. To było przerażające, niczym zapowiedź piekła. A teraz ziemia była znacznie bardziej sucha. Wszystko zajmie się w mig.

Przed nimi Whitlam otwierał i zamykał zapalniczkę, jakby to była zabawka. Raco przyglądał się temu, zahipnotyzowany, i bezradnie zaciskał pięści. Helikopter zawisł dokładnie nad nimi, a kątem oka Falk dostrzegł liczne pomarańczowe kropki między drzewami. Nie było wątpliwości, że nakazano im się nie zbliżać.

– Domyśliłeś się więc – powiedział Whitlam głosem zdradzającym raczej zaniepokojenie niż złość. – Wpadłeś na to, że chodziło o pieniądze z funduszu.

Otworzył zapalniczkę i tym razem już jej nie zamknął. Starał się nie patrzeć na

plomień.

– Tak – potwierdził Falk. – Powiniennem był domyślić się wcześniej. Ale dobrze się ukrywałeś z hazardem.

Whitlam zachichotał. Był to dziwny, złowrogi dźwięk niesiony przez wiatr.

– Lata praktyki. Sandra mnie ostrzegła. Powiedziała, że któregoś dnia za to zapłacę. Hej... – Whitlam wymierzył w nich zapalniczkę i z gardła Raca wydobył się pomruk. – Słuchajcie, Sandra nie miała z tym nic wspólnego, jasne? Wie trochę o hazardzie, ale nie ma pojęcia, jak daleko to zaszło. Ani o niczym innym. Obiecujcie, że weźmiecie to pod uwagę. Ona nie wiedziała. Ani o pieniądzach szkolnych, ani o Hadlerach... – Głos mu drgnął, kiedy wymienił to nazwisko. – Przykro mi z powodu tego małego chłopca, Billy’ego – dodał, krzywiąc się, a potem spojrzał w dół i zamknął zapalniczkę.

Falk poczuł pierwszy promyk nadziei.

– Nigdy nie chciałem, żeby Billy’emu stała się krzywda. Nie miało go być wtedy w domu. Musicie mi uwierzyć. Próbowałem go ocalić. Powiedzcie to Sandrze.

– Scott – odezwał się Falk. – Czemu nie pójdziesz z nami. Możemy pojechać do Sandry i sam jej to powiesz.

– Jakby ona chciała mieć cokolwiek ze mną wspólnego po tym wszystkim... po tym, co zrobiłem... – Policzki Whitlama błyszcząły od potu i łez. – Powiniennem był pozwolić jej odejść lata temu, kiedy chciała to zrobić. Powiniennem był pozwolić jej zabrać Danielle i uciec ode mnie jak najdalej, żeby mogły być bezpieczne. Ale nie zrobiłem tego, a teraz jest już za późno...

Przetarł twarz dłonią. Raco, chcąc wykorzystać szansę, sięgnął po broń.

– Ej! – I zanim Raco złapał pistolet, Whitlam ponownie otworzył zapalniczkę. – Umówiliśmy się.

– W porządku – rzekł Falk. – Tylko się uspokój, Scott. On się martwi o swoją rodzinę. Tak jak ty.

Raco, z jedną ręką wyciągniętą i wyrazem twarzy przypominającym mieszaninę strachu i furii, powoli się wyprostował.

– Scott. Ona jest w ciąży – powiedział, patrząc mu prosto w oczy. – Moja żona ma urodzić za cztery tygodnie. Proszę cię. Proszę, zamknij tę zapalniczkę.

Ręka Whitlama trzęsła się.

– Zamknij się!

– Nadal możesz wyjść z tego cało, Scott – tłumaczył Falk.

– Nie mogę. To nie takie proste. Nic nie rozumiesz.

– Proszę – mówił Raco. – Pomyśl o Sandrze i Danielle. Zamknij zapalniczkę i chodź z nami. Jeśli nie dla siebie, to zrób to dla swojej żony i dla waszej córeczki.

Whitlam wykrzywił twarz i zadrapania na niej przybrały nieciekawą kolor. Próbował wziąć głęboki oddech, ale z jego piersi dobyło się tylko łkanie.

– Zrobiłem to dla nich! – wrzasnął. – Wszystko! Cały ten chaos tylko dla nich! Chciałem je chronić! Co miałem zrobić?! Widziałem gwóźdź i arkę. Zmusili mnie, żebym jej dotknął. Jaki wybór miałem?

Falk nie rozumiał do końca, o czym Whitlam mówi, ale mógł się domyślić. Mimo pozornie narastającej paniki czuł się dziwnie spokojny. Być może Whitlam mógł znaleźć usprawiedliwienie we własnych oczach, ale tylko on ponosił odpowiedzialność za swoje potworne czyny.

– Zaopiekujemy się nimi, Scott. Zatrzymamy się o Sandrę i Danielle – Falk wypowiedział te imiona głośno i wyraźnie. – Chodź z nami i powiedz nam, co wiesz. Wspólnie zadamy o ich bezpieczeństwo.

– Nie możesz! Nie możesz chronić ich w nieskończoność, a ja nie mogę chronić ich w ogóle! – Whitlam łkał teraz otwarcie, a płomień trząsał się w zaciskającej się coraz mocniej pięści.

Falk wstrzymał oddech.

Próbował uspokoić swoje myśli i przeanalizować niebezpieczeństwo dokładniej. Kiewarra za ich plecami, przycupnięta w dolinie ze swoimi mrocznymi tajemnicami. Szkoła, bydło, Gerry i Barb, Gretchen, Rita, Charlotte, McMurdo... Przeprowadzał szalone obliczenia. Odległości, liczba domów, drogi ewakuacyjne. Wszystko na nic. Ogień jest szybszy od samochodu, a co dopiero od człowieka.

– Scott! – krzyknął. – Proszę, nie rób tego! Dzieci nadal są w szkole. Twoja córeczka tam jest. Sami widzieliśmy. Całe to miejsce jest jak beczka prochu, i ty wiesz o tym.

Whitlam spojrzał w kierunku miasteczka, a wtedy Falk i Raco zrobili szybki krok

w jego kierunku.

– Hej! – warknął na nich. – Nie! Nie podchodźcie, bo upuszczę.

– Twoja córka i wszystkie te dzieci spłoną żywcem. – Falk próbował mówić spokojnym głosem. – To miasteczko, posłuchaj mnie, Scott, to miasteczko i jego mieszkańcy, wszystko spłonie do gołej ziemi.

– Powinienem w takim razie dostać cholerny medal za to, że uwolnię Kiewarrę od tej męki. To miasteczko to kupa gówna.

– Może i tak, ale dlaczego dzieci mają za to płacić.

– Dzieci się uratują. Strażacy pojedą do nich od razu.

– Jacy strażacy, ty durniu?! – wrzasnął Raco, wskazując pomarańczowe kamizelki, którymi usiany był busz. – Wszyscy są tutaj i ciebie szukają. Wszyscy zginiemy razem z tobą. Jeśli upuścisz tę zapalniczkę, nikt się nie uratuje: ani twoja żona, ani twoja córka. Gwarantuję ci to.

Whitlam zgiął się wpół, jakby ktoś uderzył go w brzuch, a ogień wciąż tańczył w jego dłoni. W jego oczach malował się czysty strach, kiedy spojrzał na Falka i zawył jak zwierzę.

– I tak je straciłem! Nie uratuję ich! Nigdy nie mogłem! Lepsza taka śmierć niż to, co nas czeka.

– Nie, Scott, to nie...

– I to miasteczko... Przegniłe do szpiku kości! – wrzasnął, unosząc zapalniczkę w górę. – Kiewarra może spłonąć...

– Teraz – krzyknął Falk i razem z sierżantem ruszyli do przodu z szeroko rozłożonymi ramionami, trzymając rozpostarte kamizelki jak koc i całym ciałem rzucając się na Whitlana, kiedy ten upuszczał zapalniczkę. Biały żar uderzył Falka w pierś, kiedy upadli na ziemię, tocząc się – kamizelki łopotały, buty kopały ziemię. Falk nie zwracał uwagi na palący ból w łydce i udzie. Trzymał w garści włosy Whitlana i nie puszczał, choć jego dłoń przeszywał ogromny ból, aż w końcu włosy rozpadły się w jego uchwycie, a jego czerwona do żywego ręka została z niczym.

Toczyli się i płonęli, jak się Falkowi zdawało, przez całą wieczność, dopóki ręce w grubych rękawicach nie odciągnęły go za ramiona. Wydał z siebie zwierzęcy ryk, kiedy jego poparzona skóra zaczęła pulsować i pękać.

Otulono go ciężkim kocem i zaczął się dławić, łykając wodę, którą oblano mu twarz i głowę. Druga para rąk odciągała go stamtąd. Upadł na wznak, a ktoś wepchnął mu do ust butelkę z wodą. Nic nie mógł przełknąć. Skręcał się w bólu, aż ktoś go delikatnie przytrzymał, i teraz już tylko płakał, czując, jakby ogień nadal trawił jego kończyny. Czuł zapach palonego ciała, mrugał i prychał, a woda kapała mu z oczu i z nosa.

Obrócił głowę na bok, przykładając mokry policzek do ziemi. Raco był niewidoczny za klęczącymi wokół niego ludźmi w kamizelkach. Falk widział wyraźnie tylko jego buty. Nie poruszały się.

Trzecia grupa ratowników otaczała skulony i wrzeszczący kształt.

– Raco – Falk próbował się odezwać, ale ktoś ponownie przyciskał mu do ust butelkę z wodą. Z wysiłkiem odsunął głowę. – Raco, stary. W porządku? – Brak odpowiedzi. – Pomóście mu! – Dlaczego oni nie poruszają się szybciej?, myślał. – Jezu, pomóście mu!

– Cii – powiedziała kobieta w odblaskowej kamizelce, kiedy przypinano go do noszy. – Robimy, co w naszej mocy.



## Rozdział 41

Kiedy Falk obudził się na oddziale poparzeń szpitala w Clyde, powiedziano mu, że będzie dobrze. Ale jego kariera modela definitywnie dobiegła końca... Kiedy pozwolono mu zobaczyć obrażenia, był równocześnie zafascynowany i zohydżony swoim ciałem. Jasną, mleczną skórą ustąpiła miejsca czerwonej połyskującej tkance. Zabandażowali mu rękę, ramię i nogę... Więcej już nie podglądał.

Przykuty do łóżka nie mógł opędzić się od gości. Barb i Gerry przyprowadzili Charlotte, McMurdo przemycił piwo, a Barnes siedział przy nim naprawdę długo, niemal się nie odzywając. Gretchen nie przyszła z wizytą. Nie winił jej za to. Kiedy pozwolono mu się ruszyć, większość czasu spędzał przy Racu, który leżał pogrążony w śpiączce farmakologicznej, żeby rozległe oparzenia na jego torsie i plecach goiły się szybciej.

Jego życiu również nie zagrażało niebezpieczeństwo, tak przynajmniej powiedzieli lekarze. Ale nie robili sobie żartów, jak w przypadku Falka.

Rita Raco jedną dłoń przykładła do swojego brzucha, drugą zaś trzymała zdrową rękę Falka, kiedy siedzieli w ciszy u boku jej męża. Falk powiedział jej, że Raco był dzielny. Rita skinęła głową i zapytała lekarza po raz kolejny, kiedy jej mąż się obudzi. Międzystanową zaczęli nadjeżdżać bracia Raca. Wszyscy wyglądali jak różne wersje tej samej osoby. Ściskali dłoń Falka i mimo że rzucali w kierunku brata rozkazy, by w końcu wstał z łóżka, widać było, że są przerażeni.

Raco w końcu otworzył oczy, a wtedy lekarze wygnali Falka na cały dzień. Tylko rodzina. Kiedy ponownie wpuszczono go do przyjaciela, zobaczył, jak Raco posyła mu

słaby, lecz jakże dobrze znany uśmiech spod swoich bandaży.

– Prawdziwy chrzest ognia, co?

Falkowi udało się roześmiać.

– Coś w tym stylu. Spisałeś się.

– Musiałem to zrobić. Dla Rity. Ale powiedz prawdę. – I Raco skinął na niego, żeby podszedł bliżej. – Nie kusiło cię choćby odrobinę, żeby pozwolić Kiewarze pójść z dymem po tym wszystkim, co cię tu spotkało?

Tym razem Falk uśmiechnął się jak należy.

– Nie mogłem sobie na to pozwolić, stary. Klucze do mieszkania zostały nad pubem.

Whitlam został przeniesiony do Alfred Hospital w Melbourne, gdzie przebywał pod nadzorem policji z powodu serii zarzutów, w tym zabójstwa Luke'a, Karen i Billy'ego Hadlerów.

Powiedziano Falkowi, że był nie do poznania. Ogień zajął jego włosy. Miał wiele szczęścia, że w ogóle przeżył. Falk osobiście uważał inaczej. Więzienie nie będzie dla niego łatwe.

Kiedy Falk został wypisany, wysłano go na rekonwalescencję pod opiekę wdzięcznych Hadlerów. Barb rozpieszczała go, a Gerry nie mógł przejść koło niego, żeby nie uścisnąć mu dłoni. Nalegali, żeby Falk spędzał jak najwięcej czasu z Charlotte. Opowiadali jej, że pomógł jej tatusiowi. Że przywrócił jej prawdziwego tatusia – dobrego człowieka i kochającego męża.

Nic nie mogło wrócić im syna, synowej i wnuka, ale w pewien sposób byli pogodniejsi. Falk zauważył, że znów mogli patrzeć ludziom w oczy. Razem poszli na cmentarz. Teraz przede wszystkim grób Luke'a tonął w świeżych kwiatach.

Podczas gdy Barb pokazywała kartki i kwiaty Charlotte, Gerry wziął Falka na stronę.

– Dzięki Bogu to nie miało nic wspólnego z Ellie Deacon – powiedział Gerry. – Chcę, żebyś wiedział, że nigdy tak naprawdę... to znaczy, Luke nigdy by...

– Wiem, Gerry. Nie martw się.

– Podejrzewasz, co jej się przytrafiło?

Falk wydał z siebie tylko nikły pomruk, ponieważ właśnie podeszła do nich Barb.

Jak tylko odzyskał siły, poszedł o własnych nogach do domu Gretchen. Była na polu, strzelając do królików, i kiedy podchodził, odwróciła się, mierząc do niego kilka chwil dłużej, niż było to potrzebne.

– Gretchen, przepraszam – zawołał przez pole, podnosząc ręce do góry. – Tyle chciałem ci powiedzieć.

Spojrzała na jego bandażę i opuściła broń. Westchnęła, a on podszedł bliżej.

– Nie odwiedziłam cię w szpitalu...

– Wiem.

– Chciałam, ale...

– W porządku. A jak ty się masz?

Wzruszyła ramionami i stała chwilę w milczeniu, przysłuchując się kakału na drzewach. Nie patrzyła na niego.

– Luke kochał Karen – odezwała się w końcu. – Naprawdę. A wcześniej kochał Ellie. – Rozejrzała się po polach, jej oczy były mokre. – Nie wiem, czy kiedykolwiek liczyłam się dla niego najbardziej.

Falk chciał jej powiedzieć, że się myli, ale wiedział, że była na to zbyt inteligentna.

– A co z dniem, w którym umarła Ellie?

Gretchen zmarszczyła się.

– Zawsze wiedziałam, że Luke kłamał dla ciebie. – Jej głos był pełen łez. – Wiedziałam, bo był wtedy ze mną.

– Słyszałeś? – Gretchen otworzyła oczy i zmrużyła je przed słońcem przeświecającym przez gałęzie drzew. Trawa łaskotała ją w plecy.

– Co?

Czuła oddech Luke'a na swojej szyi, kiedy się odezwał. Jego włosy nadal były mokre, a jego głos śpiący i stłumiony. Gretchen próbowała się podnieść, ale przygniatał ją jego nagi tors przyciśnięty do jej piersi. Ich ubrania leżały w niechlujnej stercie u podnóża drzewa.

Rozebrali się do bielizny, zanim wskoczyli do chłodnych wód rzeki. Gretchen czuła ciepło ciała Luke'a nawet w wodzie, kiedy całował ją namiętnie i przycisnął do brzegu. Bielizna poszła w zapomnienie i suszyła się teraz na kamieniu.

Poziom rzeki był wysoki, a jej wody szemrały i rozpryskiwały się, spływając z nurtem w dół. Mimo to Gretchen znów usłyszała ten dźwięk. Suchy trzask, gdzieś między drzewami. Zamarła. Kolejny.

– O cholera – wyszeptała. – Chyba ktoś idzie. – Zepchnęła z siebie Luke'a, który usiadł, marszcząc się i mrugając oczami. – Szybko. – Gretchen rzuciła mu dzinsy, a sama próbowała zapiąć stanik, myląc haftki w pośpiechu. – Ubieraj się.

Luke ziewnął, a widząc wyraz jej twarzy, zaczął się śmiać.

– Dobra już, dobra.

Upewnił się jeszcze, że bokserki były obrócone na właściwą stronę, zanim je na siebie naciągnął. Ścieżka znajdowała się w pewnej odległości, osłonięta przez gęstą zasłonę z drzew, ale kroki było słychać coraz wyraźniej.

– Proszę, czy mógłbyś włożyć spodnie? – zapytała Gretchen, wkładając podkoszulek przez mokre włosy. – Powinniśmy już iść. To może być ktokolwiek. To może być mój tata.

– Nie wydaje mi się, żeby to był twój tata – powiedział Luke, ale i tak włożył spodnie. Założył koszulę i buty i stanęli w milczeniu ramię w ramię, wyglądając przez gęstą roślinność na ścieżkę.

Gretchen niemal się roześmiała, kiedy zza linii drzew wyłoniła się niewielka postać.

– Jezu, to tylko Ellie. A ja prawie dostałam zawału – nadal szeptała.

Dziewczyna szła szybko z pochyloną głową. Zatrzymała się nad rzeką. Wpatrywała się przez chwilę w wezbrane wody, przyciskając jedną dłoń do ust, po czym odeszła.

– Czy ona jest tutaj sama? – zapytała Gretchen, ale jej głos zagłuszyła rzeka. Przez chwilę wydawało się, że słyszała kolejny trzask, lecz ścieżka była pusta.

– Nieważne – Luke mówił cicho. – Masz rację. Powinniśmy już pójść.

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Czemu? Przywitajmy się z nią chociaż.

– Nie chcę. Ona jest ostatnio jakaś dziwna. Poza tym jestem mokry.

Gretchen spojrzała na dół. Jej mokry stanik przebijał przez bluzkę.

– I co z tego? Ja też.

– Po prostu chodźmy.

Gretchen popatrzyła na niego. Chociaż woda zmyła z niego zapach seksu, Luke miał wymalowane na twarzy, co robił.

– Dlaczego właściwie nie chcesz, żeby nas zobaczyła? – zapytała.

– W ogóle mnie to nie obchodzi, Gretch – wciąż szeptał. – To nadęta suka, a ja nie mam dziś siły się kłócić.

Odwrócił się i zaczął iść w przeciwnym kierunku niż Ellie, która przykucnęła przy dziwnie wyglądającym drzewie.

– Co ona robi? – zapytała Gretchen, ale Luke'a już nie było.

– Kiedy się dowiedziałam, że powkładała sobie kamienie do kieszeni, nie spałam przez trzy noce. – Gretchen wytarła nos w chusteczkę. – Widziałam ją. Gdybym do niej podeszła, może zdołałabym ją powstrzymać. Ale nie zrobiłam tego. – Jej słowa niemal zupełnie utonęły we łzach. – Odeszłam. Oczywiście poszłam za Lukiem.

Gretchen dogoniła go szybko.

– Hej! – Pociągnęła go za ramię. – Co się dzieje?

– Nic, mała. – Wziął ją za rękę, ale nie zatrzymał się. – Po prostu czas już wracać.

Gretchen wyszarpała swoją dłoń.

– Ona i tak wie, że jesteśmy razem. Mówię o Ellie. To żadna tajemnica.

– Wiem, skarbie, oczywiście, że wiem.

– To dlaczego nie chciałeś, żeby nas zobaczyła? Jakie to ma znaczenie, czy inni wiedzą, że jesteśmy teraz już na poważnie?

– Żadnego. Zostawmy to – powiedział Luke. Tym razem przystanął i obrócił się do niej. Nachylił się, żeby ją pocałować. – Zrozum, to nie ma znaczenia. Ale to, co nas łączy, jest wspaniałe. Chciałbym, żeby to było coś wyjątkowego. Tylko między nami.

Odsunęła się.

– No jasne, a jaki jest prawdziwy powód? Sądzisz, że możesz spotkać jakąś lepszą dziewczynę?

– Gretchen, daj spokój.

– O to chodzi? Bo jeśli tak, to Ellie jest całkiem blisko... – Na te jej słowa Luke jęknął i zaczął iść. – I wokół jest mnóstwo chłopaków, którzy...

– Nie bądź taka. – Jego głos doleciał znad ramienia.

Popatrzyła za nim. Uwielbiała te jego ramiona.

– Czyli co teraz?

Nie odpowiedział.

Wyszli ze ścieżki na pastwisko na farmie jej rodziców i w milczeniu szli w kierunku domu. Gretchen wiedziała, że jej mama i siostra jeszcze nie wróciły. Słyszała, że ojciec robił coś w stodole na odległym końcu podwórza.

Luke wziął swój rower spod drzewa, gdzie go zostawił, i wsiadł na niego. Wyciągnął do niej rękę. Po chwili wahania ujęła ją.

– Chciałbym, żebyśmy pewne sprawy zachowali tylko dla siebie – mówił, patrząc jej w oczy. – Ale nie ma to sensu, jeśli za każdym razem będziesz zachowywać się jak księżniczka.

Pochylił się nad nią, ale ona odwróciła głowę, unikając jego pocałunku. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym wzruszył ramionami. Kiedy odjeżdżał, Gretchen wybuchnęła płaczem.

Łzy spływały po jej pięknej twarzy, aż dotarło do niej, że on nie zawróci. Poczula, jak zalała ją fala gniewu, otarła oczy i pobiegła do pustego domu. Chwyliła kluczyki do gospodarczego pikapa. Nie miała jeszcze prawa jazdy, ale od lat jeździła po polach.

Wskoczyła za kierownicę i ruszyła w kierunku, w którym odjechał Luke. Jak śmiała ją tak potraktować? Zauważyła jego rower przed skrzyżowaniem. Zwolniła trochę, aby zachować dzielącą ich odległość, nie do końca pewna, co chciała mu powiedzieć, kiedy go dogoni. Przed nią jakiś samochód wjechał na skrzyżowanie, więc zahamowała. Chwilę później przemknęła swoim białym pikapem przez skrzyżowanie.

Luke Hadler nie ma prawa mówić do niej w ten sposób, powtarzała sobie. Zasługiwała na coś lepszego. Ni z tego, ni z owego Luke skręcił w lewo i przez jeden straszny moment Gretchen myślała, że zawróci nad rzekę do Ellie. Jeśli to zrobi, to ona go po prostu zabije. Jechała za nim, wstrzymując oddech. W ostatnim momencie zwolnił, skierowując rower na podjazd prowadzący do jego domu.

Gretchen zatrzymała się w pewnej odległości i przyglądała się, jak otworzył drzwi i wszedł do środka. Widziała sylwetkę jego matki wieszającej pranie przed domem.

Zawróciła pikapa i przez całą drogę powrotną płakała.

– Kiedy dowiedziałam się, że Ellie nie wróciła do domu, poszłam nad rzekę. Spodziewałam się, że ją tam znajdę, zaszytą w śpiworze, ukrywającą się przed ojcem. Ale nie było po niej ani śladu. – Gretchen przygryzła paznokciec. – Luke i ja sprzecaliśmy się, czy powinniśmy komuś o tym powiedzieć. Ale wtedy jeszcze nie byliśmy zaniepokojeni, wiesz? Była tak bardzo skryta w ostatnim czasie, że, szczerze mówiąc, podejrzewałam, iż zjawi się, kiedy będzie miała na to ochotę. – Zamilkła na długą chwilę. – Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że znajdą ją w tej rzece... – Obróciła się, żeby spojrzeć na Falka. – Kiedy rozeszła się wiadomość, że Ellie się utopiła, nie mogłam sobie wybaczyć. Co by było, gdybyśmy zostali i z nią porozmawiali? Czułam przecież, że coś jest nie tak, a mimo to obróciłam się i odeszłam. Było mi tak bardzo wstyd... Postanowiłam się od tego odciąć. Wymogłam na Luke’u obietnicę, że nikomu nie powie, że ją wtedy widzieliśmy. Nie chciałam, by ktokolwiek dowiedział się, jak bardzo ją zawiedliśmy.

Gretchen otarła oczy.

– Kiedy myślałam, że gorzej już być nie może, ludzie zaczęli wytykać cię palcami. Nawet Luke się przestraszył. Jeśli ludzie sądzili, że ty byłeś w to zamieszany, to co by powiedzieli, gdyby dowiedzieli się, że my tam byliśmy? I wtedy Luke wpadł na ten pomysł. Miał powiedzieć, że był z tobą. To pomogłoby i tobie, i nam. A ja przez resztę życia mogłam udawać, że mnie tam nie było. Że nie pobiegłam za Lukiem, kiedy powinienam była pobiec za nią.

Falk podał Gretchen czystą chusteczkę, którą wyjął z kieszeni.

– Nie jesteś odpowiedzialna za to, co stało się Ellie Deacon – stwierdził.

– Możliwe. Ale mogłam zrobić dla niej więcej. – Wzruszyła ramionami i wydmuchała nos. – Nie wiem, o co chodziło z Lukiem. Nie był złym człowiekiem, ale na mnie miał zdecydowanie zły wpływ.

Stali obok siebie, przez chwilę patrząc na pola i widząc to, co już dawno przeminęło. Falk wziął głęboki oddech.

– Słuchaj, Gretchen, to nie moja sprawa, ale Gerry, Barb i Charlotte...

– Luke nie jest ojcem Lachiego.

– Ale...

– Aaron, proszę, przestań. – Spojrzenie jej niebieskich oczu napotkało jego, ale

tylko na chwilę.

– Zgoda – powiedział. Próbował. Wystarczy. – W porządku, Gretchen. Ale to dobrzy ludzie i tyle ostatnio stracili. Tak jak ty. Jeśli jest szansa na to, żeby uratować z tej sytuacji coś dobrego, powinnaś z tego skorzystać.

Nic nie powiedziała, tylko patrzyła na niego, a z wyrazu jej twarzy nie dało się niczego wyczytać. Falk wyciągnął do niej zdrową rękę. Spojrzała na nią, ale ku jego zaskoczeniu wzięła go w ramiona. Nie było w tym geście nic z flirtu, nie był nawet przyjacielski. Był raczej znakiem pokoju.

– Do zobaczenia za kolejne dwadzieścia lat – powiedziała.

Tym razem Falk pomyślał, że pewnie miała rację.

## Rozdział 42

Dom rodzinny Falka wyglądał na jeszcze mniejszy, niż go zapamiętał, i to zarówno z dzieciństwa, jak i z wizyty kilka tygodni wcześniej. Minął go, idąc w kierunku rzeki. Tym razem nie obawiał się spotkać właścicieli.

Kiedy był w szpitalu, McMurdo, przewracając oczami, powiedział mu, jak niektórzy szybko zmienili śpiewkę. Nagle zaczęli wrogo odnosić się do ulotek wymierzonych w obu Falków. Dwadzieścia lat temu to dwadzieścia lat temu, na litość boską. Było, minęło.

Falk szedł przez pola, a w jego głowie wszystko zaczynało się układać. Dwadzieścia lat temu to dwadzieścia lat temu, ale o pewnych sprawach nie należało zapominać. Ellie Deacon. Ona, bardziej niż inni, była ofiarą tego miasteczka. Jego sekretów, kłamstw i strachu. Potrzebowała kogoś. Możliwe, że potrzebowała jego, a on ją zawiódł. Istniało niebezpieczeństwo, że w tym całym zamieszaniu Ellie zostanie zapomniana. Jak niemal stało się to z Karen. I z Billym.

Ale nie dziś, pomyślał Falk. Dziś on będzie wspominał Ellie w miejscu, które kochała. Dotarł do skalnego drzewa, kiedy słońce zaczęło swoją wędrówkę w dół. Był już prawie kwiecień. Upalny uścisk lata zelżał. Ponoć susza miała skończyć się tej zimy. Miał nadzieję, dla dobra wszystkich, że tym razem była to prawda. Po rzece nadal nie było ani śladu. Falk ufał, że któregoś dnia powróci.

Przyklęknął i wyjął scyzoryk, który ze sobą przyniósł. Odnalazł miejsce, tuż nad sekretną szczeliną, i zaczął ryc napis. E.L.L. Ostrze było stępione i szło mu powoli, ale nie poddał się, dopóki nie skończył. W końcu usiadł, opierając się plecami o pień



drzewa, i otarł czoło. Przeciągnął kciukiem po napisie, przyglądając się swojej robocie. Poparzona noga paliła go od klęczenia.

Ból wywołał w jego głowie pewną myśl. Z jękiem obrócił się i sięgnął do szczeliny, szukając starej zapalniczki, którą zostawił tutaj ostatnim razem. Nostalgia swoją drogą, ale po ostatnich wydarzeniach nie chciał, żeby przypadkiem stała się pokusą dla kogoś innego.

Falk pamiętał, że wrzucił ją głęboko, więc na początku jego zdrowa ręka trafiła tylko na zeschnięte liście. Sięgnął głębiej, wyciągając palce. Wymacał metalową obudowę zapalniczki w momencie, kiedy jego kciuk natrafił na coś miękkiego, a jednocześnie trwałego. Podskoczył, wypuszczając zapalniczkę. Zirytowany, ponownie włożył rękę do środka i natrafił na tę samą rzecz. Była szorstka, ale giętka i dość duża. Zdecydowanie był to wytwór człowieka.

Falk zajrzał do szczeliny. Nic nie zobaczył i zawahał się. Ale natychmiast pomyślał o Luke'u, Whitlamie i Ellie, o wszystkich tych ludziach zranionych przez skrywane tajemnice. Wystarczy.

Tym razem pewnie włożył rękę do środka i przez chwilę szarpał przedmiot, zanim udało mu się go dobrze chwycić. Pociągnął tak mocno, że kiedy w końcu uwolnił swoje znalezisko, upadł na plecy. Przedmiot wyśladował na jego piersi, boleśnie go uderzając. Falk spojrzał w dół i aż wciągnął powietrze. Jego ręka zaciskała się na fioletowym plecaku.

Był pokryty pajęczynami i brudem, ale rozpoznał go od razu. Nawet gdyby nigdy wcześniej go nie widział, i tak by wiedział, do kogo należał. Oprócz niego o tej szczelinie wiedziała tylko jedna osoba, która tę wiedzę zabrała ze sobą do rzeki.

Falk otworzył plecak i zaczął rozkładać jego zawartość na ziemi. Dżinsy, dwa podkoszulki, bluza, czapka, bielizna, niewielka kosmetyczka. Plastikowe opakowanie, w którym znajdował się dowód należący do dziewczyny, która wyglądem przypominała trochę Ellie. Sharna McDonald, lat dziewiętnaście. Zwój banknotów: dziesięcio-, dwudziestodolarowych, od czasu do czasu jakiś większy nominał. Uciulane, oszczędzone.

Na samym dnie plecaka znajdował się jeszcze jeden przedmiot, który dwadzieścia lat wcześniej owinęła w pelerynę, żeby go zabezpieczyć. Wyciągnął go i długo trzymał

w rękach. Był wytarty i poślizgnięty, ale między jego twardą oprawą czarno na białym znajdowały się zapiski, które aż prosiły się o przeczytanie. Pamiętnik Ellie Deacon.

Za pierwszym razem, kiedy ją uderzył, nazwał ją imieniem jej matki. Widziała w zamglonych oczach ojca, że to słowo po prostu się mu wymknęło, kiedy jego pięść trafiła ją w ramię. Był pijany, a ona miała czternaście lat i powoli zaczynała wyglądać jak kobieta. Zdjęcie jej matki dawno zniknęło z półki nad kominkiem, ale wyraziste rysy tej kobiety powracały na farmę z każdym dniem, w którym Ellie Deacon stawała się coraz doroślejsza.

Uderzył ją raz, potem była długa przerwa i zdarzyło się to ponownie. I znów. I znów. Próbowwała rozcieńczać mu alkohol. Ale on zorientował się już przy pierwszym łyku. Więcej już nie popełniła tego błędu. W domu chodziła w koszulkach, które odsłaniały siniaki na jej ciele, lecz jej kuzyn Grant tylko włączał telewizor i mówił jej, żeby nie prowokowała starego. Jej wyniki w nauce pogorszyły się. Jeśli nauczyciele w ogóle zwrócili na to uwagę, to jedynie surowo karcąc ją za brak uwagi. Nigdy nie zapytali, co się stało.

Ellie zaczęła rzadziej się odzywać i odkryła, dlaczego jej rodzice tak chętnie sięgali po butelkę. Dziewczyny, które uważała za swoje przyjaciółki, zaczęły dziwnie się jej przyglądać i obgadywały ją, kiedy myślały, że nie słyszy. Miały wystarczająco dużo swoich problemów z pryszczami, wagą i chłopakami, żeby jeszcze zajmować się Ellie. Wystarczyło niewiele czasu, żeby Ellie została zupełnie na lodzie.

Pewnego sobotniego wieczoru była sama w Centenary Park z butelką w plecaku, nie mając gdzie się podziać, kiedy usłyszała dwa znajome głosy dochodzące z ławki nieopodal. Aaron i Luke. Ellie Deacon poczuła, jakby znalazła coś, o czym dawno zapomniała, a co było jej niegdyś bliskie.

Musieli tylko trochę się do siebie przyzwyczaić. Chłopcy patrzyli na nią, jakby nigdy wcześniej jej nie widzieli. Ale jej się to podobało. Nie miała nic przeciwko temu, żeby w jej życiu znalazły się dwie osoby, które dla odmiany robiły to, co ona chciała.

Kiedy byli znacznie młodsi, wolała głośnego i wesołego Luke'a, ale teraz znacznie bardziej ciągnęło ją do pogrążonego w myślach Aarona. Luke nie przypominał w niczym jej ojca i kuzyna, wiedziała o tym, ale nie mogła pozbyć się uczucia, że gdzieś głęboko w środku było w nim coś, co niezupełnie go od nich odróżniało. Ellie odetchnęła z ulgą, kiedy zjawiała się Gretchen i zawróciła mu w głowie, przynajmniej na jakiś czas...

Przez chwilę wszystko było dobrze. Więcej czasu spędzanego z przyjaciółmi oznaczało mniej czasu w domu. Znalazła sobie pracę na pół etatu i nauczyła się chować pieniądze przed ojcem i kuzynem.

Była szczęśliwsza, ale to właśnie sprawiło, że zachowywała się przy ojcu bardziej bez troski i zuchwale. Nie minęło wiele czasu, a jej szesnastoletnia twarz o wygadanych ustach, tak podobnych do ust jej matki, została wciśnięta w poduszkę kanapy, aż wydawało się jej, że straci przytomność.

Miesiąc później ojciec zatkał jej nos i usta brudną kuchenną szmatą, mimo że drapała go z całych sił, próbując się uwolnić. Kiedy w końcu ją puścił, pierwszy haust powietrza pachniał jak jego alkoholowy oddech. Tego dnia Ellie Deacon przestała pić. To wtedy postanowiła, że ucieknie. Nie od razu – nie chciała wpakować się z deszczu pod rynnę. Ale wkrótce. Do tego jednak musiała być trzeźwa. Musiała działać, zanim będzie za późno.

Zdarzenie, które przyspieszyło jej decyzję, miało miejsce pewnej nocy, kiedy obudziła się w swoim

pokoju, czując na sobie jego ciężar i jego natrętne palce. Ukłucie bólu i jego pijany głos, bełkoczący imię jej matki wprost do ucha. Kiedy w końcu udało się jej go odepchnąć, na odchodnym uderzył ją tak mocno, że głowa odskoczyła do tyłu i z hukiem opadła na ramę łóżka. W świetle poranka przesunęła palcami po zagłębieniu w drewnie i jeszcze półprzytomna zabrała się do zmywania krwi z dywanu. Głowa ją bolała, łzy cisnęły się do oczu. Nie była pewna, w którym miejscu była bardziej obolała.

Kiedy następnego dnia Aaron odkrył szczelinę w skalnym drzewie, było to dla niej jak znak z góry. Uciekaj. Otwór był dobrze ukryty, niedostępny i na tyle duży, że mógł pomieścić plecak. Idealna kryjówka. Pełna nadziei spojrzała Aaronowi w twarz i po raz pierwszy zrozumiała, że będzie jej go brakowało.

Ich pocałunek sprawił, iż poczuła się lepiej, niż myślała, że jest to możliwe, ale wtedy on dotknął jej głowy. Zabolało, więc odsunęła się pospiesznie. Spojrzała na niego i zobaczyła niepokój malujący się na jego twarzy. W tamtym momencie nienawidziła swojego ojca najbardziej w całym życiu.

Tak bardzo chciała powiedzieć wszystko Aaronowi. Nie raz. Ale spośród wszystkich emocji płynących w jej ciele najsilniejszy zawsze był strach.

Wiedziała, że wiele osób bało się jej ojca. Za każdy uraz – prawdziwy lub zmyślony – odpłacał szybko i brutalnie. Widziała wielokrotnie, jak spełniał swoje groźby. Pamiętał krzywdy, truł pola, rozjeżdżał psy. W społeczności walczącej o przetrwanie trzeba było wiedzieć, z kim nie zadzierać. Ellie Deacon wiedziała, że w całej Kiewarze nie było tak naprawdę nikogo, kto mógłby jej pomóc i mu się postawić.

Ułożyła plan. Zabrała swoje oszczędności, po cichu pakując plecak. Ukryła go nad rzeką, tam, gdzie nikt nie mógł go znaleźć. Gdzie miał na nią czekać, aż będzie gotowa. Zarezerwowała pokój w anonimowym motelu trzy miasteczka dalej. Kiedy poproszono ją o nazwisko, odruchowo podała to, które zawsze dobrze jej się kojarzyło. Falk.

Zapisała je na skrawku papieru wraz z datą, którą wybrała na dzień swojej ucieczki, i włożyła go do kieszeni dżinsów. Talizman na szczęście. Przypomnienie, że nie ma odwrotu. Musiała uciec, ale miała tylko jedną szansę.

„Jeśli mój ojciec się o tym dowie, zabije mnie”.

To były ostatnie słowa, jakie zapisała w swoim pamiętniku...

Kiedy Mal Deacon wszedł do domu, w powietrzu nie wyczuł zapachu obiadu, co wprawiło go w zły nastrój. Zrzucił nogi bratanka z kanapy, na co ten otworzył jedno oko.

– Nie ma jeszcze nic do zjedzenia? – zapytał Deacon.

– Ellie nie wróciła ze szkoły.

Sięgnął po piwo z sześciopaka, który przyniósł sobie Grant, i ruszył w głąb domu. Stanął na progu pokoju córki i pociągnął łyk piwa. Nie była to dla niego pierwsza puszka tego dnia. Ani nawet druga.

Jego wzrok padł na białą ramę łóżka z wgłębieniem w drewnie i ślad na różowym dywanie. Mal Deacon się skrzywił. Poczował, jak w jego żołądku zaczęła formować się zimna kula. Coś złego wydarzyło się tutaj. Wpatrywał się w uszkodzoną ramę i jakieś potworne wspomnienie zaczęło dawać o sobie znać. Pił tak długo, aż osunęło się z powrotem za zasłonę zapomnienia. Tymczasem pozwolił, by alkohol rozniósł w jego żyłach pierwsze oznaki wzbierającego gniewu.

Jego córka powinna być już w domu, ale jej nie było. Powinna być tu, z nim. Głos rozsądku cicho

podpowiadał, że może to być zwykłe spóźnienie, ale przecież Deacon nie był głupcem i widział, jak na niego patrzyła ostatnio. Dobrze znał to spojrzenie. Widział już podobne pięć lat wcześniej... To spojrzenie mówiło: wystarczy, żegnaj.

Czuł, jak wzbiera w nim żółć, i nagle z trzaskiem otworzył jej szafę. Brakowało plecaka. Wśród równo ułożonych na półkach ubrań były dwie lub trzy luki. Deacon rozpoznawał te znaki. Skradanie się, tajemnice. Raz je przegapił. Nigdy więcej. Wyciągnął szuflady z komody, wyrzucając ich zawartość na podłogę. Piwo rozlewało się na dywan, kiedy szukał jakiejś wskazówki. Nagle zamarł. Wiedział dokładnie, gdzie była. Tam, gdzie ta suka, jej matka, zwykła uciekać.

Mała suka, mała suka.

Chwiejnym krokiem wrócił do salonu, postawił ociągającego się Granta na nogi i wepchnął mu do ręki kluczyki do pikapa.

– Jedziemy po Ellie. Ty prowadzisz.

Mała suka, mała suka.

Zabrali ze sobą kilka puszek na drogę. Słońce świeciło pomarańczowym blaskiem, kiedy przedzierali się przez szutrową drogę w kierunku farmy Falka.

– Jest tam – wskazał Deacon. – Idzie nad rzekę.

– Nic nie widzę – odparł Grant, marszcząc brwi, ale zatrzymał samochód.

Deacon wyskoczył pierwszy, zostawiając bratanka z tyłu, i pognął przez pole i dalej pośród drzew. Miotła nim dzika furia, kiedy biegł ścieżką za córką.

Kiedy ją dopadł, pochylała się nad dziwnie wygiętym drzewem. Ellie za późno go usłyszała i obracając się, wydała z siebie krzyk, ponieważ złapał ją z całej siły za włosy.

Mała suka, mała suka.

Nie ucieknie. Tym razem nie zostawi go, do cholery. Wrywała mu się, ciężko było ją utrzymać, więc uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Zachwiała się i upadła do tyłu, lądując z jękiem na brzegu rzeki, jej włosy i ramiona zanurzone w wodzie. Patrzyła na niego w sposób, który już rozpoznawał, więc docisnął ręką podbródek, aż mętna woda zakryła całą jej twarz.

Walczyła, kiedy dotarło do niej, co się dzieje. Deacon wpatrywał się w odbicie własnych oczu w ciemnych wodach rzeki i trzymał ją coraz mocniej.

Musiał przyrzec Grantowi farmę, kiedy szukali na brzegu kamieni, żeby ją obciążyć. Nie miał wyboru. Zwłaszcza kiedy Grant znalazł w jej kieszeni kartkę z nazwiskiem Falka i zasugerował, że należałoby podrzucić ją do pokoju Ellie. Szukali jej plecaka, dopóki nie zgasły ostatnie promienie słońca, ale nigdy go nie znaleźli...

Dopiero znacznie później, kiedy został sam tej pierwszej nocy, i podczas wielu, wielu następnych, Mal Deacon zastanawiał się, czy naprawdę chciał przytrzymać córkę aż tak mocno.

„Jeśli mój ojciec się o tym dowie, zabije mnie”.

Jeszcze długo po przeczytaniu słów Ellie Falk siedział i wpatrywał się w nieistniejącą rzekę. W końcu zamknął pamiętnik i włożył go wraz z pozostałymi rzeczami do plecaka. Wstał i zarzucił go sobie na ramię.

Słońce już zaszło i wokół zapadła noc. Ponad eukaliptusami gwiazdy świeciły jasno. Nie martwił się. Znał drogę. Kiedy ruszył w kierunku Kiewarry, zerwał się chłodny wiatr.